

# Deotyma

## NA ROZDROŻU

*Powieść w dwóch tomach*

Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu.

Żeglarze nadają często wyspom i zatokom imiona swoich poprzedników, najpierwszych, najodważniejszych odkrywców, którzy wskazywali drogi i łamali się z niebezpieczeństwami nieznaney krainy.

I ja, wstępując w nowy zakres pracy, pierwszą jej próbę zdobię Twojem imieniem. Pod taką opieką, śmielej ona pójdzie między naszą społeczność, która pojęcie o powieści polskiej nauczyła się łączyć z nazwiskiem Kraszewskiego. Deotyma.

I.

Po ścieżce okrążającej brzegi łańienkowskiego stawu, przechadzał się z wolna zamyślony młodzieniec. Nie patrzył na nikogo, ale zato każdy z przechodzących lekko się za nim obejrzał, nie dla żadnej przesady w jego stroju, — młodzieniec był ubrany wzorowo; — nie dla żadnego blasku w postawie, — młodzieniec był naprawdę zamyślony i nie pragnął zwracać uwagi. Jeżeli się za nim oglądano, to jedynie z przyczyny, że był prawdziwym zjawiskiem piękności, dającym się przyrównać chyba do owych archaniołów, jakich Tycyan zatrzymał na swoich płótnach, a w których postaci siła mężka owiewa się niewieścim wdziękiem, w których oku promiennosc niebiańska zacienia się ludzkim smutkiem. Można by sądzić, że ów Benjamin przyrodzenia powinien stąpać wśród samych tryumfów, otoczony tym. rojem satelitów, co zawsze krążą za gwia-

zdami. To też kto go spotkał samotnym i jakby oczekującym, przypuszczał że chyba spotyka bohatera romansu i oglądał się wzrokiem zapytania, czy nie dojrzy tej, co jest czekana. Niejeden przystanął i ciekawie rozpatrywał krajobraz, mówiąc sobie: — Jeżeli bohater tak blizki ideału, jakąż musi być bohaterka?

Ale próżno patrzono, jej nigdzie nie było. Nie mylili się jednak ciekawi.

Młodzieniec czekał na nią, jako prawdziwy bohater romansu. Ale był-to romans dziś rzadki, niepodpadający pod żaden zarzut kodeksu, niezastrzony smakiem zakazanego owocu, jeden z owych romansów, o jakich nasi ojcowie mówili, wspominając z zachwytem wiosnę swojego prawego żywota.

I nie mogła być inną sercowa powieść Wiesława Różyca, owego nieskazitelnego młodzieńca, którego wszyscy znamy i pomimo jego młodości rzetelnie szacujemy. Dość powiedzieć że dusza jego równie piękna jak postać.

Od kolebki ubóstwiany przez rodziców, którzy wszystkie myśli, wszelką pracę skierowali ku jego przyszłości, wyrastał wśród zacnych przykładów, w jednym z owych dworów wiejskich, co przechowały złote prawa rodzinnego i obywatelskiego braterstwa.

Wypieszczona w tem gnieździe, dusza jego nabrała tyle sił żywotnych, że choć

przyszło gniazdo opuścić, skrzydła jej zdołały przeciąć wszelkie wiry i unieść ja. nad poziome burze.

Przysłany do Warszawy dla uniwersyteckich nauk, stał się wkrótce ulubieńcem profesorów, a co więcej, serca kolegów zaskarbił sobie przez niewyczerpaną łagodność, dla której z początku, pół żartobliwie, przewali go seminarzystą. Ale taka łagodność jest znamieniem wielkiej siły i co podbije, to nazawsze; jest ona jak sieć pajęcza, z której nie można się wywikłać. Zwolna owe uśmiechnięte pachole pociągnęło za sobą współuczni, którzy szli za nim, jakby za wodzem ducha, nie zdając sobie sprawy, co ich do niego pociąga. Pociągiem owym był ogień, którego im niemal wszystkim brakowało, a który się przechował w Wiesławie: zapal.

Powszechnie to już znana uwaga, że dzisiejsza młodzież odznacza się przedwczesną dojrzałością. Nie myślimy tej uwadze nadawać cechy zarzutu. Zjawisko które się tak powszechnie i wytrwale pojawia, nie może być winą pojedynczych osobistości, ale musi wynikać z wielu i wielkich przeobrażeń, pocichu nurtujących społeczeństwo, które w pewnych dziejowych godzinach zastanawia się i wątpi, nie widząc jeszcze jasno dróg nowych przed sobą.

Ztąd dziś tylu młodych ludzi rozczarowanych, pierwej nim cokolwiek ich oczarowało.

Między działaczami wywołującymi podobny stan umysłów, jednym z najmniej zauważonych, a przecież najsilniejszych, jest kolosalny rozwój do jakiego doszła filozofia historii.

Dawniej młodemu człowiekowi przedstawiano wzory z dziejów greckich, rzymskich i średniowiecznych, wyborowe wzory odwagi i ofiary, które duszę jego zapalały współzawodnictwem, często aż do śmierci niewygasłym.

Dziś, przystępując do badania dziejów, staje się niby nad olbrzymią mapą oceanu, gdzie mędracy pooznaczali przeróżne prądy społeczne, gdzie wola ludzka zdaje się tracić wszelką wagę, gdzie największy geniusz wygląda zaledwie jak okręcik, który dlatego tylko do portu zawinął, że umiał się według prądu kierować.

Dla głębszych umysłów wielkość nie przestała i dziś być wielkością; ale' umysłom miernym, a tych jest najwięcej, — uśmiecha się ta zazdrosna teoria, co chce poniżyć jednostki, aby podnieść ogół.

Co z tego wszystkiego wyniknie, wiadomo tylko niebu i... ministrom. A tymczasem rzecz pewna, że nasza młodzież posmutniała. Ręce jej opadają gdy widzi, że kto chce dzisiaj zdobyć prawdziwe znaczenie, musi albo rządzić milionami albo mieć miliony.

Niektórzy naoslep rzucają się w wielką kłótnię świata i chwytają pierwszy lepszy sztandar, nie wierząc w jego prawdę, ale używając go jako kija, na którym podpiera się, kto chce dojść do szczytu.

Inni, odrazu wielkim celom dawszy za wygraną, myślą tylko o zbijaniu dostatków, i to jaknajwię-

7

cej, i to jaknajprędzej, aby w pustyni życia urządzić sobie namiocik... wygodny.

Ale i to pewna, że jeśli między rzeszą, pojawi się młodzieniec prawdziwie młody, wszyscy lgną. do niego mimowolnie. Starsi witają go z rzewnością, jako zmartwychwstanie własnych wspomnień; młodzi witają go z podziwem, jako urzeczywistnienie swoich marzeń.

Łatwo zatem zrozumieć, że i Wiesław zdobył sobie wszędzie życzliwość, zaostrzoną niejakiem uśmiechem ciekawości. Patrzono jak na zjawisko na tego młodego człowieka, co wierzył szczerze w wielkie cnoty i wielkie poświęcenia; a choć były powątpiewania, czy potrafi ich w przyszłości dowieść, w każdym razie

przyznawano, że mu do twarzy z wiarą w ideały, kiedy przez tę wiarę sam jest ideałem.

Świetnie skończywszy wydział prawny, Wiesław wszedł w urządowanie, skromne, jak zwykle na początek, i szczupło uposażone. Ale nigdy nie usłyszano od niego słów niecierpliwości, bo Wiesław nie śpieszył się gorączkowo z życiem. Chciał pierw zasłużyć, nim użyje, i tak daleko posuwał purytanizm zasad, że byłby nawet z niechęcią przyjął od losu wszelką nagrodę niezapracowaną.

A potrzebował pracować i myśleć nad zbudowaniem sobie niezależnej przyszłości, bo rodzice jego nie byli bogaci. Na wsi, przy staroświeckim urządzeniu domu, mogli żyć obficie i przyjemnie;

ale ich dochody, przeniesione do stolicy/zbiegłyby się w drobniotkie rozmiary, wobec ogromnej skali dobrobytu i wszechwładnych wymagań towarzyskiego nastroju. Co tylko zaś można było ująć z majątku, i nawet więcej niż można, łożyli na wychowanie syna, przekonani, że najlepiej wraca się kapitał ulokowany na hipotece duszy. Zasada zawsze budująca, choć czasem omylna, a która na ten raz najpiękniejsze wydała owoce.

Miał wprawdzie Wiesław wuja bogatego, bezżennego, który go kochał niemal po ojcowsku; ale znając przekonania młodzieńca, można być pewnym, że w rachubach swoich z losem nigdy nie liczył na tę łatwą przyszłość, tem bardziej że wuja kochał przywiązaniem prawdziwym, prawdziwszem niżeli świat przypuszczał. Zresztą, nosił on w sobie złotą swobodę ludzi nieobarczonych jeszcze odpowiedzialnością za byt innych istot, swobodę która później nadaje tyle czaru wspomnieniom kawalerskiego życia.

Na dzisiaj dochody wystarczały mu, nawet z niejaką sutością. Odrazu wykreśliwszy z budżetu wszelkie wydatki, z jakimi by się nie mógł rodzicom głośno przyznać, bogatszym znalazł się od wielu bogatych. Mieszkanie miał małe, ale je urządził jakby pięścielko. Odziewał się ze starannością, którą umiał niemal do estetyki posuwać. Wszędzie bywał i wszędzie znajdował przychyłność.

Zaszło nawet czego się nigdy nie spodziewał: stał się modnym.

Wszyscy pragnęli widzieć i mieć za gościa tego Antynousa, z Waszyngtonowską duszą.

Ale razem z pierwszym powodzeniem, zaczęły się wznosić wkoło niego pierwsze mgły zawiści. Młodzi towarzysze rozrywek, którym solą w oku była jego aureola, postanowili wypróbować hartowność tej zbroi, sprowadzić go zwolna w przepaści, po których sami tak zgrabnie umieli się ślizgać, i już naprzód znajdowali nieopłaconą zabawę, wystawiając sobie, jak do zwykłej miary przytną, tą głowę, nazbyt wysoko się noszącą.

Trudno przysiądz, czy Wiesław kilkakrotnie ust nie zbliżył do czary zabronionych uciech. Ale za każdą razą wyniósł taki śmiertelny niesmak, tak zabijające wyrzuty sumienia, że sami kusiciele strwożyli się o niego i woleli, mówiąc ich własnymi słowy: — dać mu święty pokój.

A młodzieniec, przetrwawszy to pierwsze pasowanie się z życiem, otrząsnął ze stóp ostatnie pyły i wrócił między kwiat towarzystwa, tem piękniejszy, że nieco smutny.

Wtedy kilka czarodziejek salonowych zwróciło na niego aksamitne oczy. Ponętym i nowym wydało się dla nich tryumfem, zarzucić pęta z jedwabiu na te Rafaeliczne skrzydła. Ale dusza Wiesława potrafiła unikać niewoli, utrzymując się zawsze wyżej, jednakże tylko tyle wyżej, aby jej nie ptaszniczki nie dosięgła, a zawsze dosyć

blisko ziemi, aby zataić swoją wyższość. W tej walce sercowej Wiesław, wiedziony instynktem rycerskim, czuł, że nawet broniąc się, niewolno zranić kobiety, i tak

zręcznie umiał zamienić oręż, wmówić bohaterski opór w przeciwniczkę, że ta zawsze wyszła ze szranków bez upokorzenia, owszem dumna, bo przekonana, że ja uznano za nieprzezwyciężoną, i odtąd na całe życie zachowywała dla Wiesława ten rodzaj rzewnej przyjaźni, jaką zawsze kobieta obdarza ofiary, co dla niej lub przez nią cierpią.

Silny przymierzem tych monarchiń, Różyc mógł teraz pogodnym okiem objąć całe koło towarzyskie; mógł bezkarnie być uprzejmym dla dam, i to dla wszystkich, nawet dla panien, czem ostatecznie zdobył sobie wysoką łaskę matron; zaszczyt wielki i nie tak łatwy jak się zdaje, bo w sercu niewiast sędziwych tkwi nieśmiertelny obraz młodzieży im współczesnej, obraz który, jako przeszłość, opromienia się ostatnimi blaskami ich słońca, a w cieniu uprzedzenia zostawia synów nowej doby.

Ale też już kiedy młodzieniec jest w łaskach u matron, to mu i królewicz pozazdrościć może. One się tak znają na ludziach! Tak umieją pochwalić z miarą, dowcipem, a czasem nawet z ową leciuchną dwuznacznością, na którą się i najcnotliwsza pod swym siwym włosem odważa. Co więcej, umieją radzić nietylko o sercu, ale i o przyszłości swojego wybrańca. Wiedzą one

po jakich ścieżkach dochodzi się do wszystkich zaklętych jaskiń ze skarbami życia, i jeśli tylko młodzieniec pozwoli im się z zawiązanymi oczami prowadzić, zawiodą go przez stopnie ołtarza, do złotych kopalń i gwiazdzistych dostojęństw. I wkoło Wiesława zrobił się niezadługo ruch pełen uśmiechów i szeptów, znamionujący że ukryte siły zajmują się jego losem. Spotęgowano tak wysoko jego osobiste znaczenie, że choć niebogaty, zaczął być wliczany między świetne partye, i matki nawet najposażniejszych dziedziczek przedstawiały go córkom, jako wzór przyszłego małżonka.

To też na setki możnaby rachować w Warszawie panny, co wracając z balu albo koncertu, wyjmując gałązkę z pomiędzy splątanych pukli, marzyły równie kwiecistymi i splątanymi rojeniami o ślicznym Wiesławie, którego imię sielankowe tak wdzięcznie się nadawało do poematu ich myśli.

A były między nimi i nadobne, i dobre, i zacne z rodu, i ponętne z wiana, były nakoniec (a te bywają może najponętniejsze) córki rodzin wpływowych, mogących na wysokie popchnąć stanowisko.

Nie pozostawało już naszemu młodzieńcowi, jak wybrać pomiędzy różnymi rodzajami szczęścia. Areopag niewieści postanowił, że Wiesław musi być szczęśliwy.

Ale nasz bohater jak przeszedł nietknięty przez

pułki czarnych pokus, tak szedł i między białymi pokusami, nie rozumiejąc, czy nie chcąc rozumieć sygnałów ich życzliwości.

Nie dlatego ażeby nie chciał nigdy pomyśleć wyborze małżonki; owszem, w swoim prawidłowym poglądzie na życie twierdził, że kto nie został księdzem, powinien się żenić, aby jeśli nie w Boskim, to w ludzkim zakonie służyć społeczeństwu.

Ale widział jeszcze, że przeciąg życia, jak przeciąg roku, jest przez sarnę przyrodę podzielony na pory, w które nie trzeba wprowadzać nieładu, ani mieszać zatrudnień i uciech jednej pory z drugą, jeśli się chce na zimę żywota znaleźć spichlerz i duszę dobrze opatrzone.

To też postanowił nacieszyć się swoją wiosną, dać przekwitnąć wszystkim bżom wyobraźni, dać się wyśpiewać wszystkim słowikom dumania, a dopiero potem wejść w burzliwe lato i zabrać się do znoonej gospodarki z losem.

Nie chciał czynić jak ci, co nie zebrali jeszcze żniwa zasługi, a już wyprawiają wesele, to wielkie okrężne życie.

Takie i tym podobne wywody młodzieniec mądrze sam sobie wyluszczał. I było tych roztropanych rozumowań tyle, że możnaby osobną książkę z nich napisać.

A jednak, jeśli wolno szczerze opowiadać, żaden z tych powodów nie był rzeczywistym sprawcą jego obojętności.

Ta właśnie obojętność była prawdziwą wszystkiego przyczyną.  
Dotąd żadna kobieta nie zapanowała wszechwładnie nad jego sercem.  
Umiał się obronić od póluczuć, a całe, wielkie uczucie nigdy jeszcze nie zapukało do wrót jego przeznaczenia, tym swoim drobnym, różowym paluszkiem, co choć taki mały, przecież jak chce obraca globem świata.  
Prawda, że też niełatwo było znaleźć kobietę, któraby odpowiedziała sprzecznym wymaganiom Wiesława.  
Miała być niemajętną, a wykwiłtnie wychowaną. Piękną, a nie zalotną (tylko jeden raz w życiu). Głęboko wykształconą, a pełną dziecięcej prostoty. Wszędzie świętobliwą jak zakonnica, a w domu pieściwą jak bogini. Nakoniec, jak żony Cezara, nigdy nie miał jej musnąć nawet cień obmowy.  
Niedoświadczony marzyciel nie wliczał w swój rachunek ani różnicy charakterów, co najpocząwszy parę może na wrogów zamienić, — ani zachmurzeń zdrowia, co rządzi barometrem domowej pogody, — ani niedostatku, co jak miecz cherubina z każdego raję potrafi wypędzić, — ani nakoniec złośliwości świata, co na kryształ najczystszy umie chuchnąć tchnieniem zaraźliwej potwalrzy.  
I zaiste, gdyby wszyscy młodzi wszystko umie i przewidzieć, toby chyba nigdy stęła dwóch rąk

nie zwięzała. Ale pokolenia są jak żale; jedne po drugich biegną, aby rozbijać się o te same skały, a świat swoim torem idzie. Prawda że jak też idzie, to aż się odechciewa powieści o nim pisać.

Jednak ile razy spojrzę na staw łazienkowski, na cudny pałac w wodzie odzwierciedlony i na cudnego Wiesława, który ciągle nad wodą krąży, ten elizejski obraz nieco mię rozbija i przywraca mi ochotę, aby wam opowiedzieć, jak to ów różowy paluszek zapukał do bramy jego przeznaczenia.  
Zapukał, wedle zwykłej przekory losów, nie tam gdzie go czekali, w ołano i gdzie progi na jego przyjęcie strojono, ale do jakiejś furtki nikomu nieznaney, z po za której też nie zaraz głos dał się słyszeć.  
A stało się to wszystko niedawno, bo ledwie przed kilku tygodniami.  
Wiesław, różniący się w tylu względach od innej młodzieży, posiadał jeszcze i to wyróżnienie, iż nigdy nie pisał wierszy. Nawet w szkołach nie ukuł owej tragedyi, którą niegdyś każdy student musiał popełnić.  
Ale miał inne ujęcie dla swoich marzeń: kochał namiętnie muzykę, i dotąd była-to jedyna jego namiętność. Od lat wielu grał na fortepianie z niewymownym wdziękiem, a niedawno zrobił jeszcze radosne odkrycie, że nowe narzędzie sztuki posiada we własnym głosie. Wprawdzie był-to tyl-

ko baryton o niewielkiej skali, ale posłuszny i zdolny wszystko wypowiedzieć.  
Nie udawał się Różyc po naukę do pierwszorzędných artystów, bo i nie śmiał, i nie pragnął sięgać po ich laury; chciał tylko małe kwiatki dyletantyzmu uprawiać dla własnej rozkoszy.

Wyszukał sobie profesora śpiewu, starego jak Saturn, brzydkiego jak Sokrates, pustelnika, co siedział gdzieś na czwartem piąterku, zanurzony w omszałych nótach. Nie cierpiał on muzyki nowej, Wagnera uważał za rodzaj antychrysta i nie chciał bywać w Towarzystwie muzycznym, bo i tam, jak mówił — już grasuje cholera nowatorska.

Ale było mu wspomnieć o Rossinim, to uśmiechał się pobłaźliwie, — a na wspomnienie o klasykach rozjaśniał się, poważniał, piękniał i mówił jak arcykapłan o swoich bogach.

I rzeczywiście też chyba sami bogowie melodyi natchnęli Wiesławowi szczęśliwą myśl udania się pod skrzydła profesora Benedykta Bońki, bo stary maestro przechował wszystkie tajniki starej szkoły śpiewu, a wsłuchawszy się nietylko w głos, ale i w duszę ucznia, pokochał go, jak to po staremu umiano kochać.

Nieraz całe wieczory schodziły im na wczytywaniu się w najzawilsze partycje. Profesor powoli ciągnął za sobą Wiesława na zawrotne wyżyny kontrapunktu i generałbasu, a młodzieniec zdumiewał się i zachwycał, znajdując klucz tyłu piękności w tej matematyce natchnienia,

Tak godziny, które dla wielu innych młodych marniały między wdową Cliquot a damą kierową, dla naszych dwóch kochanków sztuki niosły nieśmiertelne rozkosze, i nieraz dzień biały zastawał ich jeszcze wśród Mozartowskich upojeń.

Już przeszło od roku trwał ten harmonijny stosunek, kiedy jednego poranku Wiesław rzekł, wpatrując się mile w maestra:

— Nie wiem czy to wiosna myśli rozwesela, ale od kilku tygodni kochany pan profesor wydaje mi się w brylantowym humorze.

— Ja? Doprawdy? Znać to po mnie? To i niedziwno, bo jest czego.

— Czy tak? To już chyba pan profesor skończył ową operę, na którą czekamy i czekamy.

— Operę? Wam się zdaje że to operę człowiek pisze, jak referat. Nie, panie. Dzieła twórcze mierzą, się na lata, na dziesiątki lat! Nie skończyłem, ale tymczasem... znalazłem skarb.

— To wiadomość rzadka w dzisiejszych czasach. I gdzież on się chował? Jakże on wygląda?

— Jak wygląda?... Czarne oczy, złote włosy.... Na te słowa Wiesław zerwał się z krzesła.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Więc to skarb żywy, — i profesor go znalazł? Więc są na świecie oczy, co dla maestra świecą con fuoco? Bez żartu, czy profesor myślisz się... żenić?

Maestro uśmiechnął się smutnie, nawet z ni c-

7

jaką goryczą, przeszedł dwa razy przez pokuj, a potem, stanąwszy przed Wiesławem:

— Bez żartu — odrzekł — nie myślę. Dla mnie żona taka stosowna, jak sutana dla tego fanfaron Liszta. — Ale... gdybym miał takie latka i taką buzię jak ty, panie Wiesławie...

Tu wstrzymał się i po chwili dodał głosem pełnym przekonania:

— Doprawdy, to żona stworzona dla ciebie. Niech co chcą mędracy mówią o niezależności

serca, doświadczoną jest prawdą, że podobne słowo, powiedziane wobec panny lub kawalera, zawsze mocno ich zaciekawia, i nieraz już stało się pierwszym słowem romantycznej księgi.

— Kochany profesorze, opowiedz-że mi dzieje tego skarbu. — Niech-że wiem, kogo mi przeznaczasz.

— Jest-to moja nowa uczenica, panna Zapolska, która tu niedawno przyjechała z matką swoją, panią Pełkową.

Wiesław lekko się wzdrygnął na to nazwisko Pełki, które mu nasunęło niemiłe wspomnienie. Pan Benedykt inaczej ruch jego zrozumiał.

— Chciałeś spytać, panie Wiesławie, jakim sposobem córka, chociaż panna, nosi nazwisko inne niż matka? Rzecz prosta: matka poszła za Pełkę in secunda voto, a co więcej, już drugi raz owdowiała, ale to niedawno, jeszcze żałoby nie skończyła. Trzeba wiedzieć, że kiedy była Zapolską, ba! co ja mówię, przecież to dwadzie-

ścia lat zgórą — kiedy jeszcze sama była panną — dawałem jej lekcje muzyki. Talentu niby-to niewiele w niej było, a jednak tańczyła świat jak zagrała, ale tego grania, dalibóg, nie ja ją nauczyłem, nie — chyba wszystkie wróżki razem zebrane. Spytaj każdego ze starszych, a każdy ci powie: ta panna Irena, to był

ósmym cudem świata. Gdzie się pokazała, ludzie za nią chodzili, jakby za procesją; konkurenci lecieli jak ćmy do ognia. Nakoniec wybrała Zapolskiego. Tego dobrze znałem; był to rozumny i przyjemny człowiek: znał się na klasykach. Potem długo prowadzili dom otwarty; cała Warszawa trzęsła się rozgłosem ich balów, kuligów, amatorskich teatrów, a w poście urządzali wieczory muzykalne, któremi ja kierowałem. Można sobie wystawić, jaka to była muzyka; już ja nie dopuściłem żadnej artystycznej tandety. Ziewali ludziska, słuchając, ale uczyli się co to jest prawdziwa sztuka, i to, według mnie, było jedną z największych zasług domu Zapolskich. Tak tedy żyli sobie szczęśliwie i córeczka im się prześliznęła chowała. No i trzeba że ten Zapolski umiera, wdowa dom zwiija, wyjeżdża za granicę i kończą się te wszystkie przepyszne chwile. Ale po dwóch latach wróciła, i to piękniejsza, cudowniejsza niż kiedykolwiek. Znowu tedy zacząłem tam przesiadywać, co niedziela na obiedzie, co czwartek wieczór, a gości zawsze huk, i wielki świat, i artyści, że już nie mówię o młodzieży. Powiadają że któryś z nich zastrzelił się

dla niej. Ale bo też to była czarodziejka, ta pani Irena! Ja, co to niby nie znam się na rzeczach światowych, a powiadam ci, panie Wiesławie, Armida! Prawda że też to były jej najświetniejsze czasy. Ale jedną razą, ni ztąd ni zowąd, dowiaduję się że poszła za tego Pełkę, którego mało znałem, i, przyznam się, nigdy nie lubiłem, moje z przecucia, bo zaraz nam Irenę zabrał i wywiózł na wieś, gdzie całe dziesięć lat siedzieli jak zakłenci. Teraz dopiero, kiedy umarł, widać że i mieszkanie po nieboszczyku obrzydło wdowie, bo przed kilku tygodniami przyjechała tu z córką dorosłą, prześlizną panną, i na stałe chcą się osiedlić w Warszawie.

— Przepraszam że przerywam, panie profesorze, ale chciałbym zmiarkować, kto tu nosi nazwę skarbu, matka czy córka?

— Po prawdzie mówiąc, źle się wyraziłem; to nie skarb, ale cały szereg skarbów. A najprzód odszukanie tego domu jest dla mnie prawdziwym odrodzeniem. Społeczeństwo dzisiejsze już mi jakieś obce i takie wstrętne, że jak wiesz, panie Wiesławie, wszystkich nawet uczniów z kolei poodpędzałem i ciebie jednego zostawiłem, bo ty jeden znasz dawną karność. Z panią Ireną mamy cały świat wspólnych wspomnień; przy niej odmłodniewam. Ona mię niegdyś tak umiała w oczach ludzi podnosić! Ja jej tego nigdy nie zapomnę. A zdawałoby się że to wszystko było wczoraj, bo wystaw sobie, zawsze taka piękna, jakby

doprawdy czary posiadała. Nic też w tem dziwnego; przypuszczam że ma lat czterdzieści, to dla niektórych kobiet chwila ostatniego, ale najwspanialszego rozkwitu. Wprawdzie ona dziś inna niż dawniej: jakaś bladeść, jakiś smutek, co mię czasem aż niecierpliwi. Czyby tak żałowała tego drugiego męża? Nie rozumiem... ale zresztą: de gustibus non est disputandum. W każdym razie jej przyjazd to skarb — dla serca. Powtóre, wyobraź sobie, córka, śliczna blondynka, ma głos jakich mało. Nie powiadam żeby to była Catalani, jednak na każdej scenie mogłaby zrobić furorę i pod moim kierunkiem dojść wyżej, niż niejedna co blichtrzem świeci. Ale niestety, ani jej gadaj o zawodzie teatralnym. Te panie maja. nawet przeciw scenie jakiś rodzaj uprzedzenia, którego nie rozumiem w nich, bo przecież nie żadne bigotki. Otóż ta poczciwa pani Irena, choć Warszawa teraz pełna przesławnych mistrzów, przypomniała sobie starego nauczyciela, kazała mnie szukać po całym mieście i odsunawszy wszystkich owych fanfaronów, mnie dała za mistrza Cesi, bo nadmiar zachwycenia, jeszcze się nazywa Cecylia, jak nasza patronka. A wymodliła mi też prawdziwą pociechę. Wyszedłem już tak zupełnie z artystycznych stosunków, że dotąd na przykład nie mogłem z mojej opery usłyszeć ani jednej nuty, wygranej albo wyśpiewanej, i musiałem ją sobie wygrywać w duszy, jak Beethoven w swoich okropnych latach głuchoty. Otóż Cesai

zdjęła to zakłęcie z mojego utworu. Wyśpiewuje mi prześlicznie prawie wszystkie ustępy, szczególniej partją sopranową. Wystaw-że sobie, panie Wiesławie, jaka podwójna rozkosz i dla nauczyciela, i dla kompozytora. Otóż to drugi skarb ze stanowiska sztuki. Nakoniec trzecim skarbem, najpiękniejszym, bo dla sumienia budującym, jest widok tego domu. Szczerze powiadam, że jeszcze nie spotkałem dwóch istot, któreby się tak głęboko i rzewnie kochały. Tu już nietylko przebija macierzyńska i dziecięca czułość, ale prawdziwa przyjaźń, która sprawia, że swoje myśli odgadują, z oczów sobie czytają, słowem każda tylko dla drugiej i przez drugą żyje.

— To tem dziwniejsze, zauważył Wiesław, że matka była powtórnie zamężna, co zwykle osłabia przywiązanie rodzinne.

— Pamiętajmy też, panie Wiesławie, że co ojczym, to nie macocha. I ten Pełka, choć go, co prawda, nie lubiłem, musiał być dobry, kiedy Cesia nie zachowała żalu do matki. Co ja też mówię? żalu! O takim uczuciu nawet mowy być nie może. Niechby kto spróbował przyganić w czemkolwiek matce, to córkaby go chyba znieawidziła.

— Nie lękaj się, kochany profesorze, nie wywołam ja nigdy nienawiści u tego skarbu, który dla mnie raczysz przeznaczać.

Te słowa, niewinnie rzucone, widocznie nie podobały się maestrowi.

— Nie sądziłem — rzekł, wstając i kładąc rękę na ramieniu Wiesława — aby zwrot stylu, jakiego użyłem dla zaciekawienia do mojej powieści, tak był podchwycony i wciąż przypominany. Żart na stronę: ja nikomu żony nie raję. Nie jestem starą plotkarką, abym się wdawał w swaty.

— Ale o cóż chodzi, łaskawy panie Benedyckie, przecież wolno ze zwrotów twego stylu korzystać.

— O to mi chodzi, żeby mnie kto nie posądził, że szukam męża dla mojej uczenicy. Szukać go dla niej nie potrzeba. Znajdą ją, o mój Boże! aż nadto znajdą! I wiesz, panie Wiesławie, co ci jeszcze powiem, i to z głębi przekonania? Mnie się zdaje że Cecylia, przynajmniej póki matka żyje, wcale nie zechce pójść za męża. Nadto matkę kocha, aby miała dla kogokolwiek ją opuścić, a nawet podzielić swoje serce. I dobrze zrobi: każda trzecia osoba, między nie wtrącona, popsułaby tę cudowną harmonią.

Po tych słowach, profesor wziął kapelusz i pożegnał Wiesława, przekonany że najwymowniej w świecie wybił mu z głowy małżeńskie zamiary. Ani się domyślał, że wywołał skutek odwrotny. Najgłębszym machiawelizmem nie byłby tyle dokazał, co swoją gniewną szczerotą. Przedstawił Cecylią właśnie taką, o jakiej marzył młodzieniec: kobietą idącą do uczuć tylko po drodze obowiązków, posiadającą wszystko co świat przynęca i do świata nęci, a przecież unikającą wszelkich

ponęt, zamkniętą w pustelni, gdzie nic nie słyhać, tylko głos macierzyński i śpiew serafinów.

Co do owej groźby, że nie opuści matki, że nie zechce pójść za męża, Wiesław niewiele się troskał, i owszem, znajdował w tem najlepszą, rękojmię szczęścia. Wiedział że w duszy dobrze zbudowanej są komnaty dla wszystkich uczuć, które mogą się w nich pomieścić, nie przeszkadzając sobie wzajem.

Ileż razy w towarzyskich rozprawach dowodził, że najlepszą wróżbą wzorowej na przyszłość żony jest przeszłość wzorowej córki. Nie zwrócił oczu na żadną pannę, dopóki nie zauważył, czy jest dla rodziców tem, czem być powinna. Obiecywał sobie zawsze, iż nietylko żony nie będzie odciągał, ale owszem najgorliwiej utrzyma ją w serdecznych stosunkach z jej rodziną, przekonany, że mężowie, którzy chcą wyłącznie dla siebie zagarnąć serca żon swoich, zachwianiem powinności podkopują miłość.

Ale gdyby, jak profesor twierdził, Cecylia rzeczywiście była niedostępną



miłości?

Na to przypuszczenie Wiesław się w duszy, uśmiechnął. Wszyscy młodzi ludzie, nawet cnotliwi, a cnotliwi może jeszcze więcej niż inni, mają wysokie wyobrażenie o przewadze męzkiego ducha. Wobec kobiet, przez uprzejmość lub dyplomacya, tają się z tem przekonaniem, nawet je osłaniają dworacką pokorą. Ale w danej okoliczności zawsze się ta pewność odnajdzie i między sobą

uznali za niewzruszony aksyomat, że niema kobiety, na któraby nie było broni; cała sztuka tylko, żeby tę broń znaleźć i wiedzieć czy jej szukać w piekle, na ziemi, czy w niebie.

Starsi mężczyźni już nie tak stanowczo odzywają, się w tym przedmiocie, coby dowodziło, że doświadczenie osłabia moc tego pewnika.

Ale Wiesław był młody, a w krótkiej wędrówce między ludźmi już tyle łatwych tryumfów zastąpiło mu drogę, że mógł bez wielkiej próżności liczyć na zwycięstwo.

Jednak przy pierwszym kroku spotykał zawadę: nie chciał przed rozdaśnanym profesorem wyjawic swoich marzeń, a przecie tylko przez niego mógł szukać do nich dostępu.

Ale najniewinniejsza dusza, kiedy gorąco czego zapragnie, znajdzie dość wybiegów, aby oszukać stare oczy.

Przez wiele dni Wiesław unikał rozmowy o skarbach; nawet kilka razy przeciął ją z naciskiem, a przy sposobności dał poznać profesorowi, że szanuje w nim uczucie podobne do zazdrości.

Starzec, zawstydzony posądzeniem, które przy jego wieku i postaci mogło go okryć śmiesznością, zaczął sam rozpowiadać znowu o swoich najmilszych paniach, tem bardziej że ten przedmiot tak mocno jego myśli zajmował, iż mimowolnie zawsze na usta mu wracał.

— Chciałbym bardzo abyście się poznali — mawiał — ale to nic tak łatwo, jak. się zdaje. Te pa-

nie u nikogo nie bywają. Pani Irena mówiła mi, że przed skończeniem żałoby nie chce robić nowych znajomości. Pójść poprostu z wizytą., to chyba na to, aby zostawić bilety, i już finał.

Jednak nazajutrz pan Benedykt przyszedł z weselszem okiem.

— Panie Wiesławie — rzekł — mam dobrą nowinę. Dziś u pani Ireny zgadało się, że po obiedzie jada za miasto i mają wysiąść w Wierzbnie, gdzie bardzo lubią się przechadzać. Wybierzmy się i my do Wierzbna, spotkamy się niby przypadkiem, ja ciebie przedstawię i raz przecie będę chodził między moją uczenicą i moim uczniem, jak andante chodzi między allegrem i scherzem.

Stało się według słów profesora... Stało się nawet więcej, niż wszelkie ludzkie słowo opowiedzieć może.

Pojechali do Wierzbna — Wiesław poznał Cecylią i... pierwszy raz w życiu zrozumiał, czym jest miłość.

## II.

Więc teraz się nic dziwicie, że Wiesław szedł zamyślony, że z niepokojem spoglądał na spuszczone słońce i liczył chwile, które dla niego były godzinami. Szczególna-bo też to owa elas-

tyczność czasu, który się rozciąga albo zbiega, według sprężyn działających w duszy. Z dwóch takichże samych godzin jedna niewiedzieć gdzie się podzieje, druga niewiedzieć póki się przedłuza. Ach, oczekiwanie, to prawdziwe łoże

Madajowe, na którym serce rozpina się i pęka do nieskończoności. Niepróżno Włosi, zawołani we wszystkim znawcy, policzyli do największych tortur: "Aspettare, non venire..."

A już nigdy silniej nie choruje się na tę trawiącą gorączkę, jak w latach pierwszej młodości. Wtedy ona może naprawdę strawić niejedne siłę duszy. Później człowiek nieraz doświadczy, że spełnienie najgorętszych oczekiwań wyszło mu na szkodę oczywistą, i nieraz dojdzie do wykrzyknika: "Obym nie był doczekał!" I z gorzkich doświadczeń wynosi przynajmniej tę korzyść, że potrosze osłabia w sobie zjadliwą moc pożądania, aż w końcu nauczy się czekać, ale najczęściej wtedy, gdy już i czekać nie ma na co.

Ach, wszak to one! Tam na zielonej ławeczce, nad wodą! Któżby inny umiał z takim indyjskim wdziękiem trzymać parasolik?

Mimowolnie przyspieszył kroku, a zmiarkowawszy się, znów go zwolnił, aby nie przystąpić ruchem zbyt napastniczym.

Idąc, ukladał sobie, że, najpierw zapyta, czy się co stało? Dlaczego tak okropnie się spóźniły? Ale przypomniał sobie na czas, że się nie spóźnia, kto nic obiecał przybyć, że mogły wcale nie przyjść.

7

Widząc je spokojnie siedzące, zrozumiał że godzina tylko jemu wydała się późną, że słońce i ludzie są w swoim porządku, a tylko jemu śpieszy się zegar serca.

— Dobry wieczór paniom — mówił, kłaniając się matce, a spoglądając na córkę.

Zauważył że w chwili gdy go spostrzegła, Cecylia zarumieniła się leciuchno; było to rumieniec nikły, jak błyskawica w noc pogodną, ale dla jego oczu i to już dobra wróżba; on tak rzadko mógł co wyczytać z oblicza Cecylii! I cóż miał wyczytać, kiedy prawdziwa niewinność jest tą białą kartą, na której dopiero po zbliżeniu do ognia występują powoli sympatyczne znaki?

Trudno o dwie postacie i podobniejsze i różniejsze, jak były matka i córka. W budowie rysów leżała na gruncie tożsamość rysunku, ruchy ich rządziły się jednym rytmem, wzrost był równie strzelisty i giętki. Obie olśniewały białością, nażyłkowaną na skroniach i rękach gałązeczkami lazuru, co zdradzają przezroczystość cery. Obie należały do rzadkiego, najrzadszego typu blondynek z czarnymi oczami, którym tak szeroko u naszych dziejopisów zasłynęła królowa Bona.

Były więc podobne, ale jak są podobne zachód i wschód słońca.

U Ireny życie potężnie wycieniowało szkic pierwotny. Jej rysy wgłębiły się i ścięły, z rysunku przeszły w rzeźbę. Cera utraciła młodzieńczą zapalność, zastygła w jednostajny spokój, który

jej nadawał istny profil kamei. Włosy, z latami mocno przyciemnione, rzucały rodzaj chmury na czoło, gładkie jak tabliczka ze słoniowej kości, ale na której już cieryienia wyrznęły paro kresek. Oczy, jak źle przygasłe wulkany, na których rosną róże i winnice, zdawały się uśmiechać rozkosznie; ale przy dłuższej rozmowie przy natrąconem słówku wsyomnień, otwierały się w nich przepaściste głębiny, straszące i pociągające, jak wszelka otchłań. Tylko kiedy patrzyła na córkę, oczy te zalzawiały się niewypowiedzianą rzewnością, która tem większe sprawiała wrażenie, że świeciła tylko dla dziecięcia. Dla wszystkich innych po królewsku uprzejma, ale zawsze w siebie cofnięta, w swoich czarnych kaszmirach i koronkach wyglądała niemal tragicznie; zdało się że tylko urnę jej do rąk podać, a przybierze Sofoklesową postać.

U Cecylii piękność była jeszcze niestrudzona, ale i niewyrobiona życiem. Lica wypełniały się okrągłością brzoskwini i puszek ich co chwila wykwiatał rozmaitemi stopniami różowości. Oczy, równie świetne i czarne jak u matki, nie ukazywały jeszcze owych głębiny, które dopiero klucz wielkich cierpień lub wielkich namiętności otwiera; świeciły ciekawie a wstydliwie, jakby chciały, a nie śmiały o tajemnice świata pytać. Tylko kiedy zapatrzyła się w matkę, wzrok jej nabierał

głębokiej smętności. Nigdy jednak ta smętność nie mogła zagarnąć całego oblicza, bo głowa była

rozweselona dyademem przepysznych włosów, których światło nie wpadało ani w odcień lniawy, ani w odcień popielaty, ale świeciło złotem szczerem, gorąco-żółtem, przypominającym płomiennie-włose piękności starej szkoły weneckiej. Cecylia nie była już podlotkiem, weszła w dwudziestą drugą, wiosnę; jednak, czy przez nastrój wyjątkowy, czy przez wpływ otaczających okoliczności, utrzymała, w sobie usposobienie dziecięce, nieledwie dzieciinne, które sprawiało że głównym wyrazem, jej twarzy i osoby całej był czysty, przezroczysty brak wyrazu. Dla młodzieńca ze znużonym sercem, przesyconego wrażeniami, Irena byłaby miała nierównie potężniejszy urok, niż Cecylia. Ona już umiała cudownie czytać z książki, która tamta ledwie sylabizować zaczynała. Ale każdy wie, że wtedy dopiero oceniamy piękną deklamacya, kiedy już znamy, i dobrze znamy, utwór wypowiedziany; inaczej uwaga na treść zwrócona, odrywa nas od sztuki czytania i nie pozwala jej dość ocenić, chociażby i mistrzowską była. W takim położeniu znajdował się Wiesław. On także dopiero składał zgłoski w różowej księdze, zapewne wprawniej niż Cecylia, ale zawsze nieśmiało. Nieraz mu już podpowiadano romans, ale sam czytał go po raz pierwszy z kart własnego serca i dlatego ciekawszy był treści, niż stylu; czytał niepoprawnie, bo śpieszył się, chcąc tylko wiedzieć co zakończy księgę, czy tak, czy nie?

Te też pani Irena nie zdawała mu się kobietą, ale jakąż wspaniałą opatrnością, czuwającą nad jego ołtarzem, i od razu postawili się względem siebie, jakby stali na dwóch krańcach życia; On z uszanowaniem i uległością syna, z rozkosznym natręctwem wnuczka, nadszakiwał jej i do łaski się wpraszał, przekonany że to najlepsza droga do innego serduszka. Ona miała niekiedy dla niego prawdziwie macierzyńskie uśmiechy i pobłażliwości, i zdawała się mile patrzeć na rosnące jego przywiązanie do córki, które on poczytywał za niezbadaną tajemnicę, ale które ona po kilku dniach dostrzegła swoim podwójnie bystrem, bo kobiecem i matczynem okiem.

Zdaje mi się że i Cecylia, mimo swojej prześlicznej bezwiedności, dobrze rozumiała serce Wiesława, bo jakżeby nie odczuła tej różanej atmosfery, jaką otoczył jej życie? Najniewinniejsza panienka umie dostrzedz uczucia jakie wznieca, a nawet im niewinniejsza, tem uroczyściej zapatruje się na ten przedmiot, bo wierzy iż miłość może być tylko jedną w życiu i trwa całe życie. Już kilka razy Wiesław odgadł, że był odgadniony, i to odkrycie napępniało go radością, niemożącą się z żadnym dawniejszym wrażeniem porównać; najwyraźniejsze dowody sympatii od innych kobiet nie przeszły go nigdy wstrząśnieniem, jakiego doznawał ilekroć dostrzegł najlżejszą oznakę współczucia Cecylii. Prawda że tych oznak trzeba się było z wielką przenikliwością

domyślać, a w początkach miłości, im objawy jej są oszczędniej wydzielane, tem bywają, wyżej cenione.

Utwardziła go w tym domyśle pani Irena, gdy dnia jednego zapytała z uśmiechem:

— Czy pan nie uważa, jaka się z Cesi teraz robi elegantka?

Poczem, przyciągnąwszy ręce zapłonionej córki i patrząc się jej figlarnie w oczy, dodała:

— Czy ty się dla mnie tak stroisz? Przecież w oczach matki, choćbyś i zgrzebne płótno włożyła, zawsze będziesz aniołkiem. Ej, to chyba nie dla mnie!

Wiesław, ma się rozumieć, jednym tchem wypowiedział, że panna Cecylia nie potrzebuje strojem podnosić swojej urody — że prawdziwa piękność, to arcydzieło natury, obchodzi się bez wymysłów ludzkiej sztuki — że nawet traci w nich pierwotną, cechę — i tym podobne, od wieków utarte zdania, którym damy w

rozmowie z uśmiechem przytakują, a przed zwierciadłem wracają do własnego, przekonane że piękny strój jest dla kobiety tem, czem piękna oprawa dla klejnotu.

I tego przekonania nic im z duszy nie wydrze: ani obostrzenia prawodawców, ani przestrogi kaznodziejów, ani utyskiwania mężów, ani przymówki dziennikarzy, ani nawet czas głowę przypruszający śniegiem, bo ledwo je stracą dla siebie, już odzyskują dla córek.

Sam Wiesław potwierdzał to przekonanie, gdy

znajdował Cecylią codziennie piękniejszą; wprawdzie nie kładł jej wypięknienia na karb stroju, ale rósł w dumę, że to może dla jego oczu skromne dziewczę chce się przyozdobić.

W pierwszych dniach znajomości widział ją zawsze ubraną szaro, w jakichś barwach nieokreślonych, niekorzystnych dla blondynki. Może chciała pół-żałobą stosować się do kirów matki. Krój sukni ciężki, wysoko zapięty, przypominał habit.

Odzienie było zawsze schludne, tylko że jednostajne i przedawnione w kształtach, jak zwykle u osób, co długo mieszkały na wsi. Wiesław kilka razy wyraził żal pochlebny, czemu panna Cecylia nie chce używać kolorów weselszych, stosowniejszych do swojej kwitnącej młodości. I wkrótce potem zaczęły się w jej ubraniu pojawiać nieznaczne zmiany, które dziś już doszły do przeobrażenia zupełnego.

Ach, bo też dziś była śliczna, jak już chyba śliczniejszą być nie można. Suknię miała z muślinu jasno-lila; powiewne rękawy i falbany obramowane były szlakiem ciemno-fiołkowym; reszta stroju stosowała się do tła obrazu: pasek aksamitny obiegający kibić, rękawiczka na rączce jak ulana, nawet wysmukły bucik, wszystko było fiołkowe. Na głowie, jakby ptaszek rozkładający skrzydełka do lotu, tkwił misternie kapelusik biały, ozdobny pękami bratków, ulubionego kwiatu Cecylii. Niech co chcą mówią weterani salonów, wiecznie żałujący przeszłości, i cenzorowie spole-

czeństw, wiecznie zadasam na obecność — jednak mody dzisiejsze są bardzo ładne. Już to każda moda, kiedy oczy do niej nawykną i kiedy nie spotwornieje przesadą, ma swój urok wyłączny i tak wiernie malujący lata w których powstała, że dość spojrzeć na portret z jakiegokolwiek epoki, aby podług jego stroju całą tę epokę w wyobraźni sobie odtworzyć. Modniarki i krawcy ani się może domyślają, jak dzieła ich igły wiernem są odbiciem ducha czasu.

Dziś już trudno mówić o strojach męskich, gdyż to nie są stroje, ale poprostu odzież. I w tej jednak prostocie upamiętnia się wielki wypadek dziejowy: bezwiednymi twórcami surdutów i czarnych fraków są najprzód Encyklopedyści, a po nich Dantony i Robespierre. Od czasu to, jak świat zakochał się w równości, mężczyźni zapragnęli wprowadzić ją wszędzie, i nawet w ubraniu wprowadzili... równość brzydoty.

Brzydko, ale trwało. — Brzydko ale wygodnie. Oto dzisiaj hasło płci brzydkiej. I nie troszczy się ona, co powie płeć piękna, tylko troszczą się malarze i rzeźbiarze, gdy im przyjdzie w obrazie lub posągu uwiecznić nowoczesnego potentata, i gdy faldami jakichś fantazyjnych płaszców muszą naprawiać geometryczny krój jego postaci.

Z kobietami łatwiejsza sprawa w sztuce. One nie doszły jeszcze do niszczącej osobistość, do wszystko pochłaniającej zarazy czarnego sukna. W ich strojach można jeszcze badać bieg historyi. Ileż-

to bitew, traktatów, teoryj nowatorskich, a nawet przewrotów literackich, w lot uchwyconych przez modę! Że już nie mówię o czasach Ludwików francuzkich, których mody przeszły w przysłowiowe typy, ale czyż i za naszej pamięci stroje

niewieście nie zmieniały się wedle kroju ducha ogólnego?

Przed czterdziestu i trzydziestu laty, kiedy romantyzm wszechwładnie zapanował nad umysłami, kobiety zaczęły nosić suknie obwisłe i powłóczyste; stany długie jak kielich kwiatu; włosy uładzone, niby rąbek, zasłaniały skroń, a nawet część twarzy, jakby wylękniona skromność conajwięcej zasłonić się chciała. Wszystkie wyglądały nieśmiało, marząco, mdlejąco i baladowo, jak bohaterki Ossyana.

Aż zagnała ruch niezwykle powstaje w białogłowskim świecie. Groźny wyraz równouprawnienie, jak wicher rozdziera Lamartinowską gazę rojeń, jak wicher rozwiewa włosy na zadumanych główkach. Marzycielki wołają o pracę, zaczynają się krzątać i oto aby wlokąca suknia im nie przeszkadzała, podpięły ją w nadobne zwoje; aby włos im oczu nie zasłaniał, odrzuciły go bogatym strumieniem na tył głowy; profil hardo się zarysowywa, kibić zdaje się cienieć wśród puszystych tunik, i wytwarza się jakiś strój nowy, paryzko-amerykański, śliczny, a taki czupurny, że najskromniejsza panienka nabiera w nim wyrazu lekko wyzywającego.

Właśnie i Wiesław podziwiał wyzywającą, minkę, która z modnym strojem przybyła Cecylii, a która może nawet leżała na dnie jej charakteru, chociaż przytłumiona poważnym wychowaniem. Tocząc z matką zwykłą rozmowę o pięknej pogodzie, o przejeżdżających i przechodzących osobach, nasycił oczy wdziękiem małomównej córki. Zaciekawiał go mocno koszyczek, płaski jak torebka, fiołkową wstążką zawiązany, który przy niej leżał na ławce.

— Co pani nosi w tym koszyczku?

— Podwieczorek dla łabędzi. Ach, niech mama się obejrzy, oto dwa przyplwają! Już kilka razy zbliżały się do brzegu; może w nas poznają swoje codzienne karmicielki. Jakże miłosiernie szyjki wyciągają! Nie dajmy im dłużej czekać, pójdźmy!

Zerwała się i koszyczek chciała do niesienia oddać Wiesławowi; ale ten zmieszał się, zaczerwienił i rękę cofnął od koszyka, jakby dotknął gadu.

Dziwne są zwroty serca, kiedy naprawdę bić zacznie. Oto ów półbożek salonów, którego wytrawne kusicielki uwikłać nic mogły, dziś, wobec potulnej panienki, wpada w zabobony i trwogi zakochanych, z których się dotąd wspaniale uśmiechał. Ktoby uwierzył? Wiesławowi przeszło przez myśl, czy owo podanie kosza nie jest symbolicznym. A choć w mgnieniu oka zrozumiał niedorzeczność przypuszczenia, pierwsze zmieszanie zmieszało go powtórnie.

Z prędką pomocą, przybyła mu Cecylia, która, jak się zdaje, przeniknęła omyłkę, bo twarz jej cała się rozpromieniła. Więc Wiesław lęka się jej odmowy?

Zadziwiające odkrycie!

Szybkim zwrotem, jakby sama zmieniła zamiar, w rękę ścisnęła koszyczek, mówiąc:

— Nie, panu go nie dam.

A wzamian oddała mu parasolik, cacko białe jedwabne, o fiołkowych brzeżkach i kościanej rączce, które Wiesław chwycił skwapliwie i niósł za nią, rozmyślając nad słowem rzuconem z powodu kosza: "Nie, panu go nie dam."

Z gwałtownością, właściwą rozkochanym, przeszedł ze zbytku obawy do zbytku nadziei, dojrzał w tych słowach wyraźną obietnicę, postanowił zdobyć się na odwagę i uchwycić w lot szczęśliwą chwilę.

Tymczasem Cecylia, ani się domyślając jak jej słowa zostały solennie zrozumiane, zbiegła nad brzeg i jedną ręką otworzyła króbkę, a drugą z niej czerpała żywność, którą ptaki, z pysznymi ruchami szyi, pochwytywały w cichości.

— Co to za cudowne stworzenia! Jaka w nich. poezya! — zawołała.

— Bo też łabędź jest godłem poezyi — odparł Wiesław. — Jeszcze Grecy nadali mu to boskie dostojęstwo, choć zaprawdę dziwnem jest, że pominęli wszystkie śpiewające ptaki, dla tej istoty dumnej i milczącej. Opowiadano sobie wprawdzie wieści o jego przedśmiertnym śpiewie, ale rzadko

któ go podsłuchał, jakby chciano dać do zrozumienia, że rzadko kto wykradnie tajemnice prawdziwej poezji.

— Czyżby to miało znaczyć — przerwała Cecylia, że trzeba aż umierać, aby zostać poetą?

— Tak pani, zapewne. Cierpienie, to powolne konanie duszy, podnosi wysoko... Tu chwilę się zastanowił. Jednakże... jeszcze nie najwyżej.

Na tak nagły zwrot zdania, Cecylia z podziwieniem podniosła oczy, a Wiesław, który zdawał się tylko czekać takiego spojrzenia, ciągnął dalej:

— Choć gorący wielbiciel Greków, na ten raz nic zgadzam się z nimi. Jabym za godło natchnienia obrał nie łabędzia, lecz — słowika. Wielka jest poezja w cierpieniu, ale jeszcze większa w miłości.

Cecylia nic nie odpowiedziała, czując że rozmowa wchodzi na grunt wulkaniczny.

Nie umiała jeszcze na takim gruncie wyprawiać pustych fajerwerków słowa.

Pierwsza młodość albo wypowiada co czuje, albo milczy.

Zamilkła więc, a chcąc zapłacić przerwę, zaczęła rozmawiać z łabędziami.

— Chodź tu, chodź, nienasycony pieszczochu! Ach moja ty ślicznoto! Mój ty zaklęty królewiczu!

I tym podobne rzuciła nawoływania, a rzuciła głosem takim miękkim i rozpieszczonym, że nakoniec Wiesława zazdrość wzięła. Śmiecie się, obojętni czytelnicy. Miłość ma swoje święte dziwactwa i dzieciństwa, które wy-

dają się śmieszne dla wszystkich oczu, oprócz dla tych co je natchnęły. Takie dzieciństwa nawet . złym miłościom nadają pozór niewinny i urok niebiański, a cóż dopiero uczuciom bez zarzutu.

Cecylia usłyszała po za sobą szelest niewytłumaczony. Ogląda się, o zgrozo! Białym dzióbkiem jej parasolika, owym dzióbkiem nieskalanym, co nigdy nie dotknął piasku, Wiesław ryje trawnik i grudki ziemi wyrzuca, jakby na niej chciał wyrzucić niecierpliwość co go podrywa.

Widząc że zwraca nakoniec uwagę, podniósł ku niej zadane wejrzenie.

— Po co — rzekł — marnować tak łaskawe słowa, dla istot co nie tylko ich nie oceniają ale nawet nie rozumieją?

— A może i rozumieją? Patrz pan, jak ciągle koło brzegu krążą.

— Bo wiedzą że jeszcze dostaną strawę. Już ja dowiodę, że więcej dbają o pani chleb, niż o pani komplementa.

To mówiąc, przystąpił do koszyka i zaczął z niego wyrzucać okruchy, a ciskał je tak gwałtownie i daleko, że łabędzie rzeczywiście oddaliły się od brzegu, w pogoni za przysmakami. Na widok tego odstępstwa, Cecylia wybuchnęła śmiechem pełnym pustoty, który ogarnął i Wiesława. Rzucając chleb na wyścigi, wydzierając sobie koszyczek, wpadli w złoty humor, w pacholece rozfiglowanie, na które złożył się rzadki zbieg wa-

runków: młodości, pogody i wzajemnie odgadnionych uczuć.

Przy wypróżnianiu koszyka, Cecylia dostrzegła na rękę towarzysza szczegół, który ją mile zastanowił; u mankietów nosił guziczki z emalią wyobrażającą bratki.

Pytanie, czy wybór jej ulubionego kwiatu był umyślny, czy przypadkowy? Ta niepewność na czas ją ostrzegła, tak że spojrzawszy, drgnęła tylko i zatrzymała słowo na otwierających się już ustach.

Wiesław, jakby odpowiadał na jej myśli:

— To są — rzekł — bratki. Czyż nie wolno pani kolorów nosić?

— Czemu nie? Wolno, tem bardziej że to jest godło braterstwa.

— Dlaczego tem bardziej? Chciej to pani jaśniej wytłumaczyć — podchwycił, na prawdę zaniepokojony.

— O mój Boże! Czyż to trzeba tak wszystko tłumaczyć? Przecie rzecz jasna: niedawno się znamy, ale pan już okazał tyle życzliwości dla naszego domu, tyle

że tak powiem synowskiego posłuszeństwa dla mojej mamy, że mogłabym prawie uważać go za braciszka.

Tu przerwała, a gdy młodzieniec ciągle milczał, jakby uważał wy tłumaczenie za niedostateczne, dodała z wahaniem osoby niewiedzącej co ma powiedzieć: Nigdy nic miałam brata, a to musi być wielkie szczęście.

— Nie przeczę. Zostać bratem pani, to już wielkie szczęście. Jednak są dusze dotyla niesyte, że możeby i takie szczęście im nie wystarczyło.

Zatrzymał się i czekał. Ale Cecylia nie odpowiadała. Myśl jego była już nadto jasną, a wyrazy jeszcze niedość jasne, aby wypadało odpowiadać. Spuściła oczy, a szkarłat coraz szerzej rozlewał się po jej licach.

Wiesław postrzegł to pomieszanie. Słowa cisnęły mu się na usta; jednak w ostatniej chwili uląkł się słów stanowczych. Tak mało jeszcze dał się poznać, a już ma na kartę stawiać cały wyrok życia lub śmierci? Namyślił się — i zamilkł. Bo też i czas i miejsce nie wydały mu się jeszcze dość uroczystymi. Tu co chwila rozmowa mogła być przerwana, a w każdym razie była niepokojoną przez mijanie się osób używających przechadzki, które nawet coraz gęściej snuły się wkoło nich. Na czarodziejskim tle krajobrazu, pod radosnem światłem czerwcowego wieczoru, ta nadobna para, karmiąca łabędzie, wyglądała tak legendowo, że coraz więcej przechodniów zatrzymywało się, aby patrzeć niby na pływające ptaki, a wistocie na chlebobadców. Powoli, gdy cała gromadka półkolem ich otoczyła, oboje zamknęli się w tej drażniącej a przecież rozkosznej ciszy, co spada jak wpół-przejrzysta zasłona po niedokończonem wyznaniu.

Milczenie jednak stawało się uciążliwem. Przy-

szedł im na ratunek głos pani Ireny, odzywający się z ławki. Wiesław skoczył po jej rozkazy.

— Zdaje mi się, żeby warto jeszcze przejść się nieco — rzekła, a po chwili dodała, patrząc na Wiesława z wyrazem podobnym do wdzięczności. — Jaka Cesia dzisiaj wesoła! Ach, kto ją umie rozweselić, ten już zdobył sobie moją przyjaźń. Całą pierwszą młodość miała taką, smutną! A komuż jednak więcej szczęścia się należy? O panie, to anioł-pocieszyciel. Wierz mi, nie patrzę uprzedzonymi oczami matki, ale oczami kobiety, którą ciężkie zawotły nauczyły oceniać ludzi. Gdyby kto wiedział, ile ona już wycierpiała, ile innym cierpień ulżyła, nietylko by się rozrzewnił, ale skłonił czoło.

Wyrazy matki niesłychanie zdziwiły Wiesława.

— Pani mówi, że panna Cecylia tyle już cierpiała? Nigdybym się tego nie domyślił, po jej młodocianej swobodzie, po jej prawdziwie dziecinnej pustocie.

Pani Irena smutnie skinęła ręką, dodając półgłosem:

Długoby o tem mówić, a może nie godzi się mówić.

Wiesław miał wielką ochotę badać dalej, ale właśnie Cecylia, do dna wypróżniwszy koszyczek, nadbiegła rozpromieniona, i wszyscy troje puścili się ścieżką ku pałacowi.

Nie wiem czy jest piękniejszy poemat, jak prze-

chadzka po Łazienkach królewskich, z ukochaną, osobą.

Pół nieba rumieniło się czerwienią zachodu; druga połowa szarzała już perłowym zmrokiem, na którym wycinał się bledziuchny sierp księżyca. Wierzchołki drzew świeciły miedzianem! połyskami, a niższe klomby tonęły w czerności. Po wodzie biegła taśma światła, rozbryzgująca się iskrami o szkliste krużganki pałacu. Nad wszystkim ulatywał z trawników balsam skoszonego siana, a z wonią razem unosiły się dźwięki orkiestry, która właśnie z uwertury Wilhelma Tella wygrywała pasterski ustęp z echami.

— Wiele już świata objechałam — mówiła pani Irena — a doprawdy ani we Francji,

ani nawet we Włoszech nie spotkałam rezydenci równiej naszym Łazienkom. Są, nie zaprzeczam, pałace bogatsze, parki wspanialsze, ale właśnie przez swój ogrom nie dają się od razu objąć okiem, rozrywają i nużą uwagę. Tu jest całość zupełnie skończona. Trudno było na mniejszej przestrzeni więcej nagromadzić wrażeń. Ten amfiteatr jest jednym z najwdzięczniejszych pomysłów, jakie nowa sztuka ze starożytności przyswoiła. Most Sobieskiego taki majestatyczny, że nie maleje nawet wobec imienia jakie dźwiga. Przyjrzyjcie się, z jaką zręcznością gromady drzew poustawiane! Mały lasek sprawia złudzenie prawdziwej puszczy. Albo wszystkie linie wód i ścieżek, w jaki labirynt zwinięte! Codzień tu przyjeżdża-

my i codzień, na każdym skrawku drogi, ponawia nam się niespodzianka. A już też perłą całego arcydzieła jest pałacyk; zawsze mi się zdaje że patrzę na pałac Armidy, który pod różczką czarodziejską żywcem z wód wystąpił.

Na wspomnienie Armidy, Wiesław zwrócił oczy ku pani Irenie, przypominając sobie słowa profesora Benedykta. Ale mu się nie wydała podobną do wschodniej czarodziejki. W swej żalobie, w swojej powadze, w swojej macierzyńskiej pieczołowitości, była raczej podobna do jednej z cnót teologicznych, do boskiej Charitas, co jest wszystkich cnót matką.

Jako prawdziwa przedstawicielka miłosierdzia, przez całą przechadzkę ułatwiała rozmowę, trudząc się nieustannym monologiem, bo młoda para szła cicho, jakby zakłętą. Dopiero kiedy wyszli na taras, usta im się rozwiązały. Niebo już całe okryło się stałą, na której migotało kilka gwiazdek, rzęsiście odbitych w wodzie. Goście się rozchodzili. Zato posągi, coraz bielej rysując się na tle nocy, zaludniały ziemię wizjami. Sabinka, przełamana w objęciach Rzymianina, oglądała się boleśnie na cyprysy czerniejące pod pałacem, jak różgi liktorów. Psyche, rozkołysana w objęciach Amora, spoglądała zamglonymi oczami na wodotrysk, co się kręci w swoim kwiecistym koszyku, drobny a brylantowy, jak fontanna młodości. Orkiestra na pożegnanie grała Gawota

Ludwika trzynastego, ów klejnocik melodyi, co tak miękko usposabia serce.

Wiesław przystąpił do Cecylii, mówiąc półgłosem:

— Jaki dzisiejszy dzień szczęśliwy! Nieprawdaż pani, że szczęśliwy?

Chwilkę się zawahała i odparła głosem jeszcze cichszym:

— Taki szczęśliwy, że go sobie wyrzucam.

Te słowa były prawdziwą zagadką.

"Czuje się przy mnie szczęśliwa aż do wyrzutu sumienia, więc jestem chyba szalenie kochana. Ale dlaczego te wyrzuty? Czyby jej serce już było innymi obietnicami związane? Czy też to dusza taka ascetyczna, że sobie nawet cień ziemskiej rozkoszy wyrzuca?"

Ważąc podobne wątpliwości, chciał je zrećźnie ułożyć w zapytania, ale nie zdążył. Matka już nawoływała Cesię i wszyscy troje wyszli ku stajniom królewskim, gdzie podjechał powóz, a za nim dorożka Wiesława, którą odesłano, bo pani Irena zaprosiła go na herbatę. Pierwszy to raz podobny zaszczyt go spotykał; ucieszył się niewymownie i był jeszcze tyle prostodusznym, że swoją uciechę objawił wybuchem pełnym dziękczynień.

Pomimo rosnącego zmroku, przy wsiadaniu, wydało mu się jakby konie były jakieś ognistsze i zaprząg świetniejszy niż zwykle, a gdy z cienistych alei wyjechali na lepsze światło, dostrzegł

i w samym powozie odmianę: był-to śliczny, fiołkowy, jak z igły zdjęty koczyk, którego dotąd nie widywał.

— Cóż to znaczy? — zapytał. — Tylokrotnie widziałem panie wsiadające do tego powozu, a dziś, nie wiem czy dlatego że pierwszy raz w nim siedzę, ale mi się wydaje nierównie piękniejszy.



— Bo też — odparła matka — dziś pierwszy raz jedziemy na własnym wózku. Dotąd, wśród kłopotów jakie towarzyszą zwykle przesiedlinom, wszystko było tymczasowe. Teraz, kiedy już nasze pojazdy wróciły od lakiernika, sprowadziłam konie ze wsi i przyznam się, bardzo im jestem rada, bo najęte już mi się uprzykrzyły.

— Rzuciłem tylko okiem, jednak zdaje mi się, że jak na wiejskie, te konie są przepyszne.

— O, bo też mój mąż kochał się w koniach. Trzymał ich zawsze kilkanaście na stajni. W naszym bardzo niewesołym życiu, przejażdżki konne były przynajmniej jedną z rzadkich, dozwolonych rozrywek.

Przerwała i zapadła w posępne dumanie. Wiesław także się zamyślił, ale nie nad goryczą jej wspomnień; troskało go odkrycie większego niż sądził dostatku w rodzinie Cecylii. Nie trzyma kilkunastu koni na stajni, kto nie jest prawdziwie bogaty. A z jaką to niechęcią wyraziła się pani Irena o koniach najętych, które dla wielu rodzin wydają się szczytem zbytku.

Był on wprawdzie zanadto rozsądny, aby pra-

gnąć małej chatki, byle z nią. Ale nie chciał także być posądzanym, że pragnie jej, byle z pałacem. Wielkie bogactwo psuto mu surowy ideał przyszłej żony, a że serce już miał uwikłane, zasmucił się; czuł że będzie musiał wejść na drogę kolejnych ustępstw, jaka w drugich dotąd po Katońsku ganił.

Powóz toczył się coraz wolniej. Wjeżdżano pod górę, wiodącą do Belwederu. Na skrócie wąwozu, od gajów botanicznego ogrodu, doleciał ich śpiew słowika, dobrze każdemu przecie znany, a który dziś jednak młodą parę wstrząsnął niezwykłą wymową swojego srebrnego alfabetu. Spojrzeli na siebie jednocześnie i uśmiechnęli się, jakby mówiąc: Oto prawdziwa poezya! Oto król pieśni z naszego wyboru!

Było to pierwsze ich spojrzenie wyraźnie zamienione, pierwszy uśmiech Cecylii, znaczący więcej niż towarzyską uprzejmość.

Po chwili, nagłym zwrotem, rzuciła się ku matce i uściśnęła ją gwałtownie. Czy tym uściśmieniem chciała w łono macierzyńskie przelać nadmiar niespodzianego rozczulenia? Czyją niejako przeprosić za wykradzenie i oddanie obcemu cząstki serca, które dotąd wyłącznie do matki należało? Trudno wyrokować. Wiesław pewnie zatrzymał pierwsze, pani Irena drugie przekonanie.

Od belwederskiego pałacu woźnica puścił wodze koniom, a te z arabską szybkością rozpędziły się w ciemnej alei, migotającej podwójnym rzę-

7

decii latarni, dość rzadkich aby nie rozświecać, ale tylko pokazywać drogę. Potężne to i rzeźwiące wrażenie, taka jazda wicherzysta, wśród ciemności przerywanej gdzieś roziskrzeniami, wśród chłodu wieczornego, co bije o twarz wonnym skrzydłem. Młodość lubi podobne wrażenia. Przyspieszony pęd jazdy układa się do równowagi z tętnem jej krwi i napięciem nerwów, a wtedy wydaje się istocie całej, że podwoiła w sobie władzę życia.

Cecylia pełnemi piersiami chwytiała kordyał powietrzny, a Wiesław nie mógł znaleźć dość pochwał na chód rumaków, równy, posuwisty. Bo i on był znawcą w Jockey-klubowej nauce. Jakżeby podobnej pieczęci mogło brakować w dyplomie modnego młodzieńca?

Rozmowa, najprostszym biegiem, zesłała na przedmiot żywo w tej chwili obchodzący Warszawę.

— Panie pewno będą na jutrzejszych wyścigach?

— O nie, przy mojej żalobie nie chciałabym się jeszcze pokazywać na tak tłumnej zabawie.

— Ach, to wielka szkoda. Dla mnie tym sposobem zabawa straci swój największy urok.

Jeszcze kończył, kiedy Cecylia z niezwykłą żywością, uderzyła parasolikiem o poduszki koczka, a z ust jej wyrwały się słowa:

— Więc pan jednak będzie na wyścigach? Ja sądziłam...

Tu przyszło wahanie, zamilkła i z urażoną minką wsunęła się w głąb siedzenia. Matka, przestraszona niestosownym odezwaniem się córki, zawołała z głośnym śmiechem:

— Jakaś ty Cesi zabawna! Tobie się zdaje, że jak twoja matka w żałobie, to już nikt nie powinien się bawić.

I śmiała się dalej tym śmiechem przymuszonym, jakim starsze osoby usiłują pokryć niedoświadczenie młodszych.

Wiesław jednak błogosławił to niedoświadczenie. Pierwszy-to raz Cecylia rzuciła, a raczej chciała rzucić, słowo tyranii kobiecej, zdawała się wymagać ofiary, co może więcej dowodzi, niż gdyby z własnych życzeń ją czyniła.

Ale że niema nigdy światła bez cienia, gdy z jednej strony pochlebiało

Wiesławowi rozdrażnienie dziewczęcia, z drugiej martwiła go prawdziwa fatalność, dla jakiej nie mógł spełnić tego pierwszego półrozkazu.

— W każdym innym roku, odezwał się nieśmiało, mógłbym bezkarnie ominąć tę zużytą zabawę i przeniósłbym nad wszystko przechadzkę w Łazienkach, które się stały teraz krainą moich marzeń. Ale w tym roku, na nieszczęście, ma biegać koń mojego wuja, który sam jutro przyjeżdża, i nigdyby mi nie darował, gdybym nie był świadkiem jego przewidywanych tryumfów.

— Aha, wuj pański? Zkądże przyjeżdża? Któż to jest?

Te słowa pani Irena wtrąciła niedbale, jak zwykle rzuca się pytania, przez sarnę, grzeczność zadane.

— Przyjeżdża z Kaliskiego, z kąd pochodzi rodzina mojej matki. Właśnie to jej brat starszy, Tytus Odonicz...

Wiesław mówił najspokojniej, to też zdumiał się niewymownie, spostrzegłszy piorunujące wrażenie, jakie to nazwisko sprawiło na jego słuchaczkach. Obie wybuchnęły wykrzykiem, który wprawdzie zaraz przytłumiły, ale że właśnie mijali pas światła, dostrzegł, jak Cecylia chwyciła matkę za rękę i jak zamieniły wielkie, tajemnicze spojrzenie.

— Co się stało? Czy panie się czym zatruwożyły?

— Nie — żywo odparła matka — tylko nazwisko pańskiego wuja... nasunęło mi wiele wspomnień.

— Czyżby mój wuj był paniom znany?

— Ach, i dawno... i dobrze znany... Tylko że od lat całych straciliśmy się z oczu.

— Ale — słodko przerwała Cecylia — teraz tę znajomość łatwo można odnowić.

Nieprawdaż, panie Różyco?

— O pani, mój wuj będzie najszczęśliwszy z ludzi, gdy mu panie pozwolą przypomnieć się ich łasce.

Wiesław mówił z prawdziwym zapałem. Radowało go odkrycie stosunku między obu rodzi-

nami, jakiego się ani domyślał. Chciał się w pełni tem odkryciem nacieszyć, o wszystko wypytywać, wszystko poznać jak własne, ale spotkał odpowiedzi krótkie i roztargnione.

— Gdzież państwo się znali?

— Rozmaicie, i w kraju i za granicą.

— Czy i panna Cecylia знаła mego wuja?

— A jakże, ja nigdy z mamą się nie rozdzielałam.

— Dawno państwo się nie widzieli?

— To zależy od tego, jak się komu czas rozdziału wydaje, dłuższy albo krótszy.

Trudno było przy huku powozów nużyć sąsiadki ciągłymi pytaniami, przestał więc, a obie panie zapadły w głębokie zamyślenie, z którego dopiero wyrwał ich turkot

kół, wjeżdżających w bramę. Mieszkały na Nowym-świecie, w domu z pięknym gankiem, przez którego otwarte drzwi, pomiędzy zielonością i zwojami markizy, przeświecała szkarłatna łuna.

Schody przeszli milcząc, a gdy Sebestyan, kamerdyner siwy i wymuskany, jak markiz przeszłowieczny, otworzył drzwi od obszernego przedpokoju, następnie drugie od jadalni, gdzie wszystko nosiło dębową, barwę, panie poszły zdjąć kapelusze, Wiesław zaś znalazł się sam jeden w salonie, którego łuna szkarłatna z ulicy go uderzyła. Bo też cały był karmazynowy, od wełnistej obicia na ścianach, okolonych złotymi prątkami, do mebli z jedwabnego adamaszku, oprawnych w rze-

źbę naśladowującą złote sznury; od ciężkich kotar, zapuszczonych na drzwi i okna, do ram od obrazów i zwierciadeł, które wszystkie były z czerwonego aksamitu, ujętego w ozdoby z brązu.

Na głównym stole wysoka lampa, zasunięta różowym namiocikiem, roztaczała krąg światła na spietrzone książki i albumy, a po ścianach rubinowe kule rzucała w zwierciadła. Druga lampa, mniejsza, o fioletowym daszku, stała tuż na niższym stoliku od roboty.

Pomimo tak przytępionego oświetlenia i surowej jednolitości stylu, komnata wyglądała jak zaczarowana, a co gorzej dla Wiesława, strasznie wyglądała po pańsku. Pierwszy raz uderzało go to spostrzeżenie.

Dotąd bywał zwykle w rannych godzinach, przyjmowany w buduarze, którego porcelanowe cacka nic mu wyraźnego nie mówiły. Zresztą, przy krótkich odwiedzinach, więcej się przyglądał mieszkankom, niżeli mieszkaniu. Dziś mógł się rozpatrzeć w szkarłatnym salonie, którego szczegóły dowodziły, że nie tylko raz jeden sypnięto na urządzenie, ale że długie lata zamożności i artystycznych nabytków dołożyły do niego ręki. Tu spostrzegł nieocenione stoliczki z florenckiej mozaiki, tam srebrem okute szkatuły, owdzie posążek przypominający szkołę Cellini'ego, wszędzie śliczności sztuki, postawione nie dla widoku, nie dla samej parady, ale niejako wrosłe w codzienny użytek.

A nie brakło mu czasu do rozpatrzenia się we wszystkim, miał go nawet aż nadto.

Już na stole wszystkie przeczucił albumy, już na maleńkim fortepianie, prawdziwej perlece z fabryki Bechsteina, przewertował nuty, w których wyborze odnajdywał surowe zasady profesora Boński, a panie jeszcze się nie zjawily. Zwłoka zaczynała przekraczać granice grzeczności. Zegar antyk, co bił w pół do dziewiątej po jego przyjściu, już uderzył samą dziewiątą. Czyż zmiana w spacerowym stroju mogła trwać tak długo?

Sądził się chyba zapomniany, albo też on sam był przedmiotem jakiejś ważnej narady, tem bardziej że przededrzwiami przyległego pokoju słychać było głosy matki i córki, zmieszane w żywej, bardzo żywej rozmowie.

Z całych sił bronił się Wiesław od pokusy słuchania, a turkot powozów pomagał do obrony. Słowa pani Ireny dochodziły tylko równym szmerem, bo glos jej, jak zwykle u osób obytych z życiem, był już przysłonięty i opanowany. Ale świeży głos Cecylii wystrzelał czasem racami wyrazów, których niepodobna było nie rozumieć.

I tak, w jakiejś chwili zupełnego uciszenia się ulicy, Wiesław dosłyszał mimowolnie, przysięgam wam że mimowolnie, ale niemniej z wielkim wzruszeniem, takie słowa:

— Zobaczysz mama, że jeszcze się wszystko ułoży i raz przecie będziem szczęśliwi.

Tu zaszemrała stłumiona odpowiedź matki,

z której tylko dwa razy doleciał dźwięk podobny do wyrazu: Wątpię.

— Ale moja mammo, przecież i ja teraz mam trochę doświadczenia. Ja mu się już nie

dam z rąk naszych wyślizgnąć.

Wiesławowi nuty z rąk wypadły, a zdumienie jego urosło jeszcze, gdy usłyszał panią Irenę odpowiadającą:

— Ciszej, Ciesiu... zapominasz że tamten jest w salonie.

Głosy przycichły i oddaliły się, jakby rozmawiające wyszły do innych pokojów.

Wiesław płątał się w myślach, ale przypomniał sobie w porę zasadę uczciwych ludzi, że z podsłuchanej, choćby najdziwniejszej rozmowy, nie trzeba nigdy robić użytku, nawet dla samego siebie, bo można popaść w najkrwawsze albo najśmieszniejsze omyłki.

Postanowił nic nie zgłębiać, a do nowego zwrotu myśli pomogło mu niespodziane odezwanie się dzwonka. Po chwili profesor Benedykt wszedł i z podziwem ręce rozkrzyżował:

— Ty tu, panie Wiesławie? A to prawdziwie szczęśliwe przecucie mię przyprowadziło, bo właśnie przynoszę kilka kawałków z mojej opery, gdzie i twój głos nam się przyda. Ale czemuż tak samego zastaje?

Jeszcze nie dokończył, kiedy ze drzwi bocznych wyszły obie panie. Profesor, nie dawszy nikomu odetchnąć, zapędził Cecylią do przeglądania swo-

jego Aryona, opery we trzech aktach, i wykladał jej traktat o szkodliwości zbyt świetnych efektów w pojedynczych rolach, traktat ten dłuższy, iż uczenica zdawała się go słuchać z oburzającym roztargnieniem.

Pani Irena zasiadła do haftu i kilka krotkocześnie rzuciła na Wiesława (przynajmniej tak mu się wydało) spojrzenie inkwizytorskie. Młodzieniec przeglądał włóczki w milczeniu.

— Pan musiał mocno się tu wynudzić?

— Nie, pani. Nudzić się trudno w takiej uroczej świątyni. Ale zato się... zasmuciłem...

— O mój Boże! Czemże takim?

— Przeglądając tyle nagromadzonych przepychów, pierwszy raz przyszło mi na myśl, że panna Cecylia pochodzi z domu bogatego, a dla ludzi mniej obdarzonych od fortuny, dla ludzi młodych, których majątek leży tylko w przyszłości i w pracy, wielki posąg jest rodzajem tamy, co zagradza drogę do wielu marzeń.

Pani Irena słuchała uważnie, położyła robotę, i po chwili namysłu przemówiła głosem, który Wiesławowi wydał się uroczystym:

— Dobrze jest, że pan dotknął przedmiotu, co tyle sprzecznych zdań w naszym czasie obudza. Dziecie zupełnie przekonanie ludzi praktycznych, twierdzących że małżeństwo zawarte w ślepej niesieni, bez żadnych warunków dobrobytu, bez przewidywania przyszłości, kończy się najczęściej niesmakiem i niezgodą. Ale, według mnie, dosyć

aby jedna strona posiadała majątek, a która... to już rzecz obojętna. Niech mi pan nie przerywa; powtarzam: obojętna, bo jeśli druga strona przynosi wielkie bogactwa duchowe, to bilans łatwy do zrównania. Otóż w tem, podług mnie, leży największa korzyść wielkiego posagu, że panna nim obdarzona, może nie oglądać się, na majątek w wyborze przyszłego męża, ale wymagać od niego samych bogactw duszy. To też cieszę się, widząc moją córkę bogatą dziedziczką. Tak, cieszę się bo wiem że bogactwo pozwoli jej wybierać... według serca, zwłaszcza jeśli trafi na człowieka dosyć szlachetnego, aby się pozbył fałszywej ambicyi, owej bohaterkie) maski, pod którą, w gruncie kryje się tylko pycha.

— Trudno pani zaprzeczyć. Człowiek rozsądny powinien pozbyć się fałszywej ambicyi, dla tego samego że jest fałszywą. Przyzna jednak pani, że świat nieraz go za to fałszywie osądzi.

— Ach panie, gdzie chodzi o szczęście, któż się na świat ogląda?

— To prawda. Jednak pytanie, czy i sam ideał owego rozsądnego człowieka, w chwili ostygnięcia lub kaprysu, nie posądzi go o wyrachowanie.

— Panie Wiesławie, tu pan już chyba mówi o związkach zawieranych bez szacunku i

bez prawdziwej miłości. Czyż takich, których naprawdę kochamy, możemy o złą myśl posadzić? Cała tylko sztuka, dać się naprawdę pokochać.

Tu rozmowa, z wielkim żalem Wiesława, została przerwana, przez nadejście Cecylii, która nakoniec wyrwawszy się ze szpon profesorskich, przyszła mocno zamyślona i siadła także do roboty.

Pierwszy to raz jej obecność zdała się uciążliwa młodzieńcowi, który byłby chciał do ostatecznych wyników doprowadzić rozmowę tak szczęśliwie zaczęta. Jednak po chwili zastanowił się, czy przerwa nie przyszła w sarną porę? Cóż matka mogła mu więcej powiedzieć? Czyż mu nie wskazała, że wszystko możebne dla tego, kto serce jej córki potrafi zdobyć?

Do córki zatem zwrócił całą duszę i podczas gdy profesor zabawiał panią Irenę pogawędką o dawnych czasach, on zaglądał do koszyczka Cecylii, która długo wzdrygała się pokazać mu swoją robótkę, gdyż był to wielki sekret, i musiał Wiesław zakląć się na słowo rycerskie, zanim został do niego przypuszczony. I jaki jeszcze sekret! Niespodzianka dla matki: okrągły podnózek z sukna zielonego, na którym pod igłą Cesi wykwiatał prześliczny wieniec, różnokolorowymi jedwabiami atłaskowo szyty, a wśród kwiatów biegł napis, łańcuszkiem złotym wyrobiony, zamykający dwuwiersz naiwny, jak jego twórczyni:

Podarek maleńki

Dla mojej mateńki.

Ale że z mateńką córka nigdy się nie rozdzie-

7

łała, więc i tajemnicy trudno było ściśle utrzymać. Pani Irena udawała najczęściej, że nie widzi roboty; czasem znów udawała, że chce ją, gwałtem zobaczyć; ztąd pełno śmiechów, przekomarzali się i uścisków, z których wynikało, jak to mówią, sto pociech. Gdzie serce domem rządzi, tam najmniejsze drobnostki stają się cegiełkami do budynku szczęścia.

Wśród tajemnych narad młodej pary, nad oprawą jaką tapicer miał nadać podnóżkowi, zjawiała się przeszkoda w robocie, pod postacią Sebastjana wnoszącego herbatę, nie owę herbatę dzisiejszą, już rozlaną i wpół wystygłą, ale cały przyrząd, który po staremu ustawiał się na osobnym stole i stanowił osobne państwo, rządzone przez córkę domu.

Dobre to były zwyczajne, owe robótki i nalewanie herbaty, któremi dawniej ułatwiano pannom ich cierniowe życie w salonie. Ach cierniowe, bez zaprzeczenia, bo i same czas pędzą ciężko, i dla drugich czują się ciężarem. Nie mówię o balach, co są niby amatorskim baletem, ani o rautach, co są, niby amatorską musztrą. Tam panny mogą jaśnieć tańcem albo strojem, mogą nawet zwycięzko wybrnąć z ułamków rozmowy, przerywanej orkiestrą lub natłokiem; tam nakoniec grają jakąś określoną rolę.

Ale na mniejszych zebraniach ich położenie jest niejasne i musi mieć w sobie jakąś nielogiczność, kiedy wszyscy tak się boją salonów, gdzie dużo

panien bywa, kiedy młodzież tak uparcie od nich ucieka. A jednak trudno przypuścić, aby wszystkie były tępe i ograniczone, bo przecież z tych samych panien wyrastają mężatki, za których towarzystwem później ta sama młodzież goni. Ową nielogiczność łatwo odkryje, kto zrozumie, że rozmowa nie jest właściwym polem dla panny.

Jakąkolwiek przybierze postać, zawsze panna ulegnie krytyce.

Jeśli mało mówi, źle. Niemy świadek rzuca paraliz na resztę zgromadzenia.

Jeśli dużo mówi i chce być dowcipną, tem gorzej, ach stokroć gorzej! Nie upłynie godziny, a dziesięć razy po oczach rodziców lub ciotek spostrzeże, iż się niewłaściwie odezwała, nie rozumiejąc zaś w czem i kiedy, resztę wieczoru przemęczy pod przytłumionym postrachem admonicyi, która ją na dobranoc czeka.

— Ale — odpowiecie mi — niechże mówi w miarę.

— A tak. Niby to łatwo. Aby odzywać się w miarę i w porę, trzeba doświadczenia, taktu, pewności i obosieczności słowa, wszystkich zalet, jakich panna jeszcze nic może i nie powinna posiadać.

To też i żal i niecierpliwość porywa, kiedy się widzi owe zakłęte istoty, które według dzisiejszej mody cały wieczór siedzą ze starszyzną, i to z założonemi rękami — na które niejednen spogląda z gniewem, gdy musi poświęcić żart wyborny,

ale przy nich wzbroniony, na które nakoniec areopag cały ogląda się z podziwem, gdy się odważą wtrącić słówko do rozmowy.

A jednak są na wszystkie sposoby. Salonowa sztuka bawienia się, jak inne sztuki nadobne, nie przychodzi sama z siebie, ale potrzebuje studyów i posiada prawdziwe tajemnice rzemiosła.

Najskuteczniejsza zapewne z tych tajemnic spoczywa w talentach. Panienka która ładnie gra lub deklamuje, nie jest już ciężarem towarzystwu, bo choćby nie wzbogaciła rozmowy, przy zdarzonej sposobności dołoży swój haracz do ogólnej skarbnicy rozrywek.

Jeśli nieba jej poskapiła talentów, niech przynajmniej siedzi z igiełką.

Milczące usta i spuszczone oczy nikogo nie rażą przy zajętych rączkach, a jeśli oczy te czasem błysną, jeśli usta czasem zadźwięczą, sprawią wrażenie, tem silniejsze, że mniej spodziewane.

Gdyby mężczyźni wiedzieli jaka to rozkosz rozmawiać i słuchać z robótką w ręku. wynaleźliby sobie także jakieś pół mechaniczne: i pół artystyczne zajęcie, któreby oszczędziło wielu marnych słówek i połamanych wachlarzy. Dziwicie się że w naszym wieku praktycznym, zwłaszcza też w Ameryce, gdzie czas nazywa się kapitałem; panowie nie znaleźli jeszcze sposobu zużytkowania godzin traconych w salonie.

Jednak najpolityczniejszym sposobem przerwania jednostajności wieczoru, bywał dawniej antr-

akt herbaciany. Wszystko odbywało się widocznie, a przecież wykwintnie. Jeszcze u nas nie znano tombakowych samowarów, aniby się kto poważył używać kopcących węgli. Wnoszono w samo serce salonu tak zwaną machinkę, ze srebrnej lub angielskiej blachy, spłaszczona i pękata jak turban, zatknięty na filigranowej altance, w której palił się błękitny, spirytusowy ogień.

Na to hasło młodzie zrywali się i rozpierzchali jak stado ptasząt, a starsi odnajdywali chwilę do wytchnienia i wolnych żartów. Panny, które u wielkiego stołu zajmowały podrzędne miejsce, za stołem herbacianym zabierały pierwsze; mogły znaleźć sto sposobów dogodzenia lub dokuczenia gościom, wymierzając im rozmaicie moc herbaty. Młodzież skupiała się dokoła, pomagając i służąc pannom. Kamerdyner ani się już pokazał, bo od czegoż kawalerowie? Podawali cukier i przysmaczki, figle sobie płatali w przenoszeniu pełnych filiżanek, przytaczali co wieczór porównanie do pięknej Hebe, a machinka szumiała swoim przytłumionym, choć wrzącym głosikiem. Ach, ten szum, ileż mi przypomina różnobarwnych wieczorów, ubiegłych przez lat kilkanaście, kiedy w rodzicielskim domu codziennie częstowałam domowników lub gości!

Ale podczas gdy ja się błąkam we wspomnieniach, Cecylia i Wiesław nietylko już rozdali cały zasób herbaty, lecz i spożyli jagody z mlekiem, tę najwyborniejszą, najpoetyczniejszą potrawę,

iaką od czasu zagubionej ambrozji wynaleziono.

Sebastyan wynosił ostatnią taczkę, kiedy profesor uderzył pełny akord, i postawiwszy dwoje młodych po dwóch stronach fortepianu, kazał im u prima vista śpiewać duet z Ariona. Pierwsze próby szły opornie, przerywane fukaniem mistrza

i śmiechem uczniów.

Ale niedługo ogarnęła ich wszystkich ta furja zapału, co pokonywa najtwardsze trudności, i duet poszedł tak tryumfalnie, że sam kompozytor wybuchnął oklaskiem i uciekł ku pani Irenie, aby łąz pokryjomu otrzeć.

Cecylia i Wiesław, zostawieni własnemu kierunkowi, wzięli się do muzyki przystępniejszej, a że Wiesław doskonale czytał nóty i umiał naprędcie dobierać akorda, mogli i w mitach i w pamięci wyszukiwać wszelkie dueta, jakie im się kiedykolwiek podobały. Na tej zachwycającej rozmowie zeszła jedna i druga godzina, a matka i profesor, zagłębeni w swojej kanapce, rozrzewniali się, ale pocichu, a udawali że mówią o czym innym, aby młodej parze nie odjąć odwagi. Nie wiem czy jest dla zakochanych idealniejsza rozkosz, jak śpiewanie duetu. Wtedy serce wypowiada muzyką wszystko, czego słowem wypowiedzieć nie śmie, a nawet i to, czego ludzkie słowo wypowiedzieć nie może. Głos jest porwany głosem, tony wabią, się i gonia, coraz wyżej, coraz zawrotniej, aż zachwył dochodzi do szczytu,

do zapomnienia o samym sobie. Glosy się wzajem pochłoneły, każdy śpiewa bezwiednie, słuchając tylko drugiego. Jest-to jakby uścisk duchowy, gdzie dwa pierwiastki nieśmiertelne łączą się w rytmie czasu. Prawdziwy przedsmak niebiańskiej harmonii.

Szły koleją barkarole, romancerosy i arye z oper. Wiesław chciał spróbować jednego z cudownych duetów Normy i już zaczął znaną przegrywkę, kiedy Cecylia chwyciła go za rękę i przerwała półgłosem:

— Ach panie! Tylko nie z Normy.....

— Dlaczego nie?

— Ta muzyka mamie przypomina wiele przykrych, bardzo przy kryci i wrażeń... Może znajdziemy co innego.... Czy pan nie pamięta jakiego duetu z Damy białej?

Wiesław usłuchał i rozpoczął z nią jeden z najwdzięczniejszych ustępów tej perły, co nosi nazwę Damy białej. Ale coraz trudniej mu było śpiewać.

Potrzebował wielkiej uwagi i zręczności, aby tenorowe partye przenosić na swoje skalę, a tymczasem przytomność coraz bardziej go opuszczała: pod magnetyzującym śpiewem Cecylii w oczach mu się ćmiło, wzruszenie, jak to mówią, chwytalo go za gardło, aż przyszła chwila w której zupełnie głosu mu zabrakło i ręce opuścił z klawiatury.

Cecylia, łamiąc szklaną nutę, spojrzala na niego zdumiona.

— Wybacz pani... już nie mogę śpiewać... Fortepian stał koło otwartych drzwi ganku.

Wiesław zerwał się i przesuwał rękę po czole, wyszedł na świeże powietrze. Cecylia wyszła za nim, prawdziwie zaniepokojona.

— Co się panu stało?... Może szklanę wody?

— Nic pani... to tylko.... zbytek wzruszenia. Cecylia milczała chwilę, a potem odrzekła z niejakim wahaniem:

— Tak... muzyka często nazbyt wzrusza.

— Ach pani, nie każda, ale taka jak dzisiaj! Mieli słusność Grecy. Śpiewać aż do skonania... Łabędź wyższy od słowika... Słowik śpiewa i żyje. Łabędź śpiewa i aż umiera..... ze szczęścia.

Czyżby i szczęście miało być rodzajem cierpienia? Dlaczego?

— Może — odparła Cecylia — dlatego, aby dusza nie przywiewywała się zbyt do ziemi i tęskniła zawsze do lepszych światów, gdzie harmonia nie będzie już wyjątkiem, ale prawem.

Na wspomnienie o lepszych światach, oboje zapatrzyli się w niebo, i oparciu na poręczach ganku, wpadli w milczenie nużące, nieokreślone, jak cisza przed burzą. Ganki, wychodzące na ulicę, mogą w godzinach dziennych uprzykrzać się kurzem i turkotem. Ale wieczorem, przy pełnym uciszeniu miasta, mają swoją odrębną poezją, zwłaszcza w noc księżycową. Najprozaiczniejsze kamienice przybierają pod

tem światłem kształty fantasmagoryczne.

Czarne śpiczastości dachów zdają się rosnąć w jakiś senny gotyk. Światelka migające gdzieś z okien, naprowadzają widza na całe dramata przypuszczeń, pewno nierównie patetyczniejszych, niż sceny co się rzeczywiście przy nich odgrywają. Czasem zdaleka zatętni jeszcze powóz; coraz bliżej wytrzeszcza latarniane oczy, przeleciał z hukiem, i znów można dumać. Czasem zapóźniony przechodzień równym krokiem dzwoni o flizy: uderzony światłem otwartego ganku, podniesie głowę, chwilę przystanie, i odchodzi, marząc nadługo o czulej parze, której cienie zarysowały mu się pośród kwiatów ganku. Niejeden tak obejrzał się na Cecylią i Wiesława. Stali, napozór nieruchomi, ale w głębi istnienia wylekli i drgający, bo już między nimi, jak tęcza ognista, przerzucał się ów prąd elektryczny, którym geniusz miłości łączy dwa bieguny swojej potęgi.

Aż czara ich serca się przepęliła. Wiesław pierwszy przerwał milczenie.

— Widzi pani te dwie gwiazdy, co świecą tak blisko siebie? Oto tam; na prawo, nad wieżami świętokrzyżskimi?

— Widzę.

— Może to są nasze gwiazdy?

— Jak spostrzegam, pan badał nie tylko astronomią, ale i astrologią.

— Dajmy na to, że to są gwiazdy naszych

przeznaczeń. Powiedz pani, czy wtedy powinny świecić nierozłącznie?

— Jeżeli Bóg je tak umieścił na niebie, czemuż się mają rozłączyć?

— Pani zaczynasz od słowa jeżeli. Ale po czemże wyrozumiemy wolę Boską, jeżeli nie pogłosie, jakim niebo w nas samych przemawia? Ja za wskazaniem tego głosu, już w jednej z owych gwiazd poznałem własną. Czy pani w drugiej poznaje swoją? Cecylia zwróciła ku niemu oblicze, pałające czarownym zmieszaniem. Jakby usuwając się z pod przemocy jego wzroku, cofnęła się aż w narożnik ganku i z głową pochyloną na rękę wyszepnęła:

— Nie wiem... może chciałabym w niej poznać moją gwiazdę.

— Chciałabyś, o moja anielska patronko harmonii? Więc mogę wierzyć, że nasze losy tak się połączą na ziemi, jak te gwiazdy na niebie?

Tu Cecylia włosy z czoła dłońmi odgarnęła, jakby rozpędzała marzenia, i rzekła już wyraźniej:

— Panie Wiesławie, losem moim ani chce, ani powinnam sama rozporządzać. Wola matki, wola mojej świętej, drogiej mamy, będzie zawsze moją jedyną wolą. O, jeżeli tak, to nadzieje moje blizkie spełnienia. Przed chwilą słyszałem od niej słowa, które mi dodały odwagi. O nic nie pytam, tylko czy mi

pani pozwalasz zanieść do mamy prośbę o twoją rękę?

Tu Cecylia podniosła na niego oczy, już nic rozmarzone, ale jasne i przenikliwe; po chwili namysłu, odezwała się głosem pełnym poważnej, mocy:

— Nie, panie. Jeżeli mam szczerze radzić, powiem: jeszcze nie. Poznajmy się lepiej. Słusznie mówią, że czas tylko to szanuje, co sam wybudował.

— Jak widzę, pani ma jednak swoje własne, silnie określone zdanie.

— Ach, gdyby pan mógł wszystko wiedzieć.... Jeszcze wczoraj może nie miałam zdania, ale dziś....

— Cóż się dzisiaj takiego stało?

— Dzisiaj.... zaszły okoliczności.... doszły mi wieści, które mi zabraniają myśleć jeszcze o własnym szczęściu. Pierwej muszę spełnić ważniejszy obowiązek, pomyśleć o szczęściu innym, stokroć zasłużeńszem w oczach Boga. Ale nie chcę więcej się tłumaczyć, bo nie chcę być pytaną. Są świętości, których tykać się nie godzi. Pan przecie nie weźmiesz moich słów za odmowę? Jest-to proste żądanie zwłoki, może nawet koniecznej dla tak niedawnych znajomych. Przyszłość zostawmy



przyszłości, a tymczasem bądź mi pan wiernym, najwierniejszym przyjacielem. Na pierwszy dowód tej przyjaźni, wymagam aby nam pan jaknajprędzej swojego wuja przyprowadził!. Chcia-

7

labym, ażeby między naszymi rodzinami odnowiły się stosunki życzliwości. To mówiąc, z obiecującym wzrokiem, z pieściwym uśmiechem podała mu rękę i ruchem pełnym kobiecego despotyzmu pociągnęła go do salonu, gdzie pan Benedykt już od kwadransa stał i rozmawiał z kapeluszem w rękę, nic nie wiedząc czy ma czekać, czyli nie, na Wiesława. Pod badawczym wzrokiem profesora, zapłoniony młodzieniec uczuł zakłopotanie podwójne, bo i z nim nie chciał wychodzić, i z paniami dziś już nie chciał zostawać.

Po wielkich wstrząśnieniach, dusza potrzebuje rozmówić się sama z sobą, obrachować mnogość swoich zdobyczy.

Wiesław był jak szczęśliwiec, który w ciągnięciu loteryi dosłyszał, na sam wielki los, numer podobny swojemu, ale jeszcze nie ufa dość własnej pamięci i chce w samotności odszukać swój bilet, aby go porównać i raz wyjść ze zwątpienia.

Wziął więc także swój zgrabny, szary kapelusik, ze wzruszeniem do ust podniósł rękę nie tylko matki, ale dziś już i córki, i wyszedł z panem Benedyktem, który mu się zdawał posępny.

Długo szli w milczeniu, aż Wiesław zagadnął:

— Jak to być może? Pan profesor, który tyle wie o pani Irenie i jej domu, nie wspominał mi nigdy, że mój wuj, Tytus Odonicz, jest jej dobrze znany. Jak przyjmieszam, kochany profesor chy-

ba nic o tem nie wiedział, bo przecież przez sarnę dla mnie życzliwość byłby przytoczył taki pomocny argument.

— Wiedziałem ja wybornie, i jakże miałem nie wiedzieć, kiedy go tam przed laty codziennie spotykałem; ale właśnie z życzliwości dla ciebie, panie Wiesławie, nie chciałem przytaczać tego pokrewieństwa przedwcześnie, bo gdyby nasze panie wiedziały, czyjego siostrzeńca przyprowadzam, kto wie jakim okiem byłyby na gościa patrzyły. A możeby nam obu drzwi zamknęto? Teraz, kiedy już sprawione pierwsze wrażenie dobre, i strasznie, jak mi się zdaje, dobre, może łaska siostrzeńca przemoże niełaskę wuja.

— Ale cóż tak straszego mogło zajść między moim wujem, a panią Ireną?

— Co straszego? Alboż ja wiem? Wszystko nazywa się straszem w historiach sercowych.

— Ach, więc tam chodziło o serce?

— Mój Boże, jak ci młodzi nic nie wiedzą! A przecież przed laty dziesięciu, dwunastu, cała Warszawa wiedziała, że pan Tytus Odonicz należy do najgorętszych wielbicieli pani Ireny. Wszyscy sądziliśmy że się pobiorą. Co się potem stało — nie wiem. Czy po jej wyjściu za Pełkę widywali się jeszcze, nikt mi nie umiał powiedzieć. To tylko pewne, że gdy w ostatnich czasach wspomniałem kilkokrotnie o twoim wuju, pani Irena za każdą razą przecięła rozmowę z niezwykłą sobie

gwałtownością i do końca dnia była okropnie smutna.

— Jednak ci powiem, łaskawy profesorze, iż dzisiaj obie panie oświadczyły mi wyraźną chęć spotkania się z moim wujem.

— Doprawdy? to coś dziwnego. Może zaszły jakie zmiany. Zresztą kto was tam wszystkich zrozumie.

Profesor oburknał się temi słowami na rozstanie, bo właśnie doszli do rogu Jerozolimskiej ulicy; droga mu wypadła prosto a daleko, aż na Sewerynow, podczas gdy Wiesław skręcił na lewo, dążąc do narożnego falansteru, który połową swoich stuokiennych oczu spogląda na dworzec kolei wiedeńskiej, pełen ruchu i turkotu,

drugą, na cztery rzędy drzew cichej i małoludnej alei. Na tę stronę wychodziły dwa okna oświetlające mieszkanko Wiesława, a że to było na drugim piętrze, widok z nich roztaczał się obszerny i pełen rzeźwych powiewów od Wisły.

Młodzieniec, wróciwszy do domu, nie zapalił światła, ale siadłszy z cygarem w otwartym oknie, zaczął obrachunek z wrażeniami dnia ubiegłego, i znalazł tak wielką sumę szczęścia, że, jak Polikrates, aż się strwożył.

Był kochany! O tej prawdzie nie mógł wątpić, niewolno mu było wątpić po dniu dzisiejszym. Im więcej sobie przypominał ruchy, spojrzenia i słowa Cecylii, tem był pewniejszy swego szczęścia. A jeśli jej odpowiedzi na ganku we mgle

7

niejakiej pozostały, czyż nie powinien był sobie samemu owej. mgły przypisać? — Ja błąd popełniłem! Ten sam błąd, co mię dawniej w ludziach i książkach tyle niecierpliwiał: zgrzeszyłem pośpiechem. Jakto? Ledwie od kilku tygodni przeszedłem próg ich domu, a już się oświadczam? Ach, doprawdy, póki na nią patrzyłem, póki z nią rozmawiałem, byłbym przysięgł, że już się znamy wieki. I teraz jeszcze trudno mi pojąć, że niema trzech miesięcy, jak pierwszy raz ją spotkałem. Te miesiące wydają mi się pełniejsze, prawdziwsze, niż wszystkie lata minione. Musiałem jednak bardzo dziwnie wyglądać z moim przedwczesnym wybuchem. Conajmniej dziwnie... Czy tylko nie śmiesznie? O nie. Ona była tak wzruszona, pomieszana, jak.... jak osoba której serce wyrywa się do przyzwolenia, a godność kobieca i takt światowy jeszcze każą odwlekać ostatnie słowo. Jak ona umiała prześlicznie łączyć te sprzeczne wymagania, wysunąć się z trudności w jakich ją postawiłem, wszystko przyrzec, a nic nie określić! Nie mogę. sobie nawet jasno zdać sprawy z misterych tych odpowiedzi; to jedynie dobrze pamiętam, że umiała dać moim nadziejom i zgrabną nauczkę cierpliwości, i najśłodszą obietnicę ziszczenia.

Z pół godziny samego siebie nastrofowawszy, Wiesław jednak zaczął się i uniewinniać. Czyż zakochani mogą działać zawsze w porę i w miarę? Horrendum!... To właśnie cecha obojętności. Pra-

7

wdziwa miłość wszystko usprawiedliwia i musiała go usprawiedliwić w oczach Cecylii, kiedy nie wywołała w niej gniewu. A jednak on sam jak umiał się niegdyś gniewać, w podobnych okolicznościach, kiedy to mamy i ciotce, wujaszki i bracia, wciągali go w swaty do sióstr i córek kiedy pochlebstwem i podchwytym chcieli z niego wyłudzić oświadczenie, jak umiał się oburzać, odcinać! Jak mu się układy zdawały zawsze zbyt gwałtownie prowadzone! A teraz on sam je przyśpieszał. Może dlatego właśnie, że druga strona nie śpieszyła? Może dlatego, że przeszkody, według odwiecznej tradycy, wywołują silniejsze pragnienie? Może... Ale po co nam szukać sztucznych tłumaczeń, kiedy jedno i jedyne jest prawdziwe.

Dotąd był kochanym, a dzisiaj sam kochał. Przez to ziemia i niebo, czas i wieczność, wszystko mu wyglądało naodwrot, jak człowiekowi co z widza przeszedł na aktora i patrzy już nie z sali na scenę, ale ze sceny na salę.

Wtedy się dopiero widzi, jak to sądzić i ganić łatwo, a jak wielką rolę wypełnić trudno!

Jednak, kiedy nadzieja jest suflerem serca, mimo wszelkich usterków, rola jakoś idzie, wpada się w zapał, który zaślepia na niedostatki i trudności, który wszystko w różowej barwie przedstawia.

Taką się przedstawiła przyszłość Wiesławowi.

— Cóż może mi przeszkodzić, kiedy nietylko

7

Cecylia, ale i matka tak widocznie moim zamiarom sprzyja? Ach, ta nieoceniona matka! Nie pożałuje, gdy mi odda córkę. Nigdy syn prawdziwy takim nie był, jakim ja będę dla matki Cecylii.

Druga godzina uderzyła na kolejowej wieży; kury się odzywały z folwarku świętokrzyskiego; chłód przedświtowy zaszumił po drzewach; księżyc, ten sam księżyc, który oświecał rozmowę na ganku, błyszczał jeszcze, ale już pokładał się nisko i ukośnymi promieniami zrzadka przestrzelał szarzącą aleję.

Wiesław, skinieniem od ust, przesłał znak serdeczny temu jednemu świadkowi najpiękniejszej chwili swego życia; zamknął okno, zapalił lampę i za radą rozsądku miał iść na spoczynek.

Wkrótce jednak uśmiechnął się z tej higienicznej rady. Był tak wytrzeźwiony radością, że o śnie nawet myśleć nie mógł. A przytem, szczerze mówiąc, żał mu było przespać bezwiednie godziny, które mógł rozkosznie przemarzyć.

Ach, i miał słuszność! Jeżeli człowiek doczeka takiej pory życia, którąby chciał widzieć trwającą niezmiennie, niech się nią nacieszy do syta, niech nie marnuje drogich godzin, bo i tak złote dni prędko miną, a nastaną długie dni słoty, które będzie chciał całe przespać, byle ciężący czas zabić.

Siadł Wiesław przy biurku, i pod zwykłym w takich razach natchnieniem, chciał spisywać dzienniczek swoich wrażeń. Ślicznie w górze wysztychował datę: Środa — dnia -go czerwca.

7

Potem, z piorunującą, szybkością zapisał kilka stronic, i zdawało mu się że to będzie coś przepysznego; ale kiedy odczytał, uląkł się bezładu i bezbarwności swego dzieła. Wobec jeszcze drgających wspomnień, słowa zdawały mu się blade i mętne jak dagerotyp.

Rzucił pióro i z półki wybrał kilka książek, i to samych arcydzieł, w których sądził że przejrzy się jak w zwierciadle, bo dusza jego przepełniona, łaknęła zamiany wrażeń. Brał kolejno Walter-Skotta, Georges Sand'a i nawet Szekspira. O dziwy! Te same karty, co mu się dawniej wulkanami zdawały, w których podziwiał znajomość serca ludzkiego, teraz były dla niego albo nieme, albo brzmiące fałszywym tonem. Każdą książkę odsuwał z niesmakiem, znajdując we własnym sercu powieść i poemat stokroć cudowniejszy.

Już dzień przeglądał przez wszystkie szczeliny, już świergot ptaszków podzwaniał o szyby, a on jeszcze się przechadzał po ciasnym pokoju, dziwiąc się że nikt przed nim nie umiał wypowiedzieć ani odmalować prawdziwej miłości. Bo też nikt jeszcze tak jak on nie kochał.

Każdy oburzy się na podobne zdanie, a przecież każdy w życiu miał chwile, gdzie był jak Wiesław przekonany, że nikt jeszcze tak jak on nie kochał!

Można się z tem przekonaniem nie przyznać, ale wszyscy zakochani, noszą je w głębi duszy.

7

Czyżby zjawisko powtarzające się tak wiernie do stworzenia świata miało być prostym złudzeniem?

Pamiętam, że raz w kółku dobranem rozbieraliśmy szeroko ten przedmiot. Różne przedstawiano poglądy: jedni w tem przekonaniu widzieli miłość własną, inni zaślepienie, inni siłę wyobraźni, podbudzona przez serce, i t. d. i t. d.

Mówiono szeroko, dowcipnie, ironicznie i rzewnie, nikt jednak nie umiał przeciąć ostatecznie sporu.

Nakoniec moja przyjaciółka odezwała się kilku słowami, pełnymi wielkiej prostoty i wielkiej mądrości, któremi odrazu usta nam zamknęła.

— Mnie się zdaje, — rzekła, — że mówiąc tak, zakochani mówią tylko prawdę, bo każda para kocha się inaczej.

Inaczej! Oto słowo zagadki.

Nie o to chodzi, czy mniej czy więcej? czy lepiej czy gorzej? Ale że — inaczej.

I zaprawdę, jeżeli od tysięcy lat, jak listki się zielenią i ludzie na siebie patrzą, nieznaleziono jeszcze ani dwóch listków, ani dwóch twarzy zupełnie sobie podobnych, jeżeli świat kształtów tak jest bajecznie bogaty, czemużby świat duchowy miał być uboższym? Jak ludzie ludźmi, nie było dwóch uczuć zupełnie sobie równych, i zdaje mi się, że gdyby wszystkie miłości zmieszać razem, jakby

kwiaty w koszyku, każda para od razu odróżniłaby swoją.

7

Dlatego-to poeci od tysięcy lat śpiewają miłość, a przedmiotu nie wyczerpali i nigdy nie wyczerpią. Światło jest jedno, ale w każdym sercu odbite inaczej. Zawsze muszę się wracać do słowa mojej przyjaciółki. Bo też najlepszym sędzią na miłość jest przyjaźń, jak odwrotnie, najgorszym sędzią na przyjaźń jest miłość. I niedziw. Miłość prócz siebie nic nie widzi, podczas gdy przyjaźń wszystko widzi, prócz siebie.

III.

Nazajutrz był wielki upał, który dał się Wiesławowi we znaki, kiedy wracając z biura przyszło mu szukać wuja po hotelach, i to jeszcze szukać nadaremnie. Wszędzie było pełno jak w ulu, ale pana Odonicza ani śladu. Różyc, po obiedzie wróciwszy do siebie, znużony gorącem i nocą. bezsenną, wielką miał ochotę pozostać do wieczora w domu. Cóż go odpychało od jazdy na wyścigi. Trzeba jednak było jechać. Pewnie wuj, nie znalazłszy mieszkania w hotelach głównych, umieścił się w jakim drugorzędnym, i nie wątpi że siostrzeniec będzie go szukał na Tnokotowskim polu. Trzeba zresztą jaknajprędzej

7

się z nim spotkać, aby go jeszcze dziś wieczorem przyprowadzić do pani Ireny, Już też i dorożkarz, od wczoraj zamówiony, spoglądał niecierpliwie ku oknom Wiesława.

Zebrał się na odwagę młodzieniec, i choć jakiś nieswój, wyjechał strojno i szumno. Wkrótce też widok ruchu panującego na mieście orzeźwił go i rozweselił. Śliczna jest Warszawa w porze jarmarku wełnianego i wyścigów. Ostatni to, ale najwdzięczniejszy rozkwit jej rocznego życia. Po skończonym owym rozkwicie, co żyje rozjeżdża się na wieś i za granicę, a miasto aż do adwentu wygląda pusto i wyblakło. Ale w końcu czerwca wszystkie żywioły składają się na jego uświetnienie. Przywilej pięknej pogody, do tego miesiąca przywiązany, radosne tło nadaje obrazom. Wykwintność pojazdów i zaprzęgów, co w zimie ginęła pod roztopami i zamiecią, teraz wyprawia niejako swój pochód tryumfalny. Damy przez całą wiosnę pracują nad wielkim dziełem letnich strojów, ażeby w owych dniach, razem z różami, wystąpić w pełnym kwiecie. Złota młodzież, zwykle rozpierzchnięta, odnajduje się nagle i w jeden hufiec zgromadza, pod czarodziejskim skinieniem dżokeja. Nakoniec napływ obywateli wiejskich, tych ogorzałych a uśmiech niętych wełniarzy, co każdego w oba policzki całują, i raz przyjechawszy, chcą Warszawki na wszystkie sposoby użyć, dorzuca do tęczowego

77

obrazu staropolski odcień rubaszości i serdeczności.

Przybywszy na plac wyścigowy, Różyc, zwyczajem ludzi wyższego tonu, wszedł do samej areny. Zdawało się że idzie za tymże tonem, kiedy ledwie okiem rzucił na damy, stojące w powozach i rozsiadłe na amfiteatrach; ale u niego roztargnienie takie nie pochodziło z dumy, tylko, skoro wiedział że Cecylii tu niema, całe widowisko stawało się dla niego obojętnem.

Pierwszym znajomym, co mu zaszedł drogę z wielkim wykrzyknikiem powitania, był człowiek którego Różyc byłby wolał nigdy nie spotykać, znany całej Warszawie Alfred Pełka. On to był owem nieprzyjemnem wspomnieniem, co się nasunęło Wiesławowi podczas opowiadania profesora o powtórnych zaślubinach pani Ireny, i nigdy nie mógł usłyszeć nazwiska Pełki bez uosobienia go sobie w tej postaci, która była dla niego chodzącą antypatyą.

Niewszycy jednak podzielali ten wstręt do pana Alfreda, który był rodzajem

towarzyskiego rozbójnika i, jak wszyscy wielcy rozbójnicy, miał swoją aureolę sławy.

Uchodził za arcy-pięknego, chociaż to była piękność zgruba wyciosana, jak u primo tonowe z opery włoskiej. Postawę miał wysoką, nawet nieco zawysoką, jeszcze po młodzieńczemu wciętą, ale w ramionach barczystą i rozrosłą. Wiesław, choć mało co mniejszy wzrostem, wyglądał

7

przy nim jak Sylf przy Gładyatorze. Z wielkiej głowy spływała grzywa czarna aż do niebieskości, połyskująca jak zwierciadło. Brwi, także takie czarne, że zdawały się chyba węglem pociągnięte, biegły prawie nieprzerwanym łukiem nad oczami pysznie wyciętymi i którym każdy musiał przyznać blask niepospolity; ale był-to blask metaliczny, cały po wierzchu, jak w oczach tygrysa. Nos rzymski, posągowo ścięty, usta grube a szkarłatne i zęby ostrej białości} przeglądające z pod kruczego wąsa, dopełniały postaci tego lwa, który, prawdę mówiąc, był już lwem schodzącym z pola, chociaż dopiero trzydzieści trzy lat liczył.

Bo też zawcześnie zaczął po świecie wojować. W wieku w którym inni dochodzą do zenitu życia, on wyczerpał wszystkie jego rozkosze i wszystkie zdrożności, a teraz chodził jakby własne widmo, nosząc w głębi duszy żal do całego świata, żal który się zdradzał ironią na ustach.

A jednak pod szczęśliwą gwiazdą rozpoczynał życie. Iluż młodych mogłoby podobnych początków pozazdrościć! Obdarzony historycznym nazwiskiem, dorodny i bogaty, ujrzał przed sobą wszystkie wrota otwarte, wszystkie oblicza uśmiechnięte. I wszystko to, samochęcąc, przemarnował. Szedł między życzliwymi, rabując serca, kałając wyobraźnię, niszcząc dobre sławy. Najszczerzą przyjaźń odepchnął niewdzięcznością, najczystszą, miłość obryzgał cynizmem; sądził że świat cały jest dla joga zabawy i bawił się darcie dusz ludz-

7

kich jak złe dziecko motylem, a tyle miał przywilejów danych od przyrody i losu, że przez długi czas uchodziły mu te rozboje, pokryte purpurą wielko-światowych tryumfów.

Trzeba też przyznać że miał jedną niezaprzeczoną, zaletę, a ta była odwaga, posunięta aż do rawadyactwa. Kilka strasznych pojedynków, w których zawsze trupem przeciwnika położył, otoczyło go istną, twierdzą uszanowania i postrachu. Jednak ten postrach szerzył wkoło niego pustki. Przez jaki dziesiątek lat najświetniejsze salony dobiwały się o jego obecność; ale gdy przepełniła się miara oburzenia, gdy tyle serc zraził i tyle zwycięstw przechwałkami utracił, przyszedł rok, w którym ujrzał wszystkie twarze dla siebie zmienione. Choć mógł stanowić wielką partią, matki truchlały kiedy przemówił do ich córek, bo sama jego rozmowa rzucała już rodzaj cienia. Mężatki, nawet najzalatniejsze, unikały go, wiedząc że nie uszanuje żadnej tajemnicy. Ojcowie rodzin, spoglądając na niego ze źle tajoną, pogardą, przytaczali go synom, jako przykład wszystkich przywar których się powinno unikać.

Alfred miał nadto dowcipu, aby nie opuścić towarzystwa, zanim go samo opuści; cofnął się więc jak Franciszek Moor, dowodząc że niema co robić w społeczeństwie stojącym na fałszu i obłudzie, że trzeba wszystko zmienić, a tymczasem ze wszystkiego sobie żartować.

Wtedy młodzi ludzie o złych skłonnościach lub

słabej woli otoczyli go jak swego herszta i słuchali w osłupieniu jego migotliwych prelekcji, wykładanych przy szalonych ucztach. Rzeczywiście posiadał on szatańską wymowę. Słuchając go, przysięgłbyś że świat składa się z samych oszukujących. i oszukiwanych; że mężczyzna i kobieta zawsze, nawet przy pozorach uczucia, są sobie wrogami: że sława i talent są rodzajem kradzieży względem ludzkości, dla której natura zawsze jedną, choć różnie rozsypaną, dozę swoich

skarbów wydziela; że nakoniec ludzie cnotliwi są tylko lepszymi od innych komedyantami.

Salony przestały go widywać. Spotykano go już jedynie w klubach, cyrkach i teatrach; ale tam trzymał berło sadu, czy chodziło o konia, czy o spór szulerski, czy o warunki pojedynku, czy o przyznanie zwycięstwa w choreograficznych igrzyskach.

Czasem znikał na parę miesięcy, a niedługo z Homburgów i Bad-Badenów dochodziły wieści o młodym grafie polskim, co tu lub owdzie bank rozbił. Ponieważ zaś już dawno mówiono sobie do ucha, że pan Alfred jest zruinowany, owe rozbite banki dawały jedyny klucz do zrozumienia, z kąd pochodzą angielskie konie, fantastyczne karykle i Lukullusowe biesiady, jakimi co styczeń i co czerwiec olśniewał Warszawian.

Po takim wizerunku łatwo zrozumieć, jak podobna postać była przeciwną Wiesławowi, który zostając w uprzejmych stosunkach z całym kołem

młodzieży, musiał się spotykać i z Alfredem; ile mógł wprawdzie go unikał, niewiele mu to jednak pomagało, bo Alfons owszem, z przekornym jakimś uporem, poszukiwał go i oznakami wielkiej zażyłości prześladował.

Wiesław nie mógł zrozumieć powodów tego wpraszenia się w jego ufność. Bo też powody były podwójne i odwrotne.

Najprzód Alfred należał do najzjadliwszych kusicieli, co zamierzyli wciągnąć Różycę na fałszywe drogi. On podawał plany misternych sidła, w jakie się miał złapać niebieski ptaszek. On już naprzód wystawiał Wiesława, jako najwyraźniejszy dowód, że natura ludzka jest sama przez się skażona i tylko brak sposobności ochrania ją, od upadku.

Kiedy jednak przekonał się na własne oczy, że wszelkie pokusy rozbijały się o duszę Wiesława, jak złe uroki o brylantową tarczę, którą, opiewa Tasso, zdumiał się naprawdę. Sam odważny i wielbiciel wszelkiej odwagi, uczuł coś podobnego do szacunku dla niezwalczoności moralnej, którą, dotąd uważał za niemożliwą.

Nie chwalił wyraźnie Wiesława, ale go oszczędzał w swoich krwawych sądach i studyował z anatomicznym rozciekawieniem, jakby jakąś potworność duchową, która burzyła całą jego teorią o wrodzonym skażeniu duszy ludzkiej. Meraz syknął z boleści, odkrywając w nim wszystkie przyłoty, jakie mógł rozwinąć w samym sobie, a któ-

re zwichnął i stratował. Czasem, słuchając czystych jak łza słów Różycy, czuł że mu się w piersiach uśpiona moc porusza... może budzące się z letargu sumienie.

Wtedy byłby chciał rzucić się Wiesławowi na szyję, wypowiadać się i wypłakać przednim, powiedzieć mu: Rób co chcesz ze mną, bądź mi przewodnikiem! Ale już było zapóźno. Pycha zamykała mu usta. Dusza, jak zawsze gdy odepchnie dobre natchnienie, zapadała w siedemkroć większą, zatwardziałość, i tylko taki owoc z podobnej chwili zostawał, że Alfred, co zawsze i wszędzie lubił się przedstawiać gorszym jeszcze niż był Wistocie, przed jednym Wiesławem udawał się za lepszego. Podnosząc się w jego oczach, pragnął niejako podnieść się. we własnych. Ostatni to sposób, w jaki źli ludzie po swojemu hołd składają dobrem.

— Kochany Wiesławie! Nakoniec cię spotykam! Wieki-śmy się nie widzieli. A wyglądasz... comme le prince Charmant.

Wiesław inną razą byłby się odczepił równie grzecznym słówkiem i poszukał sobie innego towarzystwa. Ale dzisiaj nie opuścił Alfreda, owszem, wziął go pod rękę i zadawał rozmaite pytania, chcąc dojść do jednego, które go skrycie trapiło.

— Powiedz mi, panie Alfredzie, czy to wasz krewny, ten Pełka, co był ożeniony z panią Ire-

na dawniej Zapolską? Musiałeś o niej słyszeć, jeżeli jej nawet nie znasz.

— Wyborne pytanie! Jesteś nieoceniony, mój Wiesławie! Jakżeż nie mam jej znać, kiedy to moja macocha?

Na te słowa ręce Wiesławowi opadły. Odkrycie takiego spowinowacenia poszło mu w niesmak, jakby wśród ponętnych Owoców pokazał mu się brzydki owad.

— Macocha! To dziwne, że pan nigdy o niej nie mówiłeś.

— A cóż raiałera mówić? Że na wsi siedzą? Że jak tam przyjechać, to szczęki od ziewania spadają? Że nie chcą pieniędzy dawać?

Tu Alfred cały się nachmurzył i mówił dalej, głosem pełnym długo tłumionego oburzenia:

— Tak. Mój ojciec, niech mu Bóg nie pamięć ta, fatalną miał myśl żenienia się z tą piękną panią, za którą wszystko złe weszło do naszego domu.

— Więc nie byli z sobą szczęśliwi?

— Szczęśliwi? Któż jest szczęśliwy? Prawdaże małżeństwo było dziwnie dobrane.

Ona młoda, świetna, piękna jak słońce, a mój ojciec już co się nazywa w wieku, przynajmniej dwa razy od niej starszy, siwiuteńki, schorzały...

— Na miłość Boską! Cóż mogło ją skłonić? Przepraszam że tak mówię, ale doprawdy....

— Nie przepraszaj, mój Wiesławie; możesz się dziwić i ja sam nieraz w duszy jej się dziwiłem.

Że mój ojciec służył z majątku, to nie powód; ona sama jeszcze bogatsza, a zresztą majątek przecie na mnie spada i muszę jej oddać tę sprawiedliwość, że nigdy nie pracowała nad odwróceniem go od mojej głowy. Ostatecznie więc — nie rozumiem. Widać że starzy znają jakieś czary, o których nam, młodym, nawet się nie śniło. Zresztą na co sobie mamy łamać głowę nad przyczynami postępów kobiecych? Czy to u nich jest jaka logika? Kaprys! kaprys, mój Wiesławie, oto w nowożytnych językach prawdziwe imię Kupidyna.

— Może być. — odparł z przymuszonym uśmiechem Różyc. — W królestwie serca i kaprys bogaty prowincją stanowi. Jednak ze wszystkiego co pan mówiłeś, nie widzę jeszcze za co mógłbyś mieć żal do macochy. A zdajesz się go mieć i niepomierny.

— Długoby o tem mówić... Powiem ci tylko, że od dnia owych zaślubin, dom nasz stał się prawdziwym piekłem. Wprawdzie ojciec mój był zawsze... jakby to powiedzieć? trochę... twardy. Jednak po śmierci mojej matki żyliśmy dosyć wesoło, każdy na swoją rękę. Ale od powtórnego ożenienia ojciec mój tak się zmienił, że ja, rodzony syn, poznać go nie mogłem. Na dobitkę, w ostatnich latach, przyszedł mu do głowy pomysł, który wszystkich nas wy kierował na prawdziwych aktorów tragedyi. Trzeba ci wiedzieć że dla lepszego powikłania intrygi, nietylko mój

ojciec był wdowcem i miał syna, ale Irena była wdową i miała córkę. Oho! Widzę po twojej twarzy, że to dla ciebie nie nowina. Czy znasz się z temi paniami?

— Tak... troszkę. Niedawno je poznałem.

— Otóż wystaw sobie, mojemu ojcu utroiło się w głowie ożenić mię z ową córką. A że ja nie miałem ochoty, ztąd historye, sceny, cale lata dąsów. Nakoniec mój ojciec wpada w gniew śmiertelny, i co najsmutniejsze, w tem zagniewaniu umiera. Ja zostaję pod jakimś rodzajem klątwy, zadziwiony, niepojmujący w czem tak zawiniłem? A to wszystko przez te kobiety! I nie mamże powodów skarżyć się, po co w nasz dom weszły?

Alfred, uniesiony własną mową, nie spostrzegł jakie wrażenie sprawiał na słuchacza. Wiesław mienił się jak tęcza, ręką musiał przyciskać piersi, z których serce chciało mu wyskoczyć. Jakto? Ten wyrzutek towarzystwa, ten Don Żuan bez poezyi, któremu uczciwi ludzie z wahaniem rękę podawali, śmiał pomiatać imieniem Cecylii, jego idealnej Cecylii? Wiesław miał ochotę w twarz mu rękawiczką, cisnąć, ale przywykły do panowania nad sobą, spostrzegł szybko że nie ma prawa ujmować się za panią swoich myśli, że nakoniec przeszłość całej tej rodziny jest mu zamało znana, aby nawet potrafił przeprowadzić obronę.

Postanowił więc ile można grunt zbadać i odezwał się z przymuszonym śmiechem:

— Przyznaj pan, że jesteś dziwnie trudny, jeżeli nie miałeś ochoty żenić się z panną Cecylią,

— Przyznaję. Przyznam nawet więcej, zrobiłem istne szaleństwo. Bo to dziewczyna i ładna i suto posażna. Prawdę ojciec mówił, śliczna partya. Ale cóż chcesz? Właśnie wtedy miałem, jak to mówią, w romansach, serce uwięzione, zaszyte w trzewiczku czarownicy córki Terpsychory, która rządziła mną jak chciała. Zabroniła mi się żenić, a ja tak ślepo szedłem za jej wolą, że znalazłem dość siły, aby się oprzeć ojcu, macosze i nawet pięknym oczom Cesi. Źle zrobiłem. Moja Omfala niedługo pierzchnęła, a ja, Herkules za późno wytrzeźwiały, zostałem bez żony, bez posagu, wobec ceniów zagniewanego rodzica. Oj, mieli słuszność starzy Grecy, kiedy przedstawiali Pandorę z puszką napchaną nieszczęściami! Miał słuszność i stary Dumas, kiedy mówił: gdzie tylko źle, cherchez la femme. Wiesław mało wierzył całemu opowiadaniu. Wiedział ile wymowny Alfred ma sławy z mistrzowskiej sztuki kłamania, którejby mu paryzki felietonista mógł pozazdrościć. Jednak ta poufała nazwa "Cesi," to szpikowanie rozmowy "kochanym Wiesławom," sprawiło istne wrażenie kolców. Szedł z zaciśniętymi ustami, podczas gdy Alfred ciągnął dalej, tonem przyjacielskiego zwierzenia:

— Rozumiesz, kochany Wiesławie, że po awanturze podobnej, stosunki nasze trochę się roz-

7

przęgły. Biedne kobieciny muszą, mieć żal do mnie i wcale im się nie dziwię. Jednak, jako prawdziwe "bon enfant," gotów jestem pierwszy krok zrobić i pójść do nich z odwiedzinami.

— Wątpię — odparł sucho Wiesław — ażeby się to na co zdało. Te panie nikogo nie przyjmują.

— Nikogo, oprócz pana Wiesława Różyca, czy tak? Nie masz się co rumienić, znamy się na tem. Ale zresztą po co ich daleko szukać? Przecie tu je zapewne znajdę.

— Nie. Pani Irena nie chciała przy żalobie...

— O mój Boże, cóż to za przesady! One wszystkie takie; za życia mężów dokuczają, im, a potem drapują się w swoje wdowie welony. Przecież i ja nie przyjeżdżam z Kochinchiny i znam europejskie zwyczaje. Pierwsze miesiące żaloby przesiedziałem w Niemczech, wynudziłem się z piwowarami i filozofami, ale teraz interesa mnie przywołały, a wyścigi, to przecież nie bał żaden.

Tu rozmowa została ostatecznie przeciętą. Już kilka razy przerywali im ją znajomi, ale zawsze, widząc obu żywo zajętych rozprawą, oddalali się po krótkim przywitaniu. Teraz jednak zastąpiło im drogę całe zbiegowisko elegantów, tłoczących się wkoło jakiejś ważniejszej osobistości, która głosem wodza, nadzwyczaj melodyjnym a jędrnym, panowała nad ogólnym gwarem.

Dosłyszawszy głos ten, Wiesław odbiegł Alfreda i rzucił się w środek zgromadzenia.

— Kochany wujaszku! Nakoniec cię znajduję!

Przywitanie było poważne, a przecież głęboko czułe. Bo też powaga na zewnątrz i nieogarniona głębokość uczuć wewnętrznych cechowały Tytusa Odonicza potężna antytezą, która sprawiała, że dla mało znajomych wydawał się zastygłą lawą, a dla tych co go dobrze poznali, co przebili pierwszą powłokę duszy, był także lawą, ale kipiącą, zwolna okrążającą drugich, aby ich całych cichym żarem pochłonać.

Z postaci trudno być podobniejszym do Jowisza, jak był ten człowiek dziwny, który zdawał się zstępować z pod kolumn Partenonu i wyglądał, jak zabłąkany w naszym kamienicowym wieku.

Był-to ów typ najwyższego majestatu, połączony z najsłodsza łaskawością, jakim



Homer i Fidiasz oblekli władzcę Olimpu. Postawa wspaniała, zawsze nieco w tył cofnięta, ramiona, lekko podniesione, jakby od dźwigania monarszego płaszcza, głowa wybornej okragłości, włos bujny, w ciemne kędziory pozwijany, wszystko przypominało ojca bogów, jakim go, w stokrotnym wyobrażeniu, po muzeach spotykamy.

Ale ojciec bogów był zarazem kochankiem wszystkich bogiń i wielu ziemianek. Miłość grała tak wielką rolę w jego cudnie awanturycznym życiu, że zdaje się jakby on, pan świata, wszystko mogący i wszystkiemu władzący, nie znalazł nigdzie wyższego, pożądańszego celu dla swojej

władzy, nad podbijanie serc niewieścich. Pyszna alegorya, mówiąca że moc, choćby nad całym światem, nie zastąpi jednej iskierki miłości.

To też studyując kronikę Olimpu, widzimy z podziwieniem, że nie najsłabsi niebianie, ale sam Zeus piorunowładny, Zeus orłami otoczony, jest najłatwiejszym do podbicia, najczulej romansowym z bogów. I nie można dostrzedz ani razu w jego dziejach, aby na zdobycie jakiego serca użył cienia władzy, tej władzy, którą przecież mógł wszystko otrzymać. Nie. Używa przeróżnych podstępów, słodkich sztuk uwodzenia, nawet rzechy można konceptów klasycznych, ale zawsze drogą prośby i przekonania, dając poznać, że i dla samego bóstwa tylko dobrowolne ustęstwo ma cenę. To też widzimy go zawsze ostatecznie tryumfującym, i kiedy gburowaty ród Tytanów ginie, żałowany tylko od skwaszonych mędrców, Jowisz rozszerza bez granic radosne panowanie. Kto wie, czy go nie zawdzięczał głównie pochlebnej opinii, jaką mu wyrobiły damy niebieskie i ziemskie?

System podobny przynosi tyle korzyści, że nawet ludzie, kiedy w swoim drobnym człowieczym zakresie Jowisza za wzór obiorą, dochodzą do powodzenia, jakie trudno sobie wyobrazić.

Małomówni i dumni względem mężczyzn, zimni i despotyczni dla ogółu kobiet, u pierwszych wzniesają rozumny szacunek, u drugich rozbudzają miłość własną i przekorną chęć walki prze-

ciw obojętności. Nie tak ona trudna do zachwiania jak się zrazu zdaje, a już też kiedy zwalczona, to rozlewa się morzem słodyczy, rozpada się przepaściami pokory, nawskróś przenika atmosferą z ognia.

Podobni ludzie są mało lubieni, ale bywają gwałtownie kochani.

Nawet chociaż nie posiadają urody, wywierają na serca niewieście wpływ, którego nikt zrazu zrozumieć nie może.

Ileż razy widzimy człowieka groźnego w społeczeństwie, nieprzystępnego w towarzystwie, który żeni się z istotą miękką, rozpieszczoną, trwożliwą. Świat się nad nią lituje. Tymczasem niezadługo rozchodzą się wieści, że owa ofiara jest królową w domu; każdy ją spotyka promieniejącą od szczęścia i dumy, bo ten przed którym drżą wszyscy, ten smok legendowy, daje się jej prowadzić na jedwabnej nitce, u jej stóp legł cichym barankiem i tyle przy niej umie słuchać, ile gdzieindziej rozkazywać.

Cóż dopiero powiedzieć, jeżeli, jak Tytus Odonicz, posiada przedziwną piękność? W chwili kiedy go spotykamy, wchodzi on już w czterdziesty siódmy rok życia, i ci co go dawniej znali, znajdują go zmienionym, ale sami pytają, czy jeszcze nie na korzyść?

Czoło wysokie jak zamknięta brama, przekreślone jest zgóry nadół tem lekkim wklęsnięciem, co u frenologów nosi właśnie nazwę linii Jowisz-

wej i stanowi główną, cechę głowy lwa, ale rzadko spotyka się w obliczach ludzkich..

Za najlżejszym zmarszczeniem brwi taka kreska przemienia się na znak wielkiej grozy i ona też jedna oznacza całą potęgę tej twarzy, która zresztą, oddycha

samą dobrotliwością.

Oczy niebieskie, w zwykłym toku życia, mało mówią do ludzi, zdając się raczej zapatrzone w głąb własną. Ował, mocno okrągły, jaśnieje zwykle rumieńcami, które przy każdym wzruszeniu dochodzą do prawdziwej purpury. Co najsilniej odbija od powagi całej postaci, to usta drobne, niemal kobiece, uśmiechające się różowo z po za brody bujnej, szeroko na pierś rozsypanej, a której ciemna gęstwina gdzieniegdzie się już przesrebrza.

Rozkochany w wiecznej młodości bogów Tytus, podobno marszczy brwi, ile razy, spojrzawszy w zwierciadło, zobaczy te srebrne przebłyski. Niesłuszne przecież jego zatroskanie: mąż co umiał przechować święty ogień w sercu, a słoneczny rozum na czole, nigdy nie jest wszechwładniejszym, jak przy pierwszych zorzach siwizny. Zachowuje on jeszcze wszystkie powaby młodości, a pozbył się jej stron ujemnych, nadewszystko niecierpliwego pośpiechu i zrozumienia, na których miejsce zdobył spokój dyplomatów i dumę ministrów.

Wtedy to on jest prawdziwie niebezpiecznym

dla serc niewieścich, a na umysły męzkie działa połączonym urokiem mistrza i kolegi.

Jakim bywał Tytus w dramatach serca, to mogły tylko wiedzieć wybrane przez niego bohaterki. Liczba ich musiała być bardzo mnoga, bo wszystkie kobiety chórem odzywały się o nim życzliwie. Jedne dzięki słodkim wspomnieniom, inne może z obawy, aby nie uchodzić za wzgardzone.

A mogły go śmiało chwalić, bo on ani słowem, ani postępkami nigdy nie podał żadnej w podejrzenie. Kamień grobowy nie jest wytrwalej milczącym, jak był Odoniczwe wszystkich przedmiotach dotyczących serca. Wiedział, że chęłpienie się z tryumfów minionych zagradza drogę do przyszłych, i że najczęściej tylko odrzucona miłość chwali się dla zemsty, podczas gdy miłość przyjęta kryje się, jak skąpiec ze skarbem.

To też bez końca powtarzano, że Tytus Odonicz ma szalone u kobiet szczęście, ale czy u tej lub tamtej, nikt nie umiał zapewnić, a te bezimienne podboje wydawały się tem ogromniejsze, że nie znano ich prawdziwych granic.

Jakim był dla ogółu towarzystwa, o tem świadczył głos powszechnego uznania, chociaż nie powiem ażeby zawsze był głosem sympatii.

Duma i powodzenie rodzą, głębokie zawiści. Przecież Tytus nie zdawał się o nie troszczyć, ani nawet próbował ich przebłagać.

Gdziekolwiek był, musiał być pierwszym. Wśród uczonych albo słuchał, albo odezwał się ze sło-

wem, które od razu rozstrzygało rozprawę. W salonie albo milczał z olimpijskim uśmiezkiem, albo zniemacka brał wodze rozmowy, a wtedy wszyscy musieli o tem mówić i tak mówić, jak żądał.

Wśród starszyny męzkiej był poważny do lodowatości, ale to poważny jak Mardocheusz. Wśród młodzieży stawał się stulicowy, giętki duchem jak Alcybiades. I tam zawsze trzymał pierwsze miejsce, choć niby z niego zstępował, jak monarcha, co rączy na równej stopie pobawić się z dworzanami.

A już też kiedy bawił się, to według przysłowia "jak król." — Kiedy dziwactwa, to lordowskie, — kiedy dowcipy, to paryzkie — kiedy bachanalie, to rzymskie — kiedy orgia, to babilońska.

Pomimo tak szumnych pozorów życia, nie nadwierał majątku, chociaż miał wszelkie prawo nim szafować, bo cały był jego dziełem.

Wchodził w świat, podobnie jak Wiesław, mało obdarzony od Fortuny. Długo nie spostrzegano, że obok towarzyskich zajęć, prowadził cicho wielkie przedsięwzięcia fabryczne i przemysłowe, aż zwolna rozszedł się głos że jest bogaczem, a gdy go pod kształtem powinszować badano, uśmiechał się, tylko i odpowiadał symbolicznie swoim sposobem życia, coraz bardziej pańskim.

A znał się po mistrzowsku na sztuce wydawania pieniędzy, bo to jest także

sztuka, nawet kiedy mądra, to piękna.

Niejeden płaci i płaci, a wydatki jego przechodzą, głuche i niepostrzeżone. Inny o połowę mniej wyda, a wielu ucieszy, niejednego obdarzy i jeszcze wszystkich olśni.

Już kiedy panu Tytusowi podobało się wydać dziesiątek tysięcy, to nazajutrz Warszawa mówiła. o stu tysiącach, i tak rosła koło niego fama Krezusostwa, Która mu pomagała w nowych przedsiębiorstwach, a w oczach tłumu więcej go podnosiła, niżeli wszystkie skarby jakie nosił w duszy.

Garnęli się też do niego i starsi i młodszy, nade. wszystko młodszy, najprzód że im pochlebiano przestawanie z koryfeuszem dobrego tonu, powtóre że spodziewali się nauczyć od niego trudnej sztuki radzenia sobie w życiu. Patrzyli z podziwem i zazdrością, na tego szczęśliwca, który umiał majątek zrobić, niezależność zdobyć, mężczyznom przodować, kobiety czarować i na domiar wyższości, o tem wszystkim nie mówić.

Nęcił ich także do Tytusa względ ważny: nie było w nim nic Katońskiego. Wprawdzie złych zasad nie szerzył, do złego nigdy nie namawiał, ale gdy je przy nim pełniono, nie ostrzegał, ani dawał nauk i nigdy się, przenigdy, nikomu nie dziwił.

Widać że ten praktyczny mędrzec, na wylot ludzi poznawszy, osądził ich niepoprawnymi i takim świat brał, jakim go zastał, nie próbując przerabiać, ale zbierając z niego sute plony, bo z wszel-

kich gruntów, żyznych czy jałowych, umiał dla siebie wyciągnąć soki życia. To też z równą swobodą obracał się w każdym towarzystwie, rozumnym czy pustakiem, przyzwoitem czy zepsutem. Jakby z innej gliny niż wszyscy ulepiony, zdawał się nie lękać żadnej dzumy moralnej, i na mrowisko ludzkie patrzył oczami półboga.

Takie stawianie się do świata dawało mu wiele korzyści i rozkoszy, ale go też niejednej pozbawiło.

Jeżeli często zaznał miłość, nigdy nie zaznał prawdziwej przyjaźni. Żadne serce męskie nie śmiało zapukać do tej piersi opancerzonej, szukać oparcia na tej pysznej skroni, co umiała schylać się pod ręką słabszą, ale nie znosiła sobie równej.

Za to, kiedy miał nieprzyjaciela, to miał go na całe życie. Nie dla braku usiłowań drugiej strony, aby go przeprosić i zmiękczyć; owszem, widziano ludzi co się ponizali, chcąc wrócić do jego utraconej łaski. Ale on sam był nieprześlągany. Nie gniewał się, nie pomstował, broń Boże! Nie raczył prowadzić walki, ale cofał się w swój obłok obojętności, i nie było jeszcze przykładu, aby osoba, co go raz obraziła, zdołała odzyskać jego zaufanie.

"Ta bierna zawziętość otoczyła go rodzajem postrachu, pełnego nadszarpnięcia. Na wszystkich

jego stosunkach stała wielkimi, czarnymi głoskami wypisana przestroga: Fragile. Jeden tylko Wiesław obchodził się z wujem bez obawy. Nadto wierzył w jego i swoje serce, aby przypuszczać możebność obrazy. Zresztą mało znał przeszłość wuja. Tytus umiał zbywać pytania krótkimi i bezbarwnymi odpowiedziami, które najciekawszych zniechęcały. Siostrzeniec, wykołysany w patryarchalnych pojęciach, nieważyl się o bracie matki wytwarzać sobie niezależnego zdania. On, zwykle tak stanowczy w sądach natchnionych surowością, jaką często młodość i niewinność grzeszą, na ten raz wstrzymywał się od analizy. Wprawdzie nieraz dziwiła go wyrozumiałość, z jaką pan Tytus odzywał się w przedmiotach dotyczących przekonań i obyczajów; nieraz go drażniła zażyłość w jakiej zostawał z ludźmi, z którymi on, Wiesław, niechętnie się widywał. Jednak zawsze

sobie powtarzał, że człowiek tego wieku i doświadczenia musi wiedzieć co czyni, i wolał go poprostu kochać, niżeli sądzić.

I jakżeż nie było kochać, kiedy wuj miał do niego, jak to mówią, prawdziwe nabożeństwo? A wiemy że Tytus, kiedy chciał być komu miłym, rozwijał zasób czarów, którymi mógł najsztynniejszą duszę, nawet junkra pruskiego, zawojować. A był naprawdę rozmiłowany w Wiesławie, jak Holender w dziwnym tulipanie, jak antykwarjusz w białym kukułkowym.

7

— Wiesz, mój Wiesławie — mawiał — co w tobie najwięcej lubię? Oto że masz odwagę być typem zupełnie skończonym. W twojej Plutarchowej osobistości nie można znaleźć ani jednego dysonansu. Proszę cię, nie zmieniam mi się w niczem, abyś nie popsuł tego ślicznego dzieła natury i sztuki.

A kiedy Wiesław obruszał się nieco na wyraz sztuka, tamten dodawał:

— Jakto, czyż wyrobienie duszy nie jest najwyższą sztuką życia?

Przy całym przywiązaniu, mało się widywali.

Kiedy jeździł na wakacje lub święta do rodziców, Wiesław był świadkiem uroczystych przygotowań na przyjazd wuja. Cały miesiąc naprzód mówiono o tym wypadku, urządzano dom paradnie. Nakoniec gość się pojawiał, przez kilka godzin obdarzał wszystkich uroczą łaskawością, świetnym dowcipem, kosztownym gościńcem, i przed nocą zazwyczaj odjeżdżał, zostawiając znów na całe miesiące przedmiot do żalów i uwielbień.

W Warszawie siostrzeniec go widywał najczęściej w licznych lub hucznych zebraniach i to zawsze na krótko, bo pan Tytus wiecznie się śpieszył. Według jednych miał rzeczywisty powód pośpiechu w nieustannym nawale interesów, podług drugich drożył się ze swoją obecnością, aby ją tem pożądaną czynić.

I teraz Wiesław byłby się chętnie rzucił wujowi na szyję, ale najprzód nie śmiał, powtórę o-

chlonał na widok rozkosznego uśmiechu, jakim pan Tytus przywitał Alfreda, przeciw któremu zraniona dusza Wiesława drgała z oburzenia.

— Szukałem wuja całe rano....

— I byłbyś mógł szukać do nocy. Stanałem u znajomych. Oto właśnie ich widzę, pójdz ze mną, niech cię przedstawię.

Wziął Wiesława pod rękę i przyprowadził do powozu, gdzie siedziały dwie damy, jedna starsza, otyła, spowinięta szalem czerwonym jak jej oblicze, druga młoda, czarnowłosa i czarnobrewa. Po obu stronach drzwiczek stało dwóch panów, jeden podżyły, pękaty jak dynia, drugi młodzieuchny, wążiuchny i bledziuchny jak komar.

— Pozwolą państwo, że im przedstawię mojego siostrzeńca: Wiesław Różyc, państwo Moszkowiccy, panna Helena ich córka, a to pan Ewaryst Korab, narzeczony panny Heleny.

Wiesław znał się już z Ewarystem i powinszował mu pięknego wyboru. Była to para prawdziwie po dzisiejszemu dobrana: panna, jak to zwykle narzeczone, wystrojona niby cudowny obraz, odznaczona zaręczynowym orderem bukietu; przytem dorodna jak amazonka, a zaczepna jakby krzak głogu. Narzeczony ubrany jak żurnal, obojętny jak sułtan, znudzony jak bohaterowie Musseta.

Pan Aleksy Moszkowicki z ucieśną dobrocią chwycił Wiesława za oba ramiona i popatrzył mu w oczy.

— Klejnocik chłopiec! — zawołał. — Winszuję

ci, panie Tytusie, takiego siostrzeńca. A tobie, panie... jak na imię?

— Wiesław.

— Aha! Perełka imię. Więc panie Wiesławie, tobie winszuję że masz tak znakomitego wuja, z którym znamy się dawno, oj, aż strach jak dawno! Trzeba ci wiedzieć, panie Wiesławie, żeśmy kolegowali w szkołach. A co? Ktoby to

powiedział? On wygląda o dwadzieścia lat młodszy odemnie. I to tak we wszystkim. On teraz pan, żyje na wysokich Parnasach, a ja sobie szlachcic na zagrodzie....

— No, no — przerwał pan Tytus — nie tak bardzo na zagrodzie. Pięć folwarków, sześćdziesiąt włók lasu, a i w Warszawie chałupka niczego, coś na pałacik zakrawa.

— Zwłaszcza — odparł pan Aleksy, kiedy ją mój łaskawca swoją obecnością zaszczyca. Wystaw sobie, panie Wiesławie, jakie szczęście mnie dziś spotkało. Idę sobie Wierzbową ulicą, a tu jedzie z kuframi, z manatkami pan Tytus. — Zkąd? Co? — Pokazuje się że pięć hotelów objechał i nigdzie nie znalazł stancyi. Więc ja dalej pakować się do jego dorożki i błagać: Mój dobrodzieju! Kiedy nigdzie nie znalazłeś lepiej, przyjmij u mnie starodawną gościnność. Jest w naszym domu całe jedno mieszkanie, co stoi pustkami po moim bracie, który wyjechał właśnie do Karlsbadu. Tam cię ulokujemy. T nie pytając dłużej, każę jechać na Chmielną ulicę, i mam raz przecie tego ptasz-

ka, który zawsze tak daleko ł wysoko fruwał. Mam cię i nie puszcę, ani jutro, ani pojutrze, bo trzeba ci wiedzieć, panie Wiesławie, że za trzy dni wesele naszej córki, i twój wujaszek musi koniecznie z nami zostać, koniecznie, on będzie największą ozdobą kompanii.

— A jakże, to nawet kwestyi nie ulega — przerwała pani Moszkowicka. Pan Odonicz nie odmówi nam udziału w tak ważnej uroczystości, tem bardziej że go prosimy, ażeby zechciał być pierwszym družbą i prowadzić naszą córkę do ołtarza.

— O! pan nie może odmówić! — dodała panna Helena. — Wszak pan słynie z rycerskiej dla dam uprzejmości. Ów jednak rycerz uprzejmości wytrzymawał wszystkie nalegania w milczeniu, aż oskoczony przez całą rodzinę, przez Ewarysta i wkońcu przez Wiesława, zlekka natrącił:

— Może być że zostanę. Muszę się jednak jeszcze z czasem obrachować. Nie mógł więcej dodać, bo w tej chwili kilku mężczyzn nadbiegło, wołając: — Już! już! — I pociągnęło Odonicza.

Istotnie, już się zaczynało igrzysko. Muzyka ucichła, dzwon zatętnił, sędziowie na trybunie rozparli się jak należy i po całym tłumie przebiegła iskra elektryczna.

Dziwną jest potęgą wrażeń zbiorowych. Kiedy się jeszcze objawia przy widowiskach

strasznych, jak bywały walki gladiatorów u Rzymian, jak są walki byków w Hiszpanii, można prędzej wytłumaczyć gwałtowność zajęcia. Choć potępiona przez rozum, jest aż nadto zrozumiałą dla wyobraźni.

Ale wyścigi konne! Podobne do blaszanych zabawek dzieciennych, urządzone z pompą prawdziwie szyderczą, zdaleka, daleko, wyglądają komicznie.

A jednak ja sama, choć nie mam najmniejszej słabości do dzokiej-klubowej sztuki, choć ani jeźdź konno, ani się znam na koniach, sama przyznać muszę, iż gdy raz na lat dziesięć trafi mi się być na takiej zabawie, w chwili wyścigu udziela mi się ogólna gorączka. Me wzruszają mnie przecie ani wymokłe bieguny, ani wymoklejsi jeźdźcy, ani właściciele koni, obojętni mi lub nieznani, ale ogarnia mnie powszechna febra publiczności, zaraźliwa, jak wszelki zapal.

Istnieje w naturze ludzkiej struna bohaterska, popychająca do walki ze ślepym losem. Ona to jest źródłem rozkoszy we wszelkiej grze hazardowej. Ona każde losowanie przemienia w głuchą tragedję, ona niewyczerpany urok nadaje obietnicom loteryi, ona sprawia, że najtwardszy pozytywista z niejakiem drżeniem podaje rękę Cygance wróżącej, ona za zielonym stolikiem napelnia serce gracza szeregiem Szekspirowskich wrażeń, ona to nawet lekkiej scenie konnego wyścigu daje władzę roznamiętniała.

Wiesław tem żywiej mógł zająć się widowiskiem, że osobiście obchodził go współudział wuja. Porwał go na chwilę prąd wszystkich spojrzeń, okręcających się ogniszciami wokoło areny, zielone rękawy i czapka dzokiej wujowskiego, wydały mu się szmaragdową gwiazdą, za którą życzenia jego biegly z niepokojem, a gdy nakoniec owa gwiazda pierwsza stanęła przed sędziami, kiedy Odonicz wystąpił po nagrodę, przyjęty fanfara orkiestry i hukem oklasków, serce w nim zabiło, podążył za odchodzącym spokojnie panem Tytusem i ściskając mu obie ręce, okazał taką żywą radość, że aż wuj spojrział na niego z podziwem. Była też to jedyna chwila przyjemna dla Różyca. Reszta czasu dłużyła mu się niewymownie, wszystko mu wyglądało nudno i wyblakło i samego siebie zapytywał, jak mógł innych lat szczerze się tu bawić? Nieobecność drogiej osoby jest jak zaćmienie słońca, pod którym wszystko szarzeje i żiębnie. A jednak zajmujące to były wycigi. Niczego nic brakło: ani poplątania się powozów przy wjeździe, ani powtarzanych do znużenia tryumfów Foscarego, ani spadnięcia jednego z panów jadących z przeszkodami, ani nawet tradycyjnej ulewy, która zwykle przetrzymuje, łudząc złośliwym słońcem, aż dopiero kiedy wszyscy się wybiorą i na dobre zasiądą, wybucha z szumem, podobnym do rymów Heine'go.

Tę razą jednak trwała króciuchno. Skończyło się na popłochu i gwałtownym podnoszeniu pojazdów. Wiesław znalazł schronienie w szybko zapiętej wiktoryi państwa Moszkowickich, do której musiał, chcąc nie chcąc, wsiadać, przymuszony przez właścicieli. Ci, świeżo ze wsi przeniósłszy się do miasta, chcieli dowodzić pięknych manier przez natarczywą uprzejmość. Pani Dorota Moszkowicka niestrudzenie bawiła gościa pytaniami o jego przeszłość, herby, koligacje, a nawet i o stosunki salonowe. Nie wiedzieć zkąd, nawinęła się rozmowa o pani Irenie i jej córce, bo zakochanym zawsze się niby przypadkiem nawija sposobność rozmawiania o drogiej osobie. Pąsowa pani Dorota stanęła w podwójnych płomieniach, na wiadomość o powrocie pani Ireny do Warszawy. — A mój Boże, cóż to za radość dla mnie! Ta kochana Irenka! Matki nasze od wieków były w przyjaźni, a kiedy dla mojej edukacji przyjeżdżali moi rodzice przez kilka zim do Warszawy, Irena i ja, jeszcze podlotki, brałyśmy razem lekcje tańca, od Popiela, od tego samego co to dziś taki sławny. Potem pannami spotykałyśmy się na balach w resursie. Pamiętam jak zawsze miała wiele danserów, ale bo też była prześliczna, jak aniołek Boży. Musiała się bardzo odmienić, co? I jak pan powiada, już drugiego męża pochowała? Mój Boże, jak to czas leci! I jak pan powiada,

ma córeczkę? A ładna? A moje już ją wydała? A może jest babunią? Mój Boże, ktoby to był powiedział, że ta mała Irenka będzie szanowną babcia: Zaraz jutro się do niej wybieram; przecież musi być na weselu Helenki, musi być z całą rodziną. Wiesław niełatwo zdołał przyjść do słowa i objaśnić panią Dorotę, że cała rodzina składa się jedynie z córki pani Cecylii, ale o przeszkodach żałoby nie wspominał, łudząc się miłą nadzieją, że może dla dawnych stosunków, pani Irena z córką dadzą się namówić na tę uroczystość, na którą już sam był zaproszony, równie jak na bywanie często, jaknajczęściej, przez całe życie. Pomimo hiperbolicznych pochwał dla wuja, który w oczach państwa Moszkowickich uchodził za największego człowieka w Europie, pomimo serdecznej i pocziwej treści, monolog pani Doroty mocno się już uprzykrzył Wiesławowi, a co gorzej, zdawał się niecierpliwie samą panną Helenę, co jak niewdzięczne kurczę, upstrzywszy się piórami orlęcia, nie chce już słuchać macierzystego skwierku. Zaciskając usta, kilka razy przeprowadziła spojrzenie porównawcze od Wiesława do Ewarysta, i musiało to porównanie wypaść na ciężką niekoryś narzeczonego, bo sposepniała i oczy uporczywie utkwiała w bukicie. Prawda i że pan Ewaryst nie silił się na bawienie narzeczonej, a ledwie słońce znowu zajaśniało, pod pozorem przyjrzenia się wygrywają-

cym koniom, wyciągnął z wiktoryi Wiesława, który też był mu, szczerze wdzięczny za ratunek.

— Ach jakiś ty cierpliwy, panie Wiesławie! — zawołał, rozpaczliwie ziewając. Żeby nie pierścionek na rękę, byłbym dawno uciekł z tego młyna. Trudno! Dla pięciu folwarków i dwupiętrowej kamienicy człowiek wiele znosi. No, zdaje się że moje dzisiejsze pensum już skończone, bo też to i ostatni wyścig; teraz podobno już tylko chłopskie szłapaki będą paradować, możemy się wynosić.

Tu ich spostrzegł pan Tytus, jak zawsze stojący w licznym gronie.

— Przecie wracasz nam, Wiesławie! Cóż cię tak długo bałamuciło? Czyjeż piękne oczy?

— Ach, nie oczy — podchwycił Ewaryst — ale usta, miódopłynne usta pani Doroty, mojej szanownej przyszłej mamy.

Wszyscy się, prócz Wiesława, roześmieli; pan Tytus wprowadził się nie śmiały, ale rzekł z komiczną powagą:

— Proszę nic nie mówić przeciw małżonce mego amfitryona.

— Tak — przywodził z żywością Wiesław — gdybym kiedy miał narzeczoną, nie dałbym słowa powiedzieć przeciw całemu jej domowi. W smutnych żyjemy czasach.

— Słuchajcie, panowie! Mój siostrzeniec ma słuszość. Mówi jak z książki, i to ze złotej, bo z księgi przekonania. A teraz, kiedy zrzuciłeś z serca twoje Focyonowskie oburzenie, uspokój

się i słuchaj: ci panowie zawyrokowali jednogłośnie, że moje świeże zwycięstwo powinno być na świeżo oblane, zaprosiłem więc wszystkich do Szwajcarskiej Doliny na kolacją, ciebie zaś nawet nie zapraszani, bo z godności siostrzeńca, jesteś urodzonym wice-prezesem wszystkich moich przyjaciół.

Zatroskał się Wiesław wiadomością, która na dzisiaj niweczyła jego zamiar zawiezienia wuja do pani Ireny, nie mógł nawet słowa o nim natracić, bo wesoła gromada porwała go, wołając: "Dalej! na Dolinę!" I wszyscy hurmem rzucili się do wsiadania w koszykowe karyolki, odkryte omnibusy i pierwszo-klasowe dorożki.

Pan Tytus miał powóz najęty, ale bardzo wykwinął, do którego, oprócz siostrzeńca, zabrał Alfreda i Ewarysta.

Snuły się Wiesławowi rozmaite uwagi nad wyborem swoich dwóch sąsiadów:

— Czyż tu miejsce Ewarysta? Ach, gdybym był narzeczonym Cecylii, czyżby mię kto widział gdzieindziej, jak przy jej boku. Wszak wówczas każda chwila rozdziału jest torturą. I to na co? Aby dokazywać, nadziewać się zjadliwymi łakociami i ze wszystkich świętości żartować, podczas gdy opuszczona panna wraca z rodzicami na samotną herbatę. I to na dwa dni przed ślubem? Doprawdy, nie rozumiem. Albo ten Alfred, także tu potrzebny! Jeżeli wuj chciał się żenić z panią Ireną, jakże mógł zostać w tak dobrych stosunkach

7

z rodziną, co mu ją wydarła? Znowu nie rozumiem.

— O czym się mój poważny siostrzeniec tak zadumał? — spytał zniecierpliwiony pan Tytus.

— O rozmaitych, jakby to powiedzieć... niepewnościach myśli człowieczej... A głównie się zastanawiałem, jak mi ta niegodziwa kolacja wypada nie na rękę.

— A to dlaczego? Tu Wiesław mocno się pochylił do pytającego i szepnął:

— Są piękne damy, które koniecznie chcą, wuja widzieć, i to jaknajprędzej, choćby dzisiaj. Ja niebacznie obiecałem im gościa po wyścigach sprowadzić, a teraz...

— Czy tak? odparł pan Tytus, rozjaśniony pełnym uśmiechem. Szkoda, ale cóż robić? Nie wiedziałem że w moim imieniu obiecano; nieświadomość grzechu nie czyni.

Kończył te słowa, kiedy Wiesławowi zadrgało serce. Wśród pojazdów tłoczących się w Belwederskiej alei, błysnęły mu jabłkowite rumaki o lnianych grzywach,

unoszące koczyk, fiołkowym ałłasem wybity.

Nie mógł się powstrzymać od wół cichego wykrzyku: To one! I zdjawszy kapelusz, kłaniał się z tem uniesieniem, co sprawę serca we wszystkim, nawet w ukłonie zdradza.

Zaciekawieni jego towarzysze zwrócili oczy w tę stronę i jednocześnie podnieśli kapelusze,

a dwie przejeżdżające damy nietylko po dwakroć, skinęły głową, ale wbrew przepisom dobrego tonu, obie się kilka razy obejrzały za mijającym je powozem. Odonicz także zwrócił głowę za siebie i trzymał ją, tak uporczywie zwróconą, jakby na śrubie się skrećila. Dopiero kiedy jabłkowite konie zupełnie w natłoku zniknęły, zwolna ją odwracał, a wtedy Wiesław dostrzegł, jak straszna zmiana w nim zaszła: z twarzy zdawało się że krew tryśnie, czoło rozcięło się przełomem zgrozy.

Tymczasem pan Alfred wołał:

— Jakaż to moja belle-mera zawsze śliczna! Musi chyba mieć jakiś sekret młodości, jak nieświętej pamięci Ninon. A i córeczka nieszpeta.

— Wcale nie, chociaż blondynka — wtrącił niedbale Ewaryst, — a blondynki, podług mnie, to zawsze mdłe jak Alta-pasta.

Uśmieł się Alfred, a Wiesław ani śmiać się, ani gniewać nie miał czasu, bo wuj wlepił w niego iskrzące oczy i zapytał głosem przyciszonym, ale surowym:

— Spodziewam się przecie, że to nie do tych pań chciałeś mię prowadzić?

— I owszem, właśnie do nich. Mój dobry Boże, czy to wujaszka gniewa? Przecież wujaszek dawniej... podobno... znał się z panią Ireną? Zresztą, cóż miałem robić? Sama mi oświadczyła, najuroczyściej i najserdeczniej, że koniecznie się chce z wujem widzieć.

Pan Tytus ruszył ramionami i rzucił jedno słowo, ale syczące ironią: "Wczas!" A potem zapadł w milczenie, w którym nawet wieczny uśmiech z jego ust się zatarł. Do głębi duszy zgryzł się Wiesław odkryciem takiej zawziętości. Przeczuwał ile ona burz może sprowadzić na jasne dotąd niebo jego marzeń, i pierwszy raz w życiu rzucił ku wujowi spojrzenie gorzkiej niechęci.

Przyszła jednak niedługo chwila, w której sadził że wszystko odrazu się naprawi.

Kiedy konie ich stanęły u wejścia Doliny Szwajcarskiej, ujrzał... kogo? panią Irenę i jej córkę, idące pieszo po bocznej ścieżce. Widać że wysiadły i używały przechadzki, a dziwnym trafem znalazły się właśnie w tej chwili przed krytą aleją wiodącą ku Dolinie. Jeśli to był traf, był on tak szczęśliwy, że Wiesław poczytał go za zrządzenie Opatrzności.

Obie damy stanęły z radosnym wykrzykiem, z jakim się dawnych przyjaciół wita; pani Irena, zwykle taka blada, teraz po oczy zapłoniona, podbiegła ku panu Tytusowi, uścisnęła jego rękę i zamieniła z nim słowa pół-ciche, gwałtownem wzruszeniem z obu stron drgające, z których jednak Wiesław nic nie mógł dosłyszeć, bo panna Cecylia, witając kolejno trzech młodzieńców, rozmawiała z szybkością sobie niezwykłą, śmiała się głośniejsz niż przystało, wszystko jakby chciała odwrócić uwagę i zagłuszyć rozmowę matki.

Krótko jednak trwała ta rozmowa. Po kilku pytaniach i odpowiedziach, ciśniętych z głuchym szmerem, jak kamienie w wodę, pan Tytus odezwał się głośnie:

— W każdym razie panie wybaczą, że na teraz dłużej służyć im nie mogę, bo goście przezemnie zaproszeni czekają.

Tu porwał pod rękę Wiesława i gwałtownie go pociągnął do krytej alei, a rękę jego trzymał tak mocno, że młodzieniec, odurzony tem niespodzianem zakończeniem, napróżno się kilka razy szarpnął, i odwracał głowę, zazdroszcząc Alfredowi i Ewarystowi, którzy jeszcze żegnali Cecylią, podczas kiedy matka stała opodal jak



wryta.

Wkrótce, nie wiedząc sam kiedy i którądy, znalazł się przed altaną, z której huk orkiestry spadał grzotami na jego pomęczone myśli; labirynt białych krzesel i stołów plątał mu się w oczach nieskończoną siatką, i nie ocknął się, aż pod ostremi żartami towarzyszków, którzy możebne i niemożebne wnioski wyciągali z jego pomieszania.

Nie godziło się z tajemnicą serca zdradzać przed tylu obojętnymi i złośliwymi oczami, tem bardziej że pan Tytus utkwił w siostrzeńca wzrok ponuro badawczy. Zdobył się Wiesław na przymusową, wesołość i obronną ręką wyszedł z gradu żartów.

Jednak, w półgodziny później, kiedy naczelny kelner doniósł że kolacya gotowa i cała młodzież

hurmem ruszyła za Tytusem, Wiesław sam teraz chwycił go pod rękę i zcichą mówił:

— O wuju! Nie spodziewałem się aby wuj, przy swoim pięknym charakterze, miał jednak tyle okrucieństwa...

— Okrucieństwa? — powtórzył szyderczo pan Tytus, roześmiał się i zamilkł.

— Tak jest. Wolno było wujowi postąpić sobie... dziwnie... kiedy jest panem swojej woli, ale pocóż mnie wciągać w nieznaną mi wojnę? Gwałtem odrywać mię od osób, w oczach których nic chciałym uchodzić za... conajmniej... niegrzecznego?

— A mój Wiesławie, któż mógł wiedzieć że to cię tak mocno obchodzi? Teraz ja ci powiem: O siostrzeńcze! Nie spodziewałem się, abyś tak gorączkowo dbał o łaskę tych osób. Przed godziną, jeszcze nie wiedziałem że się znasz z niemi; zresztą przy twoim klasycznym charakterze, któż cię mógł posądzić o ten romantyczny wybuch? Ale masz słusność, masz zupełną słusność, nie myślę cię wcale krępować jakąś wujowską władzą, która byłaby, conajmniej... śmieszna. Widzę, jak ci nasze towarzystwo ciąży; nie przecz, to ci z oczu patrzy. Sądziłem wprawdzie że po tak długim niewidzeniu się naszym zechcesz pierwszy wieczór spędzić ze mną. Ale jeżeli głos serca, lub jakkolwiek inny, woła cię gdzieindziej, możesz odejść, nic będę się wcale gniewał za po-

gardzenie moją kolacyjką... Niemiłą księdzu ofiara.. wiesz resztę.

— Wujaszek zawsze dobry, lepszy niż sam udaje. Mnie z wujaszkiem naprawdę miło, wieczera, nie śmiałym gardzić, owszem, zostanę, choć może nie na całej, bo wuj kochany wie, że ja nietęgi do hulanki, ale...

Tu Wiesław przybrał swój najpięszczotliwszy wyraz i składając ręce błagalnie, spytał:

— Ale jutro... wujaszek pójdzie ze mną do pani Ireny?

Wuj się zawahał, aż spostrzegłszy niepokój młodzieńca, dodał z dwuznacznym uśmiechem:

— Dlaczegoż nie? zobaczymy.

Wiesław pocałował wuja w ramię jedno i drugie, a właśnie też wchodzili do pierwszej z bocznych sal gmachu Doliny, gdzie stół iskrząco nakryty, obiecywał ucztę co się zowie: przez otwarte okna chłód wieczorny przynosił echa muzyki i rozfalowany szmer tłumu.

Me brakowało przysmaków swojskich i zamorskich. Likwory i francuzkie wina przemieniały szkło na rubinowe i bursztynowe kielichy. Lód dzwonił w posrebrzystych konwiach, gdzie pochylone szampanki drzemały, czekając aż im będzie wolno przypuścić szturm do stołu. Na samym środku tokaj w omszałym płaszczyku królował: nad całą, rodziną, flaszek, jakby krotochwilny dziadunio. Umysły także były nalane szumom i dowcipa-

mi które tylko czekały na odkorkowanie. Goście po pierwszych ostrygach już postanowili, że ta biesiada musi stać się pamiętna., jako stypa, przy której

Ewaryst ma pochować i oplakać swoją kawalerską wolność. Zdawało się że to nietrudne, kiedy żadnemu z uczujących, a było ich do piętnastu, nie zbywało ani na rozumie, ani na światowym blasku.

A jednak zabawa jakoś nie szła. Najciekawsze przedmioty rozpraw nie chciały czepiać się umysłów. Najświatniejsze koncepta przechodziły niedość ocenione, co ich autorów do reszty kwasilo.

Biesiadzie brakowało warunku jednego, ale żywotnego: ręki sterującej. Trafiło się dziś jak na przekór, czego jeszcze nikt nie zapamiętał: gospodarz nie był w swoim złotym humorze.

Wiesław nieraz widywał go milczącym, ale nigdy smutnym, a był nim teraz. Tak, Tytus Odonicz, ów olimpijczyk niezmiennie promienny, był smutny po ludzku, a sprawiał tem przykrzejsze wrażenie, że od czasu do czasu podnosił oczy jakby przebudzony, przymuszał się do uśmiechu, do pół-żartów, i wnet czarne myśli znów nim owładały.

Różyć nigdy może nie uczuł głębszej do wuja sympatii, jak odkrywajne w nim tę człowieczą, stronę, ale reszta zgromadzenia zdawała się zniecierpliwiona. Nie śmiano gospodarzowi przymawiać, tylko zdziwione spojrzenia pytały: — Kiedy nas zaprosił, czemuż nas nie bawi? —

Wiesław sam nie był weselszy, czuł że się przykłada do ochłodzenia towarzystwa, i postanowił uwolnić je od swojej obecności, tem bardziej że nie mógł dnia zakończyć, nie pojawiwszy się chociaż na chwilę u pani Ireny.

Już też czas naglił. Z głębi doliny już wyrzucano pierwsze race fajerwerku, które jednak mdło wyglądały, w tych najdłuższych dniach roku, kiedy noc tak długo musi walczyć, zanim szczątki światła pokona.

Przystąpił do okna, dla pozornego przyjrzenia się ogniom, wyjął zegarek było już dobrze po dziewiątej wyszedł niby dla wydania służbie rozkazów, pędem przebiegł krytą aleję, i skoczył w jedną z setnych dorożek, tłumnie czekających pod bramami zakładu.

W parę chwil już dzwonił do drzwi, do których wczoraj wchodził tak radośnie. Dzisiaj wszedł z nieśmiałością, która jeszcze wzrosła, kiedy stanąwszy na progu karmazynowej sali, ujrzał obie panie na kanapie, złączone w nieskończonych uściskach.

Cecylia całowała matkę z pieśczołliwością małego dziecięcia, wynajdywała słowa kojące i najśłodsze nazwy. Matka oddawała jej uściski, ale w zupełnym milczeniu. Kiedy spostrzegłszy Różyca, pani Irena spojrzała dalej, jakby kogoś więcej szukając, i z przyciszonym jękiem znowu opuściła głowę, przez tę chwilę Wiesław mógł dostrzedz, jak mocno by-

ła zmieniona; oczy splakane, usta gorzko przycięte, cała twarz zdawała się o dziesięć lat zestarzała.

Cecylia także ku drzwiom oczy zwróciła, a nic widząc nikogo więcej, zwolna się podniosła, podała rękę Wiesławowi i rzekła:

— A więc sam? Słyszając, niespodziane już o tej godzinie, dzwonienie, sądziłyśmy... że może... wraca grzesznik pokutujący. A tymczasem to wraca niewinny. Cieszy mię jednak że pan przyszedłeś pomimo przymusu, którym, jak widziałyśmy, chciano pana oddalić. Pan jesteś dobry, lepszy.... od swoich krewnych.

— Łaskawe panie, — rzekł Wiesław, siadając ze drżeniem — nie myślę usprawiedliwiać mego wuja. Gdybym nie wiedział że był zawsze wzorem człowieka światowego, mógłbym go doprawdy posądzić o złe wychowanie, po dzisiejszem jego, raptusowem rozejściu się w Alejach. Jednak co do odwiedzin wieczornych, upewniam panie, że nie zła wola, ale zupełna niemożność pozbawiła go tak miłej chwili.

Tu szeroko rozpowiedział wyścigi, przesadzając natarczywość z jaką wuja zmuszono do wydania wieczery, malując jaskrawo niecierpliwosć gości i nagłosć godziny.

— Zresztą — kończył — wuj najlepiej sam się usprawiedliwi jutro, bo już co

jutro, to niezawodnie przyjdzie złożyć paniom swoje uszanowanie.

Na te słowa, pani Irena pierwszy raz podniosła oczy i lekki uśmiech rozjaśnił jej rysy.

Rozmowa szła dalej, chwytając się tych i owych przedmiotów, ale szła nieraźnie. Tu także panował chłodny przymus. Gość sam ponosił wszystkie trudy wymowy. Cecylia czasem tylko rzucała słowo roztargnione, nieraz nawet źle zastosowane. Pani Irena milczała jak zabita, tylko ciężkie i mimowolne westchnienia podnosiły jej piersi, widocznie przepełnione łkaniem.

Przyszła chwila ciszy tak nużącej, że Wiesław zapytał samego siebie, czy naprawdę nie jest natrętnym? Uczuł się zraniony spostrzeżeniem, że jego obecność nie wystarczała na rozradowanie Cecylii i że drobna, uboczna okoliczność, mogła tak ją, dla niego zmienić.

Wstał i dosyć sztywno pożegnał się z paniami, tem bardziej dotknięty, że go nie przytrzymały.

Kiedy przechodził koło ganku, serce mu się ścięło na widok uroczego ustronia, gdzie jeszcze wczoraj przeżył pamiętną godzinę.

— Jakże mało postępów uczyniłem w jej sercu, a raczej jakże się cofnąłem! — pomyślał boleśnie. — Dwadzieścia cztery godzin nie minęło, a ona już zupełnie inna, jakby nie owa Cecylia, ale jakaś jej siostra, z podobnym obliczem a odmienną duszą.

Dochodząc do progu, obejrzał się tęsknie, jak-

7

by chciał się jeszcze raz przekonać, czy to doprawdy ten sam salon i te same osoby?

Cecylia znowu całowała matkę po rękach i twarzy, i jak się zdawało, już tak zupełnie zapomniała o gościu, że nawet nie dostrzegła jego zatrzymania się na progu.

Opuszczając Dolinę Szwajcarską, miał Wiesław szczerzy zamiar tam wrócić. Ostatnie odwiedziny odjęły mu ochotę do wszystkiego.

Skierował się ku swemu mieszkaniu i kroczył posepnie przez Jerozolimską aleję, patrząc z roztargnieniem na ostatnie race, unoszące się w kierunku Doliny, na gwiazdy i księżyc, który dziś mu się wydawał wyblakły i bez wyrazu.

A jednak noc była cudna; poobiednia ulewa rozpędziła upał, bezchmurne błyskawice tryskały cicho na pogodę.

Wróciwszy do domu, Wiesław nie otwierał okna, nie poił się powietrzem, ani marzył.

Dostrzegłszy na biurku wczorajsze próby dziennika, odczytał je, zamyślił się żałośnie i p. od datą:

"Czwartek 7-go czerwca" dopisał znany dwuwiersz z piosenki Franciszka I-go.

"Souvent femme varie;

Fol est qui s'y fie."

A potem położył pióro, czując że mu się pod nie cisną słowa zbyt gorzkie.

— Trzeba — rzekł — jaknajprędzej zasnąć. Byle doczekać jutra. Jutro przecież wszystko odmieni. Jutro może wróci wczoraj!

IV.

"Każdy dzień ma dosyć swojej troski." — Ta prawda ewangeliczna mogła się stosować do dnia następnego, który zaświtawszy, przestał być różowem jutrem, aby, jak każde dzisiaj, przynieść swoją troskę.

Różyc dnia tego spychał sprawy biurowe z pośpiechem, który wszystkich zadziwił w

urzędniku znanym z sumienności. Spieszno mu było pójść i porwać wuja, a i gospodarzom jego należały się odwiedziny.

Przed trzecią godziną już był na Chmielnej ulicy, która, chociaż ciasna i pełna turkotu, ulubiona jest rodzinom przybywającym z prowincyi, i prawdę mówiąc, powinnyby się nazywać ulicą Obywatelską.

Jeden z piękniejszych domów był własnością państwa Moszkowickich, którzy razem z bratem zajmowali całe pierwsze piętro, podzielone na dwa mieszkania.

Wiesław, przeszedłszy schody, zawahał się między dwójgiem drzwi, umieszczonych po obu stronach sieni: dostrzegł na nich blachy; po lewej stronie stał napis Aleksy Moszkowicki, po prawej

Aloizy Moszkowicki. Tu więc zadzwonił, upewniony że to jest strona oddana wujowi.

Zaraz mu też otworzył Hubert, kamerdyner pana Tytusa, człowiek którego głowa, chód i ruchy dziwnie przypominały kunę. Są ludzie co umieją, się znaleźć w korcu maku. Odonicz miał ten dar rzadki: umiał zawsze sobie dobrać otoczenie, i dowiódł go nawet w wyborze kamerdynera. Hubert posiadał wszystkie niemal języki, przytem wszystkie wybiegi Molierowskie, wszystkie finezye wielkiego świata, dojrzone z za drzwi przedpokoju, nakoniec dyskrecją zdolną oprzeć się torturom i poświęcenie Seida.

Nikt pod słońcem nie znał tylu tajemnic z życia Odonicza, choć ten nigdy się z niczem Hubertowi nie spowiadał. Hubert umiał czytać z jego oczu, z jego krótkich rozkazów i z jego milczenia. Pytał się zawsze tylko tyle, aby nie przeinaczyć danych sobie zleceń, a były często niełatwe. Spełniał je przecież rozumnie i szybko, a, co stokroć ważniejsze, z miłością i dumą, bo swego pana uważał za Salomona i nieraz gniewał się na świat, że niedosyć ocenia człowieka, który powinien conajmniej nosić koronę.

I dobrze mu się działo z tym fanatyzmem części. Potrzeby duszy czuł zaspokojone, jak każdy co trafił na swoje powołanie, a w potrzeby ziemskie opływał dosyta, bo pan Tytus był hojny, w domu łagodny i miał rodzaj wdzięczności dla tych co go umieli odgadywać.

Wiesław jeszcze się bawił biczykiem i konikiem, a już widywał Huberta zupełnie takim, nie dzisiaj. Zdawało się że ten człowiek nigdy jak był młodym i nigdy się nie zestarzeje. Zawsze pod bronią, jakby się urodził w czarnym fraku, zawsze miał w oczach badawczy niepokój, a na ustach zawiedły uśmiech.

Trzeba przyznać, że Wiesław niewielką czuł do niego skłonność, a dziś Hubert jeszcze przykrzejsze sprawił na nim wrażenie, bo go przywitał niedobrą nowiną.

— Jest pan w domu?

— Jest. Ach, jakże nie ma być, kiedy chory! Rzeczywiście Wiesław zastał wuja rozpartego

na sofie, w pysznym palmiastym szlafroku, o purpurowych wyłogach, z ogromną turecką fajką w ustach; przy nim na stoliczku stało kilka flaszeczek i słoików.

— Co słyszę? Wuj chory!

— Rzeczywiście... nie wiem co mi się stało...

— A to prawdziwe nieszczęście! Cóż będzie z naszą wizytą?

— Jak widzisz, na dzisiaj nic z niej nie będzie. Wytłumacz mi przed temi paniami.

Wiesław stanął porażony. Strwożył się o całą swoją przyszłość, a po chwili, odrzuciwszy osobiste myśli, strwożył się naprawdę o zdrowie pana Tytusa.

— Wujaszek musiał wołać doktora, kiedy tu widzę tyle flaszek? '

— Nie tak prędko mam ja zwyczaj wołać doktora. To tylko pani Dorota, na pierwsze wspomnienie że jestem niezdrów, naznosiła mi kordyałów, kropel, potem słodczy

do zajęcia lekarstw, słowem całą swoją apteczkę, z sekretami od babki i prababki. Nie znam ludzi pocziwszych, gościnniejszych i... nieznosniejszych. Nie mogę zażądać szklanki wody, żeby mi zaraz nie wnoszono dziesięciu gatunków soku, win i różnych małmazj.

Wiesław jednak przyglądał się choremu i nie mógł dopatrzeć w nim najmniejszego śladu cierpienia. Pan Tytus wyglądał jak słońce. Przykro zwątpienie przebiegło myśl Wiesława.

— To mnie przynajmniej pociesza, że wujaszek tak dobrze wygląda.

— Cóż chcesz? Taka już moja natura. Choć się do trumny kiedyś położę, jeszcze nie będą chcieli me pochować.

— Jednak możebym poszedł po lekarza? Nie można wiedzieć, czy to nie jest co niebezpiecznego.

Pan Tytus silnie go przytrzymał za rękę, i z tym uśmiechem dwuznacznym, którego Wiesław nie lubił:

— "Nie chodź — rzekł — i nie bój się o mnie. Już ja umiera sam o sobie radzić. Pozwolisz cygaro?"

Wiesław, zapaliwszy cygaro, siadł na sofie przy wuju. Zapanowało prawdziwie wschodnie milczenie.

— Cóż mój pan siostrzeniec zapisał się do se-

ktę Pitagorejczyków. Czy wolno znać powód tego zaniemówienia?

— O, powodów jest wiele. Primo: zdrowie wuja...

— Ten powód się nie liczy. Przedmiot ogadany.

— Secundo: niepokój, czy wujaszek się nie gniewa, że wczoraj tak wcześniej opuściłem kolacją.

— Niepokój zbyteczny. Niby nie wiesz, jak lubię każdemu zostawiać świętą wolność? Albo się z nami nie bawiłeś dobrze, albo miałeś nadzieję z kim innym bawić się jeszcze lepiej. W każdym razie słuchałeś zdrowej logiki. Ten powód się znów nie liczy. Cóż jest tertio?

— Ach, tertio, to obawa, jak ja się pokażę u pani Ireny bez wujaszka. Nie uwierzy wuj, jak już wczoraj byłem źle przyjęty...

Pan Tytus powstał z sofę, założywszy ręce na piersiach, wpatrzył się w Wiesława i wybuchnął homerycznym śmiechem.

— Mój Wiesławku, czyś ty dzieciak, żeby ci trzeba przy damach pomagać? Przecież już sobie wyrobiłeś sławę salonowego czarownika. Przecież dotąd umiałeś krążyć między białogłowami, jak Tayllerand między mocarstwami. Patrzcie go! Wygląda jak Endymion, niby dumny jak Hipolit, rycerski jak król Artur, a potem przychodzi skarżyć mi się jak żaczek: "Aj, wujaszku, chodź zemną, bo ja bez wujaszka się boję, damy nie będą chciały na mnie patrzeć, jeszcze mię wypę-

dza." Wstydz się, chopcze! Ja w twoim wieku byłbym wyrzucił za dziesiątą górę wszystkich wujów i ciotki, coby mi się byli śmieli mieszać w moje plany.

Młodzieniec który nie umie walczyć, tylko z całą armią familijną za plecami, jest młodzieńcem zgubionym.

— Ależ wujaszek mię nie rozumie. Tu jest wyjątkowa okoliczność... tu niechęć wuja stawia prawdziwą przeszkodę...

— A to dziękuj Bogu że jest przeszkoda. Wyścigi do szczęścia tylko z przeszkodami dobrze

idą. Nie, nie, mój panie siostrzeńcze, choćbym nawet był zdrów jak ryba, jeszczebym nie poszedł z tobą, choćby dlatego jedynie, żebyś raz się nauczył sam sobie radzić na świecie.

Siostrzeniec był istotnie zakłopotany. Pan Tytus, mistrz we wszelkim fechtunku, czy na stal czy na słowa, zamiast odpierać zarzuty Wiesława, sam pierwszy mu je czynił, i sprowadził walkę na pole ironii, w której przeciwnik nigdy nie był mocny.

Widząc jak wuj coraz prędzej chodzi po pokoju i coraz gęściej rzuca słowa

drwiące, chciał przystąpić do niego solennie i otworzyć mu swoje serce. Ale w tej chwili, zamiast Wiesławowego serca, otworzyły się drzwi, w których stanął pan Aleksy; rozkrzyżował ręce i wykrzyknął:  
— Chodzącego zastaję! Nasz chory chodzi! Chwałaż Bogu! A co? Kordyały mojej pani żo-

ny czy nie mówiłem że lepsze, jak te lepki od szpilek, co to dziś chorym na końcu noża dają? A... i pan Wiesław! Cóż, hulało się wczoraj z wujaszkiem? Dobrze, dobrze, młodzież powinna hulać. Ale zdroweczko, jak widzę, nic nie ucierpiało. Krew z mlekiem, bravo! Żeby to nasz Ewarystek był taki! Gdzietam! Wczoraj zbałamuciliście go trochę, i dziś już zaraz mizerota jak śledź wygląda. Już kiedy chorować, to rozumiem tak jak pan Tytus: chory, chory, a wygląda jak pączek w maśle.

Na tę ostatnią uwagę, wyrzeczoną w prostocie ducha, panu Tytusowi tak się mocno śmiać chciało, że wstał i zajął się odmianą stroju.

— A to co znów? — wołał pan Aleksy, wsuwając mu napowrót palmiaste rękawy.

— Już niezadługo obiad, ubierani się.

— Dziś ci się nie dam ubierać, mój łaskawco. Pójdiesz jak jesteś. Choremu wiele wolno.

— Ale przecież damom tak się nie pokażę? Nie jestem znów taki chory.

Każdego innego byłby pan Aleksy przymusił, ale Odonicz tylko troszeczkę brwi nasunął, a już gospodarzowi ręce opadły.

— Rób jak chcesz, dobrodzieju. Co to za pyszność ten hałat! To musi ze sto rubli kosztować. Czy to u Persów kupowane?... Teraz przecie już mój pan gotów. Co to? Jeszcze jakaś flaszeczka? Larendogra? Fiu, fiu. Jakieś perfumy? A też mocne! I w apteczce mojej żony nic podobnego

niema. Doprawdy, tylko przeszedłeś koło mnie, panie Tytusie, a już jestem jak celebrant między kadzielnicami. Co też to ci Niemcy nie wymyślą!

— Na ten raz, panie Aleksy, to nie wymysł niemiecki, ale czysto angielski. Niema na świecie perfumów jak Atkinsona.

— No, co teraz, to już jak myślę, elegant skończony. Chodź, mój brylancie, po drodze powiem ci wielki sekret: pomimo piątku, dostaniesz rosołku, tak, tak. Moja żona nie lubi tych wybryków, ale dzisiaj sama zdecydowała dla ciebie tę receptę; choremu wiele wolno.

Tu Różyc wtrącił słowo:

— Jeżeli jeszcze nie zaraz państwo siadacie do stołu, chciałbym i ja złożyć moje uszanowanie.

— A choćbyśmy i siadali, to prosimy! Siądziesz z nami i z wujaszkiem.

— A już co to, to trudno. Przy pierwszej wizycie?

— A i czemuż nie? Czy to po polsku takie ceremonie? Gościowi wszystko wolno.

— Wszystko? Szanowny panie, już chyba nie zupełnie wszystko.

— A no, może masz i racyą, chłopcze. Jak to ci młodzi zaraz dojrzą filuterną stronę każdego słówka. Masz racyą powiemy: gościowi wiele wolno.

— Tak jak choremu?

— A tak, właśnie. Moznaby nawet, jak to w tym naszym paradnym panu Jowialskim, zro-

bić z tego przysłowie. Na przykład: Choremu i gościowi... nie, trzeba ich jakoś odróżnić. — Choremu w całym świecie a gościowi u nas.... Jaki tu u licha rym wymyślić?... Aha, już wiem!

"Choremu wszędzie, gościowi w "Warszawie, Wolno wszystko prawie."

— Bravo! zawołali obaj słuchacze, i śmiejąc się niby z poezyi, a wistocie z poety, przeszli za nim na drugą stronę sieni, gdzie wpadli w prawdziwy chaos.

Pani Dorota właśnie powracała z miasta. Wnoszono za nią paki i pakieciki, ostatnie pieczęcie wielkiego dzieła wyprawy.

Para narzeczona bawiła się, a raczej nudziła, krążąc od pokoju do pokoju, bo nigdzie nie można było długo wytrzymać, nawet gościa nie wiadano gdzie podziąć. Wszędzie panował ten niewymowny nieład, który poprzedza wielką uroczystość domową: w salonie zaprawiano posadzkę, w buduarzo zawieszano firanki, wszędzie ludzie w fartuchach kręcili się, tłukąc młotkami i przesuwając drabiny.

Okazało się najpraktyczniejsem pójść odrazu do jadalnego pokoju i zabrać się do zupy, którą i Wiesław musiał rad nierad spożywać, a nawet więcej uczył się rad, niż sam przewidywał, bo poczciwość gospodarstwa coraz milej głaskała go po sercu, jakby mu kto wygrywał stary menuecik,

7

wprawdzie z kilku nutami mocno sfalszowanymi, ależ i kurant dawnego zegaru nieraz, choć popsuty, słucha się a słucha.

Z wielką pompą, w osobnej ważce, przyniesiono dla pana Tytusa ów sławny rosół, na który i Ewaryst spoglądał pożądliwem okiem, bo dla wszystkich podana polewka piwna zdawała się niebardzo przypadac mu do smaku; całego też obiadu prawie nie tknął, wytrzymując grad nalegań z oczami skromnie spuszczone. Wprawdzie mocne jest podejrzenie, że idąc na ten obiad wstąpił do Boucquerella i spożył potężny beefsteck, ale teraz jego wstrzemięźliwość wyglądała na suszenie piątku, co niewymownie budowało zacne serce pani Doroty.

Wiesław także zdobył sobie jej łaski, choć zupełnie przeciwnym środkiem, bo swoim zdrowym apetytem i wdziękiem z jakim pochwalił pulchne, staroświecką modą smażone małdrzyki..

— Pan, jak widzę, — mówiła — choć młody, znasz się na prawdziwej, polskiej kuchni, a choć mądry, umiesz i o tem pięknie mówić. Ach, pomóż-że nam tą wymową w naszych bezsilnych prośbach u wujaszka. Wystaw pan sobie, taki chory i chce koniecznie jutro jechać! A przecież pojutrze wesele. Nie chcecie nam jednego dnia poświęcić, to prawdziwa obraza przyjaźni.

Wiesław, ma się rozumieć, pomagał całą wymową w naleganiu na wuja. Przypuszczono atak zupełny, na bagnety dąsów, na kartacze przycin

ków i ogniste bomby afektu. Pan Tytus wszystko wytrzymał, każdemu się odciął, i po półgodzinnej wrzawie, szturmujący utracili zupełnie nadzieję zwycięstwa.

— Jakoś mi się nie wiedzie — mówiła pół płacząc pani Dorota — z moimi godowemi zaprosinami. Nie pierwsza to odmowa, co mnie dziś spotyka. Wracając ze sprawunków, wpadłam do Irenki. Mój Boże, jak się też cieszyłam, widząc ja po tylu latach, i jeszcze taką piękniuchną, że ja wzięłam za jej własną córkę!

Naśmiałyśmy się z tej omyłki, ubawiły się jak królowę, cóż kiedy w końcu popsuka mi całą przyjenność? Odpaliła moje zaproszenie i to bez pardonu. Wymawia się żalobą; ależ to już jedenasty miesiąc, toby się i spowiednik nie pogniewał, że poszła do starej znajomej, tem bardziej że wesele będzie bez tańców, bo nasza Helenka tak chce koniecznie. Wprawdzie ja lubię jak u nas tańczują, ale na ten raz, kiedy ona heroiną fety, niech sobie według swego widzimisie rządzi.

— Moja mamó — przerwała panna Helena — dzisiaj nikt już nie urządza tańczących wesel, zwłaszcza w mieście. Cest mauvais genre. N'estce pas, monsieur Evariste?

— A naturalnie! — potwierdził pan Ewaryst, i zahukana matunia umilkła.

— Wiec pani Pełkowa — zapytał nagle pan Tytus — odmówiła, stanowczo zaprosili pani na wesele?

— Stanowczo, najfatalniej stanowczo. Błagałam, całowałam, prosiłam, żeby choć córeczce pozwoliła, nic nie pomogło. Ona taka akurat jak i pan uparta.

— Otóż pani dowiedę, że nie jestem tak jak tamta pani uparty. Zmieniam

postanowienie, zostają na uroczystość niedzielną.

— Wiwat! Mech żyje pan Tytus! Niech żyje przyjaźń i poświęcenie!. Tak wykrzykiwano wkoło stołu; sygnęły się podziękowania i uściski; pan Aleksy kazał przynieść bociankę ze starym węgrzynem, szły toasty na cześć: "naszego dobrodzieja i luminarza!" Dalej zdrowie "narzeczonych," zdrowie "gospodarstwa" i t. d. Zajaśniał dobry humor, nawet Ewaryst rozruszał się przy węgrzynie, nawet panna-Helena rozpromieniła się na myśl, że król warszawskich elegantów będzie, ja prowadził do ołtarza.

Jeden tylko Wiesław nie uległ ogólnemu rozradowaniu. Nagła zmiana w postanowieniu wuja dziwiła go, niepokoiła i naprowadzała na domysł, że unikanie pani Ireny miało głębsze niż sądził przyczyny. Kilka razy utkwiał w panu Tytusie wzrok badawczy, a, ten mu odpowiedział owym niedobrym uśmiechem, który spokojnemu zwykle Wiesławowi przypominał że i on ma nerwy. Po obiedzie, kiedy zaczęto oglądać klejnoty i koronki wyprawne, wymknął się nieznacznie

i podążył ku "swoim paniom," jak już je w duszy nazywał.

Przez drogę buńczucznie sobie powtarzał nauki niedawno słyszane: "Cóż to, chłopcze? Czynie umiesz sam łuku Amora naciągnąć? Czy jedno skrzywienie wujaszka ma zaraz cięciwę zerwać? La fortune sourit aux intrepides... Nihil desperandum... i tym podobne maksymy, wymyślone przez wszystkich ludów fantazyje, aby ludziom dodać fantazyi.

To też z dobrą miną dzwonił do drzwi pani Ireny. Ale już się zachmurzył, kiedy otwierający Sebastyan zmierzył go wzrokiem niepewnym i zająknął się, mówiąc że "nie wie czy panie są w domu, lub czy przyjmują." Nakoniec poszedł się dowiedzieć.

Wnet w jadalnym pokoju zaszeleściła suknia, i głos panny Cecylii, źle przytłumiony, zapytał:

— Aha, pan Różyc? Czy sam?

— Sam, proszę pani.

— To niech Sebastyan powie, że pani chora, me przyjmuje.

Tu Wiesław nie mógł wytrzymać i przez drzwi niedomknięte zawołał:

— Sam, łaskawa pani, ale z interesem. Pozwól mi tylko pani trzy słowa powiedzieć, a potem już się nie będę naprzykrzał.

Tu drzwi przed nim otwarto; wszedł do jadalnego pokoju, gdzie zobaczył Cecylią, stojącą, pod oknem, z twarzą, surowszą, niż ją kiedykolwiek.

widział; nie przypuszczał nawet, aby mogła mieć tak surową.

Nie prosiła go siedzieć, rękę niechętnym ruchem podała, a wzrok zdawał się pytać, jaki to "ów interes?"

— Wybacz pani to gwałtowne wdarcie się do jej progów, ale jakże mógłbym odejść, nie usprawiedliwiwszy się z pozornego niedopełnienia obietnicy? Jeżeli wuj nie przyszedł, to jedynie dla nagłej choroby. Tak, pani, zachorował nam dzisiaj, i to mię nawet mocno niepokoi. Mam przecież nadzieję, że źle prędko ustąpi, i wiem na pewno, że gdy tylko zdrowie mu pozwoli, wuj pośpieszy swój hołd paniom złożyć.

— Już co o tem, to niech mi wolno będzie wątpić, — przerwała z goryczą Cecylia.

— Nie wiem czy starczy mu czasu na owo złożenie hołdu, bo dziś choruje, a jutro wyjeżdża. Tak, tak, panie, jesteśmy lepiej uwiadomione, niżeliby kto sądził.

— Już rozumiem! — zawołał Wiesław. — Pani Moszkowicka dziś tu była i przyniosła paniom te wiadomości. Ale ja przynoszę świeższą, mój głos jest telegramem, co zawiera Ostatnie wiadomości. Mój wuj zmienił zdanie: zostaje na niedzielne gody, a zapewne i na dni następne.

— Czy tak? — podchwyciła Cecylia i zapadł w nagłe zamyślenie.

— Tak, pani, ma być nawet pierwszym drużbą.

— Więc zostaje! — powtórzyła znowu Cecylia,



a jej oczy błysnęły płomieniem, który zastanowił Wiesława.

— Jaka szkoda, — wtrącił, po chwili milczenia — że panie się nie dały namówić na tę uroczystość! Dla mnie traci ona przez to swój największy powab.

Sądził że podobnym słowem wywoła przynajmniej uśmiech na usta Cecylii; ale uśmiech się nie pojawił.

— Cóż robić? — odpowiedziała posępnie. — Matka moja nie życzy sobie i nawet nie może, bo także jest cierpiąca. O, już co ona, to prawdziwie chora. Ja też nie mogę jej opuszczać i teraz nawet...

Tu z za paska dobiła zegarek, a spojrzawszy:

— Ach! — zawołała — oto właśnie godzina, w której mam lekarstwo mamie podać...

Zmieszany Wiesław pożegnał ją ukłonem. Cecylia szybko odbiegła, ale we drzwiach zwróciła jeszcze głowę, jakby żałowała swego chłodu; oczy jej zamglily się rzewnością, która młodzieńcowi przypomniała onegdajsze wejrzenia. Raz jeszcze wyciągnęła do niego rękę, mówiąc:

— Wybacz pan, ale do chorej matki trudno się nie śpieszyć. Zresztą, przecież się znowu niezadługo zobaczymy, nieprawdaż?

Tu figlarnie główkę przechyliła i znikła za szkarłatną portyera salonu, sądząc pewnie że zabalsamowała wszystkie rany Wiesława.

On jednak był wzburzony; gniewał się... sam

nic wiedział czy na siebie, czy na nią. Widział z upokorzeniem, jak chciano go się pozbyć grzecznie, a nawet ledwo że grzecznie.

Wyszedłszy na ulicę, czuł że mu trzeba zagłuszyć czarne podszepty hipokondryi, zapragnął ludzi i jakiegokolwiek zmiany w myślach.

Ale dnia tego nic mu się nie wiodło. Wstąpił do kilku znajomych, żadnego nie zastał. Pojechał w Aleje, nikogo z młodzieży nie spotkał, z nikim i nigdzie się niemógł zabrać. Wieczorem przyszła chwila, kiedy uczył że już nie można dłużej bić się z samotnymi myślami, i postanowił wrócić do wuja. Spostrzegł nawet że najprostsza troskliwość nakazuje mu ten obowiązek.

Jeżeli w jakiej mitologii istniał kiedy Bózek zdziwienia, musiał on wyglądać, jak wyglądał Różyc w chwili, kiedy Hubert zatrzymał go we drzwiach słowami:

— Pana niema, od godziny wyszedł.

— Jakto? Taki chory i wyszedł?

Zapewne pan Tytus nie przewidział powtórnych odwiedzin siostrzeńca i nie ostrzegł Huberta, jak ma odpowiadać. Ten jednak po zdziwieniu młodzieńca zmiarkował, że sprawa niejasna, i dodał:

— Pewno się pan wybrał do jakiego doktora.

Mówił głosem przekonywającym, ale jednocześnie oczy jego mignęły uciechą człowieka, co rad jest zadrwić z dobrodusznych gości.

Wiesław miał na ustach tysiąc pytań, spostrzegł

przecież jak niegodną, byłaby podobna inkwizycya i odszedł ze spuszczone głową..

Herbatę wypił w cukierni, gdzie nie dojrzał ani jednej znajomej twarzy, a wróciwszy do domu, w dzienniku nie zapisał ani jednego słowa.

Nieprzywykła jeszcze do rozczarowań, dusza jego zaniemówiła.

## V.

Nazajutrz Wiesław powziął od rana wielkie postanowienie. Przyobiecał sobie przez cały dzień, tak jest, przez cały, nie pokazać się u pani Ireny.

— Niech też — powtarzał — i panna Cecylia troszkę poczeka. Niech się choć jeden dzień zatroska

o swego zbyt wiernego sługę.

W rannych godzinach praca urzędnicza ułatwiła mu wytrzymałość. Wychodząc z biura, już rozmyślał nad trudnością, dotrzymywania ciężkich postanowień, kiedy na Saskim placu usłyszał kilkakrotne za sobą wołanie, obejrzał się i spostrzegł Ewaryata, który wywijając cienkimi nóżkami i trzciniową laseczką, doganiał go z lekkością, polnego konika.  
— Postój-że, Wiesławie, choć chwilkę! A jaki też idziesz zadumany! Już gonię cię przez całą. Wierzbową, żebyś się też choć raz obejrzał. A wła-

śnie ciebie pragnąłem dzisiaj spotkać, nikogo bardziej jak ciebie. Gdziez idziesz?

— Tu zaraz, do restauracja Francois na obiad.

— A to bardzo dobrze, pójdziemy razem, opowiem ci zdarzenie które mi się wydaje bardzo dziwne i sady że ty jeden możesz mię objaśnić. — Wystaw sobie — mówił dalej, zasiadłszy z Różycem do stołu — przed godziną wstępowałem do Bardeta, a to, mówiąc nawiasem, w interesie za który ty, jako młodzieniec sławnie chevaleresque, powinieneś mię pochwalić. Wiesz że jutro, po weselu, o jedenastej wieczorom, wyjeżdżamy sznelcugiem wiedeńskim do Paryża; otóż ja na wsiadaniu do wagonu chcę ofiarować pannie Helenie, wówczas już mojej szanownej małżonce, bouquetmonstre, w którym będzie schowana paryzka bombonierka, a w tej bombonierce jeszcze jest skrytka na brylantowy fermoir. Rozumiesz: koncept genialny i którym pewnie zdobędę sobie odrazu łaski żony, niż gdybym po waszemu siedem lat nadskakiwał. Otóż, chcąc dopilnować wykonania tego arcydzieła, zaszedłem raz jeszcze do Bardeta. Stoję sobie w bocznym zagłębieniu, tam gdzie to wielka szyba prezentuje publiczności najponętniejsze okazy, kiedy spostrzegam jak wujaszek pański zajężdża i staje przed sklepem. Nie zdziwiło mnie to bynajmniej, bo jako pierwszy družba, ma obowiązek dać Helence ślubny jej bukiet. Wchodzi tedy pan Odonicz z wielkim trzaskiem. Co to jest mieć taką, królewską, mino! Zaraz wszyscy

sklepowi mnie chudzinę porzucają, a biegną, do niego, choć ja przecie niegorzej płacę. — Czy gotowe moje kwiaty? — odzywa się takim głosem, jakby Napoleon do swoich marszałków. — A jakże — odpowiadają — gotowe i bardzo efektowne. — Schowany za parawanik z doniczek, patrzę co też to będzie tak efektownego? Przynoszą... nigdy nie zgadniesz... wieniec z róż białych i gałązek cyprysu. I to nie wianek, ale prawdziwe wianczysko, duże oto jak ten stoliczek. Cóż u licha, myślę sobie, czy chce moją narzeczoną obdarować wróżbą wdowieństwa? Czy szuka ze mną pojedynku? — Nasz pan Tytus łaskawem skinieniem głowy pokazał, że wieniec mu do gustu przypada, kazał go ładnie owinać, zapłacił, zabrał, wychodząc obejrzał się jeszcze i dodał: Proszę pamiętać o moim bukiecie na jutro. A kiedy wsiadał, -słyszałem jak zawołał do stangreta: Jedź na Powązki! — Nie wierząc własnym uszom, zapytałem się sprzedających: Powiedzcie mi państwo, do czego mogą służyć podobne wieńce? — Do ubierania grobów — była odpowiedź, a ja, co już od dziesięciu lat nie pamiętam abym się czemu dziwił, na ten raz otworzyłem wielkie oczy i do tej chwili je otwieram.  
— Prawda że to dziwne, odparł zamyślony Wiesław.  
— W każdym innym człowieku — ciągnął dalej Ewaryst — taki sentymentalny wybryk byłby zrozumiałym. Ale Odonicz, którego wszyscy

7

uważamy za wzór praktycznej filozofii, ów bezwyznaniowy, bezsercowy mędrzec, co życie zwykł brać z jego słonecznej strony, żeby ten człowiek osobiście obstarowywał wieńce i woził się z niemi po cmentarzach, to jest coś niepojętego, to nawet przeciw jego własnym zasadom grzech nie do darowania. Musi się pod temi różami i cyprysami ukrywać jakaś tragiczna historia. Opowiedz mi, mój Wiesławie, bo to chyba dramat, jakiego świat nie widział.

— Uwierzysz mi, albo nie uwierzysz, panie Ewaryście, ale ci zaręczam, że ani na jotę nie wiem więcej od ciebie, a co do zdziwienia, to moje pewnie największe. Już to ja mu za grzech nie poczytam owego, jak nazywacie, sentymentalnego wybryku. Wszystko zależy od stanowiska, z jakiego się zapatrujemy na czas i wieczność. Owszem, w moich oczach wuj niesłychanie zyskuje, kiedy zdolny jest przynieść taki dowód rzewnej pamięci dla jakiejś ukochanej i opłakanej istoty; chociaż doprawdy nigdy nie słyszałem, aby poniósł jaką ciężką stratę.

— W każdym razie, mój Wiesławie, zgrabnie wybadaj wujaszka, a potem udziel nam odkrycia, bo to dla nas młodych będzie z niemalą korzyścią duchową..

— Chcesz żartować, panie Ewaryście, a pod kształtem żartu wielką wypowiadasz prawdę. Istotnie, dla tych co mego wuja uważają, za ideał filozofa bezwyznaniowego i chcą we wszystkim

wzorować się na nim, byłoby nieobliczoną zdobyczą duchową, gdyby odkryli, że ten arcy-pozytywista wierzy jednak jeszcze w zagrobowe tajemnice. To tylko szkoda, że sam jest chodzącą tajemnicą, i bardzo wątpię aby się znalazł kto na zwiecie, komuby otworzył ten grób w sercu zaklęty. Bo też to dziwny człowiek! Każdy z nas przecie potrzebuje się czasem życzliwej duszy a wierzyć, podzielić wrażeniami, porównać swoje zdanie z obcym; czasem nawet, choć nie chcemy się zwierzać, lubimy aby nas pytano i podejrzewano, dla samego pochwalenia się, żeśmy byli bohaterami ciekawej przygody. On nigdy. Drugich to umie słuchać, zachęcić, objaśnić, a sam nic potrzebuje ani rady, ani nawet zamiany myśli. Ja przecie rodzony siostrzeniec, a jeżeli wiem cokolwiek z jego życia, to tylko przez moją matkę, albo przez głos powszechny. Próbowałem kilka razy go badać, a zawsze postawił się jak człowiek, któremu nic ważnego nigdy się nie wydarzyło i który, choćby chciał, nie ma co opowiadać.

— Ale bo też — zawołał Ewaryst — widać że nic umiesz go zażyć z niańki. Jakże być może, aby taki człowiek nie miał stu tysięcy awantur w swoim życiu, i abys ty, jego faworyt, choć jednej z niego nie wyciągnął? Słyszeliśmy, panie Wiesławie, że jeszcze chodzisz do spowiedzi, fakt u młodego człowieka dziś rzadki i który nieraz nam się wydawał zbyt cennym; dziś jednak widzę

że może być przydatny, bo przecie musiałeś się napatrzeć, jak to się sumienia otwiera.

— Ej, panie Ewaryście — zakończył Wiesław — powstając od stołu — przy obrządku do jakiego się gotujesz, sądzę że i ciebie, jutro jeśli nie dziś nawet, czeka ten fakt, który nazywasz zbyt cennym... Idź obrachować się z sumieniem, a ja pójdę spowiadać wuja, chociaż zdaje mi się że mój penitent będzie krnąbrny i głuchoniemy.

W kilkanaście minut później Rózyc pytał:

— Cóż, Hubercie, pan zdrowszy?

— A jakże, proszę pana, dzięki Bogu zdrowiu-sieńki. To też go i niema w domu. Jak wyszedł o dziesiątej zrana, tak cały dzień bawi na mieście; ale go tylko patrzeć, bo mówił że wróci przed wieczorem. Państwo Moszkowiccy już dziesięć razy o niego się dowiadywali.

— Kiedy mówisz, Hubercie, że go tylko patrzeć, to nie mam po co odchodzić.

Poczekam na wuja.

Wiesław rozgościł się w drugim pokoju, a wyczekując, chciał ze ścian i sprzętów odgadywać przyzwyczajenia właściciela. Dziwnie mu jakoś ponuro i zaniedbanie wyglądało to gniazdo półbożka. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że prawdziwym mieszkańcem tej komnaty był nie pan Tytus, ale pan Aloizy Moszkowicki, którego nie znał, a którego teraz wyobraził sobie jako starego kawalera i wygodnickiego, co miarkował po głębokości mebli wysiedzianych, zieloną skórą, obitych, po olbrzymiej fajczarni, której półko-

le jeżyło się całym batalionem kosztownych cybuchów, po starej serwantce, dźwigającej wazo i czarki do pończu, a nakoniec po kilku bardzo pięknych, ale odwiecznych sztychach, z których jeden przedstawiał królową, Wiktoryą, młodziuchną, w koronacyjnym stroju, drugi Lole Montez, z maską i szpicrutą w rękę, trzeci Mickiewicza, dumającego na skale.

Wszystko to chmurzyło się ową niby rdzą, niepochwytą, która osiada na mieszkaniu nawet najpiękniejszym, jeśli nie bywa często odnawiane.

Wszystko zaś co błyszczało, co nosiło oznaczony koloryt, musiało należeć do tymczasowego lokatora. W kącie migotał od skówek i zamków lekki angielski kufer, na którym kartki wszelkich kolorów opowiadały nazwy wszelkich stolic Europy. Pod oknem otwarta, prześliczna szkatułka podróżna, roztaczała swoje składane zwierciadła, misterne kryjówki i srebrem okuwane flakony.

Na biurku leżał rozrzucony stos papierów, od których Wiesław uczciwie już odwracał oczy, gdy między niemi dostrzegł puzderko, w pośpiechu jak widać zapomniane, bo nawpół otwarte, w którym na amarantowym aksamicie spoczywała nadzwyczaj świetna miniatura.

Ze złotego pierścienia ramki wychylało się, do pół postaci, wyobrażenie pysznej i groźnej brunetki. Owal klasyczny, nos rzymski, usta szkarłatne, a nad tem wszystkim oczy pełne ognia, wydające się zbyt ogromnymi, co jednak mogło być poło-

nem na karb miniaturowej roboty, której właściwością, jest zwykle przesada w zaokrągleniach.

Ubranie, choć bez świecideł, wyglądało na kostium. Wokoło włosów, z których sadze zdawały się sypać, nad niskim czołem, wystrzelał dwiema gałązkami ciemny wieniec dębowy. Biała chlamyda spadała na piersi, odsłaniając śmiało, może nawet zaśmiało, jędrną szyję i ramiona, które miały połyski atlasu i spizu. Ręka, obnażona aż po kłamrę naramiennika, trzymała sierp złoty, a jego ostrze migotało wązko, jeszcze jednak mniej tnąco, niż uśmiech tego oblicza, którego nie można było zapomnieć, jakby wyrzutu sumienia.

Wiesław sadził z początku, że to jakiś wizerunek z czas ów Dyrektoryatu, i dziwił się niesłychanej świeżości przechowanej w farbach, a razem z przypuszczeniem takiej daty, zaczął wnioskować, że pan Aloizy musi być jeszcze starszy niż mniemał, gdy nagle na pokrywce puzderka dojrzał napis wytłoczony w safianie:

"Al divino mio carissimo Tito."

— Aha! zawołał, więc to własność wujaszka! Musi być niemało takich portrecików w tym kufrze i w skrytkach podróżnej szkatułki.

I przestał badać przedmiot, który miał dla niego urok pięknej ruiny, dopóki go w myśli splatał z nieznanym bohaterem i za tło mu dawał tajemnice wieku minionego; teraz widział w nim tylko jeden z tuzinkowych kaprysów rodzzonego wu-

ja, jeden z fabrycznych wyrobów nowoczesnego arcyzmu.

A jednak, dziwnym ciągnięty magnesem, ledwie odszedł od biurka, wrócił znowu i zapatrzył się w miniaturę, już nie dla odgadywania jej dziejów, nie dla sądzenia jej ze stanowiska sztuki, ale dla nasycenia oczu rodzajem piękności, której między żyjącymi zawsze dotąd unikał, i nawet w obrazie patrzył na nią z trwogą. Wszystkie zle pokusy, jakie mu kiedykolwiek drogę zaszyły, wszystkie na niego patrzyły z tych oczu, tem silniejsze, że spotęgowane w jedną postać. W jej przynętach mało udziału brała dusza, tem mniej udziału brało serce, a jednak wybuchały z niej żary, od których widzowi krew kipiała. Można było pod tym portretem, zamiast imienia, podpisać: Namiętność.

Wiesław czuł jak wszystkie burze, które zwykł żelazną wolą na wodzy trzymać, podnoszą się w nim i buntują, a jednak patrzył. Strofował się za miękkość z jaką pozwala bujać swojej wyobraźni, bo wiedział że ona w chaosie żądz jest

niebezpieczniejszą jeszcze niż serce; gniewał się na siebie, jednak patrzył. Nakoniec zakrył oczy i pomyślał gorzko:

— Na cóż się przyda przez całe lata hartować duszę i oczy, jeżeli potem jeden martwy obrazek burzy całe rusztowanie zasad? Cóżby dopiero było, gdyby rzeczywistość pod taką postacią przyszła kusić?

Mylił się jednak Wiesław. Ta sama postać żyjąca nie byłaby go może tak wzruszyła, jak w arcydziele pendzla. Bo to jest i chwała, i zakała wszelkich sztuk plastycznych, że idealizując postać ludzką, umieją, tak najwyższe jak najniższe skłonności rozbudzać nieraz silniej, niż sama rzeczywistość.

Wśród tych rozmyślań usłyszał dzwonienie i wyrzwał do przedpokoju, spodziewając się wuja, ale we drzwiach od sieni spostrzegł z wielkiem swoim podziwieniem siwego Sebastjana, który, trzymając list w ręku, certował się z Hubertem.

— Można zostawić — mówił ten ostatni z uśmiechem — jak list od damy, to się zawsze przyjmuje.

— Nie, nie, odpowiedział tamten, mnie kazano go oddać do własnych rąk pana Odonicza. Kiedy go niema, to wrócę później.

Tu spostrzegł zagląającego Wiesława i szybko cofnął się za drzwi, a gdy ten wolał za nim: — Jak się masz, Sebastyanie? Cóż to za interes? Przecież mnie możesz list powierzyć — Sebastyan zawołał z pół piętra: — Nic. jaśnie panie, nic pilnego... Już ja tu wrócę inną razą. I puścił się, dudniąc po schodach, a Hubert rzucił ku Wiesławowi spojrzenie znaczące i uśmiechnął się dyplomatycznie, tak że młodzieniec pomyślał:

— Czyby te panie prowadziły z wujem korespondencya o której nic nie wiem? Ach to i lepiej, może na tej drodze przyjdzie łatwiej do porozumienia.

I znowu kroczył po samotnym pokoju, teraz już nie tak samotny, bo obraz Cecylii chodził za nim cichym lotem anioła stróża.

Ale tam na biurka miniatura zdawała się naśmiewać śmiechem Kleopatry, jakby mówiła:

— Piękny chłopcze, twój anioł z nieba przyszedł, nie zaprzeczam, i może ci przyniesie niebo; a jednak ci to nie wystarczy, bo na ziemi najmocniejsze są, prawa ziemi. Cecylia może da ci zrozumieć szczęście, ale nie da ci pojąć czym jest rozkosz, a to wielkie i dotąd nierozwiązane zadanie, która z tych dwóch szal więcej w życiu ludzkim waży?

Wiesław usiłował odpowiadać własnym myślom: Znam was, głosy kłamliwe! Rozkosz? Ziemia? To wszystko złuda i znikomość.

— A jednak, dodał, stając znów przed wizerunkiem, czyż ja nie sądzę, jak ślepy o kolorach? Pogardzam rzeczami, których znać nie chciałem. Ale gdybym zaznał, czybym jeszcze gardził? Zakazane owocemusza. mieć jednak w swoim jadzie słodycz z niczem niezrównaną, kiedy ci co jej zakosztowali, wszystko za nią oddać gotowi.

Tu pochwycił puzderko i poniósł bliżej oczu.

— Zdaje mi się, mówił, że takiej kobiety nigdy nie mógłbym pokochać, ale nic wiem czybym się jej skinieniu mógł oprzeć..

I już ustami chciał musnąć połyski malowanego ramienia, kiedy dzwonek powtórnie zadrgał i wnet do pokoju wszedł pan Tytus.

Siostrzeniec szybko postawił miniaturę i zarumienił się, jakby go kto zszedł na zabronionej schadzce. Jego wzruszenie zastanowiło wuja; obejrzał się badawczo, spostrzegł otwarty wizerunek i szepnęła, brwi marszcząc:

— Ach... zapomniałem schować... szkoda.

— Dlaczego szkoda? Przecie raz podpatrzyłem jedną z tajemnic wujaszka! Przepraszam za patrzyenie, ale cóż ja winien że była otwarta i taka piękna? Bo

już co to, to trzeba przyznać. Nie próżno wuj słynie z gustu. Piękna, że aż strach... doprawdy strach.... już jaby się bał takiej kobiety. Wiesław umyślnie wynajdywał nagany, aby wmówić w siebie wstręt do miniatury, mocno jednak zasmucił się, widząc jak pan Tytus, ciągle chmurny, zamyka ją i niesie do szkatuły.

— Już wujaszek chowa? I to tak głęboko? Aż na dwa spusty? Oho, nie przypuszczałem aby wuj umiał być zazdrosny.

Wuj obejrzał się na niego ze smutkiem i powagą.

— Czemuż to, rzekł, nazywać zazdrością? Nie może być mowy o podobnym uczuciu wobec grobów. To nie zazdrość, ale uszanowanie.

Wiesław na te słowa także nagle spowaźniał, przystąpił do pana Tytusa, ujął jego rękę i do ust ją poniósł, a gdy ten spojrział na niego z po-dziwieniem:

— Tak — rzekł — ja wujaszka od tej chwili dwa razy wiecuj kocham.

— Za co? Bardzo mie to cieszy, ale za co?

— O, długoby o tem mówić! Zawsze miałem wuja za człowieka z charakterem szlachetnym, który nikomu złego nie wyrządzi, a dobre owszem gdzie może czyni, ale nie z zasady, tylko tak....

jakby to powiedzieć? przez rodzaj duchowego epikureizmu, dla przyjemności czynienia dobrze. Miałem wuja za wielkiego artystę w sztuce życia, ale z tem wszystkim, i właśnie dlatego, za człowieka z sercem wyschniętem i z myślą zajętą jedynie tem doczesnem życiem. Czy wujaszek się nie gniewa?

— Bynajmniej. Słucham owszem z ciekawością twoich wrażeń. Chciałem się takim wydać w oczach ludzkich i widzę że dopiąłem celu.

— Otóż, wuju drogi, dzisiaj zmieniłem zdanie, przynajmniej w części. Nie wiem dlaczego wuj się chce w oczach ludzkich takim wydawać, ja przecież widzę że w gruncie jest innym. Człowiek co z uszanowaniem, ze czcią spogląda na groby, musi mieć wiarę w inne życie.

— O mój Wiesławie, to niekoniecznie. Można bardzo szanować groby, czcić pamięć umarłych, a przecież o dalszym ciągu mieć swoje od rębne przekonania.

— Dlaczego się, wujaszku, zapierasz tego, co ci z oczu patrzy? Doprawdy że w tych oczach coś prześwieca, jak łza... Szanować groby musi każdy

7

uczciwy człowiek, ale stroić je, przynosić na nie podarki pośmiertnej miłości, potrafi tylko ten, co przypuszcza że duch zmarłej osoby może widzieć te oznaki hołdu, bo inaczej byłoby to czystem dzieciństwem, jakąś teatralną paradą.

Wujaszek patrzy zdziwiony, a co? Nieprawdaż że mam słuszność i że można przypuszczać mocną wiarę w takim co jeździ na Powązki, z wieńcem róż i cyprysów?

— Cóż to znaczy? — zawołał pan Tytus z lekkim ruchem oburzenia. — Zkąd ty wiesz to wszystko? Od innego nie dziwiłyby mnie podobne podejścia, ale od ciebie, Wiesławie! Ja nie lubię, nie cierpię kiedy mnie kto szpieguje.

— Wuj przecie zna mię nadto dobrze, aby na prawdę czynić mi taką, wymówkę. Ale jeżeli wujaszek chciał mi dokuczyć, to i ja też zemszczę się przestroją, że jeśli kto chce zachować zupełną tajemnicę, powinien lepiej jej pilnować. Nie ja, ale jeden z moich kolegów wypatrzył, jak wuj kupował u ogrodnika ów wieniec i kazał się wieźć na cmentarz. Więc naturalnie do mnie z pytaniami, zaklęciami, abym wytłumaczył o co chodzi; a ja tu jak wrogu. Można sobie wystawić, ile między młodzieżą z tego powodu przekąsów, domysłów i uśmiechów. Ja zaś wyniosłem tylko przekonanie, że wuj jest jeszcze lepszy niż sądziłem, że musiał kiedyś bardzo kochać i bardzo cierpieć.

— Jakto, mój Wiesławie, i ty dopiero dzisiaj

zdobywasz to przekonanie? Ach, jakież z ciebie dziecko, a raczej jakaż w tobie prawdziwa młodość! Czyż dlatego że się kto nie skarży, to dowód że nie cierpiał?

Przeciwnie. Zupełnie przeciwnie! Ci, na których cierpienia jest jeszcze lekarstwo, żalą się i szukają ratunku. Ale ten co cierpi z własnej niejako winy, z krwawej w życiu omyłki, z niepoznania się na sercach ludzkich, po co mu skarga? Jedni mu odpowiedzą: "Sam sobie winę przypisz." Drudzy powiedzą: "Wielka rzecz! Każdy z nas przebywał ciężkie przejścia, a jednak żyjemy." I prawda, żyją, ale jak? To tylko wiedzą ci, co już schodzą w drugą połowę życia. Czy ty sądzisz że wesołość, dowcipkowanie oznaczają szczęście? Czyż człowiek w moim wieku żyje jak młodzik, jak trzpiot nigdy niesyty, bez jakichś gorzkich przyczyn, co zwichnęły jego powołanie? Gdyby wszystko szło jak iść powinno, czyżbym nie miał własnego gniazda, poważnego celu życia? Ale ja żyję z dnia na dzień, byle resztę tych dni już zepchnąć, a choć samotność, smutek i rozmyślanie nęcają mnie jakby pokusy, uciekam od nich i odurzam się między ludźmi, bo w samotności czuję... że mógłbym zwaryować.

Śluchając tych niespodzianych wyznań, Wiesław był jak człowiek co wchodząc na rozkoszną, zieloną górę, odkrywa nagle u jej szczytu wypalenisko czarnego krateru i woła, cofając zapęd z przerażeniem: "Cóż tu się dziać musiało, nim te

żuźle wystygły, nim na ich popiołach wyrosły całe drzewa!"

Ta chwila była dla młodzieńca jednym z potężnych objawień życia, to też chwycił się oburącz za głowę, zatroskał się głęboko przewidywaniem przyszłości, co dla każdego z nas, pod różowym płaszczem, tyle chowa cierni, potem przystąpił do pana Tytusa, który ze zwieszoną głową rzucił się na sofę, i chwytając go za obie ręce, mówił z rozrzewaniem:

— Śluchaj, mój wuju... zamłody jestem, aby się wdawać w rady; jednak czasem i dziecko może dobrą myśl nasunąć. Otóż mnie się zdaje, że wujaszek nie umie się leczyć. Zupełna samotność, albo towarzystwo ludzi obojętnych, równo są dla zbolącej duszy niezdrowe. Czyby nie lepiej wybrać sobie kilka serc życzliwych, ale to prawdziwie życzliwych, przed którymi można zdjąć ową maskę wesołości, co przy końcu musi strasznie ciążyć?

— I po co? Aby obudzać litość? Ja nie chcę być żebrakiem serca. Boleść powinna mieć swoją godność.

— Ach wuju, litość a współczucie tak od siebie różne, jak niebo od ziemi! I największy mocarz, bez przyjaciół, będzie nieszczęśliwy.

— I cóżby mi pomogli? Tego, co się stało, nie odrobnią.

— A choćby i nic pomogli, to zabalsamują wszystko co zranione. Zresztą przyjaźń sama

przez się daje szczęście, przy którym można zacząć niejako nowe życie.

— Cóż mam robić, Wiesławie? Przyjaźni się nie szuka, ale się ja spotyka, a ja nie spotkałem.

— Kto wie? Znałem wielu zacnych i znakomitych ludzi, co chcieli całą duszą, przylgnąć do Tytusa Odonicza, robili nadludzkie wysilenia, aż nakoniec usunęli się, zrażeni tem zamknięciem w sobie, które wuj nazywa godnością, a ja nazwałbym inaczej...

— Jak na przykład? Mów śmiało.

— Pychą, wuju! Ach, nic innego tylko pycha, uczucie potępione przez wszystkie religie, może nie tylko dlatego że człowieka psuje, ale że go unieszczęśliwia.

— Masz po części słuszność. Uczucie które zwiesz pychą, a które mógłbyś łagodniej nazwać dumą, wyrobiło się we mnie bardzo silnie, właśnie przez poczucie mojej niedoskonałości. Znam samego siebie aż nadto dobrze, ale nie mam ochoty aby drudzy mnie równie dobrze znali. Przyjacielowi trzeba się wynętrzyć, trzeba mu otworzyć najszybsze tajniki serca i życia, a z Czegoż po większej części składa się życie ludzkie, jeżeli nie z omyłek i błędów? Taką szczerością, nadawałbym drugiemu prawo sądu, uwag i nagany. O! to byłoby dla mnie zanadto upokarzające! Wolę sobie sam radzić i milczeć.

— Tale. Wuj udaje przed ludźmi zupełnie szczęśliwego, ażeby uchodzić za

nieomylnego.

Pan Tytus zarumienił się i spuścił oczy., jakby go te słowa dotknęły; wkrótce jednak uśmiechnął się i dodał:

— Cóż ci to szkodzi, jeśli mnie to sprawia przyjemność?

— Szkodzi! Ach i bardzo szkodzi! Już jabym nie potrafił kochać człowieka nieomylnego. Przy najgłębszej części, musiałbym lękać się i wstydzić takiej nadludzkiej istoty. Albo zupełnie szczęśliwego jakżeż tu kochać, kiedy się wie że największem przywiązaniem nic już nie można dodać do jego szczęśliwości? O nie! Serce moje, wujaszku, ośmiela się do ciebie, gdy widzę że i twoje umie po ludzku czuć, żałować, choćby nawet i błądzić. Przypuszczam że nie chcesz znieść równego sobie, nie chcesz przyjaciela. Dobrze, ja też nie roszczę pretensyi do podobnego zaszczytu, nie mam ani lat, ani zasług po temu. Ale możesz mieć powiernika, potulnego jak owi konfidenci z Rasynowskich tragedyj, rodzaj sekretarza od serca, który będzie wszystkie twoje myśli zapisywał we własnej duszy, będzie płakał z tobą i uśmiechał się z tobą. Tylko już nie bądź wiecznie w sobie zamknięty! Rozmawiaj ze mną częściej jak dzisiaj. Bądź dobry!

— Czyż ja nie byłem dotąd dla ciebie dobry?

— Bogiem a prawdą, niebardzo. Był wuj łaskaw, grzeczny, ale właśnie zagrzeszny, taki prawie jak dla panów Arturów, Alfredów, Ewarystów et compagnie.

— Ach niewdzięczniku, przecież z tobą byłem troszkę inny?

— Sam, wujaszku, powiedziałaś: troszkę, to dla mnie zamało. Ach, gdybyś wiedział, ile razy serce moje rwało się do ciebie, ile razy pragnąłem wkraść się w twoje zaufanie! Bo przecież to niemałe szczęście być tak blizkim krewnym znamienitego męża, a mnie to szczęście prawie nic nie przynosi. Zawsze ta lodowata etykieta ścinała mi usta. Ale dziś już lody przełamano i nic mię od ciebie nie odpędzi. Tak, wujaszku, poznajmy się bliżej, a będzie nam obu lepiej. To mówiąc, Wiesław siadł przy wuju i ruchem rozpieszczzonego dziecka obejmując mu szyję, głowę przytulił po synowsku do jego piersi. Pan Tytus przycisnął go silnie, usta złożył na jego czole z gorącością żywszą, niż można ją było u niego przypuścić, ale zaraz potem wzdrygnął się, lekko odepchnął Wiesława i rzekł z prawdziwym smutkiem:

— Kochane dziecko! Nie kuś mnie swoim poczciwym sercem. Otóż teraz powiem ci dlaczego zawsze unikałem zbliżenia z tobą: lękałem się przywiązać do ciebie, a ja już nie chcę przywiązywać się do nikogo ani do niczego na świecie.

Młodzieniec zerwał się na równe nogi. — Wuju, co to za desperacka maksyma! A przecież nasze życie tyle tylko warte, ile kogoś, albo przynajmniej coś kochamy.

— I ja tak dawniej sądziłem. Ale jeśli doży-

jesz mego wieku i przejdiesz takie jak ja próby, (od czego niech cię Bóg broni!) spytasz może: Le jeu vaut-il la chandelle? — Prawda że wielkie przywiązania dają wielkie rozkosze, słodczye i pociechy, ale też przynoszą takie udręczenia, takie niepokoje, że pytanie czy się opląca? Ach, ile kosztują, nikt nie wie lepiej odemnie! Dlatego to mówiłem, że chcę żyć już tylko z dnia na dzień i niczego nie brać bardzo do serca.

— Ależ wuju, to poprostu życie egoisty.

— Myślisz że mi tą nazwą przyzanisz? Bynajmniej. Czasem dobrze zrozumiany egoizm bywa dobroczynniejszy od ślepej miłości. Mówiłeś: "Poznajmy się bliżej, a będzie nam obu lepiej." A ja mówię: kto wie czy nam nie będzie gorzej?

— Ach wuju, cóż za pytanie!

— Tak, tak, pytanie. Czy ty myślisz, mój Wiesławku, że ja, patrząc na twoje prowadzenie się bez zarzutu, studyując twój charakter sympatyczny, nie byłem także pociągany do ciebie niewypowiedzianym urokiem? Nieraz brała mię ochota



przyciągnąć cię jak rodzone dziecko i w tobie utopić całą moc przywiązania, jakiej mi jeszcze, niestety! aż nadto zostało. Ale wtedy właśnie starałem się być coraz zimniejszym, odstręczyć twoją młodą ufność, i myśl przywiązania cię do mnie odpychałem, jakby zły podszept, bo to dopiero byłby prawdziwy egoizm.  
— Dlaczego, mój wuju? Nie rozumiem dlaczego?

— Dlatego, że nasz wiek i nasze usposobienia nie zgadzają się dostatecznie, abyśmy mogli być prawdziwymi przyjaciółmi, a ty już jesteś zanadto wyrobiony, abym swobodnie mógł tobą kierować. A trzeba ci wiedzieć, że moje przywiązanie jest tyraniczne. Ja kiedy kocham, to całą duszą, i tak chcę być nawzajem kochany. Nie przeczę że dla mnie byłbyś promieniem pocieszenia; osłodziłbyś mi niejedną chwilę, zapełnił próżnię mojego serca. Ale wszystkie życzenia, wszystkie marzenia znów zgromadzić na jednej głowie, o! jest-to zbyt śmiało grać z losem! Truchlałbym śmiertelnie za każdą, twoją, chorobą, skrycie zazdrościł każdej cząstki twojego serca, któraby nie dla mnie była przeznaczona, a ty jednak w ciągu życia musisz przecie przechodzić przez różne wstrząśnienia i rozdzielać duszę na różne uczucia. Byłoby niewymowną dla mnie przykrością, gdybyś lubił osoby których ja nie lubię; a kto wie, czyby nie weszła pomiędzy nas taka, coby nas zupełnie rozdzieliła? Może nawet już jest zapóźno? Tu mówiący zatrzymał się i spojrzał na Wiesława. Ten, nie rozumiejąc dostatecznie, zwrócił rozmowę do ogólników.

— Wszystko co wuj mówił, możnaby także powiedzieć o stosunku rodziców z dziećmi, a przecież ten stosunek daje tyle miłości i szczęścia.

— A, to zupełnie co innego! Rodzice mają bohaterstwo obowiązku, którego ja się mieć nie podejmuję. Gdybyś był moim synem, gdybym od

kolebki twoją duszę jak miękki wosk urabiał, musiałbym dalej czuwać i przyjąć pieczęć taką, jak a. sam wycisnąłem. Ale nie mając praw ojcostwa, mamże przyjmować jego odpowiedzialność? Zresztą nie mówmy już o mnie. O ciebie Wiesławie chodzi mi głównie! Jakieżby twoje życie było? Z przyjacielem równego wieku możesz iść pełen nadziei, razem błędząc, razem budując sobie ideały. Ale ze mną? Ty zaczynasz, ja kończę. Ty szukasz, ja wiem że nie można znaleźć, a jeśli się znajdzie, to w każdym razie nie to, czego się szukało. Ty powinieneś marzyć, zachwycać się ułudną dekoracją przyszłości, ajabym cię mimowolnie wciągnął za kulisy i pokazywał ci windy gromów i tekturę obłoków, co wszystko brałeś za Olimp. A to byłoby źle, bo tyle twego, co się życia napatrzysz w perspektywie. Na twoje uniesienia, na twoje wykrzyki zapału, które może w oczach aniołów są prześlizne, a w moich tylko naiwne, nie mógłbym się powstrzymać od uśmiechu niedowierzania i takim uśmiechem zwarzyłbym już w pączku wszystko, co powinno zdobić twoją wiosnę. Sama moja troskliwość stałaby się dla ciebie niewolą; nad każdą przepaścią chciałbym cię zatrzymać, na każdej stromości podawałbym ci rękę, i to nie byłoby dobrze, bo młody człowiek powinien sam sobie ścieżki szukać, sam ją sobie wykuwać, choćby miał dziesięć razy wrócić się z drogi, choćby miał sto razy się poślizgnąć. Tylko walka wyrabia hart. Stałoby się więc jedno

z dwojga: albo zawojowany przez mój wpływ codzienny, szedłbyś na pasku i w końcu utracił samodzielność, albo zniecierpliwiony, otrząsałbyś się powoli z tej nieznośnej opieki, wkońcu może zupełnie się zbuntował, a toby mi rozdarło serce. Jednym słowem, nigdy byśmy nie mogli się zrozumieć, jak głodny i syty, jak ten co chce chodzić i ten co znużony chce sięść. Przecież nawet Mentor — chociaż to była sama bogini mądrości, w kształt ludzki zamaskowana, — jakież z niego nudziarz! A Telemak przy nim wyszedł na co? Na poczciwego z kośćcami... gamonia.  
— Wierz mi, nie wdawajmy się w żadne egzaltacje, idźmy sobie jak szliśmy dotąd,

każdy swoją drogą, a czasem przy spotkaniu podajmy sobie ręce, zamieńmy dobre życzenie i dalej!

Wiesława mocno ubodły epilogowe żarciki pana Tytusa, który ochłonawszy z chwilowego wzruszenia, wrócił się do swojej szydzącej lekkości.

— Ma wuj słuszność, przynajmniej w połowie. Odrzucając niepotrzebne egzaltacją — na tym wyrazie położył nacisk — radząc ze stanowiska czysto praktycznego, przyznaję że wujowi na niczym się nie przydał. Ale przeczę twierdzeniu, aby wuj miał być dla mnie tak szkodliwym; w każdym razie mógłbym wiele skorzystać z gorzkiego jego doświadczenia.

— Ach, doświadczenie! To jeszcze jeden wyraz, którym ludzie tumanią się wzajemnie, i to

7

w dobrej wierze. Człowiek robi głupstwa po głupstwach, omylą się na ludziach, na losach i na sobie, a zawsze sądząc że na inny raz będzie mądry po szkodzie, zapisuje te szkody w pamięci czy sumieniu, z czego tworzy się książka, mazana, skrobana, poprawiana. To nazywa się doświadczeniem. Im kto grubszą taką księgę z sobą nosi, tem więcej rości sobie prawa, aby drugich strofować i samego siebie cenić. Rzeczywiście dla niego ta książka ma wielką wartość, choćby jako pamiętnik, ale dla innych nie na wiele się przyda, bo każdy musi pisać swoje własną. Uznana jest prawda, że historia nie powtarza się dla narodów; jaby to zastosował i do pojedynczych osobistości. Niema dwóch ludzi, którymby się te same przygody w życiu przytrafiły; więc doświadczenie jednego, drugiemu najfałszywiej wypadnie. Czy znasz sławną anegdotę o komarze i ciełcu?

— Nie, nie znam.

— A, to wyborna historia. Opowiadał mi ją w Rzymie pewien prałat, dowcipny jak prawdziwy labuś włoski. W jakimś Seminarjum odbywał się egzamin, a odbywał się nietylko z prawa kanonicznego, z przepisów duchownych, ale i z ceremoniału kościelnego, który nieraz przedstawia mnóstwo nieprzewidzianych trudności. Egzaminator, wielki kazuista, lubił uczniów zaprawiać do ciężkich zagadnień, a gdy razu jednego stanął przed nim kandydat słynny z bystrości umysłu, zapytał go: — Cobyś uczynił, gdyby w chwili kiedy nabożeń-

stwo odprawiasz, komar wpadł ci do kielicha? — Pytanie rzeczywiście kłopotliwe. Połknąć owad w całości i jeszcze drgający? Niekażdy znajdzie na to odwagę, a co gorsza, grozi to nieprzyzwoitem zakrztuszeniem. Wyrzucić? Nie godzi się, bo trzeba wyrzucić razem z kroplą poświęconego wina. Młody kandydat, po oliwili namysłu, odrzekł skromnie: Wziąłbym go ostrożnie we dwa palce, przypalił u jednej ze świec stojących na ołtarzu, wrzucił napowrót do kielicha, i jako odrobinę popiołu wypił razem z winem. — Odpowiedź wywołała niesłychane oklaski i pochwały; każdy, jak nad jajkiem Kolumba, dziwił się nad tak prostym sposobem rozwiązania zagadki. Po tym kandydacie nadchodził drugi, chłopak tępy, który na tryumf poprzednika rozdziawił usta z uwielbienia. Temu egzaminator zadał nieco zmienione pytanie: — Cobyś uczynił, gdyby, przypuszczam, ciełę zabłąkane weszło do kościoła i napiło się wody święconej z chrzcielnicy? — Kandydat pomyślał sobie: — Kiedy tamtego tak chwalono, czemuż nie mam korzystać z nauki? — I odpowiedział poważnie: — Wziąłbym je ostrożnie we dwa palce, przypalił u jednej ze świec stojących na ołtarzu, wrzucił napowrót do chrzcielnicy i wypił razem ze święconą wodą. — Jeszcze kończył, kiedy śmiechy i drwinki rozległy się wokoło kandydata, który wielkie oczy otwierał, nie pojmując dlaczego jemu ganią to, co drugiemu chwalono? Otóż tak się

dzieje najczęściej, kiedy chcemy do siebie przystosować cudze doświadczenie.

— Ach wujaszku, anegdota paradna i w każdym razie "si non e vero, e ben trovato.

" Nie przeczę że niezgrabny naśladowca może stać się podobny owemu kandydatowi i

jego cielęciu. Ale wyjątki nie osłabiają teorii, której bronię tem uporczywiej, że już z własnego doświadczenia. Ileż razy dobrze wyszedłem na słuchaniu starszych!

— A! Jeżeli chodzi o takie utarte ogólniki, które sam zdrowy rozsądek postanowił, to ci nie przeczę. Jeśli starsi ci mówią: "Nie czyni drugiemu, co tobie niemiło. "Czem kto wojuje, od tego ginie." "Kto się ożeni, ten się odmieni."—"Niema złego, co by na dobre nie wyszło — ma się rozumieć że te maksymy zawsze ci się sprawdzą. Ale jeśli wyjdiesz z komunalów i zechcesz dobrać się do kluczków prawdziwego doświadczenia, zajrzeć w słodziuchną a okrutną dyplomacya życia, schwytać owe prawdy. co żywcem, jeszcze drgające, wyrrywają się z serca, o wtedy poczynisz odkrycia które cię przestraszą lub oburzą i w które nie uwierzysz, aż... sam przymierzysz. I tak na przykład, dobrze zauważyłem, jak wpatrując się w miniaturę, powiedziałeś: — Piękna że aż strach. Już jabym się bał takiej kobiety. — Otóż czy wiesz jaki ja wniosek wyciągnąłem z doświadczenia, i to długiego, i to krwawego? Oto, jeżeli spotkasz kobietę piękną że aż strach, i śmiałą, że aż strach, kobietę co ci w oczy powiód że cię kocha, co się rzuci w twoje objęcia

odda ci się bez granic, bez warunków i bez zastrzeżeń, pogardzi dla, ciebie opinią, wyrzecze się dobrej sławy, przyjaciół, szacunku i powie że jeszcze zamało dla ciebie czyni, o! takiej kobiety nie bój się! Nie pytaj o jej przeszłość, nie lękaj się z nią przyszłości, ach! a nadewszystko nie wymów jej nigdy ofiar jakie ci przynosi. Możesz jej. głośno nie bronić, ale jej nigdy nie potępiaj, ani w cudzych, ani nawet we własnych oczach, bo jeśli wiele cnót zdeptała, to jedną z nich posunęła do szczytu i w każdym razie nie tobie ją sądzić. Jeśli jej na nieszczęście nie kochasz, staraj się ukryć to przed nią, daj się przynajmniej ubóstwiać... już mniej nie możesz uczynić. Nie szukaj szczęścia gdzieindziej, nie dawaj jej współzawodniczek, bo jej miłość, choć niedzielona, więcej cię jeszcze uszczęśliwi, niż twoja miłość dla innych. O! nie baw się jej łzami, jej biciem serca! Dziękuj przeznaczeniu za skarb tak rzadki, bo wierz mi, ona ci będzie służyć jak niewolnica, będzie żyć dla ciebie i wkońcu umrze dla ciebie! — Ale jeżeli spotkasz kobietę co rządzi się taktyką Partów, co uciekając od ciebie, ciska ci strzały w same piersi, jeśli ta kobieta na sto sposobów da ci poznać że jesteś jej miły, ale głośno i przed ludźmi nie chce się nigdy do tego przyznać, jeśli ona cię bije wzruszeniem, a ramię wysuwa się z twoich objęć, jeśli na ustach ma zawsze cnotę i abnegacyą, a w oczach morze obietnic, o! takiej kobiety bój się! Jeśli ją pokochasz, zgubiony z ciebie człowiek. Ona swojej

cnoty użyje za wędkę, aby cię jeszcze silniej przytrzymać; będzie wymagała od ciebie wszelkich ofiar, oddasz jej swój czas, gusta, przyjaciół, powołanie, a ona nie poświęci dla ciebie ani jednego balu, ani jednego uśmiechu rywała. Ty przed nią będziesz, klęczał, jak przed aniołem, uwielbiając heroizm jej oporu, czując się niegodnym jej spojrzenia, a ona, temi anielskimi, wstydliwymi oczami, będzie się spokojnie rozglądała w twojej duszy, jak plantator w niewolniku którego kupuje. Ha! więcej powiem. Na twoje przysięgi odpowie nakoniec, pół-wyznaniem, a wkrótce potem.... pójdzie za innego, bo odkryje że ten inny był lepszą partyą.

— Wuju! wuju! Ale to chyba tylko do wyjątków mogą się stosować takie słowa. Przecież nie można ich uważać za teorya, bo teorya taka dowodziłaby, że kobiety bez zasad są gronem bohaterek i męczennic, a kobiety cnotliwe stekiem intrygantek.

— A widzisz, Wiesławie. Tylko jeden przykład z pomiędzy tysiącznych moich spostrzeżeń ci przytaczam, a ty mi już nie wierzysz. I masz wszelkie prawo niedowierzać. Może dla ciebie okoliczności życia inaczej się złożą. Gdzie ja się sparzyłem, ty się może tylko rozgrzejesz, co dla jednych było trucizną, dla

drugich będzie antidotem. Ciebie właśnie może uszczęśliwi taki smok cnoty. Me przesądzam, chociaż wątpię. To też nie myśl wcale, aby moje uwagi zakrawały na

teorią. Niech mie Bóg broni od systematów. Każdy systemat grzeszy bezwzględnością, kiedy w życiu właśnie wszystko awszystko jest względne. Nawet ludzi nie znajdziesz ani zupełnie złych, ani zupełnie dobrych; z tego wynika, że w ciągu życia doznasz od złych wiele dobrego, a od dobrych złego. Ułóż to potem jak chcesz w swojej głowie, ja tylko wracam do mego założenia, że doświadczenie Pawła nie zda się dla Gawła.

Wiesław, nieco zasmucony, oparł czoło na rękę i obaj zapadli w milczenie, z którego po chwili zbudziło ich odezwanie się dzwonka.

— Ach, zawołał siostrzeniec, byle nie kto z Moszkowickich! Przy dzisiejszem naszym usposobieniu byłiby nam wcale nie na rękę.

— Ich się nie boję — odparł pan Tytus. Wracając z miasta, wstąpiłem tam, aby ostrzedz że dziś już nie mogę się z nimi widzieć. Przyczyny prawdziwej, ma się rozumieć, nie podawałem. Ty się jej pewno już domyślasz: obchodzę dzisiaj żalobną rocznicę. Od dziesięciu lat przepędzam ją zawsze w samotności i rozmyślaniu. Prawda że niewiele co wymyśliłem, chyba ten gorzki pewnik, że i to co pogrzebane w ziemi, i to co pogrzebane w sercu, już nigdy znaku życia nie da! W tej chwili wszedł Hubert.

— Proszę pana, tu już drugi raz przychodzi człowiek z listem od jakiejś pani, której nic chce wymienić, i powiada że musi samemu panu list oddać.

— Dowiedz się najprzód od kogo — odpowiedział pan Tytus, ale jeszcze mówił, kiedy we drzwiach od przedpokoju pokazał się Sebastyan. Przystąpił śmiało do Odonicza i wręczając mu grubą kopertę, z ukłonem się odezwał:

— Od pani Pełkowej. Kazała mi ten list do rąk własnych jaśnie pana oddać i zaczekać na odpowiedź.

Wiesław z gorączkową ciekawością wpatrzył się w oblicze wuja. Dziwna zmiana! Ten człowiek, którego twarz za najmniejszym wzruszeniem zwykle nabiegała purpurą, teraz pobrał chorobliwie, jakby przed napadem febry. List pochwylił z chciwością i odpowiedział głosem nawpół przydławionym:

— Dobrze. Zaraz będzie odpowiedź. Proszę poczekać.

Kiedy Sebastyan i Hubert wyszli, wstał z sofy, usiadł przy biurku, a Wiesław, jako dobrze wychowany człowiek, wziął dziennik i niby zaczął go czytać, ale ponad papierem oczy jego biegły ku wujowi, którego postępowanie, coraz dziwniejsze, stało się wkońcu takim zagadkowym, że siostrzeniec, spuściwszy gazetę, nieruchomie śledził jego ruchy.

Pan Tytus długo wpatrywał się w podpis listu, oglądał go na wszystkie strony, ważył w rękę i znów patrzył wzrokiem, którego znaczenie trudno było odgadnąć.

Po długim takim wahaniu się czy walce, przy

której zupełnie zdawał się niepamiętać że ma w pokoju świadka, nie otworzywszy wcale listu, rzucił go wzgardliwie na biurko, z teczki podróźnej dobył białą kopertę, wsunął w nią ów list nietknięty, zapieczętował, na czystym wierzchu starannie nakreślił podpis i powstał. Wiesław także się zerwał, zastąpił mu przejście na progu i wybełkotał zakłęcie. Ale Odonicz, nie patrząc, nie słuchając, odtrącił go ślepem pchnięciem, wyszedł do przedpokoju i oddawszy list Sebastyanowi, rzekł mocnym głosem:

— Oto jest odpowiedź. Proszę oddać. Potem wrócił i zaczął szybko chodzić na ukos przez pokój, łamiąc ręce, że aż kości trzeszczały, i z zawzięciem powtarzając wykrzyknik:

— Nakoniec! nakoniec!

Wiesław, przez chwilę skamieniały, zastąpił drogę chodzącemu.

— Wuj, wszak to był list od pani Ireny?  
— Tak.  
— I wuj go nawet nie przeczytał?  
— Tak.  
— I nierozpieczętowany jej odesłał?  
— Tak.  
— Na miłość Boską! ależ to największy afront, jaki można zrobić, a jeszcze kobiecie...  
— I właśnie dlatego tak zrobiłem. Nakoniec przyszła i na mnie kolej!  
Tu pan Tytus podszedł do szkatułki podróźnej, z jednaj ze skrytek wyjął paczkę papierów, ---- w bibliotece narodowej Brak ostatniej kartki Pierwszego tomu ☹

Tom II.

VI.

— O mój Boże! Inaczej ja spędzałem ten wieczór przed dziesięciu laty! O tej godzinie ani jeszcze wiedziałem co mnie czeka. — Ale chcąc ogarnąć całość wypadków, trzeba sięgnąć nierównie dalej, temu lat piętnaście. Wtedy byłem wcale inny niż dzisiaj: wesoły, nie z wyrozumowania, ale ze szczerego popędu, a jednak używający życia bardzo umiarkowanie, już pewno nic z braku chęci, ale z braku środków, bo wówczas nie mogłem jeszcze nazywać się bogatym. Dochody moje ledwie wystarczały na pozorny byt wielko-światowca. Przebyłem już kilka dramacików tak zwanych sercowych (z rozmaitem wprawdzie powodzeniem), wyszedłem wśród grzecznego poklasku z kilku spraw honorowych, napatrzyłem

się w podrózach różnego kraju i obyczaju i nie doszedłszy lat trzydziestu, byłem pewny że znam nawskróś ludzi i życie. Nic mię w nich bardzo nie dziwiło. Owszem, dziwiłem się że książki przedstawiają w takich mocnych kolorach uczucia i namiętności, które właśnie w życiu potocznem wydawały mi się karłowate i zarażone miętnotą. Czytając "Intrygę i miłość" albo "Korynnę," uśmiechałem się, mówiąc: romanse! poezya! A w głębi duszy żalowałem że to tylko poezya. Aż dnia jednego, a raczej jednego wieczora, na dość nudnym balu, zkąd przed północą już chciałem się wymknąć, przeszła przedemną osoba, której widok, jeżeli podobne porównanie cię nie zgorszy, sprawił na mnie wrażenie owego gromu, co spotkał Saula u bramy Damaszku. Nagle przestałem widzieć świat otaczający, a zobaczyłem inny, jakby niebo roztworzyło się przedemną do swoich najsloneczniejszych wnętrznosci. W kilka chwil owe mgliste słowa: ideał, szczęście, miłość piorunująca, które dotąd miałem za śliczne kłamstwa, stały się dla mnie najdotykalszą rzeczywistością. Tak, Wiesławie, to wszystko istnieje. Ja, ten niby pozytywista, ten uznany szermierz negacyi, powiadam ci, istnieje, i daleko silniejsze, poetyczniejsze, niż w książkach. To tylko nieszczęście, że prawie nigdy nie pojawia się jednocześnie, ani z równą mocą, w dwóch duszach. Ztąd wszystkie owe rozdarcia, pogonie i uciezki, pochwytywania się i wrywania serc, które pod

gładką powierzchnią towarzyskiego życia toczą prawdziwą walkę Lewiatanów. O! teraz już się nie uśmiecham, kiedy czytam skargi poetów, albo kłątwy powieściopisarzy. Czytam je z drgającym odczuciem, jakby opisy chorób które sam przebywałem, i nieraz muszę książkę zamknąć, jakby czarne drzwi przeszłości. W ów dzień pamiętny już miałem niejako przecucie wszystkich niebezpieczeństw, co

grożą w świecie nieznanym. Byłem wystraszony, jak człowiek co pierwszy raz wstępuje w łódkę i puszcza się na wichrzyste morze. A jednak taki człowiek płynie dalej; i ja puszczałem się, chciwy jakichś celów niewyraźnych, jakiejś nieskończonością... tem chciwszy, im więcej czułem pod sobą otchłani. Po pierwszej chwili tego ognistego oślepienia przypomniałem sobie, że jestem wśród ludzi, na balu, i zapytałem sąsiadów jak się po ludzku nazywa ta, co dla mnie już się nazywała: To ona! Była to znajoma ci Irena Zapolska. Przedstawiony przez gospodynię domu, resztę wieczoru przebyłem w stanie, który można porównać chyba do stanu ekstatycznych. Irena, pomimo stroju modnego i modnej rozmowy, sprawiła na mnie wrażenie nadziemskiej wizyi. Do dziś dnia pamiętam jej ubranie: suknia błękitna, ubrana czarnymi koronkami, na głowie i na szyi szafiry, mieszane z brylantami. Mógłbym to wszystko odrysować. Ale czego nikt nie odrysuje, to wyrazu twarzy i całej postaci: najcudowniejsza piękność i najpiękniejsza cnota, o ja-

kich chyba Angelico z Fiesoli mógł marzyć. O czym rozmawialiśmy? Nie pamiętam. Odurzony, z niczego sobie nie zdawałem sprawy. Tylko wiem że jej rozmowa olśniewała i uspokajała razem, jak te sierpniowo noce, w których gwiazdy lecą, lecą, rzęśisto a cichuteńko. Nakoniec odważyłem się, zaprosić ja do tańca. Myślałem że apopleksya mię uderzy, kiedy przyszło ręką objąć jej kibić. Zdawało mi się to świętokradztwem. Porwałem ją jednak, nieco drżącą i jakby wzruszoną. Wirując z nią po salonie, obiecałem sobie że muszę ją zdobyć, jakkolwiek i kiedykolwiek, ale muszę. Zakończenie tańca nieco mię wytrzeźwiło: w chwili gdy ją odprowadzałem do krzesła, przystąpił młody człowiek, bardzo przystojny i bardzo znudzony, którego mi przedstawiła jako swego męża. Tak, ona miała męża., Tylko co wracając z dość długiej podróży, nie znałem ich jeszcze obojga, choć wiole już słyszałem o ich osobach i salonie. Muszę wyznać, z przeproszeniem twoich Grandyssonowskich zasad, że odkrycie owego męża nietylko mnie nie zniechęciło, ale, po pierwszej chwili zdziwienia, dodało nowego bodźca. Kordyał miłości zaostrzał się smakiem zabronionego owocu; wizya niebiańska przedstawiała się tem ponętniejszą, że stała za przepaścią grzechu. Przeskoczyć aż do niej, albo ściągnąć ją z sobą w przepaść, i jedno i drugie wydało mi się losem godnym bogów; a nie wątpiłem o powodzeniu, tem bardziej że mąż mi wygląda! na woskową

lalkę od fryzjera. Później dopiero, we wspomnieniach, kiedy go osądziłem trzeźwiej i bezstronnie, musiałem przyznać mu wiele zalet. Miał naukę, i to gruntowną, a nie nużącą, bo cała się kryła pod ślicznym światowym polorem. Przytem gospodarz domu niezrównany z taktu i gładkości, towarzysz zabawy rozkoszny, ale jako mąż, to i dziś jeszcze został dla mnie prawdziwym sfinksem. Każda inna kobieta, mniej wzorowa lub mniej lodowata, byłaby mogła z odrobiną zręczności sto razy nadużyć jego zaufania. Nie wiem czy anielskiej czy szatańskiej pobudźce przypisać tę, filozofią. Czy tak świecie był pewnym żony? Czy też, sam prowadząc lekkie życie, chciał dowieść pobłażania, aby je przy okoliczności samemu uzyskać? Jeśli przypuścimy to drugie, mocno się omylił, bo nie miał czemu pobłażać. Irena żyła prawdziwie jak święta, co tem większą wydawało się zasługą, że tej świętości nie strzegły ani kraty, ani habity, ani nawet owa forteca rodzinna, ów regiment starych babek i ciotek, co niejednej chwiejnej cnoty, pilnują lepiej niż rygle. Trzymająca dom otwarty, jeżdżąca z obiadów na teatru, z teatrów na rauty, cały ranek otoczona tęczowem migotaniem sklepów bławatnych i zjadliwemi komplementami modniarek, w każdym domu, i w swoim własnym, na spacerze i w kościele szpiegowana przez armią wielbicieli, którzy za cel życia stawiali sobie zaburzenie jej spokoju, sama jedna przeciw krociom przyja-

ciół-nieprzyjaciół, szła przez gęstwinę pokus, umiając nigdzie nie zaczepić ślubnego welonu. Był-to rzeczywiście artyzm cnoty posunięty do.... sztuki woltyżerskiej. Świat jej zastawiał sidła, obręcze, przeszkody, ona wszystko przeskoczyła i zawsze odnajdywała się na swoim apokaliptycznym rumaku, wyprostowana, nieskażona, a przytem zawsze uśmiechnięta. Bo nic w jej cnocie nie było nudnego, nic collet-monte. Nie gniewała się ani o drażliwy żart, ani o wybuch serca; tylko na żart odpowiadała sercem, a na serce żartem; i tak nikt nie mógł z nią, zejść dalej, jak po pierwszych dniach znajomości, a jednak każdy Bóg wie co roił, a ona się z nas wszystkich naśmiewała. To też mimo całej mojej dzisiejszej i wieloletniej nienawiści, muszę jej oddać sprawiedliwość, że nigdy nie zgrzeszyła miłością.. Ach, jeśli zgrzeszyła, i śmiertelnie, to przeciw miłości!

— Przepraszam wuja, że śmiem odezwać się z uwagą, jednakże nie wiem czy nawet w hyperbolach żalu i goryczy, wolno zwać grzechem przeciwko miłości proste wytrwanie w obowiązku?

— Ja też nie o tem mówię? i żal mój datuje od innej zupełnie epoki. Póki dochowywała wiary mężowi, była, nie przeczę, w swoim prawie, i tym właśnie heroizmem obowiązku tak mię niewolniczo podbiła. Przywykły do lekkiej gry w pół-romanse, jakie się po salonach tak łatwo prowadzi, przekonany że dla człowieka z sercem i z głową, niema kobiety niezdobytej, chyba taka

7

szpetna i zła, o którą nikt się nie dobija, zacząłem bywać u Zapolskich pełen zaufania, że tam będzie pole mojego najpyszniejszego zwycięstwa. Poruszyłem niebo i ziemię, poruszyłem piekło i... nie zwyciężyłem.

— Ach wuju, cóż to za kobieta! Już kiedy wujowi, sławnemu z czarów, umiała się oprzeć, to prawdziwa perła.

— Tak, perła. A wiesz czem jest perła? Chorobą muszli. Ale mniejsza o to. Aby ei dać pojęcie, do jakiego stopnia umiała utrzymać swoją powagę Penelopy, opowiem ci tylko, że przez dwa lata bywałem u nich, najprzód co tydzień, potem dwa razy w tygodniu, potem codziennie, (mąż mi robił wymówki, gdy nie przychodziłem), siadywałem z nią po kilka godzin sam na sam, i przez dwa lata nie śmiałem jej powiedzieć ani jednego słówka o mojej miłości. Widzę, Wiesławie, z blasku twoich oczów, jak ci serce rośnie na samo opowiadanie moich tortur. Myślisz sobie: "Dobrze ci tak, wujaszku, poco chciałeś gubić niewinność?" Oj chłopcze, nie żartuj się, nikt nie wie żkąd na niego padnie strzała. Oby cię twój dobry anioł ustrzegł od podobnych męczarni! Albo raczej nie... cofam te słowa... niech cię nie strzeże, obyś owszem doznał podobnych wrażeń, choćby takimi mękami okupionych. Owe dwa lata milczenia, pasowania się i nadziei, były może najszczęśliwsze z całego mego życia. Nie wiem czy znasz śliczne słowa panny de Scudery, która

w starych latach, przypominając sobie jakąś idyllę młodości, zawołała: "Oh, l'heureux temps, ou j'étais si malheureuse!"

Tu pan Tytus westchnął z głębi piersi i zamyślił się, kiwając głową, z owym ruchem płaczącego drzewa, co zdaje się pytać: "Naco i poco to wszystko?" Wiesław już nie śmiał czynić uwag, rozrzewniony takim prawdziwym żalem.

— O, te dwa lata, — ciągnął dalej opowiadacz — mocno mię zmieniły. Już nie marzyłem o zdobyciu Ireny. Najwyższem teraz dla mnie marzeniem było tylko wyznać jej moje uczucia, odmalować moje cierpienia, ażeby przynajmniej wiedziała ile dla niej znoszę. Zresztą postanowiłem niczego nie wymagać, niczego nie próbować, zostać na stopie przyjaźni, byle z samowiedzą miłości. Miałem chwilę w której znienawidziłem jej dziecko, te dzisiejszą twoją pannę Cecylią. Nie mogąc przypuścić aby Irena czerpała swoją siłę w miłości do męża (do takiego męża!), przypuściłem że ją czerpie w miłości do córki. Bo zwolna, pod lekkimi pozorami światowego życia, odkrywałem w niej uczucie macierzyńskie silniejsze, niżby kto sądził. Doszedłem, że wiele z tych godzin które zdaniem ogółu miała spędzać

przed gotownią, spędzała z córeczką, ucząc ją i pieszcząc a zajęcia te uważając za tak proste, że nigdy prawie nie wspomniała o swoim przywiązaniu, ani się chwaliła z poświęcenia. — Powiedziałem sobie: "Ztamtąd pochodzi opór." — Ale razu jednego,

w długiej rozprawie o uczuciach i powinnościach (Irena lubiła podobne rozprawy, bo też miała rzadki dar wymowy), gdy rozwinąłem tezę mająca dowieść, że mężatka bezdzietna jest mniej niż inne zobowiązana do strzeżenia tak zwanych zasad, i choć troszkę je naruszy, mniej niż inne zawinia przeciw społeczeństwu, moja słuchaczka wybuchnęła nieudanym oburzeniem, dowiodła mi iak dwa a dwa cztery, że każde złe jest równie złym w oczach Boga, choć może mieć różną doniosłość w oczach ludzkich, że przysięga nie znosi żadnych zastrzeżeń w przyszłości, że czy się męża kocha czy nie, czy się jest matką czy nie, zawsze sakrament sakramentem. Zdania te, a nade wszystko ogień z jakim były wyrzeczone, przekonały mnie, że Irena trwa przy obowiązku nie przez miłość dla męża, nawet nie przez miłość dla dziecka, ale przez sarną miłość obowiązku; uczulem że choćbym ją od wszystkich oderwał, nie potrafię wyrwać z niej sumienia. Od tego dnia rozkochanie moje zmieniło się w ubóstwienie, a zarazem ogarnął mnie niezmierny smutek. Nie był on bez pewnej słodyczy, wyglądał nawet na uspokojenie, ale krył w sobie największe niebezpieczeństwo: byłem przekonany że niezadługo umrę, i zdawało mi się że jako umierającemu, wolno mi wszystko wypowiedzieć. Okoliczności też składały się na otworzenie mego serca. Zapolscy przenieśli się za miasto, na letnie mieszkanie. Tani było mniej gwaru i wizyt, niż w zimowym wirze;

widywałem ją więcej, a choć zawsze prawie była ze swoją Cesią, wieczorem, kiedy dziecko spać poszło, a mąż, zatrzymany w klubie albo cyrku, jeszcze nie wracał z miasta, trafiały się godziny, w których sam jeden z Ireną, towarzysząc jej w długich przechadzkach, lub siedząc z nią pod werendą, wśród tej rozmarzającej natury i samotności, czulem że tajemnicy nie utrzymam dłużej. Aż jednego wieczoru, pamiętam jak dzisiaj, chodziliśmy przy świetle księżyca. Musiało to być jakoś w czerwcu, albo przedziej w lipcu, bo właśnie lipy w pełnym kwiecie pachniały. Ja, chory i osłabiony, ledwo nogi wlokłem, aż siły mię zupełnie zdradziły, stanąłem i musiałem się nagle na twarzy zmienić, bo Irena, zatrwożona, zapytała co się ze mną dzieje. Wtedy wypowiedziałem z rodzajem oburzenia, że nie pojmuję jak ona może dotąd nie rozumieć, co się ze mną dzieje, jak może nie widzieć że ją kocham? W pierwszej chwili wzdrygnęła się i poruszyła ręką, jakby ją chciała wysunąć z pod mego ramienia, jednak jej nic wysunęła, i dalej idąc spokojnie, odpowiedziała, że dawno dostrzegła wszystko, pomimo mego milczenia, że właśnie tem milczeniem, tem panowaniem nad złą skłonnością, zdobyłem sobie u niej tyle szacunku i przyjaźni; że jeśli chcę je nadal zachować, powinienem się wrócić do mojej dotychczasowej wstrzemięźliwości słowa, a ona będzie się starała przebaczyć i zapomnieć to, czego nie powinna była słyszeć. — Odpowiedź jej, dawno przewidziana

nie odjęła mi odwagi. Chciałem raz wszystko wypowiedzieć, wszystkie ciężary z serca zrzucić, ale władnie w tej chwili, zupełnie tak jak to się trafia na teatrze, zatętniły koła faetoniku i stanął przed nami — mąż. Przyznam się, że podając mu rękę, byłem nadzwyczaj zmieszany i spoglądałem ku Irenie, pełen obawy, aby jej zmieszanie nie uderzyło męża. Ale nie miałem się czego obawiać. Irena pozostała taka spokojna, taka majestatyczna, jak osoba co czuje że w niczem nie zawiniła. Wyższa nad wszelkie małostki zwykłych kobiet, jak mnie przed chwilą zgromiła bez gniewu, tak teraz męża witała bez trwogi, ani też przesadzonej radości. Piękny był ten spokój, mnie jednak oburzył. Krótko



zabawiwszy, dosiadłem konia i wróciłem do miasta. Ale wielka to prawda "qu'il n'y a que le premier pas qui coute." To pierwsze wyznanie było istnym zerwaniem tamy, po którym nastąpił wylew pragnień wszystkich i uczuć, tem gwałtowniejszy, że długo wstrzymywany. Po namyśle, zacząłem pytać, czy ze strony kobiety samo słuchanie wyznania bez gniewu nie jest już rodzajem zachęty? Wnet cała owa nadludzka rezygnacja pękła jak bańka mydlana, wszystkie pozory przyjaźni, którymi chciałem ubrać miłość, spadły jak źle przyczepiona maska, i od tego dnia już stało się niepodobieństwem wrócić do sztucznego stosunku, z którym byliśmy dotąd mniej więcej szczęśliwi. Wobec męża i gości zachowywałem się po dawnemu, ale gdy tylko nas zostawiono samych.

nie było końca moim rozwodzeniom się nad fatalnością co na mnie ciąży, opowiadaniom katuszy, jakie dotąd w ciszy znosiłem. Pomimo solennych zakazów Ireny, wracałem zawsze do tego przedmiotu. Już teraz nic nie umiałem zamilczeć, ani ukryć. Zaczęła mnie unikać. Wtedy przyszły z mojej strony skargi i wybuchy, i taka to już nasza mężka natura, że im więcej usuwała się odemniej tem zawzięciej za nią, goniłem. U kobiet przebiegłych jest-to jeden z największych sekretów powodzenia. Dafne wtedy się Apollinowi wydała laurem, kiedy uciekała od niego. Moja pogoń była tem ufniejsza, że już dosyć znałem Irenę i cały dom jej, aby widzieć jasno, że niema w tym domu szczęścia. Mąż, prawie zawsze nieobecny, wydawał mi się teraz śmiesznym straszidłem na dzieci, ale żona przedstawiała to straszidło na seryo i udawała szczęśliwą. Cały świat wierzył, tylko ja jeden nie wierzyłem. Więcej powiem: czułem że nie jestem dla niej obojętnym. Nie miałem żadnych dowodów, ani w słowie, ani nawet w spojrzeniu, a jednak byłem tak pewny jej serca, jak na przykład marynarz przepowiada burzę, choć jeszcze ani jednej chmurki na niebie nie widzi. — Raz tylko, przypominam sobie, padło z ust jej słowo, którym się nieco zdradziła. Skarżyłem się długo i gorzko na moje nieszczęście, na jej tak zwane okrucieństwo. Schylona w milczeniu nad haftem, nagle podniosła oczy pełne łez Wstrzymywanych, i odezwała się słowami Monte-

zumu: "A ja, czyż jestem na różach?" Pamiętam że chwyciłem jej rękę, dziękując z uniesieniem, a chociaż, przestraszona moja wdzięcznością, chciała przeinaczyć znaczenie tych wyrazów, objaśniając mi że całe jej cierpienie pochodzi z chrześcijańskiego miłosierdzia, które boleje, patrząc na boleść drugich, przecież ten jej pierwszy wykrzyknik rozbudził we mnie najszałeńsze nadzieje. Zacząłem ją obsyłać kwiatami, które przyjmowała z uśmiechem. Potem odważyłem się na dar większy, właściwie mówiąc, zanadto kosztowny. Było to całe ubranie na szyję i na głowę, z opałów. Ma to być kamień co przynosi nieszczęście. Wówczas nie znałem jeszcze tego zabobonu.

Nie odesłała mi klejnotów przez oddawcę, czem ucieszyłem się niezmiernie, ale przedwcześnie, bo wieczorem, kiedy goście od niej wyszli i zostałem ostatni, wyjęła z biurka owo puzderko i cała drżąca i zapłoniona włożyła mi je do rąk, zapowiadając że jeśli go napowrót nie odbiorę, nigdy już mnie w swoim domu nie przyjmie. Wyszędłem rozgniewany — i nazajutrz wróciłem. — Jednak te sceny, ciągle powtarzane, zmieniały nam życie na istne piekło. Całe pół roku przemęczyliśmy oboje w takiej głuchej walce. Humor Ireny się zachmurzał. Ja, o ile sobie przypominam, musiałem być nieznośny. — Jednego wieczoru, o! ten wieczór dobrze pamiętam.... oświadczyłem jej stanowczo, że sobie życie odbiorę. To nie był czczy frazes. Ty, Wiesławie, uśmiechasz się, a ja powia-

dam ci: byłem wtedy pewniejszy że się utopię lub zastrzełę, niż teraz, czy to drugie cygaro zapalę. Taki frazes, nadużyty w książkach, śmieszny w ustach fanfaronów, straszny jest, gdy pochodzi z przekonania. To też Irena się nie uśmiechnęła, ale wpadła w ponure zamyślenie, i w kilka dopiero minut

odpowiedziała bardzo smutnie i bardzo poważnie: "Niepocziwa to broń, której pan przeciw mnie używasz. Niepocziwa podwójnie: jako groźba i jako podstęp. Pan chcesz nadużyć najlepszej strony mojego kobiecego serca, strony współczucia. Ale czyż godzi się poświęcać własną duszę, aby uratować bliźniemu życie? Taka teoria zdalekoby prowadziła. A teraz, posłuchaj pan: gdybyś, przypuszczam, potrafił kiedyś, raz jeden, sprowadzić mnie z drogi obowiązku, wtedy, zapowiadam, tegoż samego dnia jabym sobie życie odebrała. Stoimy więc między dwoma samobójstwami." — Mówiła to wszystko z przerażającą spokojnością. Ale prawda ma swoją nutę niepodobną do naśladowania, którą od razu można poznać w głosie. Jak Irena ją poznała w moim, tak ja teraz w jej głosie ją odczułem, i powiedziałem sobie że... wszystko skończone. To wrażenie stało się jeszcze głębsze, gdy po namyśle dodała: — "Moja śmierć byłaby tem straszniejsza, iż zostawiałaby sierotę." — Siedziałem przez chwilę odurzony, potem wziąłem kapelusz. Irena wstała i mówiła do mnie długo. Mówiła że powinniśmy zmienić układ naszego życia, rzadziej się widy-

wać, uciekać od siebie, aby nie kusić nieba. Mówiła o sumieniu, o nagrodzie w innym życiu i tam dalej. — Odpowiedziałem z ukłonem że będę się starał próbować tego lekarstwa i wróciwszy do domu, postanowiłem wyjechać za granicę. Bo mieszkać w tem samym mieście co ona i rzadko ją widywać, to, czułem, było nie do wykonania. W kilka dni później, mając już pasport i upakowane rzeczy, poszedłem tam rano, z wizytą, pożegnalną. Żywiłem jeszcze cokolwiek nadziei, że w ostatniej chwili może jej serce przemówi za mną. Może jakie słówko, jakie skinienie mię zatrzyma. Ale Irena nie zatrzymywała mię wcale; owszem, pochwaliła mój wyjazd i pożegnała me słowami pełnymi dobroci, tej okropnej dobroci, którą zwykle spotykamy w mowie umierających, a która ma słać boleść ostatecznego rozstania. Wyjechałem, unosząc względem tej kobiety uczucie najpiękniejsze jakie unieść można, bo żal nic do niej, ale za nią. Nadziei nie unosiłem żadnej; w obecnym stanie rzeczy, nadzieja zdawała mi się zbrodnią, a myśl o możebnym owdowieniu Ireny, choć mi czasem przeszła przez głowę, upadała wnet sama z siebie. Zapolski, w sile wieku, zdrow jak ryba, wyglądał jak róża" a jeśli kto czuł się blizkim grobu, to ja, rozbity na siłach i duszy. — Tak się skończyła pierwsza faza mojego wewnętrznego życia. Opowiedziałem ci ją, z najdrobniejszymi szczegółami, ażebyś lepiej zrozumiał końcową jej perypetyę, a raczej

abyś mógł się przekonać, jak to zakończenie jest niezrozumiałe. — No, a teraz, dla lepszego zaciekawienia, pozwól mi zrobić maleńką pauzę i zapalić nowe cygaro. Cóż, mój milczący siostrzeńcze, jakże ci się z pierwszego rozdziału wydaje moja historia?

— Chce wujaszek szczerego zdania? Otóż wydaje mi się dosyć budująca, dosyć wzruszająca i.. Bogiem a prawdą, dość zwyczajna. — Mąż spokojny, to dobrze. — Żona cnotliwa, drugie dobrze — Uwodziciel nieszczęśliwy, przepraszam wuja, ale to także dobrze, i podobno najlepiej.

— Ach, jakież z ciebie wybredny słuchacz! Powiadasz: zwyczajna. A ja ci mówię: najprzód, podobna żona nie jest zwyczajna: spróbuj tylko mo, jej roli między mężatkami, a zobaczysz. Powtóre, dla takiego co sam był bohaterem historii, nie jest ona nigdy zwyczajną. Me przeczę, że w opowiadaniu traci niesłychanie na mocy kolorytu. Ale bo jakże się też sam opowiadacz zmienił! Jego słowa podobne do jego siwizny. A jednak w pamięci to wszystko wydaje się takie niedawne! Sam nie mogę uwierzyć, kiedy obliczam lata co mię dzielą od tych wypadków; jeszcze się z niemi nie mogłem oswoić. Prawda że też nietknięte nosiłem je w duszy, nie zużyłem ich na zdawkową monetę rozmowy między ludźmi. Tyś jest pierwszym na świecie człowiekiem, któremu pozwalałam zajrzeć w moją ranę. To też cały ból wylewa się z niej od razu, jak krew długo zatamowana. Za-

długo! Takie dławione cierpienie w końcu dusi. Zadługo milczałem. Teraz muszę wszystko wypowiedzieć. O! gdybym mógł płakać.... to musi być ulga.  
— Drogi, kochany wujaszku! — wołał Wiesław, powstając i całując go w ramię z całym uniesieniem pocziwej młodości — niech wujaszek płacze, jeśli może. Już ja takie łzy wyżej cenię, niż wszystkie uśmiechy, za które świat wuja wielbi.  
— Złoty mój chłopcze! Nie bierz tak bardzo do serca słów może przesadzonych, co mi się pod naciskiem wspomnień wymknęły. Stare to dzieje, niema się czem alterować. Ale wówczas było czem, nie zaprzeczam. — Wyjechałem tedy z kraju bardzo chory. Doktorzy na gwałt mię wysyłali, zalecając najprzód surową kuracją, a potem wszelkie możebne rozrywki. Dla spełnienia pierwszej części recepty, spędziłem kilka miesięcy u wód nadreńskich, wstając rano, pijąc kubki sumiennie, chodząc po lasach, po zwaliskach i z nikim nie szukając znajomości, pomimo że różne śliczne miss angielskie swojemi najbłękitniejszymi spojrzeniami litowały się nad moją mizernością, i smutkiem. Smutek ten był prawdziwy. Jak niegdyś Rachel, nie chciałem być pocieszonym. Jednakże, naprzekór mojej melancholii, wody mineralne działały cudownie, młodość wzięła górę, i choć dusza zawsze równie cierpiała, ciało zaczęło wracać do sił i praw swoich. Dla dopełnienia drugiej części kuracyi puściłem się do Paryża. Tam to po raz pierwszy

poznałem owo życie szalone, które dziś dla mnie jest już chlebem powszednim. Zdziwisz się gdy ci powiem, że z początku niebardzo w niem smakowałem. Trzeba w takie życie wjeść się, jak w ostrygi. Ale zato dzisiaj przyznaję, że ma ono w sobie powaby niczem niezastąpione, i gdy raz wrośnie w organizm, staje się niezbędną, jak nikotyna lub alkohol. Pierwsze miesiące pobytu w Paryżu nie zostawiły mi żadnego innego wrażenia, oprócz chaosu lampionów, orkiestr, jedwabnych szelestów, perłowych a tnących ząbków, fajerwerkowych bons mots i nieporównanych delicyj kuchennych, co wszystko wyglądało na śliczne piekło, lub na raj Mahometa. Pomimo pozornego oszołomienia, w sercu nosiłem ciągle niezagojoną ranę, i nasycając zmysły, byłem głodny duszą. Dopiero przy końcu zimy, w poście, nastąpił wypadek, co miał stanowczo wpłynąć na moje życie, choć i ten jeszcze nie miał zmienić mojej wewnętrznej istoty. — Jako bywalec teatralny i zakulisowy, w dzień pierwszego przedstawienia jakiejś opery, zdaje mi się Auber, zostałem zaproszony na wspaniałą kolacją, którą dyrektor teatru wyprawił po skończonem przedstawieniu dla trupy włoskiej, dziennikarzy i kilku wybrańców z pomiędzy złotej młodzieży, do której miałem już honor być licznym. Możesz sobie wystawić, a raczej szanowny Arystydesie, nie potrafisz sobie wystawić, czem jest podobna zabawa w takiej stolicy, jak Paryż. Z początku wieczera grand-

seigneur, w parę godzin później souper-regence, w ostatnich godzinach bachanalia. Obok kilku Francuzek, które dowcipem swoim dosypywały siarki do rotowego ognia powszechnej rozmowy, dziwnie wyglądało i najwięcej naszą uwagę zwracało grono śpiewaczek włoskich. Wielki ich spokój i wielkie oczy więcej nas zaciekawiły, niż dobrze nam już znana ruchliwość i ciętość Paryżansk. Z pomiędzy Włoszek znowu dwie się odznaczały. Najprzód, naturalnie, primadonna, o ile ją pamiętam, gruba, oliwkowa, z oczami diabelskimi i głosem anielskim. Tę hołdami otaczali znawcy, wychudli profesorowie i podłyśiali melomani. My jednak, młodzi, studyowaliśmy inną śpiewaczkę, wprawdzie drugorzędną, nieledwie trzeciorzędną, bo już to głos miała arcy-mierny, ale zato obdarzoną najwyższym blaskiem piękności. Natura nieczęsto wysila się na podobne zjawiska. Możesz o tem sądzić troszkę z owej miniatury, którą podpatrzyłeś, chociaż miniatura jest ledwo słabym cieniem tej, którą miała przedstawiać. Nazywano ją La Romana. Rzeczywiście była Rzymianką. Prawdziwego jej nazwiska nikt w Paryżu nie wiedział. Mówiono że pochodzi ze znakomitej familii, że jest bogata, ale pędzona bodźcem niezwalzonego powołania, uciekła z pod rodzicielskich skrzydeł i

wstępując na scenę, przybrała nową nazwę. Trzeba powiedzieć na jej usprawiedliwienie, czego się później dowiedziałem, że uciekła nie od matki, ale

od macochy, że ojciec jej był-to człowiek straszny i młodość miała tak nieszczęśliwą, jak rzadko; tylko w miłości sztuki znalazła pociechę. Powodzenie, którego nie mogła zdobyć podrzędnym talentem, zdobyła swoją, nieporównaną postacią, i szczerota każda wyznać, ze wstydem dla prawdziwej muzyki, ie nieraz więcej zbierała sonetów i bukietów, niż anielsko-głosa ale kulista primadonna. — Kilkakrotnie już ją słyszałem i podziwiałem z piękności na scenie, tego jednak dopiero wieczora, w towarzyskim zebraniu, mogłem jej się bliżej i uważniej przyjrzeć. Co najwięcej podniecało nasze zajęcie się tą istotą niezwykłą, to że uchodziła za niezdobytą warownię. Majętna, niepotrzebująca nikogo, prowadziła życie samotne i ponure. Na czułe oświadczenia odpowiadała obelgami. Takie obejście, zwłaszcza u aktorki, jeszcze więcej przynęcało śmiałków. Ale nikt, jak mówiono, dotąd nie znalazł u niej łaski. Niejeden lord-milioniar, niejedno książątka niemieckie dostało już tam odkosza. A odkosze jej słynęły, jako nienajmilsze.. Miała sługę, barczystego i zezowatego Włocha, który natrętów podobno ze schodów bez ceremonii zrzucał. I to wszystko działo się nie dla żadnej miłości cnoty albo pobożności. Romana głośno mówiła że jeżeli nikomu serca nie oddaje, to jedynie dlatego, iż dotąd nie spotkała mężczyzny, któryby wart był jednego spojrzenia. Wszyscy też szaleli za ową, jak ją zwano: "La femme sauvage." Istotnie wyglądała jak dzika kobieta; zdawa-

ło się że tylko co wyszła z lasu, że ją wilczyca rzymska wykarmiła. A przy tem wszystkim imperatorski przepych w postawie i stroju. Przyglądałem jej się pilnie tego wieczora i znalazłem ją jeszcze dzikszą, niż wieść malowała. Gdy inne Włoszki powoli rozruszały się i rozochociły, gdy tygrysie zęby zaczęły pokazywać w szczerym śmiechu, ona jedna siedziała nieruchoma, z ustami wzgardliwie zaciętymi, ze spojrzeniem czarnem, zwróconem ciągle w jedną stronę, w tę właśnie gdzie ja siedziałem. Bo też we dwoje stanowiliśmy parę wyjątkowo cichą, prawie skamieniałą, między tem zebraniem ruchliwym jak żywe srebro. Nieuleczony jeszcze z mojej tęsknoty za Ireną, wszędzie się z nią nosiłem, jakby z łachmanem czarnej krepy, i nawet wśród przymuszonych szaleństw zachowywałem fizyognomią widma, dzięki której Paryżanki przezwwały mię: "Le beau tenebreux." Przepraszam za przytoczenie przymiotnika, ale skromność musi ustąpić przed wiernością opowiadania. Otóż, jak mówiłem, nawet w największej zabawie, byłem podobny do tanesza, co skacze z trupa głową pod pachą. Być może także, iż moja polska natura, przywykła do serdeczności naszych biesiad, nie mogła się jeszcze oswoić z biesiadami innych klimatów. Wesolość Francuzów jest jak ich szampan: ognista, szumna, tęczowa, ale — frappée à la glace. — Mnie też ten chłód przenikał, siedziałem niewzruszony, myśląc o Irenie, a patrząc na Romanę, gdy ta ostatnia na-

gle wstała, wyprostowana jak trąba powietrzna przesunęła się przez cały salon, siadła przy mnie i zapytała: "Czemu jesteś smutny? Czegóż ci brakuje? Masz młodość, masz piękność, masz rozum i wymowę. Czy ci brakuje kobiecego serca? Jeżeli chcesz być kochanym, będę cię kochała na życie i śmierć, na wieczne szczęście i wieczne potępienie. Jeżeli nie chcesz, powiedz mi to od razu, a ja odejdę, — nigdy ci się nie przypomnę i nigdy cię nie zapomnę. — Takie słowa, w tłumie bezmyślnej pustoty rzucone Dantejskim głosem, wstrząsnęły mie aż do przerażenia. Pierwszy to raz, od czasu jak opuściłem Irenę, dochodził mie głos prawdziwego uczucia, tylko tą razą był to głos pełen grozy, jakby wykrzyk Franceski z Rimini, wołającej z otchłani ognia. Zdawało mi się przytem, i do dziś dnia mam porozumienie, że w jej oczach była dżettatura, bo gdy mię całego

objęła spojrzeniem, to jakby wąż się w koło mnie obwinął. Uczulem się bezwładny. Nie wiem czy najzimniejszy Purytanin, czy ty sam Wiesławie, mógłbyś nie uleść podobnej pokusie?

— Nie wiem doprawdy — odpowiedział Wiesław zamyślony, i wspominał na własne wrażenie, gdy wpatrując się w miniaturę, pytał samego siebie, czyby zdołał oprzeć się jej skinieniu? — Cóż więc wuj odpowiedział?

— Oh! trudno wszystko spamiętać. Zacząłem naturalnie od wykrzyknika, że któż-by nie chciał być kochanym od takiej bogini? Potem przyszedł

uniesienia nad jej wdziękami, nad moim niespodzianem szczęściem; ale ona brwi zmarszczyła i powiedziała mi surowo: — Tu nie chodzi o komplementa. Miałam ich dosyć. Nie chcę abyś był do innych podobny. Powiedz mi tylko, czy to ma być miłość, czy miłość? — Przysiągłem więc, ma się rozumieć, że się będziem kochali na wieki, na wieczność, zakląłem się na księżyc i gwiazdy, jak się to zwykle praktykuje. Jeszcze przecie Grecy osądzili, "że Jowisz wybacza krzywoprzysięstwa zakochanych." — Wprawdzie nie byłem zakochanym, ale chciałem nim zostać, szczerze chciałem. Irena była dla mnie zupełnie stracona, rozpacz po niej wydawała się już i mnie szaleństwem do niczego nie prowadzącym, miałem sobie niemal za obowiązek. uczciwości wyleczyć się z tej chorobliwej desperacji, a nie było lepszego lekarstwa, jak nowa choroba serca. Więc gdy się sposobność nastęczała, i to bez żadnych z mojej strony zabiegów, jak gdyby z nieba dla mnie spadła -przyjąłem ją. z wdzięcznością, choć sam nie wierzyłem w jej trwałość. Romans z aktorką wydawał mi się przelotną rozrywką, aże doktorzy zalecili rozrywkę, chwyciłem się tej wesoło, żałując już zawczasu że to będzie meteor zanadto nigdy na rozpędzenie mojej nocy i jeszcze mniej wierząc w stałość Romany, niż we własną. Człowiek jednak, mający więcej doświadczenia, byłby prędko zrozumiał że tu się zanosi na wielką i tragiczną pasyę. Kilka dni ledwie upłynęło, a już La Ro-

mana zmieniła się do niepoznania. Była to metamorfoza prawdziwie bajeczna; nigdybym nie uwierzył w możebność takiej przemiany, gdyby się nie odbywała w moich oczach i pod moim niejako bezwiednym zaklęciem. Owa drapieżna, ponura istota nagle stała się łagodną, uległą aż do ślepego posłuszeństwa, świetną z dowcipu aż do atycyzmu. I co najdziwniejsze: tylko pod moją ręką szła obłaskawiona, dla wszystkich innych pozostała ową dziką kobietą. Tem wspanialszym, tem bardziej zjawiskowym wydał się mój tryumf; nawet w Paryżu, gdzie wypadki tak szybko chłoną się i zacierają wzajemnie, narobił on na długo hałasu. Nous faisons sensation. Romana nie kryła się wcale ze swoim dla mnie, rzecz mogę fanatyzmem. Jako prawdziwa Włoszka, nie widziała występku w miłości, ale tylko w niewierności, i swoją nową postać przybierała najnaturalniej w świecie, nie wstydząc się jej, ale też i nie parując nią przed ludźmi. Ja przeciwnie; nie mogłem dosyć nachwalić się moją zdobyczą; gdzie mogłem, pokazywałem się z nią razem, po lasku bulońskim codzień ją obwoziłem, rozparty jak tryumfator na rydwanie, ścigany zjadliwymi spojrzeniami zdeptanych współzawodników i głupowatym zachwyceniem przystawających episierów. Nieraz dostrzegałem, że jej przykro być jak pokazywaną jak żyrafa, lub inny dziw menażeryjny; ona rozumiała szczęście dla szczęścia, a nie dla ludzkiego poklasku, ale nie śmiała sprzeciwić mi się w niczem i zmusza-

ła się do uśmiechu, czując że takie widowisko dogadza i pochlebia mojej dumie. O! bo też ta duma potrzebowała odwetu. Moja miłość własna, długo upokorzona rolą patita odpychanego, teraz niemogła się nasycić szumnymi owacyami zwycięzcy, a nade wszystko słuszną radością człowieka prawdziwie kochanego, i to nie dla żadnej władzy ani majątku, ale tylko i wyłącznie dla swojej osoby. O! bo też

byłem kochany bez miary, nad miarę i nad moją wartość. Przywykły do amazońskiej ambicji naszych Polek, którym wiecznie trzeba nadszkakiwać, albo do wyrachowanej zalotności Francuzek, z którymi wiecznie trzeba mieć się na baczeniu, nie mogłem zrazu przywyknąć do tej czolobitności, która przemieniała Romanę w najpokorniejszą i najczarowniejszą odaliskę. Że jednak nietrudno zasmakować w łakociach, i ja niedługo oswoiłem się z moją rolą sultana, i jak wszystkie Mahomety i Amuraty, zacząłem jej nie tylko używać, ale nadużywać. Ach! bo też to trudno utrzymać równowagę, kiedy się w jednym ręku dźwiga same gwiazdy, a w drugim same pioruny, kiedy się wie że jednym rzutem oka można zabijać albo wskrzeszać. Romana dała mi wszystkie prawa, wszystkie nad sobą władze i chciała mi dać wszystkie szczęścia. To było pracą jej dni w przemyśliwaniu spędzanych, rojeniem jej gorączkowych nocy. Odnajdywała dla mnie wszelkie tajemnice miłości, z jakich słyneły Aspazyze greckie. Umiała być naprzemian kotką,

Iwicą, gołąbką lub szakalem, wedle życzenia jakie z moich oczu wyczytała. Było w niej dziesięć kobiet różnych, cały harem ciągle czuwający, z którego jaką chciałem mogłem wywołać postać. I to wszystko zawsze działo się z pogodą, z Arystofanesowym komizmem. Raz tylko, pamiętam, śmiertelnie się rozgniewała, kiedy chciałem koniecznie uczynić dla niej znaczny, majątkowy zapis; zrobiła mi transtewerańską scenę, a że dnia tego byłem w dobrym humorze, gniew jej szczerze mi się podobał. — Pierwsze miesiące przeżyłem w odurzeniu, w którym zdawało mi się że byłem szczęśliwy. Jednak tylko zdawało się, i to może jedynie dzięki złudzeniu, do którego czasem umiałem doprowadzić moje wiecznie tęskniące serce. W chwilach najzawrotniejszych pieszczot, jeżeli potrafiłem sobie wyobrazić że w objęcia garnę nie Romanę, ale Irenę, byłem szczęśliwy i ona była szczęśliwa! Me wiedziała biedaczka, że wtedy właśnie, kiedy zdawałem się ją najwięcej kochać, byłem jej najniewierniejszy pamięcią i myślą. Ale zato gdy minęła chwila sztucznego omylenia, gdy tylko muśnięcie czarnych jej warkoczów przypomniało mi, że to nie są promienne pukle Ireny, ogarniał mnie rodzaj wstrętu wobec tej nocy która chciała mi zastąpić słońce; stawałem się gorzki i szydery, a Romana nie mogła mnie zrozumieć i ja nie mogłem samego siebie zrozumieć. Przecież to było aż nadto jasne: poprostu jej nie kochałem! A jeśli troszkę kochałem, to tylko tą czy-

7

sto ziemską, najniższą, cząstką, miłości, która bez współdziałania duszy nic może zapelnąć istnienia i niestety prędko się przesyca. Po kilku miesiącach byłem przejezdony temi słodyczami aż do mdłości, zmordowany tym huraganem kochania aż do ospałości. Dziesięć razy na dzień, gdy mi się pytała: — Wszak tyś szczęśliwy? nieprawdaż? — odpowiadałem: — Prawda. — Ale ukradkiem oglądałem się po świecie za jakim samotnym kącikiem, gdziebym raz mógł odpocząć, zapomnieć o tej co mnie ścigała, a myśleć o niedoścignionej. Przez jakąś wstydlivość serca, a zresztą i przez poszanowanie dla własnej dumy, nigdy przed Romana nie wspominałem o Irenie. Kiedy mnie po całych godzinach brała na inkwizycyą co do mojej przeszłości, napomknąłem czasem, że przez te przeszłość przesunęło się wielkie uczucie, ale — dodawałem — już umarłe jest i pogrzebione. I nie było to w moim przekonaniu kłamstwem: chciałem w siebie wmówić że jest pogrzebione. Romana wierzyła mi z niepojętą łatwością, wszystko przyjmowała za dobrą monetę, a ja tylko dziwiłem się w duszy, jak mogła jeszcze mnie znosić?

— No, już wuj wybaczy — przerwał Wiesław — ale chyba kochany wujaszek nie musiał być taki bardzo nieznośny, kiedy wzbudzał tyle przywiązania.

— Ha! być i to może — odparł wuj z uśmiechem udanej skromności. — Zresztą, niepróżno to jeszcze starożytni przedstawiali Kupidyna

z przepaską na oczach: miłość jest rzeczywiście ślepa i zwykle tylko to widzi,

co pragnie zobaczyć. Romana byłaby przysięgła że ją kochani nad wszystko, nawet moje kaprysy brała za dowody rozkochania; prawda że sama była im winna; rozpieściła mię i zepsuła, aż rozgrymaszony jak dziecko, sam już nie wiedziałem czego żądam. Byłbym chciał naprzykład widzieć ją razem i sama sobą, i podobnusięnką do Ireny, jakby można ogień z wodą złączyć, jakby jedna półkula duszy, nie zasłaniała zawsze drugiej. Dziś dobrze rozumiem że człowiek, co nie umie w życiu zadowolić się jednym rodzajem korzyści, bankrutuje prędko na wszystkich; ale wówczas chciało mi się niepodobieństw, i nie mogłem darować Romanie, że ich jakimś cudem nie urzeczywistnia. Już też i moja miłość własna mniej znajdowała pokarmu. Paryż przyzwyczał się do mego zwycięstwa, po kilku miesiącach traktował nas z pół-szacunkiem, jakby pół-mażeństwo. Obejrzałem się po mojem przeznaczeniu i spostrzegłem, zdziwiony, a nawet przestraszony, że sam nie wiedząc kiedy, włożyłem na siebie pęta, niby lekkie, a trudne do rozwikłania, bo nigdzie widocznym węzłem nie spojone. Jest-to rzecz dziwna i na tryumf moralistów urządzona w świecie, że fałszywe obowiązki przynoszą najczęściej wszystkie ciężary prawdziwych, a nie przynoszą ani ich ulg, ani zaszczytów. Wprawdzie, mówiłem sobie nieraz: Ba! przecież jak zechcę, to i zerwę. Ale łatwo się mó-

wi, a nie łatwo się zrywa, zwłaszcza kiedy druga strona ciągle ustępuje i nietylko me daje powodów do zerwania, ale naraża się na ciężkie sparzenia, byle zagasić najmniejszy iskierkę niezgody. Każda inna byłaby się sto razy zniechęciła rolę twardego pedagoga, jaką, względem niej przybierałem. I tak, raziło mię niewymownie jej obchodzenie się ze służbą. Jeżeli, oprócz mnie jednego na świecie, wszyscy, nawet w salonie, doświadczali jej gwałtowności, można sobie wystawić, co się naprzykład działo przy gotowalni. Miewała napady, pasyi, w których jej się trafiało uderzyć służącą; prawda że ją nazajutrz obsypywała darami i przeproszała ze zbytnią znów, podług mnie, poufałością. Ha! była w swoim domu. Szczerze mówiąc, nie miałem prawa mieszać się do jej gospodarstwa, jednak pozwoliłem sobie uczynić jej kilka uwag. Przycięła usta i zaczerwieniła się, jak osoba co wielki gniew przemaga, ale nic nie odparła, owszem, wysłuchawszy, podziękowała mi poważnie, i, co powiesz? od tego dnia zmieniła się zupełnie; już nigdy, ale to nigdy, służbie nie uczyniła krzywdy. Wszystko szło spokojnie i łaskawie. Nieraz widziałem ile ją kosztowało hamowanie dawnych przywyknień, jednak już nietylko przy mnie, ale i w mojej nieobecności pilnowała się mojego słowa, jak zakonnik reguły. Domownicy nie mogli wyjść z podziwienia. Więcej ci powiem: jest pole na którym kobieta bywa zwykle nieprzewyciężona w opo-

rze i uporze, to ubiór. Prędzej ci ustąpi hypoteki z połowy swego majątku, prędzej ci nawet poświęci rywał, niż wyrzeknie się sukni, albo kapelusza, w których sądzi że jej do twarzy. Otóż byłem ciekawy, czy moja władza nad Romana sięga aż do tej jedwabnej granicy. Zacząłem przyganiać jej strojom, choć zaprawdę nie było czemu, bo ubierała się po królewsku. Znalazłem i tu uległość bez przykładu. Gdyby się była domyślała że to igraszka bez celu, byłbym niezawodnie bunt napotkał; ale jak wszystko, tak i te rady brała za szczere, za życzliwe, i choć nieraz były dzikie, prawdziwie niedorzeczne, stosowała się do nich z uśmiechem. Suknia raz przezemnie potępiona, choćby najładniejsza i najkosztowniejsza, już nigdy z szafy nie wyrzała. Kazałem jej nosić kolory zupełnie do jej włosów i cery niestosowne, na przykład blado-niebieski albo mauve; wiedziała że jej w nich brzydko, jednakże nosiła, a ja muszę przyznać, nigdy jej nie znajdowałem powabniejszą, jak kiedy się szpeciła z mojej woli. I tak bez końca! W braku prawdziwego przywiązania, bawiłem się namiętnie, jakby grą hazardową, tem kolejnem braniem jej na próby. Okrutna zabawa, która mi też potem przyniosła niemało udręczeń i kłopotów. I tak, dnia jednego, wybuchnąłem straszną filipiką na jej powołanie teatralne. Ktoby mię wtedy słyszał, mógłby

sądzić że waryuję z zazdrości. Dowodziłem że jej nie posiadam zupełnie, póki cała publiczność może, i to

za nędzną opłatę, uwielbiać jej wdzięki i wywoływać ja, ile razy komu się spodoba. Nie jestem jej panem jedynym, kiedy każdy może oklaskiem, albo gwizdnięciem, wyrokować o jej przyszłości. Nie jestem jej szczęściem jedynym, kiedy bukiety i brawa mogą jeszcze mieć dla niej cenę. Wiedziałem jak jest gorąco rozmiłowana w scenie, wiedziałem że to była jej pierwsza namiętność, to też ciekawie śledziłem wrażenie, jakie wywoła moja skarga. Słuchała z rodzajem przestrachu, w którym z wielkiem podziwieniem dostrzegłem i rodzaj radości. Nie dała mi zrazu wyraźnej odpowiedzi, ale nazajutrz przyniosła papier, który w moich oczach podarła. Była to umowa na przyszłą zimę, już zawarta z dyrektorem opery włoskiej w Paryżu, i którą tego poranku zerwała. Rzuciwszy szczątki papieru pod moje nogi, otoczyła mnie nieśmiałym objęciem i powiedziała: Pierwsza to prawdziwa ofiara, jaką dla ciebie czynię. Wdzięczna ci jestem, że dałeś mi do niej sposobność. Ach! gdybym wiedziała, co więcej dla ciebie poświęcić? Wiesławie, cobyś ty uczynił w takim razie? Ja wiem że nie znalazłem ani słowa odpowiedzi, ale oparłem głowę na jej piersiach i rozplakałem się w cichości, ze wstydu za samego siebie, z uwielbienia dla niej. Tyle uległości, tyle abnegacyi podbiło mię nakoniec i skruszyło; zacząłem poważniej zapatrywać się na to uczucie, a Romana zdawała się coraz szczęśliwsza. O, bo też wiedziała że ma straszną nademną

władzę! Chwilami tyran, częściej bywałem niewolnikiem. Miała pewien sposób wpatrzania się we mnie, który mię, jak spętanego, rzucał pod jej stopy. I ja powoli stałem się uległy, wdzięczny, serdeczny ile umiałem, ale z tem wszystkim nie było mi wesoło. Spozstrzegłem z przestrachem, że okropny błąd popełniłem, odciągając Romanę od sceny. Ta ofiara skłała jeszcze mocniej nasze losy. Teraz, kiedy wszystko dla mnie porzuciła, czyliż ja mogłem ją porzucić? Wziąłem na barki rodzaj odpowiedzialności za jej przyszłość. Widziałem z jej spojrzeń, z jej słów przerywanych, że tylko czeka, abym sakramentem uświęcił nasz związek. Dziś jestem przekonany iż byłaby z niej wzorowa żona, ale wówczas wzdrygałem się na samo przypuszczenie takiego megaliansu.

Jakto? Natoż w kraju odepchnąłem tyle świetnych partyj, aby z zagranicy wrócić ożeniony z exspiewaczką. Wprawdzie pochodziła z dostojnej rodziny, ale ta rodzina jej się wypierała, cóż więc po takiej koligacyi? Żeby to jeszcze był jakiś geniusz muzyczny, jakaś sława europejska? Żeby z mojej strony było naprawdę szalone zakochanie? Ale nic z tego. Miała piękność i czule serce, to jeszcze niedosyć. To też ja, który zawsze marzyłem o szczęściu domowem, o życiu patryarchalnem, wobec Romany nigdy się nie wydawałem z temi marzeniami; owszem, ciągle stroiłem drwinki z niewoli małżeńskiej, a ona ani przeczyła, ani potakiwała moim żartom, ale słuchała z pełną

smutku cierpliwością. Oboje nie mieliśmy już teraz wyraźnego celu, ani zatrudnienia. Po zerwaniu kontraktu w Paryżu, Romana zniechęciła to miasto, którego też, jako prawdziwa Rzymianka, nigdy nie mogła lubić; mnie także zmęczyło sztuczne życie tamtejsze. Wybraliśmy się więc w lecie na wycieczkę po brzegach Renu i przez kilka tygodni zmiana, poezja natury, samotność ruin, wpłynęły ożywczo na omdlewający nasz romans. Wydawało mi się że moja przyszłość już zupełnie uszła i że od przyszłości nie powinienem wymagać nic więcej, nad to co zdobyłem. Aż dnia jednego u jakichś wód, zdaje mi się że w Wiesbaden, przeglądając w kursalu stopy gazet, trafiłem na Kuryera warszawskiego, gdzie mi wpadł w oczy artykuł, zaczynający się od słów takich... pamiętam je doskonale, stoją mi do dziś dnia przed oczami, jakby fosforem wypisane. Otóż ów artykuł tak



się mniej więcej zaczynał: "Przed kilku tygodniami odprowadziliśmy na cmentarz powązkowski zwłoki ś. p. Ludwika Zapolskiego, zgasłego przedwcześnie na chorobę sercową. Zgon ten niespodziany przejął głębokim żalem liczne grono jego przyjaciół i zwolenników, dla których zamieszczamy dzisiaj kilka szczegółów o życiu i zasługach nieboszczyka, który w zbyt krótkim zawodzie dowiódł..." i t.d. i t.d., poczem następował mały zyciorys. Tego już, ma się rozumieć, tak bardzo nie Studyowałem.

— Ach Boże! — przerwał Wiesław — po takiej

wiadomości wyobrażam sobie, jakie wuj musiał z tą biedaczką przebywać tragedye. — Otóż nie, jeszcze wtedy nie było tragedyi. Po przeczytaniu owego Kuryera, myślałem że mię paraliż ruszy. Czyniłem sobie najkrwawsze wyrzuty, czemu nie umiałem utrzymać się wolnym przez ten rok zawieszenia? Ale któż mógł przewidzieć? Ten człowiek, któremu nie przyznawałem serca, umiera na serce, nagle, piorunująco, i zostawia mi wrota otwarte do szczęścia, a to szczęście zastaje mię wplątanego w stosunek trudny do przecięcia. O! bo przewidywałem że nici tych więzów, choć zerwane, długo będą się za mną wlokły. — Jednak niespodziane zabyśnięcie nadziei nadaje ogromną energią. Uczułem się zdolny do najzawziętszej walki, do najmisterniejszej komedyi, byle się otrząsnąć z niewoli. Me poszedłem zaraz do domu, ale przez kilka godzin obiegałem wszystkie spacery, układając mój plan strategiczny, a gdy wróciłem do hotelu, to z miną jaknajsmutniejszą, "W tej chwili, mówiłem, odbieram telegram, w którym krewni mi donoszą, że matka moja nagle zachorowała, i dziś jeszcze musze do niej jechać." Romana mi najzupełniej uwierzyła, spłakała się nad mniemaną chorobą tej, którą jeszcze w dzieciństwie utraciłem i którą ledwie jak przez mgłę pamiętam. Doprawdy, kiedy mnie, pocieszała z głębokim współubolewaniem, kiedy sama rzeczy moje pakowała z pośpiechem, nie śmiałem oczu na nią podnieść. Odpro-

dziła mnie aż na banhof. Tam, wyznam, bardzo mi się przykro zrobiło; sądziłem że już ją, ostatni raz widzę; to też pożegnanie nasze było nadzwyczaj czule, obiecaliśmy sobie pisywać codziennie listy, chociaż ja już wtedy w duszy postanowiłem, że moje będą coraz rzadsze, aż wkońcu zupełnie ustaną. Znalazłszy się w wagonie, odetchnąłem, jak człowiek co uciekł z więzienia, i budowałem rajskie plany. Wprawdzie ten Eden był zatruty poczuciem, że zostawiam za sobą istotę, która we mnie utopiła całe swoje szczęście i której kiedyś będzie trzeba najcięższy cios zadać. Jednak nadzieja spotkania się z osobą prawdziwie, jodynie ukochaną, zaciera wszystkie inne wrażenia, i ja leciałem jak szalony, pewien że sam widok Ireny będzie wodą letejską na całą tę niezdrową przeszłość. Stało jednak w moim losie napisane, że się nieprędko z nią zobaczę. Kiedy przyjechałem, Ireny nie było już w Warszawie. Wyjechała przed dziesięciu dniami do krewnych męża, dla urzędzenia interesów familijnych, bardzo, jak mówiono, powikłanych. Że rodzina Zapolskich w tamtych stronach liczna, nikt nie mógł objaśnić napewno, do kogo z nich pojechała i jak się nazywają, dobra w których bawi. Co gorzej, przyniesiono mi kilka razy fałszywe wskazówki, i listy moje, wysyłane do różnych Balabanówek i Czarnogródków, ginęły niepowrotnie, albo wracały do mnie retro. Zato z listów Romany żaden nie zaginął, i okropnie mię męczyła korespondencya,

w której musiałem udawać rosnący niepokój o moję chorą i rosnącą tęsknotę do mojej ex-ulubionej, której rysów już sobie prawie przypomnieć nie mogłem, tak to łatwo się zaciera wszelkie wmówione uczucie. Dopiero po dwóch albo trzech miesiącach szturmowania do owej prawdziwie dalekiej Ukrainy, trafiłem nakoniec na właści. wy adres i list mój doszedł do Ireny. Był on, się rozumieć, dosyć ceremonialny, jako lettre de condoléances. Jednak tyle weń włożyłem serca, że

spodziewałem się w jej odpowiedzi odnaleźć choć jeden promyczek przeszłości. Tymczasem list od niej przyszedł chłodny i zwięzły, jakby od osoby, co mnie ledwo pamięta. Strwożyłem się niewymownie, czy nie zobojętniałem tak dla niej, jak Romana dla mnie. Zacząłem wysyłać list po liście, coraz czulsze, coraz pokorniejsze. W jej odpowiedziach przebijało się niejake zdziwienie nad moją natarczywością, wyrazy były zawsze odmierzone według przepisów czysto-salonowych, zarówno grzeczne, jak oziębłe. A żebyż choć i takie częściej się zjawiały. Ale to na pięć lub sześć moich listów, ledwie jeden od niej przychodził. — Całe dnie siedziałem w domu, ażeby nie ominąć odwiedzin bryfregiera, który stał się teraz dla mnie półbożkiem. W innych dniach krążyłem ciągle wkoło poczty, aby choć kilka minut wcześniej odebrać wiadomość. Najczęściej oddawano mi list nie od niej, ale od tamtej. Teraz wyobrażam sobie, że i tamta musiała z równą gorączką

7

oczekiwać pisma odemnie, i to przypuszczenie jest mi niezmiernie bolesne. Kiedy rozwodziłem skargi przed panią Ireną, na krótkość i oschłość jej listów, tłumaczyła mi się nawalem interesów i zmartwień. Pisała że ma wiele przykrości od rodziny męża, który zaskoczony niespodzianą śmiercią, nie mógł zostawić testamentu, a teraz niedobrzy krewni różnemi matactwami przeczą jej praw majątkowych, których dla przyszłości dziecka musi bronić. To wszystko miało nawet podkopać jej zdrowie. Przerażony myślą że Irena aż choruje ze zgrzyot i żyje wśród spisku nieżyczliwych, napisałem gorącą prośbę, czyby w imię dawnej przyjaźni, nie pozwoliła mi przyjechać na Ukrainę i pomagać jej w prowadzeniu interesów? Na ten raz odpowiedź przysłała prędko i brzmiała stanowczo, zaklinając mnie, abym się nie ważył przyjeżdżać, gdyż, jak mówiła, taka odsiecz mogłaby zaszkodzić jej sławie i ostatecznie poróżnić ją z rodziną, która i tak już złośliwym okiem na nią patrzy. — Przyznam się że to wszystko zniechęcało mnie i doprowadzało do apatii. Nie wiedziałem, jak to mówią, co ze swoją figurą zrobić. Tamta się niecierpliwiła, ta nadużywała mojej cierpliwości. Czułem że między mną, a Ireną leży jakaś zaporą, ale czyż podobna ją usunąć, dopóki nie wiem jaka? tłumaczyć się, kiedy nie wiem z czego? Ach, zdawało mi się, że gdybym Irenę przez jeden dzień widział, zrozumiałbym ją i dał się zrozumieć odrazu! Ale tak, na zimnym papierze,

nie mogłem się niczego dobadać. — W ten sposób zesłała mi cała zima. Rozdarty między dwie korespondencje, nigdzie prawie nie bywając, zdziczałem tak mocno, że cały dzień siedział przy kominie w szlafroku, pił herbatę i czytał Heinego. — Biedny wujaszek! — odezwał się Wiesław. — Strasznie to już niezdrowy stan duszy, kiedy tylko heinowski pieprz smakuje. — Dużoby o tem mówić, mój Wiesławie. Ręczę że nie czytałeś wszystkich dzieł Heinego, bo nie mówiłbyś o nim tak lekceważąco. Człowiek, co umiał przedstawić całą jedną stronę swego wieku, chociażby ujemną, jest w każdym razie potęgą. — No, już na dziś daruję wujaszekowi nawet i Heinego, byle wujaszek nie tracił weny, bo przynajmniej że ta historia ogromnie mnie zaciekawia; pod skromnemi pozorami codziennych wypadków, odsłania cały psychiczny dramat. — Oho! czekaj. Będzie tu coraz więcej dramatu, aż skończy się... komedią. Na wiosnę tedy, napisałem do pani Ireny, oświadczając, że już nie będę jej się narzucał ani z moją osobą, ani z częstymi listami, ale chcę czekać jej rozkazów i w tym celu zapytuję, gdzie i kiedy mogę mieć nadzieję się z nią spotkać? Odpowiedziała mi, na ten raz uprzejmie i nawet wesoło, że za parę miesięcy wybrnie, jak się zdaje, z interesów, że doktorzy ją w lecie do wód mają wysłać, ale nie wie

jeszcze do jakich, a zimę całą jej spędzić we Włoszech, że mi zatem na

październik albo listopad daje rendez-vous w Rzymie. Ta nazwa Rzymu była podkreślona, co mię już wówczas nieco zastanowiło; nie domyśliłem się jednak, jak wielkie znaczenie miała ta kreseczka. W parę dni później odbieram inny list, od Romany. Ten mię nawskróś przejął postrachem, był datowany z Wrocławia. Zdaje się że coraz większy chłód i niedbałość moich listów zaczęły jej otwierać oczy. Pisała z goryczą, że nie może dłużej znosić takiej niepewności, i że jeśli stanowczo nie oznaczę epoki mego powrotu, przyjedzie bez wahania się do Warszawy, co istotnie mogła z każdą chwilą" i to w kilkanaście godzin, uskutecznić. Czułem że spałę się ze wstydu, jeżeli za swoim przyjazdem odkryje wszystkie kłamstwa, jakimi ją, od pół roku karmiłem, i ta myśl dodała mi skrzydeł. Nazajutrz puściłem się do Wrocławia, pędzony nietylko chęcią uprzedzenia Romany, ale troszkę i na złość Irenie. Bo i jakże? Ona mogła całe lata mię nie widzieć, na całe miesiące odkładać nasze spotkanie, może wcale już i nie myślała o mnie, a ja dla tej mrzonki miałem poświęcać jedyne serce na które mogłem rachować, istotę co nikogo prócz mnie na świecie nie kochała? Przyjazd do Wrocławia był dla mnie chwilą zwycięzką, nieledwie szczęśliwą, ale i pełną skrytego rozdarcia; moja Rzymianka umiała radość powitania spotęgować do stopnia który mię aż zasmucił, bo po-

mimo wszystkiego, w głębi duszy postanowiłem nieodwołalnie szukać już teras na seryo zaczepki, aby zawsze w odwodzie mieć możebność zerwania. A najprzód widziałem, że trzeba koniecznie znów Romanę wprowadzić na te deski teatralne, z których sam ją ściągnąłem. Z początku rzecz zdawała się nie do wykonania. Zaprzeczyć tak gwałtownie, tak oczywiście wszystkim swoim niedawnym, dowodzeniom i postępkom, to wygląda poprostu na waryactwo. Ale powiedziałem sobie: — Od czegoż rozum? Co się mogło zrobić, może się i odrobić. — I odrobiłem. — A to wuj dokazał sztuki. Ale jakimże sposobem? Ja doprawdy nie rozumiem, jak to się podobne plany wykonywają. — Nic prostszego. Okazałem jedynie to, co było prawdą: gorzkie wyrzuty sumienia za krok nierozważny, którym zwichnąłem całe jej przeznaczenie. Tylko podniosłem te wyrzuty do takiej desperackiej przesady, do takiej maniackiej uporczywości, że Romana nie mogła niczem na świecie uspokoić mnie, ani pocieszyć, dopóki się nie zobowiązała powrócić na scenę i dawniejszy mój postępek uważać za niebyły. Prawda że z początku słuchała mię z niedowierzaniem, z widoczną obawą, czy pod temi namowami nie ukrywa się jaka próba. Ale kiedy niezmiordowane powtarzanie jednych i tychże samych błagań przekonało ją o mojej szczerości, zmiękła nagle w oporze i rozjaśniła się, jak jeszcze nigdy. O! bo namiętnie

kochała muzykę, łaknęła artyzmu i wszystkich jego wzruszeń, teatr był jej prawdziwym powołaniem. Wtedy dopiero zrozumiałem, jak wielką uczyniła ofiarę, gdy zrzekła się go dla mnie bez wahania i bez szemrania. Teraz, kiedy zobaczyła że dogadzając moim życzeniom, może spełnić i najgorętsze swoje, wpadła w radość prawie dziecinną. Oboje zajęliśmy się conajprędzej jej powrotem na jaką scenę. O paryskiej ani było myśleć; gwałtowne zerwanie przeszłorocznej umowy zgubiło Romanę w oczach tamtejszych impresariów. Chciała już zostać w Niemczech, ale ja miałem plan inny. Wiedząc że na jesień muszę być w Rzymie, podsunałem wybór którego z miast włoskich. Sam Rzym jednak odradzałem stanowczo, pod pozorem że nie wypada Romanie tam występować, gdzie mieszka niechętna jej rodzina. Prócz tego jednego, wszystkie inne miasta byty mi dobremi; chciałem tylko dostać się za Alpy. Raz tam zamieszkawszy, łatwoby mi już było wymknąć się do Rzymu, na chwilową niby wycieczkę, a Romana, przykuta swoim zobowiązaniem teatralnem, niezarazby mogła mię dogonić. Nadzieja powrotu do ziemi rodzinnej niezmiernie uśmiechnęła się mojej Włoszce; nie mogła mi się nadziękować za ten pomysł, co ja uwalniał od nieznośnych Tedesców, pomysł w którym, jak w każdym kroku moim, chciała widzieć nowy dowód miłości. Wszystko ją w tem złudzeniu utrzymywało, nawet i gorliwość, z jaką zająłem się naszym

zamiarem. Bo też wtedy, zrzuciwszy pychę z serca, uwijałem się, zupełnie jak ci mężowie sławnych aktorek, co powoli zostają, artystycznymi koniakami. Tygodnie mi schodziły na zbieraniu wiadomości, na pisaniu komplementów dyrektorom teatralnym i podbijaniu wpływowych melomanów. Nakoniec udało mi się zawrzeć układ wyborny z teatrem La Fenice w Wenecji, a udało się, jak sądzę, głównie dzięki fotografii Romany, którą dołączałem do wszystkich korespondencji. — W Wenecji czekały mię różne niespodzianki. A najprzód przyjęto mię z rodzajem czci, do której nie byłem przyzwyczajony, jako pierwszego i wszechwładnego ministra nowej divy, co u Włochów nadaje mocną pozycją społeczną. Nawet lud na placu św. Marka tłoczył się wkoło nas z uśmiechem zachwycenia i poszanowania, bo tam piękność i mi łość są, zawsze jeszcze uważane za bóstwa, i tem szczerzej wielbione, że Włosi prawie nie znają uczucia próżności: uwielbiać, to dla nich prawdziwa rozkosz. To też kobieta piękna i utalentowana, mężczyzna kochany i szczęśliwy, idą, tam w ciągłym, olimpijskim tryumfie, nie narażeni na tę ogólną, poszczekującą, zawiść, która w innych krajach psuje, każde powodzenie; tam, jeżeli spotkają, zazdrość pojedynczą, to już walka idzie na życie i śmierć. — Nowe, jeszcze mniej spodziewane hołdy czekały nas w gmachu La Fenice. Moja diva była wprawdzie zamówiona jako druga śpiewaczka, ale że primadonna jeszcze nie

przyjechała, dyrektor odważył się na tymczasem powierzyć Romanie pierwsze role, wiedząc z doświadczenia, że jesienną publiczność można i tak zwanemi les doublures zadowolić. — Wystaw-że sobie zdziwienie dyrekcyi, artystów, całej Wenecji i moję, kiedy Romana wystąpiła z potęgą, z werwą, nawet ze skalą głosu, jakiej nikt się u niej nie domyślał. Co się z nią stało, nigdy dobrze nie mogłem zrozumieć. Słyszałem nieraz, że kilkomiesięczna przerwa w uprawianiu jakiego talentu może się bardzo przyczynić do jego rozrostu, jeżeli zwłaszcza w porę jest użyta; i łatwo to zrozumieć: przy takim odpoczynku cały zasiew dawniejszej pracy prawie bezwiednie dojrze. Z Romana może zaszło coś podobnego. Przyznała mi się po jakimś czasie, że przez owę zimę przebyła we Wrocławiu, pozbawiona i mego towarzystwa i teatru, porzuciła właściwe sceniczne śpiewanie, a oddała się surowym studjom; nie miały one wyraźnego celu, bo nie sądziła aby mogła kiedy powrócić na scenę, ale chciała czas zabić, i w tej pozornej zabawce znalazła wszystkie skarby, za któremi dawniej napróżno goniła. Głos jej nabył nowych tonów, nowych zwrotów i jakiegoś namiętnego tętna, które nieraz czyniło go porwijącym. A jeśli wiele zyskała jako śpiewaczka, cóż dopiero jako aktorka! Powiadam ci, takiej gry, jak u niej wówczas, może nigdy u nikogo nie widziałem. Ale bo tu wszystko: życie, prawda, gwałtowność, pieśczołliwość, wszystko

się jakby czarem znalazło, i to posunięte do mistrzostwa. Może też nie jest bajka, co ludzie mówią, że wielka miłość wszystko w człowieku potęguje. Może Romana pod wpływem serca tak wzrosła. Przyszłość nawet niejako udowodniła ten domysł, bo kiedy wpływ serca się zachwiały, owe dary także się gdzieś rozchwiały. Cały jej zawód muzyczny możnaby tak określić: — tyle zdolności, ile miłości. Póty chwały, póki szczęścia. — Sama w owym czasie nieraz mi mówiła, że nagle swoje postępy, tylko mnie zawdzięcza; ale ja nie miałem dosyć miłości własnej, aby uwierzyć w tę swoją siłę cudotwórczą, i wszystko wówczas brałem za logiczny rozwój prawdziwego talentu. — Dyrekcyja teatru czyniła mi codzienne wyrzuty, czemu zamówiłem drugorzędną posadę dla pierwszorzędnej śpiewaczki. A gdy, dawniej zamówiona, jakby naumyślnie dla nas się spóźniła, zerwano z nią umowę i miejsce jej oddano Romanie. Odtąd, co reprezentacya, to owacya. Wszystkie kwiaty, oklaski i wiersze dla niej, a wszystkie powinszowania dla mnie, bo choć nikt się z tego jasno nie tłumaczył, wszyscy uważali mnie za kierownika i niejako twórcę nowej gwiazdy w sztuce. Takie położenie było dosyć dwuznaczne i

niebardzo chlubne dla człowieka, co nie lubi być zaprzęgniętym do niczyjego wozu; że jednak wielkie powodzenie upaja, i mnie głaskały troszkę po sercu fanatyczne egzaltacje Włochów, a miałem też i rzeczywiste powody radości; nie mogłem sobie dosyć

nawinszować, że namówił Romanę do powrotu na scenę, tem bardziej, kiedy nam ten powrót tak zwycięzko wypadł. — Teraz już, myślałem sobie, nie zostawię jej przecie w zupełnym opuszczeniu; wśród rodaków życzliwych, wśród tłumu wielbicieli po królewsku przez teatr płacona, przez koło artystyczne rozrywana, może łatwiej zniesie rozstanie się zemną. Bo o rozstaniu trzeba już było myśleć nie na żarty. Wrzesień upływał i wszystko mnie na gwałt z Wenecyi wypychało. Na przykład, zapomniałem ci powiedzieć... zaraz prawie po przyjeździe, odebrałem list z Paryża, list w którym jeden z kolegów donosił mi, że pani Irena przejeżdżała przez Paryż, tydzień zabawiła i u wszystkich moich znajomych bardzo a bardzo dopytywała się o mnie, o szczegóły mojego pobytu w Paryżu i o wszystkie moje stosunki, poczem autor listu położył kilka kropek, które mi dały wiele do myślenia. Z jednej strony ucieszyło mię niezmiernie to zajmowanie się moją osobą, z drugiej przecież nie życzyłem sobie wcale, aby Irenie opowiadano o mnie jakieś legendy romantyczne, tem bardziej, że złośliwość gotowa była nadać im koloryt za mocny. Postanowiłem więc już co prędzej odczepić się od Romany i kolejno próbowałem wszelkich tortur, jakimi zdawało mi się że zniechęcę moją ofiarę. Cóż powiesz? Wytrzymała wszystko z bohaterstwem, które mnie doprowadzało do rozpacz. Widzę że się wzdrygasz — oburza cię moje okrucieństwo? Tak, dzisiaj łatwo

się oburzać, ale wtedy cóż było robić? Chciałem rzeczy rozpleść powoli i rozumnie, jak operator brać się do wszystkiego ostrożnie, i może właśnie zgrzeszyłem zbyt niemię oszczędzaniem cudzego serca. Wielu innych, na mojem miejscu, byłoby zerwało odrazu, poprostu, nie tłumacząc się i nic sobie nie robiąc z boleści biednej komedyantki. Kto wie czy i surowy pan Wiesław nie postąpiłby tak lakonicznie?

— Przepraszam wuj, o mnie mowy być nie może, bo ja najprzód nie byłbym się...

— Już wiem co chcesz się powiedzieć. Me byłbym się wplątał w podobną awanturę. O mój Wiesławie, możesz się kiedyś bardzo na sobie omylić! Masz teraz lat... dwadzieścia pięć? Jeszcze nawet nie? Dwudziesty piąty ledwo zacząłeś, nieprawdaż? No, to w twoim wieku i ja miałem sumienie tak lekkie jak twoje, a przynajmniej prawie tak lekkie. Ale chciałbym cię widzieć za drugie dwadzieścia pięć lat. Wystaw sobie że siedzimy znów razem, (ja bieluteńki jak gołąb, oparty na kij, ty także już dobrze szpakowaty) i opowiadasz mi swoje dzieje, jak ja dziś opowiadam moje. Oj ręczę ci, że jeśli będziesz mówił nie dla przechwałek, ale bezstronnie i szczerze, znajdzie się niejeden ustęp trudny do wyznania, niejedno mea culpa, osłonięte wieczną wrotką: Nie mogłem inaczej.... albo: Już było zapóźno. Nawet i dzisiaj, gdybyś tak sumiennie uderzył się w piersi, mógłbyś przysiąc, że nic zraniłeś nigdy żadnego serca? że nie do-

7

kuczyłeś istotom które cię kochały, a o których miłość nie dbałaś? Wiesław się zarumienił — chciał mowne — i zamilknął. — Stały mu na myśli wszystkie śliczne panienki, wszystkie czarowne mężatki i wdowy, co kolejno chciały go podbić, co może wiele nocy dla niego przeplakały, wiele dni w tęsknocie przeczekały, a o których cierpienia podobno się nigdy nawet nie zatroskał.

W duszy przyznał wujowi odrobinę słuszności, ale głośno nie chciał jej przyznać, odpowiedział więc z pół-uśmiechem:

— Posądzenie wujaszka bardzo mi powinno

pochlebiać. Zdaje mi się jednak, że niewiele jeszcze miałem pola do sercowych okrucieństw, a jeśli komu dokuczyłem, to, doprawdy, chyba niechcący. — A to już, mój chłopcze, wszystko jedno. Przecież nikt nie dręczy dla samego dręczenia, chyba jakiś Neron, albo Kartusz. Jeżeli przyzwoity człowiek wda się w dokuczanie, to już pewno musi mieć powody ważne i niejako usprawiedliwiające. Bo tylko zastanów się... logika życia jest taka straszliwa, że nieraz każe wielkie zło popełniać, ażeby z jeszcze większego wybrnąć. I ja względem Romany miałem jaknajlepsze intencje; w tem koniecznem zerwaniu chciałem jej zostawić cały tryumf. Bóg widzi że chciałem nie porzucić, ale być porzuconym. Robiłem wszystko co mogłem, aby jej się nie podobać, aby wywołać sce-

nę, po którejby mnie wypędziła. Ach, byłbym zniósł wszelkie upokorzenia, byłbym się dał zepchnąć ze schodów, i jeszcze błogosławił ją na resztę życia! Cóż chcesz? Los, co zwykł się ludziom sprzeciwiać, i tu okazał swoją nieubłaganą, przekorę. Im bardziej usiłowałem Romanę zniechęcić, tem uporniej, tem gwałtowniej krępowała się do mnie; może bezwiednie czuła, że to już ostatnie chwile, i jak tonący, chwytala się każdej deszczułki ratunku. Z początku zdawało mi się że wyborań przyczyną kłótni będzie zazdrość, ma się rozumieć udana, bo w postępowaniu Romany i mikroskopem nikt nie byłby dojrzał śladu niewierności — ale od czasu jej nowych powodzeń, chodził za nią orszak wielbicieli, który mógł mi się niebardzo podobać. Było zwłaszcza jedno książątko włoskie, z czarną grzywką, z oczami jak komety, cudny chłopiec; wprawdzie, jak niejeden arystokrata włoski, nosił na rękach trzydzieści sześć pierścieni, a nie nosił rękawiczek, ale miał na którymś kanale pałac marmurowy, a co więcej kieszeń i serce złote. Otóż jednego pięknego poranku czy wieczora wybuchnąłem piorunująco, a propos czarnego księcia. Ach, mój Wiesławie, strzał mój nietylko nie trafił do celu, ale się przeciw mnie obrócił! Nigdy nie pamiętam, aby twarz Romany zabłysła większą radością. Więc mogłem być zazdrosny! Raczylem być zazdrosny! Nieoszacowane odkrycie dla kobiety, co już może zaczynała o mnie wątpić. ' Na moje krwawe zarzu-

wyrzuty nic nie odrzekła, tylko z za paska wyjęła swój prześliczny florencki sztylecik i oddając mi go powiedziała poważnie: "Jeżeli kiedykolwiek, w czemkolwiek wyda ci się, że zgrzeszyła przeciw tobie, chociażby w jednym spojrzeniu, pozwalam ci zabić mnie odrazu, bez sądu, bez tłumaczenia się Bogu, ani ludziom." — Struchlałem na taki argument. Tłumaczyłem jej że Polak nie zabija bezbronnych niewiast, i że w razie nieporozumienia, wolałbym nic nie mówiąc odjechać, na co odpowiedziała z wielkiemuniesieniem: "Odjechać byłoby stokroć gorzej, niż zabić." — Sztylet musiałem przyjąć, chociaż niechętnie, bo według zabobonu taki dar ma przynosić nieszczęście; ale że nic obiecałem go użyć, Romana wynalazła sposób jeszcze, jak sadziła, lepszy. — "Jeżeli, — szepnęła mi z uśmiechem — książę ci zawadza, znam w Wenecyi takich, co go cichutko sprzątną." — A gdy się oburzyłem i, przedstawiałem jej niebezpieczeństwa podobnych przedsięwzięć, odpowiedziała z prawdziwie włoską naiwnością: — "Już ja to tak urządzę, że nikt się nigdy nie dowie przez kogo i dla kogo zniknął." — W strachu przed kryminalno-policyjną burzą, cofnąłem się coprędzej z mojej roli Otella i owszem, pracowałem usilnie nad uspokojeniem Romany. — Szukając nowych sposobów zerwania, wydało mi się arcy-zbawiennym środkiem zapaść w głęboką melancholię. Dokazywała cudów serca i dowcipu, ażeby mnie z niej wyleczyć,

ale nieboraczka nie mogła celu dopiąć, bo chory nie chciał być wyleczonym. Na długie i błagalne jej pytania, wydałem się z tajemnicą, że mi tęskno za krajem, za rodzinną, mową, za życiem spokojnem i obowiązkiem. Było w tem wszystkim

dużo prawdy; obrzydły mi już i Paryże, i Wenecye, i Włochy, i Włoszki, ach, nade wszystko Włoszki! Tęskno mi było do rozsądnego charakteru ludzi północnych, z którymi już mniej więcej wiemy jak sobie poczynać, podczas gdy ludy południowe myślą, czują i działają ciągłymi przeskokami, których nie można nigdy naprzód odgadnąć. Ach, i te skargi przeciw mnie się obróciły! Przez kilka tygodni Komana była jakaś zamysłona i często znikająca. Mie wiem czy wynalazła w Wenecyi jakich Polaków, od których się poduczyla, ale jednego wieczora (smutnej to pamięci wieczór) zasiadła do fortepianu w tryumfującej postawie i zaśpiewała mi jakąś piosenkę Moniuszki.

— Jakto, wujaszku, po polsku?

— Tak, po polsku. Wprawdzie, Boże zmiłuj się, jaka to była polszczyzna, ale intencji nie brakło. O ile mi się nawet wydaje, musiała jeszcze we Wrocławiu rozpocząć ten kurs łamanej filologii, bo teraz od biedy mogła sama o potocznych rzeczach się rozmówić, a już co drugich, to niestety aż nadto dobrze rozumiała. Skończywszy ową piosenkę, oświadczyła mi bardzo pieszczotliwie, że jeśli mi tak tęskno do kraju, gotowa wszystko porzucić i zakopać się zemną w Pol-

choćby w jakim dworku pod śniegiem. Dziwna rzecz jak wszystko w życiu jest względne. Te same niespodzianki, te same wyrazy, co od osoby ukochanej mogłyby do łez wzruszyć i nazawsze podbić, w jej ustach wydały mi się szczytem natręctwa i tyranii. Na wszystkie plany wyjazdu, do kraju odpowiadałem milczeniem. a co do muzyki, zauważyłem, że Moniuszkę śpiewa szkaradnie i oświadczyłem jej to w oczy. Nie rozgniewała się, ale odeszła, siadła w kącie salonu i cicho płakała. Te łzy pełne niemych wyrzutów, ta niemożność przyprowadzenia jej do niecierpliwości, rozdrażniły mnie ostatecznie. Chwila wydała mi się stanowczą. Wziąłem się na odwagę i zlekka wyśmiewając łzy ronione dla tak błahej troski, zapytałem coby uczyniła w razach ważniejszych, na przykład... gdybym się z inną ożenił. Nie mam jeszcze, mówiłem, żadnego wyraźnego zamiaru, ale przypuśćmy że okoliczności się zmieniają, że rodzina mię zmusi? — Pamiętam, jak nagle chustkę od oczów odjęła, a w tych oczach mignął połysk drapieżności, której sądziłem że już się nazawsze pozbyła. Wstała wyprężona jak struna i powiedziała mi: — Nie jesteś dzieckiem, ażeby cię ktokolwiek mógł przymuszać, a jeżeli się ożenisz, zabije albo ciebie, albo ją. Nie — dodała, — ciebie nie potrafię, ale zabiję najprzód ją, a potem siebie.

— Kategoryczna odpowiedź. I cóż wuj na to?

— Ja? Ma się rozumieć, ruszyłem ramionami

i powiedziałem jej z pogardą, że nie rodziłem się w kraju bandytów, ażeby mi ciągle gadano o zabójstwach, że nie myślę kochać zbrodniarki, że zresztą, wolno jej samej, jeżeli chce koniecznie, pójść w kajdany — ale że ją proszę, aby przynajmniej kogo innego obrała za powiernika tych, pięknych planów, bo mnie się takie żarty wcale nie podobają, po czem wszystkim trzasnąłem drzwiami i wyszedłem, pozornie rozgniewany, w głębi duszy jednak tknięty straszną mocą tego przywiązania. Nie spotka się codzień takiej miłości, jak to mówią, na śmierć. — Ale od tego czasu już się coś między nami zerwało. Romana wróciła do dawnej ponurości. Wpatrywała się we mnie podejrzliwie. Ile razy weszła do pokoju, toczyła wzrokiem badawczym, jakby szukając czy jeszcze nie uciekłem. Oj! miałem też niezmyśloną chęć ucieczki. Chciałem, jak Henryk Walczyusz, zostawić list nadziany obietnicami i cichaczem się wymknąć: ale byłem pilnie strzeżony. — Jednak przy tych ukrytych zmartwieniach wszystko szło na oko bardzo zgodnie i świetnie. Romana miała takie w teatrze powodzenie, że odważyła się na rolę Normy, jedną z najtrudniejszych nietylko pod względem śpiewu, ale i gry, która tam wymaga wytrawnej sztuki tragicznej. Przyznam się że z niejaką obawą szedłem na pierwszą reprezentacyą. Przecież jeszcze ust nie otworzyła, już słuchacze byli podbici, tak cudną się wydała w roli Druidki. Żaden może kostium nie przypadał jej

ównie do twarzy, bo też i nie mogło być roli stosowniejszej do jej charakteru. Jak wyglądała, możesz mieć niejaki wyobrażenie z owej miniatury, gdzie właśnie przedstawiona jest w roli Normy.

— Aha! — zauważył Wiesław — teraz rozumiem i ów-sierp zagadkowy.

— Widzę jeszcze jak na dłoni wszystkie szczegóły tego wieczoru. Tłok był ogromny. Siedziałem w pierwszym rzędzie krzeseł, a dyrektor orkiestry mrugał na mnie tryumfująco, ile razy sala zatrzęsa się od oklasków. Trafiało się to często; cały pierwszy akt poszedł siarczyście jakby trzasnął z bicia. Nawet w Casta Diva, tym najtwardszym brylancie włoskiej muzyki, o który tyle głosów się rozbija, Romana dorosła, rzecz mogę, do ideału Belliniego; nieporównaną brawurą porwała wszystkich, nie wyłączając i mnie, co niemało znaczy, bo ja pewno byłem najsurowszym z jej sędziów. — Po skończonym akcie, rozmawiam sobie najspokojniej z sąsiadem, a czuję że mie coś ciągnie, aby się obejrzeć. Wstaję, rozglądam się po sali, i nagle, jakby mię kto dźgnął prosto w serce, spostrzegam... Irenę! Siedziała cała w bieli i perłach, przecudna jak anioł, trochę z łoży wychylona, ze wzrokiem ku mnie zwróconym. Widać że to jej wzrok tak mię przyciągał. Jedyny to raz w życiu doznałem tej siły magnetycznej spojrzenia, o której tyle się słyszy i czyta, o której zresztą niewolno mi już wątpić: zdaje mi się jednak, że działa ona bardzo rzadko,

i tylko na osoby między którymi istnieje prawdziwie magnetyczny związek. Nie wiem jak i którędy, ale odrazu znalazłem się w łoży Ireny, Musiałem przytłumić wybuch radości, witając się z nią pod ogniem tysięcznych lornetek i pod spojrzzeniami dwóch mężczyzn, których już zastałem w łoży. Jeden był młody, drugi stary. Młodego już trochę znałem: był to nie kto inny, tylko Alfred Pełka. Drugi, zupełnie mi jeszcze nieznajomy, uderzył mię na pierwszy rzut oka swoją mądrą, a razem bardzo niemiłą postacią. Wysoki, barczysty, ale przygarbiony; twarz ceglasta, oczka jakby świdry, czarność włosów podejrzana, pół Satyra, pół Cyklopa. Był-to rodzoniusieńki ojciec Alfreda, jaśnie wielmożny Ryszard Pełka, wysoki dygnitarz w sądownictwie, kawaler wielu orderów, pan wielu dóbr i kapitałów, sławny z inkwizytorskiej bystrości, z okrutnego skąpstwa i z szalonych wybryków synalka. — Swoją drogą w towarzystwie uchodził za bardzo przyjemnego, bardzo dowcipnego, był nawet w dziwnych łaskach u dam, pomimo głucho krążącej legendy o jego pierwszej żonie, która, jak mówiono, miała być prawdziwą męczennicą, aż z rozpaczy utopiła się w sadzawce własnego ogrodu. — Irena, zaznajomiwszy mnie z ową śliczną lalą, po chwili ogólnej rozmowy, powiedziała mi że jedzie właśnie do Rzymu, że bardzo się cieszy z pomyślnego zbiegu okoliczności, co zbliża nas wcześniej niż mieliśmy nadzieję; objaśniła też mimochodem,

tamci panowie także są w podróży, że w Szwajcaryi z nią, się spotkali, i jako rodaczkę, a co więcej jawną znajomą, dalej po rycersku eskortują. Każdemu z nas dostało się jakieś uprzejme słówko. — Powiedziała mi także: "Wprawdzie nakrótka jestem w Wenecyi, nie mogłam jednak odmówić sobie choć jednorazowej bytności w teatrze, ho jakżeż nie pójść, kiedy śpiewa ta sławna La Romana? — Zdziwił mie w jej ustach ten przymiotnik sławnej, którego, po prawdzie mówiąc, nikt ieszcze nie dawał Romanie. Takie wyrażenie, a nadewszystko nacisk na niem położony, wydały mi się ironia, tem bardziej że Irena, mówiąc, wpatrywała się we mnie badawczo i filuternie. — Zacząłem być trochę niespokojny. Z nowym aktem przyszedł nowy niepokój. Romana nie mogła mię dojrzeć w łoży, bo stałem w głębi z Alfredem; Ryszard Pełka, jako najstarszy, zajmował na przodzie miejsce przy Irenie, a między nimi stała wciśnięta Cesia. — Ach, więc była i panna Cecylia?



— Ajakże, była. Jeszcze pamiętam jak w antraktach matka jej tłumaczyła, że Polion jest bratem Normy, że poszedłszy w służbę do Rzymian, popsuł się niegodziwiec, namówił siostrę, aby podcięła dąb czczony za świętość przez Gallów, że za to oboje muszą być spaleni, i różne takie pedagogiczne kłamstwa; a ja w mojej kawalerskiej ciemności zdumiewałem się i rozczulałem niezmiernie nad tą macierzyńską troskliwością.

— Proszę wujaszka, czy panna Cecylia, czyli jak wuj mówi, Cesia, była już i wtedy taka piękna?

— Była zawsze bardzo do matki podobna, to dość powiedzieć.

— Ależ to musiało być jeszcze bardzo małe dziecko?

— Nie tak bardzo. Jedenaście albo dwanaście lat.

— Czy być może? Więc ileżby teraz miała?

— O! w każdym razie dziś jest więcej niż pełnoletnia. Już też wtedy dobrze wyglądała na podlotka; ale ją ubierano zupełnie po dziecinnemu; w majteczkach, w krótkich rękawkach, w złotych loczkach, wyglądała jak te dzieci, co się je na angielskich sztychach widuje. — No, a teraz wracam do Romany, bo chyba nigdy nie skończę. Ma się rozumieć, że ile razy wychodziła na scenę, pierwsze jej spojrzenie zwracało się do krzesła, na którym zwykle siadywałem. Teraz, gdy zobaczyła to krzesło pustem, ogarnął ją niepokój, a że to było w tej scenie, wiesz, kiedy to z lampą i ze sztyletem wbiega do jaskini, ów niepokój nadawał jej grze jakąś niezwykłą, dramatyczność. Widziałem wyraźnie jak mie wzrokiem szukała; oczy jej zgłębiały całą, salę. Nakoniec musiały mnie znaleźć — śpiew jej nagle zmienił się w dzikie, spazmatyczne krzyki, rzucała się po scenie jak Eumenida. Wszyscy sądzili że to nowy sposób wykonywania roli, i przytłumiony szmer podziwu obiegał zdu-

7

miała publiczność, ale ja widziałem że się z Romaną coś niedobrego dzieje. Irena zwróciła się ku mnie i wyrzekła, rzecz dziwna! te samo słowa, które ty dziś powiedziałeś: — "Pysnie gra, ale jabym się takiej kobiety lękała." — Słuchając Ireny, pochyliłem się ku niej i wpatrzyłem się głęboko jej oczy, aby z nich wyczytać, czy w tych słowach nie zamknęła jakiej myśli ukrytej. — Z naszego zapatrzenia się i rozmarzenia wyprowadził nas najniespodzianie wielki, nieopisany okrzyk przestרחu, który wszystkim widzom jednocześnie się z piersi wyrwał. Przyszła chwila, kiedy Norma powinna rzucić się z nożem na swoje niewinne ofiary; tymczasem Komuna, zamiast pobiedz ku nim w głąb jaskini, rozpędziła się na przód sceny, stanąwszy przy lampionach podniosła rękę, sztyletem grożąc wyraźnie naszej łoży, chciała coś powiedzieć, coś wykrzyknąć i padła jak martwa. W całym teatrze powstał tumult, spuszczone kurtynę, reżyser wyszedł, tłumacząc z niskimi ukłonami, że primadonna dostała ataku nerwowego i że publiczność jest proszona o chwilę cierpliwości. — Nastąpiło milczenie, podczas którego, wystaw sobie, wszystkie oczy zwróciły się ku mnie; wszystkie zdawały się pytać, dlaczego jeszcze jestem w sali? Nie wiedziałem co począć, kiedy Alfred przyszedł mi na pomoc. Zawołał: — "Trzeba nam się dowiedzieć co się naprawdę święci" — a mnie zagadnął: — "Pan pewnie tu już znasz drogę do kulis, to mi ją pokażesz." — Jeszcze się wahałem, ale Irena ode-

zwała się głosem zagadkowym, w którym nie wiem co było, szyderstwo czy litość: — "Tak, idź pan — rzekła — idź, i powiedz nam co się tej biednej kobiecie stało?" — W gabinecie primadonny był już natłok. Reżyser i artyści teatru otaczali zemdloną. Wszyscy potarćili głowy i rzucili się do mnie z prośbami o ratunek, jakbym był jej mężem albo doktorem, Rzeczywiście, jak tylko ją wziąłem za rękę, otworzyła oczy i podniosła się z zupełną przytomnością. Ale kiedy dyrektor podawał jej kordyał jakiś, ażeby mogła prędzej powrócić na scenę, oświadczyła że

już dziś grać nie będzie. Dyrektor się gniewał, krzychał że mu popsuka przedstawienie, że to czysty kaprys, wszyscy prosili, leczona powtarzała stanowczo: — "Nie, gdybym wróciła do tej sali, tobym chyba umarła." — Chciałem jej podać rękę, odepchnęła ranie; oparła się na ramieniu pokojówki i zeszła do swojej gondoli. Na wsiadaniu szepnąłem jej: — "Przyjdę niezadługo!" — Byłbym chciał więcej powiedzieć, ale natłok świadków i uśmiechy Alfreda zamknęły mi usta. — Gdyśmy wrócili do łoży, zaczynało już jakiś balecik buffo, który miał zastąpić stracony połowę opery, ale większa część publiczności, przybywszy jedynie dla słyszenia Romany, wynosiła się jaknajprędzej. — Myśmy także wyszli. Na schodach przebyłem prawdziwie rotowy ogień uwag i wykrzykników. O niczem nie mówiono, tylko o Romanie, o mnie i o polskiej contessie, (bo tam każda podróżniczka suto jadąca jest contes-

są). Włosi, zawsze pełni współczucia dla spraw sercowych, rozgorączkowali się katastrofą tego wieczora. Ze wszystkich stron słyszałem takie na przykład frazesy: — "To nic innego, tylko scena zazdrości. " — "Jakże nie miała zemdleć, kiedy go zobaczyła w łoży contessy polskiej?" — "Powiadają że to jego dawne bóstwo. " — Nie dziwię mu się, to piękność europejska. " — "Podobno wdowa; pewno się pobiorą. " — "Szczęśliwiec ten signor Polacco!" "Nieszczęśliwa Romana!" — "Temlepiej, będzie można divę pocieszać." — I tak spostrzeżenia szły bez końca, a co je czyniło jeszcze wymowniejszymi, to że gdyśmy do mówiących dochodzili, rozmowy nagle ustawały. Zdziwisz się może, ale muszę wyznać, że mimo dość trudnego położenia, czułem się dumny i szczęśliwy; jedna dla mnie prawie umiera, drugą, prowadzę w tryumfie, a tą drugą jest kto? Owa czekana, marzona Irena, z którą, w tęsknocie mojej, myślałem że już chyba nigdy się nie spotkam. Musiała i ona dobrze słyszeć co wkoło nas mówiono, bo ręka jej kilka razy na mojem ręku zadrzała, ale też to był jedyny znak wzruszenia. Zresztą wspaniała, z oczami spuszczone, przeszła jak Madonna przez tłum ustępujący jej z częścią. Przy wyjściu z teatru, stary pan Ryszard zaprosił nas na lody do Floriana, gdzie cudzoziemcy zwykle przepędzają wieczór, aby cię nasycić czarami placu Świętego Marka. Pamiętam jak ten złośliwiec Alfred odezwał się: — "Pan Tytus wątpię czy z nami pójdzie. Pewnie

gdzieindziej wołają go dawne obowiązki. " Poszedłem, najprzód aby dać poznać że nie mam żadnych obowiązków, powtóre że znalazłszy się nakoniec przy Irenie, żadną już siłą, niebieską ani piekielną, nie byłbym się dał od niej oderwać. Niedługo jednak pozwoliła mi się cieszyć swoim widokiem; po jakiej godzinie posiedzenia (godzinie w której dopiero zacząłem rozumieć, czem Wenecya być może), Irena zlekła się, że dziecko zadługo czuwa i odprowadziliśmy ją do gondoli. Wtedy trzeba już było koniecznie iść do Romany. Pierwszy raz tam wchodziłem niezbyt pewny siebie. Przyjęła mię ze zdziwieniem, jakby już nie spodziewała się tego wieczora mię widzieć. Mój pośpiech, moja niezwykła pokora nieco ją rozbroiły. Wypowiedziała mi jednym tchem, co jej ciążyło na sercu. — "Widzę — mówiła — że mie przestałeś kochać. Długo szukałam, kto jest powodem tej zmiany. Dziś nakoniec odkryłam. To ona, ta Polka, podobna do waszego śniegu. O, nie zapieraj się! Przecież tyle razy dostrzegałam cię w łożach pięknych cudzoziemek, wiedziałam że bywasz w salonach, gdzie ja nie uczęszczani, gdzie mogłeś spotykać wielkie damy najpowabniejszej a jednak byłam spokojna, bo czytałam z twojego oblicza, że nic mi nie grozi. Ale dziś.... O! ja znam się na każdym ruchu twoich rysów, jak żeglarz zna się na grze wody. Kiedy się ku niej pochylałeś, kiedy utopiłeś w niej oczy (ach, jakie oczy!) poznałam ten ruch, to spojrzanie, które zdra-

dzają prawdziwą, miłość, które czasem dla mnie miewałeś... Wtedy.... nie wiem co

się ze mną stało... Zapomniałam o słuchaczach, o mojej roli, chciałam was rozdzielić... Gdyby nie zabrakło posadzki pod moimi nogami, byłabym się rzuciła na nią ze sztyletem. Na dzisiaj uszła mojej ręki, ale nie wiem czy zawsze tak będzie, bo jeżeli nie nam granic w miłości, to wiedź że ich nie znam i w zemście. A więc... powiadam ci... bacz na swoje postęпки, miej się za ostrzeżonego. " — Słuchałem, trochę zatrwożony, a jeszcze więcej zdumiony tem cudownym jasnowidzeniem serca, które z pomiędzy tysiącznych pozorów, odrazu umie wyróżnić prawdę; ale ukryłem i trwogę i zdziwienie pod dobrodusznym uśmiechem i powiedziałem jej: — Dziecko z ciebie! Sama przyznajesz, że w trudniejszych okolicznościach byłaś o mnie spokojna, ządże ci dzisiaj ten napad włoskiego temperamentu? Rozmówmy się rozsądnie: ta pani jest moją rodaczką, moją bardzo dawną znajomą, muszę przecież jej robić honory twego kraju, muszę jej pokazać ciekawości Wenecyi; może nawet wypadnie mi za kilka dni wyjechać z nią do Padwy albo Werony. Nie widzę w tem wszystkim powodów gniewu lub rozpacz dla ciebie. Jakże możesz się lękać, kiedy już naprzód powierzam ci te wszystkie plany? Co w tobie najlepiej lubilem, to twoją wiarę i spokojność; nie psuj-że mi się teraz i nie zatruwaj nam obojgu życia. Oto lepiej powiem ci że nigdy, ale to nigdy jeszcze nie byłaś

tak piękną! — W tem ostatniem zdaniu byłem szczery. Powiadam ci, jak wyglądała wówczas, to klękać! W tym druidycznym stroju, nawpół już odpiętym, w tej miłosnej zgrozie, cała drżąca a pałająca, wyglądała heroicznie, magicznie i mitologicznie. Byłem też — więcej niż chciałem przyznać — wzruszony gwałtownością jej przywiązania. Takie straszne fiasco, poniesione dla mnie i przezemnie, takie, przed pełnym teatrem, mimowolne wyznanie miłości i zazdrości, to najtwardszego stoika musi zachwiać. A przytem... Dziwna też to istota człowiek; Obecność Ireny powinna była zobojętnić mię na wszystko; tymczasem nie, właśnie rozbudziła we mnie wieloletnie ognie i porywy, które tylko czekały wybuchu. Nie mogąc złożyć ich u stóp Ireny, musiałem je przelać na jaką inną, istotę. Poczęści więc z głodu sercowego, poczęści z popędu wdzięczności, tego wieczora stałem się dla Romany czulszym niż kiedykolwiek, tem czulszym, że to był niejako uścisk pożegnania. Chciałem pieszczotami uspić jej czujność, tkliwością rozchwiać podejrzenia. Ale to już nie była moja dawna Romana. Pierwszy raz w życiu nie oddawała mi moich pocałunków, nie odpowiadała na słodkie nazwy. Rozdrażniony tem ostygnięciem, chciałem postawić na swoim, chciałem gwałtem w niej wywołać serdeczne uniesienie: okazywała się ciągle łagodna i bezbronna, ale jakby martwa. — Nagle moja dwuznaczna rola mi obrzydła. Obie jednocześnie zdradzałem. Wyszedłem

od Romany, pół gniewny na nią, pół na siebie. — Parę dni następnych spędziłem prawie wyłącznie w towarzystwie Treny; cyceronowałem po Wenecyi. Pomny jednak na groźby mojej Włoszki, bojąc się jakiego tragicznego spotkania, skróciłem te oględziny. Trzeciego dnia, wpadłszy do Romany, powiedziałem jej mimochodem i jako rzecz małej wagi, że odprowadzam panią Irenę do Werony; kiedy chciała mię uroczyście żegnać, roześmiałem się mówiąc: — Czy to warto dla kilku dni rozdziału? — Rozeszliśmy się więc prawie wesoło, tak mnie się przynajmniej wydało. — W tej podróży odżyłem, jakbym się drugi raz narodził. Oswobodzony od Romany, zbliżony nieustannie do Ireny, nie mogłem z początku wierzyć memu szczęściu. Szczęście to jednak nie było jeszcze tak zupełne, jak je przy wyjeździe marzyłem. Obaj Pełkowie jechali także do Rzymu: po drodze przyłączyło się do nas kilku innych rodaków; tworzyliśmy rodzaj karawany, której Irena była królową, i duszą. Ale to monarsze otoczenie dawało jej monarszą niedostępność. Co więcej, zdawała się bardzo starannie unikać wszelkiej ze mną poufnej rozmowy. Ach, co to był za takt w każdym postępku! Nigdy żadnej aluzji do Romany, nigdy tych gorzkich przymówek, któremi kobiety mierne lubią wojować. Trzymała się w niezmiernej powadze i uprzejmości, ale i mnie też trzymała w nielitościwem

oddaleniu. Nigdy nie mogłem znaleźć się z nią sam na sam. — Raz tyl-

ko, pamiętam, w Kolizeum, potrafiłem ją nieco odprowadzić na stronę, a gdy się unosiła nad pięknnością obrazu, szepnąłem: — Ja tylko ciebie, pani, widzę. Twoja piękność nic się nie zmieniła, ale zato twoje serce jakże znajduję zmienionem! — Wtedy, z wielkiem mojem podziwianiem, obróciła na mnie oczy pełne smutku i odpowiedziała: — Z nas dwojga, nie wiem kto się prędzej zmienił? — Na nieszczęście Cesia nadbiegła i nie mogłem się wytłumaczyć, ale z tych kilku słów zrozumiałem wszystko, domyśliłem się że Irena, w moim przelotnym stosunku z Romaną, widzi prawdziwą niewierność serca, i choć nie poczuwałem się do takiego stopnia występku, postanowiłem wszystkie kary przyjmować w pokorze, dopóki niezmordowaną cierpliwością nie odpokutuję tego błędu i nie wysłużę sobie napowrót jej łaski. — Cała ta przejażdżka po Włoszech przeszła dla mnie jak sen zaczarowany, bez owych gwałtownych wstrząśnień, które mnie przy Romanie na śmierć zamęczały. Z Ireną zapominało się prawie o namiętności, a żyło się ciągle poezją serca. Był i tam jednak dramat nieustanny, tylko że osnuty na szczegółach drobniutkich, jak pajęczce nitki. Co rano wstawałem niespokojny w jakimś ją zobaczę usposobieniu. Czy będzie równie uprzejma jak wczoraj? Czy mi rękę poda na spacerze? Czy w jej mowie dopatrzę jakiś zwrot życzliwy? Wszystkie te odcienia, na pozór leciuchne, dla mnie stawały się wypadkami, taką to jest prawda.

że najmniejsze szczegóły nabiegają ceny, gdy dotyczą kobiety co sama umie się cenić. A choć zawsze niespokojny, bytem jednak pogodny i taki wedle przysłowia: "jakby mię kto na sto koni wsadził, " bo wszystko działo się z uśmiechem i w dobrym tonie. Ach wierzaj mi (zresztą nie mam potrzeby cię przekonywać, bo na ten raz wydaje mi się że będziesz ze mną w zgodzie), niema miłości, niema rozkoszy, niema ideału, coby się długo ostały contre le mauvais genre. — Oj wujaszku, święta prawda. Nie może się też wuj dziwić, że i mnie dziś miło w towarzystwie pani Ireny i... jej córki. Ale nie mówmy teraz o mnie. Czy wujaszek już wtedy dostrzegał, że się zanosi na gody z panem Ryszardem? — Prawdę mówiąc, nie dostrzegałem. Widocznem było tylko i dla mnie i dla wszystkich, że syn Alfred kocha się w niej szalenie; ale on zawsze się w kimś kochał, a Irena umiała go bardzo grzecznie i dowcipnie trzymać w karchach dworackiej uległości. To też mimo jego czarnych wąsików i Lowelasowskiej buty, niebardzo go się lękałem. Co się tyczy ojca, ten musiał już i wtedy być zajęty Ireną, ale mu to jakoś z oczów nie patrzyło; obchodził się z nią szorstko a dobrodusznie, jakby jaki na przykład stryjaszek. Oho! To był fines, mądrał jakich mało! A przytem wesoly, żeby i Plutona i Prozerpinę rozchmurzył. Zawsze pełno miał anegdot, wyborowych, rzniętych jak brylanciki, zawsze umiał się odciąć, żarcik w lot

pochwycić, czasem też i ciał jak osa, a broń Boże zmieszać się albo obrazić, bo jeszcze gorzej uciął i nadmiar pole ostrzelał śmiesznością. Przepadałem całe życie za taką rozmową.; umysł w niej wyteża się i wyrabia, jakby w gimnastyce. Przy nim wszyscy stawaliśmy się rozumniejsi. — To też w tej podróży, kiedy jeszcze nie lękałem go się jako rywala, muszę powiedzieć że mnie prawie oczarował. A przytem co za obiady, niespodzianki, bukiety! — Jakto? Przecież wuj mówił że taki skąpy. — A to znów inna kwestya. Właściwie należał on do tak zwanych pyszno-skąpskich. W domu podobno sknerzył, i w drodze, jak dla siebie, to wszystkiego żałował. Miewał rękawiczki wycierane gumą elastyką; nie wiem czy dwie pary w całych Włoszech zużył. Płaszczysko nosił jakieś dziwne, z osiemset dwudziestego piątego roku. O bułkę do swego śniadania targował się w hotelu. Ale gdy trzeba było

wystąpić przed innemi z obiadem, z tryngeltem, z prezentem, ho! to szło po magnacku. Ja także nie żalowałem festynów, inni towarzysze podróży szli z nami o lepsze, i tak cała droga była ciąglem świętem. Twoja Cesia musiała tam nieraz chorować od nieprzebranych cukrów, jakimiśmy ją obsypywali. Ale wszystkiemu jest koniec, i myśmy się dnia jednego znaleźli w Warszawie.

— W Warszawie? A cóż Romana? Przecież tak łatwo wujowi nie dała pokoju?

7

— Nie, jednak mogłem sądzić że pokój łatwo okupię. Lękałem się sążnistych listów, z groźbami i wymówkami. — Tymczasem pisywała rzadko, każdy list był istnem arcydziełem wdzięku, dobrego smaku i przymgłonej uczuciowości. Może wiedzona instynktem, chciała wyslizgujące się moje serce przytrzymać w tych nowych siđłach. Może naprzekór Irenie chciała dowieść, że i ona potrafi być idealną i sentymentalną. Tak sobie dziś tłumaczę pracowity artyzm tych listów; ale wówczas nic w nich nie widziałem, tylko dowód że i ona ostyga już w tęsknocie, że chce sztuką miłość zastąpić. Zacząłem więc i ja odpowiedzi moje kunsztownie stylizować, ciesząc się a razem i trochę gniewając, że tak łatwo zostałem zapomniany. W kilka tygodni po naszym rozstaniu, jedna z moich znajomości weneckich. przywiozła mi od Romany owę miniaturę, z liścikiem krótkim ale bardzo zgrabnym, gdzie pisała że — nie chcąc zatrzeć się w mojej pamięci, pragnie choć nakształt cienia być mi zawsze obecną" i to pod postacią, pod jaką ukazała mi się w dniu pamiętnym, kiedy sam powiedziałem, że nigdy nie była... mniej szpetną. — To wszystko bardzo mi się podobało; odpisałem, serdecznie dziękując, a wkrótce doniosłem, że dla ważnych familijnych interesów muszę jechać do kraju, ale niezadługo wrócę, złączymy się znowu. i t.d. i t.d. — Na ten list nie odebrałem żadnej odpowiedzi. Sam też już więcej nie pisałem. Byłem pewny że na mój włoski dramat kor-

tyna ostatecznie zapadła. Zresztą nie miałem już ani czasu, ani głowy do trudnienia się tą uprzykrzoną przeszłością; inne troski mię zaprzętały, troski nierównie głębsze, bo od nich cała przyszłość, cała szczęśliwość zawisała. — Z chwilą jak wagony stanęły przed peronem warszawskim, skończył się dla mnie codzienny, co -chwilowy stosunek z Ireną, skończyła się ta rozkoszna poufałość, do której kodeks podróży upoważnia. Owszem, od powrotu do kraju, mądra wdowa obwarowała się mocniejszym niż kiedykolwiek murem ceremonialności. Mieszkanie sobie urządziła wspaniale, zaczęła dużo bywać i jeszcze więcej przyjmować. Chwalono jej dom, jako bardzo przyjemny, pełen artystycznych rozrywek, ale mnie to wszystko nie bawiło. Byłbym chciał ją widzieć w skromnem zaciszu, w małym kółku wybranych, a tu trzeba zawsze było anonsować się przez galonowaną służbę, wchodzić uroczyście do buduaru, gdzie zastawałem już nieomylnie wcześniejszych odemnie gości, szukać jej po koncertach i balach, gdzie królowała i bawiła się nawet bezemnie, bo widziałem to wyraźnie, bawiła się niewinnie ale doskonale, używała w pełni przywilejów swojej nowej wolności. Musiałem patrzeć na coraz nowych pretendenców, co z końca świata się zjeżdżali; a byli oni groźniejsi niż Pełka ojciec ze swemi facecyami i Pełka syn ze swoją złą famą. Widziałem ludzi możnych, rozumnych, dorodnych, co się nazywa niebezpiecznych, a z oczu tej sfinksowej kobiety nic

nie można było wyczytać. Każdego trzymała na pasku każdemu zdaleka pokazała błyskotkę nadziei, a w duchu musiała śmiać się z nas wszystkich porządnie. Wtedy uwielbiałem owę roztropność, owę godność wdowią. Dziś widzę że to nie było nic innego, tylko najwyrafinowańsza kokieteria. — Całą zimę przemęczyłem w tłumieniu zazdrości i budowaniu nadziei. Czasem wpatrywałem się w tę przekorną, żartobliwą królową, salonów, nie dowierzając czy to może być owa smętna, bohaterska Irena. Przecież dawniej, choć mężatka, choć związana i nieszczęśliwa,

tylko co mi serca nie oddała. A teraz, kiedy los przeciął wszystkie więzy, usunął wszystkie zawady, zdawała się nie pamiętać scen między nami zaszłych i uważać mię niemal za obcego! Trzeba koniecznie było przeciąć tę zagadkę. — Po jednym z najświetniejszych u niej wieczorów, uparłem się, aby pozostać ostatnim. Siedzieliśmy sami w pustych a rzęsiście oświetlonych salonach. Kilka razy dawała mi poznać że jest zmęczona i zdziwiona; ja udawałem że nie rozumiem. Powiedziałem sobie: — Dziś albo nigdy! — solennie się oświadczyłem, i... solennej doznałem odmowy. — Sądziłem że za powód tej odmowy usłyszę imię Romany. Irena nie wspomniała nawet o niej. Od straty męża zastanowiła się głęboko nad życiem, zrozumiała doniosłość opieki nad córką, dla której teraz powinna być i ojcem i matką, — nie chce narażać na podział serdecznej i majątkowej przy-

7

szości Cesi, która dotąd ma szczęście być jedynaczką — zresztą Cesia za kilka lat dorośnie, matka powinna już myśleć o jej losie, a nie o swoim; nie chce być egoistką — postanowiła nie wchodzić w powtórne związki, chociaż zaprawdę wiele ją to postanowienie kosztuje, bo gdyby mogła jeszcze wybierać, nikt nie byłby godniejszy nademnie, który jestem... tu następowały komplementa, czyli sute ozłocenie pigułki. — Kiedy kobieta zasłania się tarczą macierzyństwa, ani anioł, ani szatan nie znajdzie na nią broni. — Obrażony tem zupełnem zapomnieniem przeszłości, nie próbowałem nawet jej przekonać i wyszedłem pełen gorzycy, pełen zdziwienia, jednakże bez tej rozpacz, którą zupełne zniszczenie nadziei powinno wywołać. Me wiem dlaczego, ale ta odmowa nie wydawała mi się ostateczną; Irena całą owę tyradę wypowiedziała z zamilczeniami i zahaczeniami, jakby program dawno przygotowany; wyglądała na kobietę co tylko pragnie spotkać przeciwieństwo i zostać przekonaną. Postanowiłem długo nie pójść do niej, pewny że sama do mnie wróci. — Istotnie, po jakich dwóch tygodniach, spotkaliśmy się gdzieś na raucie. Pamiętam, stałem oparty o kominek, kiedy przechodząc, rzuciła ku mnie długie, pełne żalu spojrzenie, i szepnęła: — "Czyż mogłam się spodziewać, że moja szczerłość tak będzie nielitościwie odplaconą? Więc pan wyrzekasz się i przyjaźni? O, to się nie godzi! Przyjdź pan po dawnemu, choćby z prostej miłości bliźnie-

7

aby pocieszyć i rozweselić biedną chorą, bo doprawdy jakoś ze mną niedobrze." — Miałem wówczas tyle nad sobą siły, że nic nie odpowiedziawszy, zimno się ukloniłem. — Ale na trzeci dzień poszedłem, i już chodziłem codzień. O! bo teraz dopiero zaczęła się epoka prawdziwego dla mnie tryumfu! Irena była nie do poznania. Smutna, niespokojna, nieraz w chwilach kiedy niby nie uważałem, wpatrywała się we mnie wzrokiem pełnym boleści i rozrzewnienia. Widziałem, czułem, że miłość w niej przeważa nad wszystkimi postanowieniami; dostrzegałem z niejednego słowa że potajemnie żałuje swojej odmowy, może tylko czeka na powrót mojej czułości? Sto razy brała się pokusa paść jej do nóg i chwycić ją w objęcia. Ale wystraszony niedawną porażką, nie chciałem się narażać na nowe niebezpieczeństwo, dopóki nie zdobędę pewności zwycięstwa. W tym celu obrałem zupełnie nową drogę: postanowiłem dowieść, że potrafię być dobrym dla Cesi. Zacząłem jej nadskakiwać, dogadzać, i rzeczywiście, par ricochet, przywiązałem się do niej szczerze. — O, to nie trudno! — zawołał Wiesław. — Musiała już i wtedy być zachwycająca. — A choćby też była i potworą, i diabełkiem, byłbym ją w różową bawełnę spowijał, po stopach całował, byle się przypodobać matce. I nie stracone też to były zabiegi. Serce macierzyńskie wyraźnie topniało; nieraz na widok moich ojcowskich pieszczot łzy błyszczały w jej oczach. Rodziła

7

się już między nami poufałość prawie familijna. Irena coraz mniej bywała w

świecie; nieraz nawet, kiedy wieczorem przyszedłem, kazała dla innych gości drzwi zamknąć. Z tem wszystkim wędła nam w oczach. Doktor, przywołany na moje prośby, kręcił głową i radził, aby raz jeszcze pojechała do Włoch, albo przynajmniej do Niccy. Poparłem gorąco ten zamiar; chciałem koniecznie raz jeszcze być z nią. w podróży, i to sam na sam. Wynałazłszy sobie jakiś interes za granicą, prosiłem o pozwolenie towarzyszenia jej w drodze. Na wielki mój podziw, przystała bez wahania i zajęła się tą podróżą prawie z dziecinną radością. Część mebli sprzedała, część odesłała na wieś, z gospodarzem domu skończyła rachunki, jakby już nie miała wrócić do tego mieszkania. Wśród najweselszych przygotowań, zaszedł mię nieprzyjemny wypadek. Jednego wieczora wracam śpiewający od Ireny, wchodzę już do mego domu, aż tu przy świetle gazu na schodach, spostrzegam jakiś kształt czarny, przysiadły, przyparty do drzwi mego mieszkania Zbliżywszy się, poznaję że to kobieta z gęstym welonem, z rękami jakby załamanymi, siedzi na moim progu nieruchomości. Kiedy stanąłem przed nią, zerwała się, podniosła welon, i zobaczyłem istne widmo, w którym jednak odrazu poznałem Romanę. — "To ja jestem — powiedziała. — Długo próbowałam czy mogę żyć bez ciebie. Widzę że nie mogę. Nie piszesz, nie dajesz znaku życia. Przyjechałam tu, zamówiona

7

niby jednego z waszych teatryków. Jestem już w Warszawie od kilku tygodni. Wszyscy mówią że się żenisz. Nie chciałam uwierzyć, aż to z twoich ust usłyszę. Ile razy przyszłam, mówiono mi już w bramie że cię niema. Zawsze siedzisz u tej wdowy. Stróże nawet źle na mnie patrzą; może mnie biorą za jakąś intrygantkę, co chodzi pieniądze wyłudzać, a może ty sam kazałeś mnie wypychać? Nie? To i lepiej. Dzisiaj sobie powiedziałam, że muszę się ciebie doczekać. Chciałam zatrzymać się w twojem mieszkaniu; twój uprzejmy lokaj mię nie wpuścił. Minęły czasy kiedy drżał przedemną! Ale nie o tem miałam mówić. Powinnam raczej wytłumaczyć, dlaczego upieram się widzieć raz jeszcze człowieka który o to nie dba. Otóż, jeżeli się pan żenisz, chcę panu zwrócić wszelkie pamiątki, jakie od niego kiedykolwiek dostałam." — Tu zatrzymała się, czekając na odpowiedź. Nie wypadało mi przecie rozprawić na schodach. Zaprosiłem ją, aby weszła. Huberta dla formy złążalem. Siedliśmy ceremonialnie w salonie, po dwóch stronach stołu. Wobecnym nastroju szczęścia nie mogło być dla mnie nic przykrzejszego, jak przyjazd tej kobiety, której widok nie rozbudził już nawet we mnie najmniejszego wzruszenia. Bo też straciła ostatnią. broń swoją, ten zmysłowy urok piękności, który mię czasem podbijał. Człowiek zakochany byłby się rozrzewnił zmianą sprowadzoną widocznie przez tęsknotę i rozpacz; mnie tylko odpychała

7

ta cera zielonawa, ta twarz wychudła, z której wyzierały oczy przerażająco wielkie. Nie mogąc się już uwolnić od jej natarczywości, postanowiłem przynajmniej tyle z niej skorzystać, aby ostatecznie mój los oswobodzić. Oświadczyłem bardzo poważnie, że wszystkie moje przewidywania spełniły się niestety, że muszę, Stosując się do ważnych układów familijnych, wejść w śluby małżeńskie, że to jest jednak tylko markuje de raison, i t. d..... Nic nie odpowiedziała, ale po chwili zamyślenia nagle wydobyła z pod płaszczyka paczkę niedbale zawiązaną, w chustkę i pogardliwie na stół ją cisnęła. Chustka się rozwiązała, patrząc, a tu wypadają z brzękiem wszystkie pierścionki, klejnoty, zwiędłe kwiaty, wachlarze — tysiące drobnostek niegdyś przezemnie jej ofiarowanych. Taka pogarda mocno mię dotknęła; ochłonąłem, jednak z obrazy, kiedy między pamiątkami spostrzegłem i moje listy. Odkrycie to nietylko mnie ucieszyło, ale i wzruszyło. Romana pozbawiała się broni, która w jej ręku mogła zawsze dla mnie być groźną. Nic nie mówiąc, wstałem, zebrałem jej listy, różne breloki, hafciki, ów sztylet, krocie podarków jakimi mnie obsypywała, i wszystko zamknąwszy w pięknej, hebanowej szkatułce, do rąk jej złożyłem. Z jednym tylko darem nie miałem odwagi się rozstać: z ową miniaturą. Straszne to ubliżenie dla kobiety, wyrzucić jej portret! Pojęła moje delikatność, bo chociaż

pilnie przeglądała szkatułkę, choć widocznie liczyła przedmioty w niej zawar-

7

te jednak o wizerunek się nie upomniała. Jedyna też to pamiątka jaką zachowałem po niej. Skończywszy tę milczącą i bardzo przykrą zamianę symbolów naszej przeszłości, chciałem rozmowę zwrócić na inne tory. Pytałem o jej powodzenia teatralne, o nasze znajomości weneckie, ale mówiłem do automatu. Odpowiadała ledwie jedną sylabą, albo skinieniem głowy. Myśląc że chce odemnie jakiegobądź słowa czułości, puściłem się na pole obietnic, ale i to pole było śliskie. — Mam nadzieję — mówiłem — że jeszcze nieraz się spotkamy, a gdybym nie znalazł szczęścia domowego, gdzieżbym, jeżeli nie u niej, szedł szukać pociechy? — Jednak te mamidła były tak brzydko niemoralne, a w dodatku kłamane, że co słowo się zaczynałem — aż Romuna wstała i pożegnała mię ironicznym, teatralnym ukłonem. — Chciałem ją odwieźć albo odprowadzić: szorstko odmówiła. — Zapytywałem co myśli dalej czynić? Odpowiedziała że wkrótce z kraju wyjeżdża. — Bardzo żałuję — dodałem — że nie będę już mógł jej od wiedzieć, ale i ja wyjeżdżam na wieś. — Nie wspominałem, broń Boże, o zagranicy, w obawie aby mię znowu nie ścigała. Już więc tylko, ze staroświecką galanterią, pocałowałem ją w rękę, a gdy drzwi za nią zamknięto, nie mogłem się nadziękować Przeznaczeniu, że tak łatwo moją sprawę rozsądziło. Istotnie, wszystko poszło jak z płatka. Romana zachowała do końca spokój prawdziwie niepojęty: można go było wziąć równo za nietajoną obojęt-

7

ność, jak za głęboko tajony zawziętość. — Niemile wrażenie szybko się zatarło, kiedy nazajutrz, przy. szedłszy do Ireny, zastałem ją pakującą się wesoło. Radość wyjazdu tak ją rozochociła, że usunowszy służbę, sama z Cesią napelniała kufry i torebki. Ja też się rzuciłem do pomocy i cały dzień zeszedł na śmiechach i figlach. — W parę dni później, dla zachowania wszelkich praw przyzwoitości, rozjechaliśmy się każde w swoją stronę, ona do siebie na wieś, ja do siebie, i ztamąd dopiero, w umówionym dniu i godzinie, spotkaliśmy się, niby przypadkiem, na jednej z dalszych stacyj kolei żelaznej. Tego dnia już tylko kilka godzin drogi nam zostawało do pierwszego większego miasta, gdzie mieliśmy ze dwa albo trzy dni się zatrzymać, dla obejrzenia pamiątek i okolic. — Gotowy i rozumny przewodnik nastęrczał nam się w starym panu Ryszardzie, który właśnie zamieszkiwał to miasto. Od trzydziestu lat w niem urzędował. Bano go się, ale i szanowano powszechnie, już co prawda to prawda. — Uprzedzony przez syna o przyjeździe pani Ireny, czekał na banhofie z bukietem i karetki błagał ją aby przyjęła u niego mieszkanie. Ale ona, patrząc się na mnie, odmówiła, za co jej byłem serdecznie wdzięczny. W najlepszym hotelu wzięła dwa ładne pokoje, a ja, zawsze dla zachowania pozorów, stanąłem w innym hotelu. — Nazajutrz (było to właśnie -go czerwca, okrągło dziesięć lat temu), rano zeszedł nam na oglądaniu ciekawości. Na

77

obiad. Ryszard bez pardonu zaciągnął nas już do siebie pokazywał różne kosztowności i archeologiczne dziwolągi, któremi jego pokoje były aż do natłoku zastawione. Obiad nam dal co się zowie, starymi ale dowcipnymi gośćmi, ze starą saską porcelaną, starymi conceptami i starym winem, którem spełnialiśmy rymowane wiaty najprzód kielichach, a potem w trzewiczku naszej ślicznej wdowy. Ja w niewinności ducha, nic nie podejrzewając, bawiłem się serdecznie i gospodarza domu całowałem po ramionach. Ale bo też powodzenie czyniło mię jak wosk miękkim; byłbym całował wszystkie groby i zzieleniałe posągi, któreśmy rano oglądali. — Po obiedzie, spacerze i podwieczorku, Irena pozwoliła abym ją odprowadził do mieszkania, a że było jeszcze wcześniej, zaprosiła mię na herbatę. Była zamyślona i zdawała się upadać pod ciężarem jakiejś tajemnicy. Po herbacie, kiedy Cesia poszła spać do drugiego pokoju, znaleźliśmy się oboje w nastrojeniu ducha



niezwykłem. Zgubieni w obcym mieście, otoczeni gwarem hotelu, który nieraz więcej osamotnia niż najgłębsza cisza, uczuliśmy nagle ten prąd elektryczny, magnetyczny czy magiczny, co objawia dwóm istotom, że są tylko jedną. — Irena opowiadała mi, jak Ryszard usilnie ją prosił, aby choć na kilka dni pozwoliła się zawieźć do pięknych dóbr jego, położonych niedaleko miasta; chciał jej pokazać swój zamek i pyszne jego okolice. — Ale — rzekła — odmówiłam, gdyż zdaje mi się że ta wycieczka nie

7

podobałaby się panu. — Mówiąc to, zwróciła na mnie oczy zamglone, pełne tej pytającej trwogą z jaką, kobieta patrzy tylko na ukochanego. Upojony takim spojrzaniem, takim poddaniem się mojej woli, rozdarłem serce moje do głębi, zapytałem ze złożonemi rękami, ze łzami, czemu tak patrzy a jednak mię odpycha? Czemu się mnie radzi, a nie chce mnie za towarzysza całego życia? Przyrzekałem na wszystkie świętości, że będę dla jej córki nie ojczymem, ale ojcem, ach! i byłbym dotrzymał, jak Bóg w niebie! Widzę — mówiłem — że jest jakaś inna przyczyna która nas rozdziela, ale nie mogę i nie mogę jej odgadnąć. — Wtedy Irena wybuchnęła nakoniec słowami ukrywanej prawdy, boleści i rozżalenia. Tak! Nic innego nie dzieliło nas, tylko Romana, — Jeszcze za życia męża, mniemani przyjaciele, zawsze skorzy w donoszeniu przykrych nowin, opowiadali jej mój pobyt w Paryżu i stosunek z Romaną przesadzając wypadki, malując mnie jako szalenie zakochanego. Te wieści ją śmiertelnie zraniły. — To też — mówiła z zapalem — kiedy ujrzałam się wolną, postanowiłam ukarać tę zbrodnię de lèse-amour, odepchnąć miłość tak łatwo zmienną, i wyleczyć się z mojej niepotrzebnej tkliwości. Długo umiałam dotrwać potrafiłam nawet wyrzec słowo odmowy, myślałam że zwyczajstwo już odniesione. Ale się przerachowałam z siłami. Teraz widzę, że trzeba mi było uciekać od pokus, a nie rzucać się w nie bez rozmysłu, i jeszcze przedsiębrać tę podróż we dwoje,

7

która mi nazbyt przypomina dawniejsze wzruszenia Struchlały od żalu i od szczęścia, wypowiadałem się przed nią, jakby przed samym Bogiem. Opowiedziałem to wszystko co dziś mówię tobie, tylko stokroć goręcej i bardziej przekonywująco. Tłumaczyłem jej że przelotna, światowa rozrywka w męzkim życiu nie ma poważnego znaczenia, że nas nie można sądzić według surowych, idealnych praw cnoty kobiecej. Prawda jest dobrym adwokatem. Musiałem być rzetelnie wymowny, bo zawziętość jej miękla z każdym słowem, twarz wwpogadzała się dobrocią. Nakoniec spytała uroczyście, czy mogę przysiąc, że nigdy nie kochałem Romany? Przysiągłem. I zaprawdę nie kłamałem, twierdząc, że nietylko nigdy nie kochałem tamtej, ale że jej, Ireny, ani na jedną chwilę nie przestałem kochać. Złożywszy przysięgę na kolanach, dałem się porwać czarowi, chwyciłem ją w objęcia, przycisnąłem do serca i na ustach jej w szalonych pocałowaniach złożyłem wszystko, czego głos niemógł dopowiedzieć. A ona, spytasz, co na to? Ona, po chwili zmieszania i wahania, opuściła głowę na moje ramię i oddawała mi moje pocałunki z uniesieniem, którego się nie spodziewałem od tej niby nadziemskiej istoty. Była to najszcześniejsza chwila w moim życiu. Ale krótko trwała. — Irena obejrzała się nagle na drzwi wpół przymknięte przyległego pokoju i wydarła się z mego objęcia. — Tam — rzekła — anioł śpi. Niech żadne słowo zażywe nie obrazi uszów nie winno-

ści. Rozejdźmy się. — Zaklinałem ją aby zaraz u. łożyła całą naszą przyszłość, naznaczyła dzień naszego związku, ale mówiła że jest zbyt wzruszona. — zresztą — dodało — teraz mamy dużo, dużo przed sobą czasu, już nikt i nic nam nie przeszkodzi Dziesięć razy chciałem odejść, dziesięć razy wracałem. Nakoniec zegar na korytarzu wybił północ. Wyraźnie prosiła abym wyszedł. Z progu raz jeszcze obejrzałem się na nią; skinąwszy od ust ręką, przesłała mi napowietrzną

pieszczotę. — Od tej chwili już jej nie widziałem, aż dopiero onegdaj, kiedy z tobą wysiadłem do Szwajcarskiej Doliny.

— Czy być może? Wujaszek żartuje. Co się stało?

— A tak, co się stało? I ja od dziesięciu lat zadaję sobie to pytanie, łamię głowę i nie mogę nic zrozumieć. — Kiedy wyszedłem na korytarz, zobaczyłem o kilka kroków dalej drzwi od sąsiedniego pokoju otwarte, a w nich stojącą... Romanę. Ubranie i włosy miała w nieładzie, piersi prawie obnażone, twarz w płomieniach, oczy w płomieniach; wpół owinięta jakimś czerwonym szalem, wyglądała strasznie, chociaż zawsze przepysznie; czysta Bachantka, w napadzie szału i zemsty. Zdziwienie przykuło mię przez chwilę na miejscu. Chwyliła mię za rękę, jakby w żelazne kleszcze, i przyciągając do progu, wyszeptala, prawie z sykiem: — Więc zaparłeś się swojej miłości? Znieważyłeś całą naszą przeszłość? Pójdź, wytlu-

macz się! — Ruszyłem ramionami i odpowiedziałem niecierpliwie: — Moja Romano, przecież cię uprzedziłem że się żenię, przecież jużemy się pożegnali czegoż chcesz odemnie? — A ona mówiła coraz głośniej: — Że się zmienileś, to ci darowałam, serce nie zależy od woli. Że się żenisz... i to jeszcze darowałam. Ale jeśli mię nigdy nie kochałeś, o tego nie daruję! Jakto? Więc ta cała twoja czułość, to była komedia? Więc na to zrabowałeś mi duszę, sumienie, szczęście, aby potem przed tamtą naśmiewać się z mojej wiary? U stóp tamtej złożyć mnie w ofierze? — Tak mówiła, pamiętam doskonale wszystkie jej wyrazy, ach, bo później ołowiem spadły mi na serce! Ale w owej chwili gniewały mię tylko, a nadewszystko przerażały myślą, że Irena może dosłyszeć tę burzliwą, rozprawę. — Na domiar jeszcze rozdrażnienia, kelner przechodził przez korytarz i widząc nas, uśmiechnął się złośliwie. Ten uśmiech doprowadził mię do wściekłości. Powiedziałem jej: "Dajże mi pokój, waryatka z ciebie." — Myślałem że się rozgniewa i puści mię, ale ona złagodniała nagle i płaczkliwie prosiła: — Wejdz tylko, a wszystko ci przebaczę. Powiedz że to nieprawda... że skłamałeś, aby się tamtej przypodobać... powiedz żeś mię dawniej, choć przez jeden dzień kochał, a przebaczę. — Rozumiesz iż po niebiańskiej rozmowie z Ireną, byłbym wolał w przepaść skoczyć, w ogień się rzucić, niżeli ten próg przestąpić. Odepchnąłem Romanę. Wtedy, pamiętam, podniosła rękę i wyrzekła:

Wejdz, bo inaczej stanie się, nieszczęście. — Uderzony temi słowami, jaż się zawałem, kiedy coś za mną, zgrzytnęło, jakby drzwi zamykano albo otwierano. Złakłem się żeby Irena, zwabiona moim głosem, nie wyjrzała i nie zesłała mię z Romana, szepnąłem więc na odczepkę: — Jutro przyjdę! — I uciekłem. — Na ulicy jednak ogarnęły mię różne niepokoje. Romana — myślałem sobie — gotowa wtargnąć do Ireny, zrobić jej scenę, nagadać jej fałszów. — Wróciłem się. Szwajcar spojrział na mnie zdziwiony, powiedziałem że zapomniał laski czy rękawiczek. Na korytarzu znalazłem wszystko w największej spokojności, drzwi pozamykane, żadnych głosów, tylko te gospodarskie hałasy, brzęk lichtarza, odsunięcie mebla, z którymi mniej więcej każdy spać się kładzie. Wszedłem znowu, na ten raz niepostrzeżony, bo nikogo nie było w bramie. Długo jednak nie mogłem się oddalić. Bytność Romany w tym hotelu, i to właśnie w sąsiedztwie Ireny, przestraszyła mię i oburzyła. Jasny dowód, że byłem ciągle szpiegowany.. Postanowiłem użyć nazajutrz wszelkich środków, chociażby policyjnych, aby się oswobodzić od tej fatalistycznej pogoni. Co więcej, wspominając dawniejsze i dzisiejsze groźby zawziętej Włoszki, zacząłem drzeć o wszystko, nawet o życie Ireny. Ze dwie godziny krążyłem po placu, wpatrując się w okna hotelu. Wszędzie było cichuteńko, światła gasły, zegary na wieżach były kwadranse po kwadran-

sach już też i stróże nocni zaczęli się na mnie oglądać podejrzliwie. Około

drugiej w nocy wróciłem do siebie uspokojony, i śmiejąc się z moich melodramatycznych obaw, zasnąłem w siódmym niebie marzeń. Musiałem być mocno zmęczony podróżą, bo obudziłem się późno. Ubranie też dużo zabrało mi czasu; nie pamiętam abym kiedykolwiek tak starannie i wybrednie się stroił. Miałem dla kogo!... Dopiero koło jedenastej, kiedy mogłem sadzić że i moje panie już gotowe, tryumfalnie do nich się wybrałem. Wychodząc na plac, spostrzegam przed bramą hotelu niezmierną ciżbę ludzi. Zgiełk, zamieszanie. Pytam co się stało? powiadają że tej nocy w hotelu jakaś kobieta się zabiła; inni przeczą, mówią że się nie zabiła, ale umarła, tknięta apopleksją. Jedni mówią: Włoszka, drudzy Francuzka; wszyscy zgadzają się że cudzoziemka. Ta wiadomość spadła na mnie, jak piorun. Dobrze rozumiałem, że w jeden czy drugi sposób, zawsze byłem sprawcą tej śmierci. Wiele osób spostrzegło moje straszne pomieszenie i zaczęło mi się przyglądać ze zbytnią ciekawością. Wbiegłem do hotelu. Służba latała po schodach wystraszona, gospodarz desperował że mu się goście wynoszą. Na korytarz nikogo nie wpuszczano, gdyż urzędnicy sądowi wszystko na miejscu sprawdzali i spisywali protokół. Chciałem gwałtem dostać się do Ireny: powiedziano mi że od rana się wyprowadziła, ale gdzie? Nikt nie u-miał wskazać. Pobiegłem do kilku hotelów, nie

znalazłem jej w żadnym. Szukając jakiegokolwiek wskazówki, zaszedłem do Ryszarda Pełki. Mówią, mi że jest w biurze. Idę do biura. Pan Ryszard mię przyjmuje w swoim pompatycznym, prezesowskim gabinecie. Siedzi taki nadęty powaga dygnitarską, że aż w nim nie mogłem poznać Amfitryona wczorajszej biesiady. Na moje gorączkowe pytania, co się stało w hotelu, gdzie się pani Irena obraca? — odpowiedział cedząc słowa: — "Pani Zapolska przeniosła się do mego mieszkania. Rano, jak tylko dowiedziałem się o zaszłym wypadku, ofiarowałem jej gościnność, ażeby ją usunąć od tych wszystkich policyjnych, sadowych i lekarskich dramatów. Co do samej katastrofy, nie mogę pana jeszcze stanowczo objaśnić. Mówiono z początku o samobójstwie, zdaje się jednak że to był apoplektyczny atak. Wolelibyśmy po sprawdzeniu zachować to drugie przekonanie, ażeby biednej kobiecie można przynajmniej sprawi.; chrześcijański pogrzeb. Zresztą, śledztwo prowadzi się sumiennie." — Kiedy zapytałem, z prawdziwym już biciem serca, czy wiadome imię ofiary? potwierdził, niestety, wszystkie moje przeczucia. — "Jakaś to — mówił — przejezdna śpiewaczka, według pasportu i papierów u niej znalezionych Włoszka rodem, nazywała się Romana." — Słyszając o papierach, między którymi mógł się znaleźć jeszcze i jaki mój świstek, wolałem odrazu okazać szczerłość i przyznałem się do dawnej znajomości z Romana.. Ryszard rzucił na mnie dzi-

wne, sędziowskie spojrzenie, z którego nie mogłem wyrozumieć, czy dla niego ta wiadomość jest nową, czy też oddawna znaną, i po namyśle powiedział: — "Jeśli mam panu dać życzliwą radę, jedź pan prędko w dalszą drogę. Wiem że ostatecznie nic złego się. tu panu nie stanie, jednak dla podróżnego nie jest miło być wplątany w awanturę, która z powodu świadectw i nudów protokolarnych, może go dłużej, niżby chciał, przytrzymać. W każdym razie zapomnij pan, że odemnie słyszałeś tę radę; w obecnej chwili mówi do pana nie urzędnik, ale przyjaciel." — Podziękowałem za życzliwe ostrzeżenie, oświadczyłemj ednak, że nie mogę nic postanowić, póki się nie dowiem o zdrowiu pani Ireny. Uśmiechnął się złośliwie. — "Idź pan — powiedział — chociaż wątpię abyś został przyjęty. Nasza sentymtalna wdówka tak jest wzruszona tragedya od której tylko ściana ją dzieliła, że nam się rozchorowała naprawdę." — Wyszedłem, szydząc w duszy z powątpiewali pana Pełki o mojem przyjęciu. Krótki tryumf! Odźwierny oświadczył mi węzłowato, że pani Zapolska nikogo nie przyjmuje. Kładąc tę. odprawę na karb niechętniej służby, w godzinę później wróciłem z dukatem dla szwajcara i z biletem wizytowym, który na górę posłałem. Odpowiedź przyszła taż sama: — "Pani bardzo przepasza, ale chora, nie może przyjąć." — Tu już było coś

niezrozumiałego. Napisałem list pełen zdziwienia i żalu — Jeżeli — mówiłem — śmierć Romany tak ją

wzrusza, jest - to bardzo pięknie, bardzo po chrześcijański!, ale za cóż pastwić się nademną? Czyż ta śmierć, sprowadzona widocznie przez rozpacz i zazdrość, nie jest owszem najwybitniejszym dowodem jak byłem wierny Irenie, jak z Romana twardo się rozstałem i wszelką jej odebrałem nadzieję? Każdemu wolno mię potępić, ale tobie, Ireno, czy wolno? Mamże być wypędzony i karany przez te właśnie dla której popełniłem tyle okrucieństw, dla której obciążylem sumienie mimowolnem niejako zabójstwem? Potem... przypominałem jej wczorajszy wieczór... Dwanaście stronic zapisało się ogniem i łzami. — Ten list sani zaniósłem i na dole oddałem. Całą resztę dnia, cały wieczór przemęczyłem, to wyczekując u siebie, to krążąc około domu Pełki. W oknach było ciemno, drzwi o siódmej z wieczora zatarasowano, i już nie mogłem się dodzwonić. Cała noc chodziłem z ulicy na ulicę, jak waryat. Nazajutrz rano przynoszą mi nakoniec odpowiedź: rozdieram kopertę, patrzę... to mój własny list wraca do mnie! A na kopercie był podpis wyraźny jej ręką! Znałem ją dobrze, przecie odbierałem listy z Ukrainy. Więc czytała moje dwanaście stronic, te zaklęcia, te przypomnienia, co byłyby Medeę wzruszyły! I to wszystko, ślicznie złożone i zapieczętowane, rzucała mi w twarz! Wszak sam powiedzialesz, że to największy jest afront, jaki można zrobić. I za co? I jeszcze w jakiej chwili? Kiedy powinna mię pocieszać i uspokajać po nie-

7

Szczęśliwem zdarzeniu, którego, prawdę mówiąc, sama była powodem. Niedosć na tem. Gdy wybiegłem z listem w rękę i z postanowieniem aby koniecznie, choćby gwałtem, dostać się do Ireny, zastałem dom Pełki zamkniętym, służby ani śladu, tylko jakiś chłopak wyszedł ze stajni, opowiedział mi że wszyscy państwo raniutko wyjechali na wieś i oddał bilecik od pana Ryszarda, w którym ten mi pisał: — Nasza wążła i lękliwa podróżniczka, ciągle pod wrażeniem doznanego postrachu, zapragnęła zmienić miejsce pobytu i zaszczyścić mój domek wiejski, gdzie będzie mogła wypocząć w ciszy i samotności. Przepraszam cię, kochany panie Tytusie, że cię nie zapraszam do mojej chałupki, ale pani Zapolska wyraźnie, jak mówiłem, pragnie samotności. Gościnność nie pozwala mi iść wbrew jej życzeniom." — Po tej ucieczce i tym liście, zostałem jakby z nóg ścięty. Najprostsza godność zabraniała narzucać się ludziom, którzy mię bez ogródki odpraszali. Chcąc przynajmniej wyzionąć całą moją zgrozę, zacząłem posyłać list po liście, najprzód codziennie, potem dwa razy dziennie. Cóż powiesz? Wszystkie wracały do mnie, jak pierwszy, z adresem własnoręcznym Ireny, a z mojem pismem wewnątrz. Wróciłem się do stylu miłości i błagania. Zaklinałem aby choć jednym słówkiem wytłumaczyła swoją postępowanie, wskazała czem zawiniłem. Te listy musiały wyglądać jakby wyszły od bonifratrów. Codzień było mi trudniej pisać.  
Rano

wstawałem z zawrotem głowy, po nocach nagabywały mię strachy. W uszach nosiłem cały karylion dzwonów. Po jakim tygodniu, przyszedł dzień w którym już nie wstałem. Okazał się tyfus najzłośliwszego gatunku. Tu w moich wspomnieniach następuje ciemna przerwa. Przez wiele dni byłem naprawdę między życiem a śmiercią. W chwilach przytomniejszych pamiętam że marzyłem o śmierci, jak Arab marzy o źródle. I zaprawdę, lepiej by mi było wtedy skończyć ze wszystkim, niżeli dożyć rozbudzenia, co mię po tym odpoczynku czekało! Ledwie wyszedłem z niebezpieczeństwa, ledwie zacząłem z łóżka przewlekać się na szezłag, pewnego dnia przychodzi do mnie Alfred Pełka, i po tysięcznych pytaniach o stan mego zdrowia, zaczyna mnie bawić nowinkami, a na wstępie opowiada, że wraca ze wsi od ojca. z wielkiej uroczystości, mianowicie z weselnych godów między tymże ojcem a

panią Ireną Zapolską. Jak rozumiesz, podobna wiadomość, rzucona człowiekowi co ledwo jedną nogą wygrzebał się z grobu, mogła go w nim pogrążyć nanowo. Jeszcze Alfred nie wyszedł, już musiano zawołać doktora. Wybuchnęła recydywa choroby. Znow kilka tygodni minęło w pasowaniu się ze śmiercią. Z tej epoki zachowałem więcej wspomnień. Pamiętam że ciągle przychodziło do mnie widmo Romany, z krwawą pierśią i jeszcze krwawszemi wyrzutami. Były to poprostu halucynacje choroby, ale wszystko jedno: prawdziwe czy złudne, zawsze

takie przywidzenia działają po Hamletowsku, mogą, zwichnąć umysł. Od owych też to nocy zacząłem już siwieć. Trzeba takiej żelaznej natury jak moja, aby przebrnąć podobną, próbę dla ciała i duszy. I to wszystko w obcym mieście, bez rodziny, bez przyjaciół. Jeden tylko Hubert był mi sługą, niańką, aniołem-stróżem. Musiał się wiele dowiedzieć o mojem życiu, bo w malignie podobno bez końca gadałem, ale nigdy nie skorzystał z tych zwierzeń, aby nadużyć mego zaufania. Ten człowiek wart medalu. — Przyszło nakoniec i drugie wyzdrowienie, powoli, ciężko, ale przyszło. Rozmyślając przez długie dni beczynne i noce bezsenne, wyrobiłem sobie zupełnie zmieniony pogląd na ludzi i na moję przeszłość. Posiadałem oba warunki, obie polowy zupełnego szczęścia: szalenie kochałem i byłem szalenie kochany. Cóż kiedy to szczęście podzieliło się na dwie polowy, i rozdzierając moję własną istotę, uczyniło me najniezwyklejszym z ludzi? Osobę która mnie prawdziwie kochała, dręczyłem, oszukiwałem, aż ją doprowadziłem do tragicznego skonu. A ta którą, miałem za bóstwo, mnie dręczyła, mnie oszukiwała, aby wszystko zakończyć krwawym żartem, który i ja mogłem przypłacić życiem, gdyby nie ten Herkulesowy mój organizm, co mię wcale nieproszenie i niepożądanie wyratował. Trzeba jednak było żyć, i czemsiś życie zapełnić. Byłbym wówczas wszystką, krew oddał, aby zemścić się na Irenie, a Romanie wynagrodzić jej

cierpienia. Pierwsze było trudnem, drugie niepodobnem. Ach! wszystko jest możebne jeszcze między żyjącymi; ale kiedy klamka śmierci zapadnie, żebyś tam oczy wypłakał i glob cały poruszył, nic się nie odstanie! Teraz już nie w chorobliwych marzeniach, ale w głębi duszy stało ciągle przedemną rozżalone widmo Romany, a wyrzuty sumienia ogarnęły mię z mocą, której chyba tylko najwięksi zbrodniarze zaznali. Nie mogłem sobie nadewszystko darować, że owej fatalnej nocy nie wszedłem do niej choć na godzinę, choć na chwilę! Byłbym ją może wstrzymał od kroku rozpacz, a teraz, po zdradzie Ireny, miał bym się przy kim pocieszyć, terazbym ją dopiero cenił! Wszystko zapóźno! — Pragnąłem przynajmniej, aby Irena dowiedziała się, jak gwałtownie żałuję Romany. W tej myśli napisałem do jej nowego męża list bardzo grzeczny, zapytując czyby władze nie mogły mi oddać zwłok nieszczęśliwej ofiary, która, oddalona od kraju i rodziny, miała we mnie jednym przyjaciela, czciciela i opiekuna? Nie szczędziłem w liście wyrażen o Romanie najczulszych i najognistszych, o Irenie zaś ani słowa. Miałem nadzieję że Pełka pokaże ten list żonie, najprzód aby dogodzić wrodzonej złośliwości, powtóre aby ostatecznie zgubić dawnego rywala. Był też to główny powód, co mię popchnął do napisania listu, bo spełnienia mojej prośby, szczerze mówiąc, wcale się nie spodziewałem; wiadomo każdemu z jakimi trudnościami jest

połączone wszelkie przewożenie zwłok, szczególnie kiedy ręka sprawiedliwości już się ich dotknęła. Na wielki mój podziw, odpowiedź wypadła przychylnie. Pan Ryszard odpisał (nie wiem czy szczerze, czy ironicznie) że tak wielkie przykazanie zasługuje na wyjątkowe ustępstwo, i że użyje wszelkiej swojej władzy, aby mi wyjednać te łaskę. Muszę też przyznać, że nietylko w tej okoliczności, ale i we wszystkich innych, dotyczących owego wypadku, zostałem

wolny od sadowych kłopotów. O nic mi nie pytano, nie wzywano do protokołu, cała sprawa Romany poszła cicho i utonęła w zapomnieniu. Jam tylko jeden nie zapomniał! Milo mi dziś pomyśleć, że przynajmniej zwłokom jej oddałem tę cześć ostatnią, bez której byłaby pogrzebana prawie jak żebraczka. Nawet mogiłki nie miała! I niedziw: nikt jej u nas nie znał, nikogo jej los nie obchodził. Podczas kiedy chorowałem, pochowano ją tymczasowo, naprędce, w jakimś starym, opuszczonym lochu. Po niektórych formalnościach, oddano mi trumnę. Zwłoki były już do niepoznania zmienione. Żałuję że nie widział. Po rześzystych egzekwiach, przywiozłem je tutaj i na Powązkach przy naszym rodzinnym grobie postawiłem jej pomniczek, jak mogłem najładniejszy. Jeżeli kiedy będziemy razem na cmentarzu, pokażę ci to drogie miejsce. Bywam tam nieraz, a już co go czerwca, to rokrocznie wożę kwiaty i parę godzin spędzam.

— Ach, teraz nie dziwię się wujowi! — zawołał; Wiesław. — Ta Romana jednak nie była taka straszna, jaką się wydawała i jaką sama chciała się odmalować. Groziła że wszystkich pozabija, a tymczasem tylko same siebie zabija.

— Jeżeli jeszcze i siebie zabija — odparł pan Tytus. — Kto wie czy to nie żal ja zabił? Chociaż doprawdy wątpię, aby można z samej boleści umrzeć, kiedy ja moją przeżyłem. Póki jeszcze trwały te obrządki, podróże, stawianie grobowca, żalność moja miała się czem karmić. Ale po wypełnieniu wszystkiego uczułem czczość bez granic. Wróciły myśli zemsty. Kułem najdziksze zamiary. Chciałem Ryszarda Pełkę zabić w pojedynku. Ale najprzód pytanie, czyby się starzec bił ze mną, Czyby się nie dał zastąpić przez syna? Powtóre, czyby wdowa mogła zaślubić mnie, zabójcę męża? Nakoniec, czy już i warto było się z nią żenić?... W innych dniach znowu chciałem jeszcze raz ją oczarować, podbić, zbałamucić i od męża odciągnąć, aby wkońcu, jak Romana, została na mojej lasce i nielasce... Ale kiedy sobie przypominałem opór, jaki stawiała za życia pierwszego męża, i ten plan wydał mi się niepraktycznym. A przytem.... prawdę mówiąc, byłby mi we własnych oczach poniżył. Odepchnąwszy więc wszystkie złe podszepty, postanowiłem tylko primo: prowadzić życie wesole, ażeby dobrze słyszała i widziała, że bynajmniej nie desperuję po niej; secundo: zrobić wielki majątek, bo przecież po-

szła za tamtego tylko dla jego pieniędzy. Niech pożałuje, niech zobaczy że ze mną, mogła być jeszcze bogatszą! Dziwne są drwiny losu! Od owej epoki zaczęło mi się wszystko darzyć. Najsmaczniejsza uczta wtedy gotowa, kiedy człowiek już stracił zęby. Mnie wtedy przychodziło szczęście, kiedy nie miałem go już z kim i dla kogo użyć. Ale że było, to było. Naprzykład powodzenie u kobiet bajeczne! Dawniej potrzebowałem niemałych starań, zabiegów, aby się podobać. Teraz dość mi było spojrzeć, a wszystkie się garnęły, może właśnie dlatego, że sam nie byłem porwany, tylko grałem przytomnie dobrze wyuczoną rolę. Kazein z daniami poczęła sprzyjać i fortuna. Rzucam się w najśmielsze interesa, wszystko szło jak z płatka. Milioniki się zaokrągliły. Ha! i za to dziękować przeznaczeniu. Już jeśli cierpieć i nudzić się, to lepiej w dostatkach, niż w biedzie. No, a teraz przyznaj, Wiesławie, że cię już musi mniej dziwić moja pozorna lekkość i moja ironia? Życie nie chciało mi się ułożyć na seryo... wzięłem je na żarty.

Tu pan Tytus gorzkim uśmiechem zakończył opowiadanie. Nastąpiła chwila milczenia. Wiesław oparł głowę na rękach, pogrążony w bolesnym rozmyślaniu.

— Okropna historia.... — zawołał, zgarniając włosy z czoła. — Okropna! W postępowaniu pani Ireny jest coś dziwnego, zbyt dziwnego, aby nie

miało przyczyny. Musi tam leżeć jakieś nieporozumienie... jakaś tajemnica...

— Niema żadnej tajemnicy. I ja długo szukałem nitek jakiejś dramatycznej intrygi; dziś doszedłem do przekonania, że to jasny i prosty wynik jej charakteru. Ta kobieta ma duszę z granitu. Co u innych jest energią, wytrwałością, u niej

przemienia się w zawziętość. Zawzięła się na mnie z powodu Romany, postanowiła wciągnąć mnie powtórnie, uludzić kłamanem przebaczeniem, zmusić do zaparcia się przeszłości, widzieć mnie u nóg swych zdeptanego, a nakoniec mi pokazać, że to wszystko jest tylko odwetem! Całą tę komedię, nie przeczę, odegrała po mistrzowsku, ale takie mistrzostwo nie przynosi zaszczytu. Przecież każdy uczciwy człowiek rai przyświadczy, że nawet w najśluszniejszym żalu tak daleko niewolno posuwać zemsty, zwłaszcza kiedy śmiercią rywalki już sam los podjął się ją pomścić.

— I nigdy już wujowi nie dała znaku życia?

— Nietylko mnie, ale nikomu. Było mi z jednej strony przykro, że nic mogę jej mieć za świadka swoich powodzeń, z drugiej strony jednak cieszyłem się, kiedy zmiarkowałem jakie przyczyny od świata ją odsunęły: była co się zowie nieszczęśliwą ze swoim tak mądrze wybranym mężulkiem, który ją trzymał nieledwie pod kluczem. W kilka miesięcy po ślubie wziął dymisję i zamknął się z nią w swoich starych basztach, gdzie jej strzegł z zazdrością godną Molierowskich mę-

I owych bogactw podobno niewiele użyła. Z wiekiem wszystkie skłonności zwykle rosną; skąpstwo Ryszarda miało w ostatnich latach dojść do niewdzianych dziwactw. Wszystkie te szczegóły wiedziałem przez Alfreda, z którym wszedłem w niejaką zażyłość umyślnie, aby pokazać Irenie, że nie mam żadnego żalu do Pełków, a przytem też i w nadziei, że przez niego powezmę choć czasem języka. Alfred, który, jak wiesz, nic na ziemi i niebie nie szanuje, jak tylko zaczął mówić o miłym ojczulku i macosze, to włosy na głowie wstawały. Może przesadzał, ale i połowy było dosyć na obraz domowego piekła. Ile razy powrócił ze wsi, przywoził, jakby aktor, jakąś nową, scenę. Co najdziwniejsza, przed rokiem, może nawet jeszcze niema roku... opowiadał mi...

Tu pan Tytus wstrzymał się i zawahał.

— Może lepiej nie mówić... Ale, powiedziawszy tak wiele, trudno już cokolwiek zataić. Zresztą, ta wskazówka może ci kiedyś posłużyć za przestrożę. Otóż, jeśli mamy wierzyć Alfredowi, przed jakim rokiem, pani Irena uknuła nowy planik na moją osobę, a mianowicie... abym się ożenił z jej córką.

— Z panną Cecylią? Wuj!...

Przy tym wykrzykniku Wiesław nie zdołał nad sobą zapanować; głos jego i krwawe zaczerwienienie zdradziły gwałtowną zgrozę.

— Tak, mój Wiesławie, z panną Cecylią.

Przyznasz że ten pomysł był koroną dzieła. Już teraz, jak widać, stałem się partyą dostatecznie-bogatą, a choć jestem dwa razy starszy od Cesi, cóż to znaczy? Wiek zdaje się nie stanowić przeszkody w oczach pani Ireny, która zresztą własnym przykładem teorią tę stwierdziła. Dzisiejsza nasza rozmowa zmienia mój pogląd na wiele rzeczy, ale wówczas... nie byłbym się może bronił od tych swatów.

— Byłby się wuj ożenił?

— O, co to, to nie! Miałem ochotę udawać, że się staram o rękę Cesi, doprowadzić do zaręczyn, do wyprawy, do ostatnich zapowiedzi, a w chwili kiedy trzeba stanąć przed ołtarzem, wyjechać na koniec świata i pannę zostawić na koszu.

— I wuj miałby serce mścić się za matkę na niewinnej córce?

— A matka czy miała serce, kiedy mściła się na mnie? Zresztą, nie wiem sam... W niektórych razach łatwo się myśli i mówi, ale niełatwo się robi. Zemsta, powiadają, jest rozkoszą bogów. Ale my ludzie, a nie bogi; mściwe plany uśmiechają nam się, dopóki są planami: kiedy jednak przyjdzie naprawdę je wykonać, najczęściej ręce nam opadną.

— Ach! i to największa chluba człowieka — zawołał Wiesław — że w tym względzie nie może dorosnąć do bogów... pogańskich. Nie... powtarzam, wuj nie byłby miał serca... A teraz je-

szcze jedno pytanie: czy panna Cecylia wiedziała o tym zamiarze matki?

— Tego ci nie potrafię objaśnić. Być może iż ten zamiar nigdy nie miał rzeczywistej podstawy. Alfred mi tylko opowiadał, że w rozprawie z mężem nad przyszłością córki, Irena wspomniała o mnie, jako o pożądanym zięciu, ale mąż przeciął od razu sprawę, oświadczając że mnie nigdy, pod żadnym pozorem, do swego domu nie wpuści. Miał stary dobrą pamięć, a dla żony, jak widać, niewiele szacunku.

Znów nastąpiła chwila milczenia, dłuższa i cięższa niż poprzednia.. Ostatni ustęp opowiadania mocno zafrasował Wiesława, mocniej niż sam przed sobą chciał wyznać. Obaj czuli się znużeni. To smutne posiedzenie trwało już długie godziny. Kiedy pierwsza po północy uderzyła, Odonicz wstał i położył rękę na ramieniu siostrzeńca.

— A teraz powiedz, mój Wiesławie, czy możebne są owe zamiary niespożytej między nami przyjaźni, owe marzenia serdecznej ufności, które przed kilku godzinami roileś? Raz jeden ci się zwierzyłem, musiałem się zwierzyć, przynaglony twojem niespodzianem wyznaniem; ale cała ta rozmowa, zamiast nas zbliżyć, rozdziela nas owszem, i kto wie czy nie nazawsze rozłącza. Nie jestem ja żadnym wujem tyranem. Zanadto szanuję wolną wolę, zanadto rozumiem, niestety! niepokonany wpływ uczucia, ażeby w imię moich wspomnień miał wymagać od ciebie ofiary z całej

twojej przy szłości. Kochaj się, żeń z kim chcesz, nie będę ci stawiał, przeszkód, ani cię nudził morałami. Gdybyś jednak za żonę miał wybrać córkę pani Ireny, wtedy, daruj Wiesławie... ale musiałbym się usunąć zupełnie od ciebie i całego twego otoczenia. Powtarzam. ci, i w takim nawet razie nie myślę się gniewać, ani mieć żalu do ciebie, tylko... cofnę się więcej niż kiedykolwiek w moją samotność i milczenie. Drogi nasze rozchodzą się zbyt widocznie, abyśmy mogli iść ręką w rękę. Ja dążę pod wieczór... ty idź wesoło za wschodem twego słońca, oby dla ciebie wstało, pogodniej niż dla mnie! Z całej duszy ci życzę szczęścia, chociaż zaprawdę trudno uwierzyć, abyś je znalazł przy córce takiej matki. Niedaleko jabłko pada od jabłoni. Zresztą mogę się mylić. Czasem błędy rodzicielskie wywołują owszem w dzieciach odwrotne zalety. Nic nie mówisz, biedny chłopcze? Masz słuszość, cóż tu mówić? Oto lepiej uściskajmy się, szczerze i smutnie, jak na pożegnanie.

Różyc wyszedł od wuja ze zboląłą duszą.

Biednemu wiatr w oczy; temu co się martwi na jawie, przybywa zmartwienia i we śnie. Kiedy nad ranem trud go zmorzył, straszne myśli zmieniły się w straszniejsze widziadła. Słyszał jęki Cecylii, widział ją konającą w jakiejś dalekiej komnacie, chciał biedz na jej ratunek, wuj go wstrzymywał z piekielnym uśmiechem, i znów nagle Cecylia odnajdywała się w okrągłej miniatu-

rze, niby podobna do siebie, ale ubrana jak druidka, rozzuchwalona jak bachantka, i znowu...

— Dosyć, moja pani autorko! Przecież piszesz powieść, a nie sennik. Kiedy dosyć, to nie powiem końca... a szkoda! Bywają, sny ciekawsze od rzeczywistości.

Któż wie zresztą, czy sen nie jest powieścią, którą mieszkańcy innych światów opowiadają duszy ludzkiej?

## VII.

Zajaśniał poranek niedzielny. Panna Helena wracała z matką od przedślubnej spowiedzi; na schodach kościoła minęły się Różycem, ale ich ani nie przywitał, ani nawet spostrzegł; cały zamyślony, dążył śpieszniej niż zwykle. Przy swojej



niezachwianej wierze, nawykł on sprawy tego świata odnosić stale do innego; więc ilekroć doznał czy pomyślności, czy zgryzoty, nigdzie nie było mu pilniej, jak do świątyni Pańskiej. Tam najlepiej myśli mu się wyjaśniały, tam najłatwiej składał z serca urazy i dawał się porwać nadziei. Dzisiaj też przesłuchał całej summy, zatopił się w harmonii organów i niebiańskie te głosy rozpogodziły mu duszę.

— Może — myślał sobie — Bóg pozwoli mi być narzędziem zgody, wybadać tyloletnie zakłócenie, przejednać wuja i upamiętać tę zagadkową.

kobietę? Ach, szkoda jednak — dodawał z westchnieniem — szkoda że matka Cecylii nie jest owym wzorem cnót, jakim aż dotąd mi się wydawała! Taka teściowa mocno psuje obraz przyszłego szczęścia. Zawsze to wielka boleść, kiedy nie można przed córką wyrażać się o matce szczerze i ze czcią, bezwzględna. Zresztą wpływ takiej matki.. Ba! przecież jak Cecylia raz pod mój dach wejdzie, potrafię zmienić jej atmosferę moralną, usunąć ją nieznacznie z pod tego drażniącego wpływu. Tak. A w cóż się wtedy obrócą moje piękne postanowienia? Usunąć córkę z pod skrzydeł matki? Odciągnąć żonę od jej całej przeszłości? Wszak przyrzekałem sobie uroczyście, że nigdy nie popadnę w ten grzech anti-rodzinny? Oj, teoria! Z nią wszystko łatwo i gładko; ale kiedy przyjdzie do zastosowania, konieczność zawsze coś od nas wytarguje, aż czyste złoto zasad rozejdzie się na szelągi.

Tak z samym sobą rozmawiając, Wiesław kierował drogę do drzwi pani Ireny, bo pójść przecie wypadało. Wczoraj przez cały dzień się nie pokazał. Teraz truchłał jakie przyjęcie go spotka po owym obelżywym odesłaniu listu? Nie wiedział sam, jak ma się postawić do pani Ireny. To też kiedy Sebastyan odpowiedział mu sucho, że: "Pani chora, nie wstała, a panna jeszcze nie wróciła z kościoła" oddalił się skwapliwie, unosząc rodzaj tymczasowej ulgi.

W parę godzin później zajeżdżał do państwa

Moszkowickich wyświeżony i uśmiechnięty, ale tylko tym urzędowym uśmiechem, z którym każdy musi przychodzić na weselne gody. Po prawdzie mówiąc, niewiele sobie obiecywał przyjemności z tej zabawy, gdzie miało brakować najmilszej mu osoby, zabawy która prawie zawsze jest sztywną, chociaż się tak obiecująco weselem nazywa.

Mnóstwo przyczyn wielkich i małych składa się na oziębienie podobnej uroczystości.

A najprzód sama ważność wypadku.

Rodzice panny młodej, chociaż rozpromienieni i gościom niby radzi, duszę mają do głębi wstrząśniętą. Ojciec się troszczy i głowę sobie suszy, czy w intercyzie czego nie zmylono, lub nie pominięto? Matka łyży połyka; bo to nie żarty dziecko wychuchane i wypieszczone, którego się kilkanaście lat strzegło jak oka w głowie, oddać nagle, zupełnie, w moc obcego człowieka. A małżeństwo przecie, to istna loterya. Na milion, ledwo jeden wielki los padnie, a i biedną stawkę niekażdy wygrywa.

Panna młoda jest najczęściej milcząca, spłoszona i nieco smutna. Nieładnie to nawet jakoś w oczach ludzkich wygląda, jeżeli nie znać po niej rozrzewnienia, w chwili kiedy ma opuszczać rodzicielskie progi. A przytem czyż to każda zamienia obrączkę według życzeń serca i rojeń wyobraźni? Wielka część panien idzie za mąż z rozsądku, z posłuszeństwa, poprostu dla losu. A i ta

nawet, co idzie z prawdziwej miłości, choćby później miała być najszczęśliwszą, w dzień swego ślubu nie będzie wesołą. Na stopniach ołtarza każda musi zadrzeć, wobec groźnego majestatu przysięgi, przed zaklętą bramą nieznaną przyszłości. Panu młodemu także nie same różowe myśli w tym dniu do głowy przychodzą. Żeby i najmocniej kochał przyszłą żonę, zawsze w ostatniej chwili troszkę mu żal

pysznego, kawalerskiego życia, nieograniczonej swobody w rozrządzaniu godzinami i czynnościami swemi, owej złotej bezkarności, co mu dawała przywileje wszędzie, nawet w królestwie sumienia. Trzeba tego wszystkiego wyrzec się z dnia na dzień, zapomnieć i przejść w regulamin domowego pożycia, słodki wprawdzie, dawno żądany, ale ciasny jak każde prawo.

— Główne zatem postacie obrazu są. zwykle zmyślone i, jak to mówią, nieswoje. Ich nieruchomość oddziaływa na resztę towarzystwa, powaga onieśmiela popęd do zabawy. Jeżeli przynajmniej obie rodziny znały się oddawna i szczerze się zżyły, dzień ich skojarzenia może wywołać istotną radość. Ale często i najczęściej się zdarza, iż każda z tych rodzin żyła w odrębnem kółku; wtedy dzień weselny otwiera pole, na którym dwa obozy spotykają się po raz pierwszy. Nikt nikogo nie zna, wszystkich wszystkim trzeba na gwałt przedstawiać, dobrze wyjaśniając stopnie pokrewieństwa, dopytując się o sprawy i zdrowie osób od dziesię-

ciu lat niewidzianych. Bo co najciekawsze, to że na każde wesele wychodzą, jakby z pod ziemi figury osobliwsze, zakłete, które się tylko na te dni odnajdują.

Nie można zapraszać tych których się mieć pragnie, ale tych których mieć wypada.

— Pan Ignacy okropny był nudziarz, wszyscy od niego uciekają., trzeba go jednak zaprosić, niema rady: przecież to blizki kuzyn pana młodego.

— Pani Brygida wprawdzie nigdy u nas nie bywała, ale na ten raz musimy jej posłać zaproszenie; choć daleka, zawsze krewna, i naszej córce na ślubny prezent już podobno kupiła bransoletkę.

— Państwo Tomaszostwo bardzo mili ludzie, onby nam ożywił całą. zabawę, ona śliczna, że malować. Ale niepodobna ich prosić; nie żadni krewni, tylko dobrzy znajomi, a gdyby przyszło prosić wszystkich znajomych, toby trze ba spędzić pół Warszawy. Już i tak pięćdziesiąt osób jest zapisanych, a tu stoły w jadalnym pokoju ledwie na czterdzieści sześć miejsc wystarczają, i to dobrze ścisnąwszy krzesła.

Takie zwykle rozmowy toczą się u rodziców panny młodej, podczas kiedy ojciec, albo brat jej, spisuje na długiej wstędze papieru listę osób mających dostać zaproszenie. Każde nazwisko przechodzi kolejną pod ostrzem krytyki i namysłu, aż po wielu obcinaniach i dodatkach, występuje całość podobna do pstrej mozaiki, w której się trudno dopatrzeć rysunku.

Taką mozaikę, a raczej łamigłówkę towarzyską. Wiesław zastał w salonie państwa Moszkowickich, gdzie zgromadzenie rozsiało się w ogromne koło, jakby na cenzurowanem.

Pod ścianami, na kanapach, jaśniały wspaniałe babunie, w morowych sukniach i trzypiętrowych czepkach; między niemi ruchliwe ciocie o złotych szalach, z rurkowanemi loczkami u skroni.

W jednym rogu, na okrągłej sofce, zebrała się kupka rozmaitych kuzynek, bezposażnych panien mniej więcej nadwiedłych, którym ledwie co dwa lata trafi się gratka zabawy; to też siedziały potrwożone, albo pokwaszone, w swoich blondynowych pelerynkach i pomiętych różach, które się tylko od wesel dobywają. We wszystkich oknach i na wszystkich progach stali mężczyźni, mniej więcej siwi. Jacyś odwieczni stryjowie w granatowych rajtrokach, jakiś głuchy jegomość, co bardzo głośno opowiadał Napoleońskie kampanie, kilku wyższych urzędników, z twarzami blademi jak ich białe chustki, i cała falanga zaindyczonych obywateli wiejskich.

W kąciку chichotały podlotki o długich warkoczach, a chłopcy w studenckich mundurkach oglądali się, kiedy też służba zacznie roznosić cukierki?

Po tem tle przygasłem, tchnącem staroświecczyzną i parafiańszczyzną, przesuwało się kilkanaście postaci takich zgrabnych, świetnych, jakby kto na stosie dawnej, wytartej monety, rozsypał

rulon dukatów, świeżo z pod stempla wyszłych. Było tu kilka prawdziwych elegantek, ubranych według ostatniego żurnalu, wciętych, podpiętych, jakby z igły zdjętych, i kilku paniczów najczystszej wody, ślicznych, ironicznych i dyplomatycznych. Wszyscy ci państwo, posiadając tajemny klucz i znaki masoneryi salonowej, rozumieli się półsłówkami albo półspojrzeniami, któremi cichutko sztyletowali resztę zgromadzenia. Żadnemu z nich nie przyszło na myśl, że za kilka dziesiątek lat i oni może siedzieć tak będą pod ścianami a młodzież dwudziestego wieku będzie się wysmiewała z ich sukien niemodnych i wyobrażeń przestarzałych? Kto dożyje, ten zobaczy. Ale tymczasem uważali się za rodzaj męczenników towarzyskiego poświęcenia i szeptali, leciuchno ruszając ramionami: —"Dość ofiary, żeśmy tu przyszli; żebyż jeszcze i pośmiać się nie można, to chyba umrzeć z nudów."

Wejście Wiesława sprawiło silne wrażenie. Masońska część towarzystwa poznała koleżę, dzielącego z nią wszystko, oprócz złośliwości. Starsze panie i panowie, którym się kolejno przedstawił, zostali zachwyceni jego uprzejmością. A kuzynki.. Ach, te jedna przez druga wyciągały szyjki, takie zdumiałe i olśnione, jak gdyby serafin z lilią w rękę zstąpił z otwartych obłoków. Niedługo jednak oczy zwróciły się w inną stronę. Weszła do sali bohaterka tego święta, panna Helena, w koronkach, jedwabiach i mirtach, wyglądająca

mizernie, jak zwykle panny młode, zmęczone ranną, spowiedzią, tysiącem przygotowań i wzruszeń. Gorączkowe rumieńce zdradzały że wzruszona. Ach, bo też było czego! Szewc niegodziwiec spóźnił się z atlasowymi trzewikami, stanik był zaciasny, musiano haftki przesywać — potem... czuła że nie wygląda jakby chciała, a to już jedynie z winy tego upartego fryzjera. Trzeba wiedzieć że fryzyerowie mają szkaradny zwyczaj czesania panien w dzień ich ślubu inaczej, niż je czeszą zwykle. W tym względzie nikt ich nie przekona. Twierdzą, że welon wymaga jakiegoś odrębnego, niby starożytnego ułożenia włosów... obiecują złote góry. Po przypięciu welonu, staje się widocznem, że pannie z klasyczną modą nie do twarzy; matka narzeka, fraucymer podaje różne rady; ale goście raz po raz dzwonią, czas nagli, fryzyer obrażony, wzięwszy dukata, przepadł, i trzeba się tak pokazać.

Już wniesiono tacę z bukietami, już druchny, zbrojne w złote szpilki, poprzipinały je kawalerom, między których ze śmiechami i figlami wplątał się niejeden żonaty, już państwo młodzi na kolanach odebrali błogosławieństwo rodzicielskie (chwila zawsze rozrzewniająca, nawet dla trzpiotów i dla filozofów), a jeszcze nie przybył pierwszy drużba. Oczekiowano z niepokojem, bo przecież bez niego nie można było jechać.

Zjawił się наконец, jak zawsze się zjawiał, ostatni i najgoręcej przywitany. Można by sądzić,

7

że nie pan młody, ale on był bohaterem uroczystości. — Zaraz też twarze i rozmowy nabrały ożywienia; wszyscy, czując się pod okiem króla salonów, chcieli, jak to mówią., dobrze się wydać. Jedna z obecnych dam zrobiła słuszne, choć nieco gospodarskie porównanie. — "Ile razy pan Odonicz między nas wejdzie, to jakby kto do ciemnego pokoju wniósł lampę."

Kuszono się tłumnie. Wyjazd do kościoła •' jest zawsze najświetniejszym popisem weselnego orszaku. Białe lejce u koni, parada powozów, stroje dam wsiadających, gapienie się przechodniów, składają obraz niezaprzeczenie świąteczny. U wszystkich okien pokazują, się ciekawe twarze. Niejedna zatroskana matunia, spojrzawszy, z westchnieniem szepnie: "Kiedy też to od nas będzie taki orszak wyjeżdżał?"

W kościele Wiesław oddawał się, jak te matki, uczuciu słodkiej zazdrości. Wyobrażał sobie chwilę, w której z Cecylią będzie stał przed kapłanem; od samych przeczuć szczęścia w oczach mu się ćmiło, a kiedy przyszło do słów

sakramentalnych, dreszcz go przeszedł, jakby miał sam przysięgać. Niemile wrażenie zbudziło go ze złotej wizyi. Z ust pana młodego odpowiedź wyszła ledwie dosłyszalna; zato panna młoda wyrzekła swoje: Tak! z gwałtownem sforzando, na które obecni się uśmiechnęli, a pani Moszkowicka aż się zapłonila. Tę niestosowną zamianę w sile głosów zauważyłam przy wielu ślubach i długo szukałam je

przyczyny; leży ona pewnie w dwóch odwrotnych obawach: pan młody lęka się że przemówi zagłębno, panna młoda lęka się że odpowie zacicho: każde wpada w przeciwną przesadę; ztąd mąż wygląda nieśmiało, a żona zbyt śmiało. Po wspaniałem Veni Creator, po gorących powinszowaniach zamienionych w zimnej jak loch zakrystyi, wrócono z równym hukiem i ceremoniałem na Chmielną ulicę, tylko już nie do bawialnej, ale do jadalnej sali. Zaczęła się uczta przedwieczna, niby obiad, niby kolacya. Nie próżno państwo Moszkowiccy tyle lat na wsi mieszkali: półmiski się sypały z wiejską, obfitością. Polędwic, potrawek, zwierzyny było aż zadużo, za to służby, talerzy i nożów zamało. Usługa szła powoli. Pani Dorota nie darowała gościom ani jednego kąska, sama dokładała krnąbrnym na talerze. Pan Aleksy chodził z omszałemi buteleczkami, a już przy jarzynkach dobył stary malowany kielich, z którego lały się bez końca wiwaty i oracye.

Większa część zaproszonych używała całem Bercem darów gospodarstwa. Kuzynki jadły ile mogły, kuzyni pili więcej niż mogli. Śmietanka towarzystwa bawiła się także wybornie, chociaż cichutko, czyniąc spostrzeżenia nad szykownością froterów, poprzemienianych na ten dzień w lokai, nad różnym poziomem sztukowanych stołów, których schodkowatość zagrażała karat kom, a najbardziej nad mikroskopijnym rozmiarem przejścia zostawionego między krzesłami a ścianą,

gdzie nieszczęśliwa służba musiała się przeciskać, depcząc po jedwabiach i podnosząc półmiski. To też nie obyło się bez oblania kilku błękitnych i różowych sukien.

Ale zato, na pociechę i wielki splendor obiadu, pan Tytus raczył być w pięknym humorze, a nawet od czasu do czasu puszczał szmermel dowcipu.

Wiesław upadał od znużenia. Że wszystko zwykł czynić sumiennie, więc bawił jak mógł swoje sąsiadki, ale w duszy wzdychał tylko do cygara i szerszego krzesła.

W połowie wetów, między tortem hiszpańskim a galaretami, otwarto drzwi od przedpokoju, a w nich stanęła, jak istne zjawienie, panna Cecylia Zapolska.

Powstał okrzyk zdziwienia i radości.

— A to śliczny gość! — Czemuż tak późno? Lepiej późno, jak nigdy! — A to niespodzianka!

Panna Cecylia, witając się z gospodarstwem, odpowiedziała głosem dźwięcznym, który doszedł aż do Wiesława:

— Moja mama jest nadto cierpiąca, ażeby mogła osobiście powinszować, ale chciała choć przezemnie przysłać swoje życzenia, a żeśmy się długo namyślały jak zrobić, wybrałam się dopiero na ostatnia, chwilę. Sami państwo mówicie: lepiej późno jak nigdy; odważyłam się więc napaść was wśród obiadu, aby i od mamy i od siebie uściskać

pannę Helenę, a raczej, przepraszam.... już panią Helenę.

Tu nastąpiły uściski z panną młodą i resztą panien. Powstał rozruch ogólny; chciano dla nowoprzybyłej zrobić miejsce, przedsięwzięcie arcytrudne. Wiesław miał nadzieję że Cecylia, przez skromność, skieruje się ku niższej stronie stołu, gdzie siedzieli młodsi, i że tym sposobem będzie mógł znaleźć się w jej pobliżu. Ale panna Zapolska, objąwszy badawczem spojrzeniem całe towarzystwo, poszła prosto ku wyższym sferom stołu i zatrzymała się naprzeciw Tytusa

Odonicza, gdzie wnet jeden z rajtrokowych stryjów ze staroświecką grzecznością ustąpił jej miejsca.

Wiesław pierwszy raz widział Cecylią w wielkim stroju. Olśniła go. Kiedy ubrania innych kobiet nadwiędły już przez jazdę do kościoła i długie posiedzenie przy stole, ona w całej świeżości, spadłszy jak z obłoków, wyglądała nadpowietrznie i złocisto, chociaż nie było ani pyłku złota w jej ubiorze.

Ubiór ten mógł się nazwać arcydziełem: zwalczał mnóstwo trudności. Cecylia nie mogła wystąpić zupełnie białą, bo na weselu taki strój. stanowi wyłączny przywilej panny młodej; niemogła wdziąć jaskrawych kolorów — pół-żałoba ich zabraniała.

Włożyła suknię białą, ale gęsto naszywaną ciągnionym haftem ze słomki; w jasne włosy wpięła

trzęsące się owsy; kolczyki i naszyjnik miała z bardzo bladego, sycylijskiego bursztynu.

Blondynce trzeba wielkiej odwagi, wielkiej pewności swego czaru, ażeby się ubrać w kolor własnych włosów. Piękność Cecylii wyszła z tej próby zwyciężko.

Wiesław nie mógł z nią, rozmawiać, ale mógł ją doskonale widzieć, a nawet dosłyszeć niektóre jej wyrazy. W pierwszej chwili to spotkanie opromieniło mu zabawę bengalskimi ogniami radości. Gorący i pełen sosów pokój wydał mu się świątynią, galareta ambrozyą, goście pół-bogami.

Niedługo jednak ta radość zaczęła się przyćmiewać. Cecylia nie spojrzała ani jeden raz w jego stronę, nie zdawała się go szukać między zgromadzonymi. Nic nie jadła, tylko bawiąc się bransoletką, rzucała długie i rzewne spojrzenia na pana Tytusa, który także wpatrywał się w nią bardzo, zabardzo, zdaniem siostrzeńca.

Nakoniec przez stół się przechyliła i rzekła: — "Pan sobie przypomina dawną Cesię?" — Odonicz odpowiedział kilka wyrazów, których Wiesław nie mógł zrozumieć.

Przysłuchiwał się pilnie, ciekawy dalszej rozmowy, kiedy gospodarz domu przystąpił do Cecylii i podniósł w górę pełny kielich. Po wyczerpaniu wszelkich możebnych toastów, rad był ze znalezienia nowego; ozwały się sykania, dzwonienia o szklanki, wszyscy ucichli, a pan Aleksy wydeklamował:

Szczęście żeś do nas przybyła!  
Bez ciebie był wielki skweres.  
Witajże, panienko miła,  
Co wyglądasz nam jak Ceres.

Toast zrobił furorę. Wśród oklasku i zgiełku powstano od stołów.

Różyc w natłoku, spotkawszy wuja, szepnął mu: — Ale też, od chwili jak weszła panna Zapolska, wuj oniemiał i patrzył w nią jak w tęczę.

— Prawda, patrzyłem, bo taka podobna do matki, że aż mię postrach ogarniał. Cała przeszłość zdawała się wskrzeszona.

A dostrzegłszy niedowierzający wyraz twarzy młodzieńca, dodał z uśmiechem:

— Cóż to, czy z ciebie taki hidalgo zazdrości, że na twoją pannę już i spojrzeć niewolno? Nie bój się, don Wiesławie, już ci nikt nie będzie miejsca przy niej zabierał, naciesz się, napatrz; ja idę na cygaro, bo ledwie żyję po tym szlacheckim festynie.

I skierował się istotnie do sąsiedniego pokoju.

Wiesław nie poszedł za nim, już nie marzył o hawańskich rozkoszach. Lawirował w salonie, aż się znalazł za krzesłem Cecylii.

Nie mógł od razu zwrócić jej uwagi; Alfred Pełka, jeden z najdowcipniejszych filarów tego zebrania, stał przed nią i rozmawiał wesoło. Niedługo jednak i on odszedł do cygarowego pokoju. Wtedy zakochany, widząc wyłącznie dla siebie o-

twarte ucho swojej pani, rzucał w nie najślodsze wyrazy.

Radował się spotkaniem, którego nadzieję mu już odebrano, unosił się nad skromnością i wdziękiem panny Cecylii. Ta słuchała z roztargnieniem, odpowiadając jak osoba, której myśl gdzieś daleko buja.

— Jacy szczęśliwi! — rzekł młodzieniec, wskazując na Ewarysta i Helenę, którzy naprzeciwko, siedząc obok siebie, oglądali pyszny bukiet, dar pierwszego drużby. Wiesław miał uszykowany w myśli cały szereg spostrzeżeń, któremi od szczęśliwej pary i bukietu, chciał przeprowadzić rozmowę do wspaniałego epilogu na cześć bożka Hymenu ale wśród najpiękniejszych początków, Cecylia nagle chwyciła za rękę damę obok niej siedzącą, jedną z ciotek panny młodej.

— Co to za portret? — spytała — tam w drugim pokoju? Zdaje mi się że znam osobę którą przedstawia.

— Chyba nie — odparła dama. — To portret naszej babki.

— Dziwne podobieństwo! — zawołała Cecylia. — Zresztą pendzel, o ile ztąd mogę widzieć, wyborny. Warto się przyjrzeć. Może i pani ze mną pójdzie?

Tu zerwała się jak jaskółka, wzięła pod rękę ową damę i zaciągnęła ją do drugiego pokoju. Różyc mógł widzieć z salonu, jak stała chwilę

przed portretem, w bliskości którego pod oknem siedział Odonicz, popijający czarną kawę.

Nagle Cecylia zwróciła się ku niemu; przemawiała długo i żywo; pan Tytus położył cygaro, wstał i słuchał, mało odpowiadając, często się kłaniając. Po ostatnim, najgłębszym ukłonie, wziął ze stołu kapelusz, przeszedł przez salon i opuścił zebranie.

Gospodarstwo oboje zmartwili się serdecznie, widząc że gość najznakomitszy najwcześniej dom ich porzuca. Gonili go oboje aż na schody, ale nie dał się zawrócić.

Tymczasem Alfred, przechodząc koło Wiesława, mrugnął na niego znacząco i uśmiechnął się. Podążył za nim Różyc, chcąc wiedzieć co znaczą te sygnały.

Alfred położył palec na ustach i zginął mu w tłumie.

— Musiał zawiele pić węgrzyna — pomyślał Wiesław i cofnął pogoń, tembardziej że Cecylia wracała do salonu.

Ach, jakże wracała zmieniona! Wzruszenie tak ją zapłonilo, że nietylko policzki, ale drobne uszka i szyja tryskały różowością; pierś uderzała widocznie, jak u wylekzionego ptaka; czarne oczy już nie dziwiły owym brakiem wyrazu, co ją czynił podobną do dziecka, ale błysnęły wytrawną bystrością trzydziestoletniej kobiety.

Błysk ten był krótki. Siadła, spuściła oczy, chwyciła porcyą lodów z tacy na której roznoszono chłodniki i zaczęła jeść szybko.

Wiesław przystąpił do niej.

— Pani — rzekł z goryczą, — wielka, jak widzę, amatorka malarstwa?

Podniosła na niego oczy, znów dziecinne, zdziwione, jakby nie mogła tej uwagi zczepić z żadnym wspomnieniem.

— Pani odnowiła znajomość z moim wujem? Na odpowiedź skinęła tylko głową, zwróciła się do grona panien siedzących w pobliżu i weszła z nimi w ożywioną rozmowę.

Po jakiej półgodzinie przesunęła się do innej gromadki. Nieznacznie znikła z salonu.

Różyc wybiegł do przedpokoju, aby jej chociaż podać burnus. Wybiegł i lamentujący gospodarz.

— Cóż to? Już pani nam ucieka? A czy się to godzi? Kiedy się nie było w kościele, to trzeba przynajmniej pojechać z nami na kolej, odprowadzić tę biedną Helenkę.

— Łaskawy paniej sam powiedz, czy mogę chorą matkę na tak długo odjeżdżać?

Wybaczcie państwo, ale niepodobna.

Zeszła, sprowadzona ze schodów przez pana Aleksego. Wiesław szedł za nimi. Na wsiadaniu spytał:

— Czy panie dzisiaj nie pozwolą się jeszcze odwiedzić?

— O, co dziś, to trudno... Godzina późna, mama się już położyła. Ale innego dnia prosimy, i owszem, bardzo prosimy.

Zatrzaśnięto drzwiczki, karetka odjechała.

Pan Aleksey wrócił nagórę, przekonany że Różyc idzie za nim.

Różyc już nie miał po co wracać. Spojrzawszy na zegarek, przekonał się że już później, niżeli sądził.

Pani Helena zmieniła swoje rąbki na czepeczek i strój podróżny. Ale Wiesław nie widział już ani jej błękitnego szlafrocza i popielatego płaszczyka, ani bukietu-monstre z brylantami, ani lez i uścisków na stopniach wagonu.

Siedział wtedy w swoim pokoiku, z westchnieniem przeglądając dzienniczek, od kilku dni już nietknięty.

Dzisiaj całą stronkę w nim zapisał.

Niedziela, -go czerwca.

— "Widziałem ją. — najniespodzianie — kiedy już nie miałem żadnej nadziei tak prędko ją ujrzeć! — To czysta łaska losu.

Była cudowna jak Ofelia. — Smutno mi jednak. — Nie, to nie była Ofelia... ale raczej Tytania, królowa elfów, co drwi sobie z prostych śmiertelników.

A jednak bywało inaczej...

Wielka sztuka! Było inaczej, póki siedziałem sam z temi paniami. Nie miały skali porównania, chyba z panem Benedyktem.

Dziś pierwszy raz ją zobaczyłem w licznym otoczeniu i odrazu widzę, że każdy może mię przyćmić.

Ja dzisiaj nie istniałem dla niej.

7

Cóż to będzie, gdy zaczną częściej w świat uczęszczać? Zostanę wyrzucony, jak zabawka, dobra tylko na czas żałoby i nudów.

A jednak, owa rozmowa na ganku?

Bogiem a prawdą, i ta rozmowa niewiele dowodzi. O ile sobie przypominam, nic nie obiecana, wszystko puściła w od włókę i niepewność. W takiej niepewności matka umiała ludzi całe lata trzymać.

Odkrycia po odkryciach! Wczoraj opowiadanie wuja, z którego Irena wychodzi potwornie. Dziś Cecylia odsłania mi nowe, nieznanne dotąd oblicze, jakby maskę nagle odchyliła... Ach, i ja mogę zawołać: Chwilami taka do matki podobna, że aż postrach ogarnia.

O czym oni mogli tak żywo rozmawiać?

Kiedy weszła śmiało do tego pokoju, pełnego mężczyzn i dymu, żal mię ścisnął, jakby miała ztamtąd powrócić z suknią i z duszą mniej białą.

Przypominam sobie teraz wielkie, dziwnie wielkie wrażenie, jakiego doznała onegdaj, kiedy jej doniosłem że wuj zostaje na wesele. Czyżby to ta wiadomość zmieniła jej postanowienie? Bo przecież nie miała przyjechać? Czyżby jedynie dla niego przybyła? On od niej przynajmniej o dwadzieścia lat starszy! Zupełnie dla siebie niestosowni.

Mój Boże, ja tak myślę, bo tak mi potrzeba" ale co ona myśli, to pytanie? Jeżeli jest ambitna,

przeniesie wuja z jego rozumem, pańskością i milionami, nad moję skromną figurkę.

Ale wuj! Wuj, znając moje uczucie, czyżby mógł mię tak zdradzić?

Piszę dzieciństwu, a zapominam o najprostszym rozwiązaniu zagadki: matka ja

przysłała dla wytłumaczenia owej sprawy listu, dla złagodzenia wuja. To też zaraz po rozmowie wyszedł. Może udał się prosto do pani Ireny? Może to powód dla którego dziś już nie chciano mię przyjąć?

Matka ją przysłała, to widoczne. I cóż dziwnego, jeżeli, jadąc w tak drażliwej misyi, panienka trwoży się i wzrusza?

Może w tej godzinie tamci się już pogodzili, i jutro rano znajdę sojusza, z którego i dla mnie może wytarguje się trochę nieba.

A tymczasem anioł mój śpi w swojej niewinności i ani się domyśla że ja ją tu w duszy i na papierze oczerniam. Wybacz, aniele!"

## VIII.

Nazajutrz Różyc w najlepsze był zajęty pisaniem referatu, kiedy niezwykle trzaśnięcie drzwiami zwróciło jego uwagę.

Alfred Pełka wszedł śpiesznie do sali i pochylając się nad stołem przy którym pracował Wiesław, szepnął:

— Mam do ciebie pilny interes. Czybyś nie mógł mi poświęcić godziny, półgodzinki?

W twarzy Alfreda było coś wzburzonego i niedobrego.

Wiesław się zaniepokoił, czy nie chodzi o sekundowanie w jakiej ciemnej sprawie.

— Jeżeli to — odparł — interes urzędowy, możemy go tu w biurze załatwić....

— Wcale nie urzędowy.

— Więc jaki? Honorowy?

— I to nie. A zresztą, może i chodzi o czyj honor, ale w każdym razie nie o mój. Wyjdź tylko na chwilę. Tu nas tyle uszów podsłuchuje.... nie mogę, nie powinienem tu mówić. Chodzi o kobietę dobrze ci znajomą,

Wiele było panien dobrze Różycowi znajomych, jednak że głodnemu zawsze chleb na myśli, jemu zaraz w oczach stanęła Cecylia; pobladł i siedział bez ruchu, w obawie co dalej usłyszy?

Alfred brwi zmarszczył.

— Nie chcesz? — spytał — Ha! wolna wola. Mnie ta sprawa nic a nic nie obchodzi.

Jeżeli chciałem cię ostrzedz, to z czystej dla ciebie przyjaźni.

— Cóż tedy mam robić?

— Nic, tylko pojechać ze mną do.... w jedno miejsce, gdzie coś ciekawego ci pokażę. Za godzinę będziesz z powrotem.

Wiesław tymczasem już nieco ochłonął.

— Może to — pomyślał — wcale nie o nią, chodzi?

Obejrzał się kłopotliwie na stopy papierów.

— Pojechałbym, ale tu tyle roboty nieskończonej...

— Wielka historia! Robota nie ucieknie. Czyi ty minister, żeby się biuro bez ciebie nie mogło godziny ostać? Cóżto? Przecież mogłeś zasłać, mogli twoi rodzice przyjechać. Weź pierwszy lepszy pretekst. Idziemy teraz, albo wcale; potem już będzie zapóźno, i twoja bella biondinetta nam zginie.

Na wspomnienie blondynki, Wiesław zerwał się i rzekł: Idę. A to nietylko z ciekawości i niepokoju, ale z obawy, ażeby biondinetty nie zostawić samej, pod bardzo podejrzanem czuwaniem Alfreda.

Poprosiłszy jednego z kolegów, aby go na chwilę zastąpił, zbiegł ze swoim przewodnikiem, którego już zastał w dorożce.

— Prędeż, prędeż! — naglił Alfred wsiadającego, a na dorożkarza zawołał:

— Jedź w Aleje ujazdowskie! A żwawo, jak to ty umiesz.

Polecieli przez Nowy-świat, krzesząc iskry z bruku i strasząc przechodniów.

Różyc, troszkę urażony że go porwano jak pannę, nie mówiąc gdzie i poco, zapytał z przekąsem:



— O cóż tedy chodzi?

Alfred krzyknął mu w samo ucho:

— Teraz nie można mówić... zawielki hałas. Istotnie, turkot ich ogłuszał. Wiesław zamilkł i widząc się wieszonym w zagadkowe ustronie, wrócił do przypuszczenia pojedynku.

W połowie Alei, Alfred go trącił po rękę i oczami wskazał mu kilka powozów, stojących przed górną bramą ogrodu botanicznego.

Między temi powozami czekały, parszkając, jabłkowite konie, z karetką pani Ireny.

Wiesław stanął w płomieniach. Już teraz nie wątpił, że chodzi o Cecylią.

Przy Belwederze Alfred kazał skrócić do Łazienek i stanąć u dolnej bramy botanicznego ogrodu. Tam wysiadł z Wiesławem, wziął go pod rękę, i powoli krążąc z nim przy łączce, na której smętnie się wznosi studnia naśladująca grób Metelli, mówił cichym a prędkiem głosem:

— Słuchaj, Wiesławie. Nasza Warszawa jest małym jeszcze miasteczkiem, nic się w niej ukryć nie może. Wiemy wszyscy że jesteś zajęty panną Cecylią Zapolską, moją niedoszłą żonką. Zresztą, dość było wczoraj cię przy niej widzieć.... Kochasz się nietylko szczerze, ale jawnie, jak człowiek co dąży prosto do ołtarza. Otóż, właśnie wczoraj, przypadek uczynił mię świadkiem sceny, którą mam sobie za obowiązek ci opowiedzieć. Cesia przyszła do pokoju, gdzieśmy cygara palili, i miała à partę z twoim wujem.

— To wiem. Widziałem ich rozmawiających.

— I słyszałeś?

— Słyszeć nie mogłem. Byłem w salonie.

— No, ale ja słyszałem. Przez czysty przypadek, bo przecież niejestem już ciekawy sekretów panińskich, a najmniej Cesi, od której uciekam, jak od ognia. Stałem sobie w oknie, wpół zasłonięty przez grubą firankę, kiedy Cessia zaczęła Tytusa. Odwrócona od okna, nie mogła mię widzieć, ale stała tuż przy firance, więc słyszałem, chcąc nie chcąc... wprawdzie nie wszystko. Początek rozmowy zginął, zagłuszony przez brzęk filiżanek, które lokaj zbierał na tacę. Kiedy odszedł, Cesia mówiła: "A zatem jutro będę na pana czekała w botanicznym ogrodzie. Ale umówmy się o miejsce, bo tam długo można się szukać. Jest jedna ławka w dole, wie pan, przy tym niedokończonym kościółku? Tam nikt nam nie przerwie, a niech pan pamięta że matka moja nic o tem wszystkim nie wie i wiedzieć nie powinna. Nie ona mię przysyła, i to co mam powiedzieć, to nie od niej, ale od siebie." A potem dodała z naciskiem: "Więc już tak umówione? Jutro, w botanicznym ogrodzie, o drugiej po południu, na ławeczce pod Opatrznością."

— A wuj co na to? — spytał Wiesław głosem jeszcze na pozór spokojnym.

— Widziałem że się kilka razy odkłonił, jak człowiek co przystaje i przyrzeka. Słów nie słyszałem. Jeżeli mówił, to bardzo cicho. Ba! on wprawny w romansowe umowy. Zaraz się też po-

tem rozeszli, jak ludzie co nie chcą być długo razem widziani, a nie domyślali się że mieli nieproszonego świadka. No i cóż, Wiesławie? Cóż myślisz o panie, która w sekrecie przed matką daje rendez-vous takiemu Don-Żuanowi jak Tytus? Mnie nazywają. Don-Żuanem, ale rękę ci, on sto razy gorszy. Gorszy, bo mędrszy i zręczniejszy. Ja zanadto chciałem rozgłosu i kobiety się mnie teraz boją. Wiesław nic nie odpowiadał; szedł ze spuszczoną głową. Po długiej chwili przystanął i podniósł na Alfreda zaiskrzone oczy.

— Czy możesz mi przysiąc — zapytał — na Ewangelią, na cienie twojej matki, na cośkolwiek co ci jest świętem, że to wszystko prawdziwie słyszałeś?

A po chwili, łagodząc wyrażenie, dodał:

— To jest że się nie przesłyszałeś?

— Spodziewałem się tego pytania — odpowiedział najspokojniej Alfred — spodziewałem się i dlatego cię tu przywiozłem. Powiedzieć zakochanemu taką nowinę, a nie dać na nią dowodów, to jest i okrutnie, i nieostrożnie. Inny byłby mię wyzwał na szpady, ty mię wyzywasz na przysięgi. Wszystko to niepotrzebne. Dowód pod ręką.

Tu dobył zegarek.

— Dziesięć minut po drugiej. Jesteśmy tuż obok miejsca schadzki. Parę tylko klombów zasłania nam tę ławkę. Postąpiwszy kilkanaście kroków, możemy za minutę przekonać się,... Je-

żeli na ławce siedzą oboje, lub nawet jedno z nich, to dowód, jak sądzę, dostateczny. Jeżeli żadnego z nich nie zobaczymy i do trzeciej godziny żadne się nie zjawi, przyznam że albo ja się przesłyszałem, albo panna się rozmyśliła, słowem cofnę całe oskarżenie. W każdym razie ta przechadzka żadnej szkody nie może przynieść; jeżeli prawda, przekonanie się o niej, choć zrazu bolesne, będzie dobrodziejstwem dla twojej przyszłości; jeżeli nieprawda, korona nikomu z głowy nie spadnie i jutro o wszystkim zapomniemy.

Mówiąc, ciągnął Wiesława drożyną, na prawo. Ciągniony wstrzymywał go kilkakrotnie.

— Panie Alfredzie, czy to dobrze? Czy my mamy prawo ją szpiegować?

— Jakto, szpiegować? Żebyśmy się wdzierali do cudzego domu, albo zaglądali w cudze listy a! to byłoby nadużyciem. Ale że spacerujemy w publicznym ogrodzie, tego nam żadne prawo nie zabrania. A gdybyśmy też istotnie przypadkiem tu zaszli, czyżby odkrycie nie było to samo?

Tymczasem minęli ostatnią gromadkę krzewów, i w pagórkowatym zagłębieniu, pod niekształtną bryłą, niedokończonych murów, zobaczyli ławkę, na której rzeczywiście siedziała Cecylia.

Ubrana ciemno, po usta zakryta woalikiem, zasłaniała się jeszcze książką, w której była na pozór pilnie zagłębiona; ale oczy jej, co chwila ślizgając się po za kartkami, strzelały daleko i badawczo.

— A cóż, czy nieprawda? No, a teraz, Wiesławie, odejdzmy. Pędzej-że... idźmy albo w tę, albo w tamtą stronę, bo jeśli będziemy tak długo stali, to i ona wkońcu nas dostrzeże.

Wiesław, biały jak płótno, patrzył ciągle. Młode jego oczy aż nadto ją poznawały, serce nie chciało poznać.

— Istotnie, ktoś podobny.... Ale to może nie ona....

— Wyborny jesteś! Własnym oczom nie wierzysz? W takim razie pójdźmy się przekonać. Zresztą już i tak nas pewno dostrzegła, byłoby niegrzecznie znajomej nie przywitać.

I ruszył ku ławce.

— Alfredzie! błagał półgłosem Wiesław — dążący za nim. — Zmiłuj się, nie zaczepiajmy jej, nie zawstydzajmy jej...

Ale Alfred już stał przed ławką, i uchylił kapelusza z niejaką junakieryą, która trąciła szyderstwem.

Wiesław, pokornie się skłoniwszy, stał za nim, jak winowajca.

— Pani tu? — wołał Alfred — ślicznie! Codzień pani sprawiasz nam niespodzianki. Staliśmy długo i przyglądali się, nie wierząc czy to może być pani, w takim ustroniu i taka samiutka?

Cecylia się zarumieniła.

— Nie widzę nic tak dziwnego — odparła — jeżeli kto w dzień gorący szuka ciszy i chłodu w ogrodzie. Zresztą ja tu nie taka sama; przyjecha-

łam z panną, służący, która siedzi tam niedaleko.

Wiesław obejrzał się i na górnej ścieżce dostrzegł istotnie siedzącą pod drzewem garderobianę, która kilka razy widział u pani Ireny.

— Ale — ciągnęła dalej Cecylia — wy, panowie, zkądżeście się tu wzięli? Sądziłam — dodała, zwracając się do Różyca — że pan te godziny zawsze spędza w biurze?

— Istotnie.... ale dziś.... wyjątkowym zdarzeniem.... — wybełkotał Wiesław i nie wiedział jak skończyć, kiedy uwagę Cecylii odwrócił Alfred; rozsiadł się na ławce ruchem nieco zbytnej poufaleści i pochylając się ku Cecylii, zajrzał w jej książkę.

— Co pani czytasz? Powieść? Jak mi Bóg miły, nigdybym nie uwierzył! Naśladowanie Chrystusa!

I spojrzął na Wiesława, a śnieżne zęby świeciły mu od śmiechu.

Cecylia, niby poprawiając fałdy u sukni, odsunęła się na drugi brzeg ławki i spytała z przekąsem:

— Cóż pana dziś tak wszystko dziwi? Zdaje mi się że niejednemu z was przydałoby się czytanie tej książki.

— A i owszem, bardzo pani radzę takie budujące rzeczy. Dla dam, zwłaszcza też dla panien, nieraz trzeba duchownej przestrogi.

7

Cecylia urażona odwróciła głowę. Chciała się wydać swobodną w ruchach i spokojną, ale pomimo wszelkich usiłowań, wyraźne było w niej zmieszanie. Oglądała się z trwogą, mieniła się nagłemi rumieńcami. Zmierzywszy swoich towarzyszy wzrokiem zniecierpliwionym, zapadła w to kwaśne milczenie, które jest znaną bronią przeciwko natrętom, i często spoglądała na swoją książkę.

Wiesław ulitował się nad jej zakłopotaniem.

— Chodźmy, panie Alfredzie. Przeszkodziłoby pani w jej czytaniu.

— Chodźmy — powtórzył Alfred, wstając. — Przeszkadzamy pani widocznie. I odszedł.

Wiesław nie mógł jeszcze odejść. Stał przed Cecylią, patrząc w nią oczami pełnemi niewymownego żalu.

— Co panu jest? — zapytała z przekornym uśmiechem. — Czy pan chce mi co powiedzieć straszego, że się tak długo namyśla?

— Ach pani, chciałbym wiele powiedzieć, a nie śmiem.... nie mogę słów dobrać....

Czemu pani tu przyjechała? Bez matki? Czy to dobrze? Mógłby kto panią zaczepić.... mógłby kto pomyśleć.... świat taki złośliwy!

Cecylia uśmiechnęła się dumnie.

— Tylko od rodzonego ojca mogłabym słuchać podobnych uwag. Od brata nawetbym ich nie zniosła. Panu, o ile sobie przypominam, nie

dałam jeszcze żadnych praw do wglądania w moje postęпки, które zresztą, chyba w zacofanych krajach mogą się wydawać śmiałymi; w Anglii albo w Ameryce uchodziłabym owszem za przesadzoną w ostrożności, kiedy dla poczytania książki w ogrodzie przyjeżdżam kareta, otoczona służbą. Jednak na ten raz istotnie żałuję że przybyła i naraziła się na zaczepkę obu panów.

Wiesław, już zbity z toru jej obrazą, złożył błagalnie ręce.

— Przebacz pani... jeśli śmiałem czynić jakie uwagi, to z najczystszej, najgorętszej życzliwości. Pani nie wie, ale ja wiem....

— Cóż pan wie? Kiedy zacząłeś, to mów-że.

— Pani masz tajemnicę którą, sądzisz swoją wyłączną własność. Tymczasem jest ktoś, co jej się domyśla, co chciałby zbadać...

Cecylia zapłonila się jeszcze mocniej. Zacisnęła usta, jak osoba co się głęboko a szybko chce namyślić.

Po chwili wstała, i patrząc Wiesławowi w oczy figlarnie, pieszczotliwie, czarująco:

— Aha! — rzekła — pan chcesz zbadać moje tajemnice? Dobrze, ale muszę się pierwej przekonać, czy jesteś pan zdolny do przechowywania tajemnic. Na pierwszy

dowód, żądam, wymagam i rozkazuję, abys pan nikomu na świecie nie wspominał o naszym dzisiejszym spotkaniu,  
— Nikomu? Nawet mamie? Cecylia się zawahała, ale krótko.

— Nawet mamie — powtórzyła ze stanowczością, żartobliwy. Poczem, rzuciwszy na Wiesława głębokie spojrzenie, dodała:

— Będzie to pierwszy nasz sekret we dwoje.

To spojrzenie i to słowo zawróciły mu głowę.

— Może — ciągnęła dalej wesoło — mam ważne

moje przyczyny? A może chcę tylko wypróbować pańską dyskrecją? To się pokaże kiedyś, nawet niedługo. Tymczasem pan przyrzeknij, że nikomu nie powiesz, jako mię tu dzisiaj widziałeś, i to nie powiesz, aż do chwili w której pana zwolnię z obietnicy.

— Ale pan Alfred powie?

— Pan Alfred u nas nie bywa. Zresztą o niego się nie troszczę. Tylko tych bierzemy na próbę, którzy nas mocno obchodzą.

W każdym słowie Cecylii było ziarnko kadzidla, zaprawne pochlebstwem, niechybnem bo serdecznem. Stopniowo upajały one młodzieńca. To też kiedy zapytała z groźbą i przymileniem:

— Cóż? Przyrzekasz pan?

Odpowiedział: "Przyrzekam," — ucałował jej rękę z uniesieniem i wrócił do Alfreda przekonany, że Cecylia, żądając od niego czegośkolwiek, wyświadczyła mu łaskę.

— Przyznaj, mój Wiesławie, że jestem wygodnym przyjacielem. Stałem zdaleka, aby wam zostawić wszelką wolność rozmówienia się. Ale widziałem dobrze, co się święci. Tyś ją przepraszał, ona ci wmówiła że jest niewinną, że na nikogo

nie czeka, a jeżeli czeka, to dla twego dobra, dla twego szczęścia, nieprawdaż?

Oj, te kobiety! Żaden generał, we dwa ognie wzięty, nie umie się tak przytomnie ratować, jak one. Niebezpieczeństwo daje im prawdziwy geniusz.

Wiesław uczuł się zawstydzony przenikliwością Alfreda. Chcąc przed samym sobą znaleźć usprawiedliwienie, zawołał:

— Ależ jego nie było?

— Czegóż to dowodzi? Albo już poszedł, albo jeszcze nie przyszedł. Drugie prawdopodobniejsze, bo panna oglądała się ze strachem; oczy jej wyraźnie mówiły:

"Jakież лихо was tu przyniosło? A pójdzieciez sobie, nim tamten przyjdzie!"

Bylibyśmy im rzeczywiście mocno ich tête-à-tête popsuli. Co do mnie, przyznaję

że mię ta rola niezmiernie bawiła; byłbym bez końca siedział i trzymał ją w

udręczeniu. Ale ty, wspaniałomyślnie, wolałeś miejsca ustąpić rywalowi. Nie

mogłem się sprzeciwić, o ciebie przecie chodzi. Wolno poszkodowanemu przebaczać lub karać. Namyśl się jeszcze, może wrócimy i zobaczymy czy nadszedł?

Wiesław chwilę przystanął, ale wnet chwycił pod rękę towarzysza.

— Nie — rzekł — wołę nie wiedzieć. Szli ku bramie. Alfred ciągle mówił.

— Wolna wola. Jeżeli złudzenie sprawia komu przyjemność, niech się niem karmi.

Ja zrobiłem swoje. Gdyby nie chodziło o ciebie, Wiesła-

wie, nie byłbym się nigdy w tę sprawę mieszał. Cóż mi do czyich romansów? Chce

się panna gubić, niech się gubi. Nie mnie zaprawdę być moralistą i stróżem

niewinności. Ale kiedy spostrzegłem że ty, z twoją świętą prawością i ufnością,

możesz być haniebnie oszukany, odważyłem się na ostrzeżenie. Bo ty nie wiesz,

Wiesławie, jak ja cię wysoko stawiam. Sam, co prawda, nie trzymałem się

spartańskiej cnoty, ale nie mniej, a raczej tem więcej mam dla niej czci i

podziwu i burzam się, kiedy widzę jak przewrotność jej nadużywa.

Różnica niebardzo wzruszała ta nieproszona zyczliwość. Im goręcej" Alfred się z

nią oświadczał, tem podejrzliwiej Wiesław macał jej przyczyny. Przyszła mu na myśl uwaga, którą powinien był odrazu zrobić.

— Jeżeli tak mi dobrze życzysz, łaskawy panie Alfredzie, dziwię się dlaczego nie ostrzegłeś mię zaraz wczoraj. Bylibyśmy jeszcze może potrafili zapobiedz nieroztropnym zamiarom, bo to nic innego, tylko nieroztropność i niedoświadczenie.

— Dotknąłeś, Wiesławie, struny bolesnej, która od rana dzwoni mi wyrzutem. Wczoraj, wina było dużo, a co gorzej w mieszanych gatunkach. Długo mi się zdawało że jestem trzeźwy. Jeszcze kiedy Cecylia rozmawiała z Tytusem, trzymałem się w sztucznej przytomności. Później upałem, mocne cygaro, chasse-café nagle z nóg mię ścięły. Zapomniałem o Bożym świecie.

Pierwszy to raz w życiu Alfred Pełka przyznawał się do słabej głowy. Ale też nie było w tem wyznaniu ani słowa prawdy: Na wczorajszym weselu zachował, jak zawsze, najwytrawniejszy przytomność, tylko nie chciał ostrzedz zawczasie Różyca. Słusznie przewidywał że zacny młodzieniec dołoży wszelkich starań, aby nie dopuścić schadzki, a choćby tego celu nie dopiął, niebędzie już chciał czatować i podsłuchiwać w ogrodzie. Tylko nic niewiedzącego można było porwać i dostawić na miejsce, gdzie według Alfreda miało prysnąć szczęście Wiesława i dobre imię Cecylii. Wymówka jaką wynalazł była nadto prostą i prawdopodobną, aby Wiesławowi przeszło przez głowę o niej zwątpić. Westchnął tylko: — "szkoda!"

— Ach i ja mówię: szkoda! Mea culpa. Dziś jeszcze, jak na przekór, okropnie zaspąłem. Koło pierwszej po południu budzę się z ciężką głową. Nagle, jak sobie przypominę wczorajszą historią, jak się zerwę przerażony, to powiadam ci, w pięć minut ubrałem się i wyleciałem na ulicę. Mówiłem sobie: jeszcze czas wszystko naprawić i ratować uczciwego człowieka od sidła tych intrygantek.

Wsiedli w dorożkę. Wiesław, rozważając ostatnie wyrazy, mówił jakby sam do siebie:

— Intrygantek? Przecież jest wolną? Ma za sobą wszelkie warunki. Mogłaby, jak się zdaje, kogo zechce wybrać? Pocóż tu intryga?

— Ach, jakież z ciebie niewiniątko! Wiele jest kobiet, które nie mogą, żyć bez dwóch, trzech, dziesięciu intryg prowadzonych naraz. One są tem w swoim rodzaju, czem wielu z nas, czem ja na przykład jestem w świecie męzkim. Nie dziwię im się. Taka gra z sercami bawi jak faraon, jak ruleta. Gdybym jednak miał się żenić, choć ja nie taki jak ty purysta, nie wybrałbym żony co w tej grze celuje. Patrz-no, jaka to wczesna przebiegłość i wprawa: już pokojówek używa do spisku. A na domiar wszystkiego, dewotka! To trochę zamłodo. Myślałem że tylko czterdziestoletnie umieją być razem i do tańca, i do różańca. Prawdę mówiąc, jakże się tu dziwić? Ze szkoły takiej matki! Niedaleko jabłko pada od jabłoni. Ostatnie słowa dotknęły Wiesława, jak rozpalone żelazo. Pan Tytus także takimi słowami określił przed nim Cecylią. Jedno i toż samo zdanie, a szczególnie przysłowie, z kilku ust słyszane raz po raz, nabiera, mocy jak powtórzone uderzenia młota.

Mówiący nie zważał na wstrząśnienie słuchacza i po chwili namysłu zaczął znowu:

— Być może zresztą, że panna Zapolska ma cele czysto praktyczne. Wszak byłeś dotąd dobrze przyjmowany?

— Dobrze.... Tak mi się przynajmniej zdawało.

— Podpytywały się też te panie o twoje do-

chody, o stan twego majątku, obecnego i przyszłego?

— Nie, ani słowa.

— Przyjdzie to, zobaczysz. W każdym razie przepowiadam ci i nadal dobre, doskonale przyjęcie. Będziesz trzymany w odwodzie, na wszelki wypadek. Nie dla

twojej, ma się rozumieć, biurowej pensyjki, albo porcelanowej twarzyczki, ale dla twojej sperandy.

— Dla jakiej sperandy?

— Przecież wszyscy są przekonani, że wuj tobie zapisze swój ogromny majątek?

— Ach, któż to może wiedzieć? Któżby o tem myślał? Wolno wujowi zrobić z nim, co mu przez głowę przejdzie. Nigdy nie liczyłem....

— Ty nie liczyłeś, ale drudzy liczą. Jeżeli Cesia zagięła parol na te miliony, będzie próbowała dwóch sposobów, aby tylko je zdobyć: albo z pierwszej ręki, to jest razem z ręką pana Tytusa, albo z drugiej ręki, to jest drogą spadku przez ciebie. Zostaje ci więc nadzieja, że jeżeli panna się wujaszкови odrazu nie podoba, albo z czasem sprzykrzy... możesz być wybrany, jak Thiers, faute de mieux.

Tu Wiesław, do żywego tknięty i oburzony, chwycił go za rękę mówiąc:

— Dość. Jest granica wszystkiemu, nawet przypuszczeniom. Pańskie są zbyt bolesne, zbyt ubliżające...

— Ba, to jeszcze najłagodniejsze! Jeżeli chodzi

o przypuszczenia, miałbym wiele gorszych.... Ale nateraz wolę je zamilczeć.

Jesteś jeszcze nadto zaślepiony.

Dojeżdżali właśnie do biura. Widząc ten gmach, z którego wychodził swobodny, a wracał z duszą, rozbity, Różyc chwycił się za czoło.

— W jakim ciemnym labiryncie zostałem wprowadzony! Wszystko jeszcze dałoby się wytłumaczyć, ale jedynej, jednej rzeczy nie rozumiem, i czemu ta przed matką tajemnica?

— Czemu? Rzecz prosta. Jeżeli przed kim, to przed matką. Jeszcze nie zrozumiałeś?

— Daję słowo że nie rozumiem.

Dorożka stanęła. Alfred uśmiechnął się zjadliwie i zapytał:

— Czy nie czytałeś przypadkiem, w Revue des deux mondes, powieści niedawno drukowanej pod tytułem: Julie Trécoeur?

— Zdaje się że czytałem.... tak.... niedawno....

— I pamiętasz ją dobrze?

Wiesław się namyślił. Znała, jakby piorun przed nim upadł, cały stanął w ogniu, usta mu zadrżały.

— Przypominam sobie.... ale cóż ta powieść może mieć za stosunek?...

— Poczekaj. O ile pamiętam, bohaterka tej powieści, panna Julia Trécoeur, tato bardzo wcześniej zaczęła być rywalką własnej matki.

— Człowieku! Co ty mówisz? Przez Boga! Cóż to za piekielny pomysł!

— A mój Wiesławie, nie gniewaj się tak łatwo. To nie żaden pomysł, tylko domysł, który, notabene, mógłby wiele wytłumaczyć. Błyskał mi on już w umyśle i dawniej, przed laty dziesięciu, ale niewyraźnie. Dzisiejsza awanturka przemienia go prawie w pewność.

— Ależ to byłoby potworne! Przecież wówczas była jeszcze dzieckiem?

— Nie tak bardzo. Któż z nas widział jej metrykę? Mogła mieć lat trzynaście, a mogła mieć szesnaście. Była już porządnie wysoka. Że ją po dziecinnemu ubierano, to niczego nie dowodzi. Wiele matek upiera się w tym względzie; póty ich wiosny, póki córka w krótkiej sukience. Tymczasem i w tej krótkiej sukience może się odezwać serduszko, a wtedy... tragedia gotowa. Ale ja ci tu Bóg wie co gadam, a dorożkarz spogląda z pod oka i myśli że się kłócimy. Adieu, kochany Wiesławie. Zaczynam żałować że się wdałem w cudze interesa. I zbytkiem przyjaźni można zgrzeszyć. Nie bierz-że tak bardzo do serca sprawy jeszcze nie wyjaśnionej. Czasem najgorsze obraca się na dobre. A teraz, bądź zdrow!.... Do Boucquerella!

Łatwo mieć filozofią za drugich. Łatwo to. zraniwszy kogo do żywego, powiedzieć mu: —

7

"Nie jęcz-że. Dalibóg nie chciałem ci sprawić bólu!" — Zraniony może zamilknie, ale tem dotkliwiej ból uczuje.

Nic Wiesława tyle nie oburzyło, jak wyrazi: "Nie bierz-że do serca sprawy jeszcze niewyjaśnionej".

A właśnie dlatego stała się tak groźną, że była i zamało i zawiele już wyjaśnioną. Napomknienia Alfreda, szczególniej ostatnie, rzuciły straszne światło na przeszłość wszystkich osób, obchodzących Wiesława. Uderzył się w czoło, rozmyślając

"Więc to jest owa tajemnica, która zwickła losy pani Ireny i wuja, która ich ostatecznie rozdzieliła? Ależ w takim razie pani Irena byłaby prawdziwą męczennicą, bohaterką zaparcia się tem wyższego, że tyle lat pokrytego milczeniem. A córka byłaby..... Ach, nie mogę przypuścić... A jednak, czemuż ją tam dzisiaj zastałem? Może przypadkiem. Fatalność miewa takie trafy. O nie! Próżno się łudzić, to nie mógł być przypadek. Miejsce i godzina zgadzały się z opowiadaniem Alfreda. Ach ten Alfred...."

Wiesław nie mógł o nim pomyśleć bez odrazy. Nie mógł w siebie wmówić najmniejszej dla niego wdzięczności, bo też podczas całej tej oplakanej przejażdżki nie dostrzegł w nim prawdziwego współczucia; owszem, kilka razy mu się wydało, że z pod tych przesadzonych czułości przegląda ironia i źle tajona radość, a już co w chwili rozstania, to widział w nim wyraźny tryumf.

Odurzony mętnością swoich myśli, Wiesław poruszał się mechanicznie. Wszedł do biura, przejrzał kilka papierów, nie rozumiejąc z nich ani litery, kolegom na traf odpowiadał, wyszedł sam nie wiedząc kiedy, wstąpił ze zwyczaju do restauracyi, gdzie się od roku stołował, kazał sobie podać obiad którego nie tknął, i znów, jakby w somnabuliźmie, zaszedł do swego mieszkania, siadł w oknie i bezwiednie rachował to obłoki sunące po niebie, to kłęby kurzu pędzące między topolami. Chciał się czegoś dorachować w swoich wątpliwościach, wynaleźć jakąś formułkę na swoje domysły.

Najbardziej gniewało go przyrzeczenie dane tak niebacznie. Ten jeden krok zamykał mu drogę do wszelkich poszukiwań, zabraniał wybadać panią Irenę lub pana Tytusa.

"Oj prawda że zręczna ta panna Cecylia!" powtarzał z goryczą. "Umiała mi podać niteczkę z jedwabnych słówek, którą sobie sam ręce związałem. Co tu robić? Kto wie, czy nie pójść jeszcze do wuja? Nie będę nic mówił o dzisiejszej schadzce, dane słowo to świętość, ale będę mówił o pannie Cecylii, o czasach minionych, natracę parę przypuszczeń. Zobaczymy wtedy czy będzie mógł jeszcze śmiało mi w oczy spojrzeć, czy się nie zatnie i nie stanie w sprzeczności z samym sobą. Zobaczymy czy ta ogromna historia, którą mi onegdaj wypalił z otwartością przeciwną jego cha-

rakterowi, nie jest bajką, ukutą dla omylenia mojej wiary i uśpienia czujności." Skoro tylko Wiesław zobaczył przed sobą jakiś cel działania, zaraz mu wróciła młodzieńcza żywość; porwał się i postanowił dotrzeć do wuja koniecznie, chociaż przewidywał, że wuj będzie z nim pewnie unikał spotkania.

Gdy więc został przyjęty słowami: — "Pan wyszedł." — Odpowiedział: — "To poczekam." — I szybko przeszedłszy przedpokój, pochwycił za klamkę.

Już drzwi uchylił, już zajrzał V głąb drugiego pokoju, w którym zobaczył postać powstającą z krzesła, kiedy Hubert rzucił się za nim, przytrzymał mu rękę i drzwi zasłaniając, mówił tajemniczym półgłosem:

— Proszę pana, bardzo pana proszę, niech pan nie wchodzi.... tam już jedna osoba czeka na mego pana..... a że to dama, nie powinienem nikogo wpuszczać. Wiesław istotnie widział, że osoba nagle powstająca była kobietą, w czarnej sukni, z grubą, zasłoną na twarzy.

— Któż jest ta dama?

— O, proszę pana, mnie tego wiedzieć niewolno, a choćbym wiedział, niewolno mi pamiętać. Zresztą... — dodał z misternym uśmiechem — u mego pana podobne wizyty są tak częste, że i spamiętać trudno.

— Mój Hubercie, powiedz mi tylko jedną rzecz, jedyną: czy już ta pani tu kiedy była?"

— W tym względzie nie mogę panu nic powiedzieć napewno. Wszystkie damy, jak włożą" szal i czarny welon, to są, do siebie podobne.

— A czy ta pani sama prosiła, żeby nie wpuszczać nikogo?

— No, ma się rozumieć. Choćby nie prosiła, to przecież mam doświadczenie. U mego pana, jak na królewskim dworze: każdy bez gadania zna swój obowiązek.

— Proszę cię jeszcze, mój Hubercie..... czy ta pani już dawno czeka?

— Dość dawno, albo raczej nie, niebardzo dawno.

Tak się po Metternichowsku broniąc, Hubert szedł krok w krok za niechętnie ustępującym gościem, aż go grzeczniuchno wyprowadził za drzwi od sieni, które copędzej zamknął i klucz na dwa spusty zakręcił.

Wyprowadzony stał jeszcze za progiem.

Byłby dał pół życia, aby te drzwi przebić.

Dlaczego Wiesław byłby dał pół życia? Dlaczego on, grzeszący zwykle zbytkiem szlachetności, poniżył się na ten raz do podpytywań tem nie potrzebniejszych, ze bezskutecznych?

Dziwnie to napisać... sam Wiesław czuł że nie godzi się takiej myśli nawet przypuszczać do głowy, a jednak nie mógł jej odpędzić.

W osobie, czekającej na pana Tytusa, wydało mu się że poznał Cecylią..

Twarz zasłonięta nie pozwalała ostatecznie stwierdzić podobieństwa. Ale cały szkic postaci, który czarnym profilem zarysował się w świetle okna, jej ruch, kiedy na odgłos kłamki zerwała się ciekawie i trwożliwie, ten ruch jaskółczy, co go tyle razy już zachwycał, wszystko przypominało ją do najwyższego złudzenia.

— Waryat ze mnie! — pomyślał. — Gdzieżby też porządna panienska przychodziła sama do mężczyzny, jeszcze takiego jak wuj! Wdawała się w konszachty z kamerdynerem, jeszcze takim jak Hubert! I czekała w pokoju kawalera, o zmroku!

Stał mu na myśli ustęp z opowiadania wujowskiego, Romana siedząca na progu Tytusa. Tamtej Hubert nawet nie wpuścił, bo już znudziła jego pana, tę wpuszcza jeszcze.

— Jeszcze! I toby miała być Cecylia? Nie! Mie! Po stokroć nie!... Słusznie tamten mówił, że wszystkie kobiety, jak włożą czarny szal i welon, są do siebie podobne. A jednak.... Ta myśl osiadła mi na mózgu jak zmora, i będzie ciągle chodzić za mną, jeśli jej się odrazu nie pozbędę. Już wiem.... pójdę prosto do pani Ireny, zastanę pewnie pannę Cecylią, siedzącą najspokojniej przy hafcie lub książce, wyleczę się odrazu z moich śmiesznych obaw i przynajmniej ten jeden ciężar z serca zrzucę.

Pędzony niepokojem, szybko stanął u pani Ire-

ny, która go przyjęła. Znalazł ją w buduarze, cierpiącą, rozciągniętą, na szezłagu, smętną.

Byстрыm rzutem oka zbadał wszystkie sprzęty i zakątki, majaczące w szarej godzinie. Prócz nich dwojga, nikogo więcej nie było w pokoju.

Po kilku wyrazach powitalnych, zapytał drżącym głosem:



— Gdzież panna Cecylia? Czy nie będę miał szczęścia dziś jej widzieć?

— Cesi niema w domu. Przyszła jej ochota zajrzeć do pani Moszkowickiej. Pocziwa myśl. Biedni rodzice pierwszy raz od lat wielu znaleźli się sami, córka wczoraj odjechała. Cesia wyprosiła u mnie pozwolenie, aby ten wieczór z nimi spędzić i pustki ich domu rozweselić. Niedługo dałam się prosić. Lubię kiedy młoda osoba garnie się nie tam, gdzie wesoło i gwarno, ale tam gdzie trzeba nieść pociechę, cierpliwie słuchać starców i nieraz połykać-nudy. Dobra to szkoła; w niej panienka wyrabia się niejako na siostrę miłosierdzia salonową. Gdyby nie moje zdrowie, byłabym i ja z nią pojechała. Ale nie mogę; od kilku dni jestem, jak to mówią, z nóg ścięta.

Na pierwsze słowa: Cesi niema w domu, Wiesław się, wzdrygnął. Na wiadomość gdzie pojechała zdjął go żal wielki.

— Miałem ją, tak blisko! Wychodząc od wuja, po drugiej stronie schodów mogłem wszystko sprawdzić! A teraz trzeba znowu wracać... i to jak-

najprędzej, aby się przekonać, czy istotnie ją tam zastanę.

Nie wypadalo jednak, ledwie wszedł, wychodzić. Dla samej przyzwoitości musiał przedłużyć rozmowę, z czego skorzystał, aby nie naruszając tajemnicy, krążyć około jej granic.

— Panna Cecylia często wychodzi z domu?

— Od jakiegoś czasu dosyć często. I dziś już wyjeżdżała w południe na miasto, po sprawunki.

— Aha, po sprawunki — powtórzył i zacisnął usta.

— Miło mi — mówiła matka — kiedy widzę że Cesia ma ochotę rozruszać się, pobawić, wrócić do prawdziwych cech młodości. Dotąd żyła prawie, jak zakonnica, bałam się żeby mi dziecko nie zdziczało. Teraz wpływ miasta, inne otoczenie... usunięcie wielu zdrażnień... działają codzien widoczniej. Doprawdy, jakby się odrodziła. Oto i wczoraj: było już postanowione że nie pojedziemy do państwa Moszkowickich. Tymczasem rano wstała jakaś nieswoja; widzę wyraźnie że jej żal tej rozrywki, i pierwszy raz w życiu zdarzyło jej się o coś przymówić. Prosiła czy nie pozwolę jej tam wpaść choć na godzinkę, bo wystaw pan sobie, nigdy jeszcze nie była na żadnym weselu. A może też ją tam ciągnęła nie sama chęć zabawy, ale jaki jeszcze inny magnes?

Mówiąc to, pani Irena rzuciła na Wiesława spojrzenie pełne dobroci i obietnic, które w innym

usposobieniu byłoby młodzieńca przejęło szczęściem. Dzisiaj zachował ponure milczenie.

— Ucieszyłam się serdecznie, widząc że Cesia zdolna jest czegośkolwiek pragnąć. Ukułyśmy naprędce ubranie. Musiała wyglądać... nieźle?

On wstał, i całując rękę pani Ireny, odpowiedział:

— Cudownie. Ale... pani tam brakowało... Jaka z pani matka nieporównana!

Wpatrywał się w panią. Irenę z głębokim rozrzewnieniem.

— Nieszczęśliwa matko! — mówił w duszy. — Zaślepiona i oszukana ofiarno! Ty boisz się aby twoja córka nie zapadła w surowość zakonnicy? Ty myślisz że twoja córka dla mnie wyrywała się na to wesele? Że dziś jeździła tylko po sprawunki? Że teraz pociesza starców? Ach, żebyż przynajmniej to ostatnie było prawdą! Trzeba tam biedz.

Ale pani Irena, ujęta jego rozczeniem, w którym widziała tylko odbłask innej czułości, nie pozwoliła mu odejść.

— Siadaj pan jeszcze i pomówmy, już nie o nas, nie o panu.

Tu zaczęła go się dopytywać, z troskliwością, niemal macierzyńską, o jego stosunki rodzinne, zajęcia biurowe, ile lat już pracuje, ile pensyi wysłużył, jakie ma w karyerze widoki.

— Oho! — pomyślał Wiesław — oto inkwizycya wróżona przez Alfreda.

I sierzcił się w duszy, choć bardzo niesłusznie, bo młody człowiek, bywający wyraźnie w roli konkurenta, może się spodziewać że, prędzej czy później, rodzice panny zadadzą mu podobne pytania. Zły to nawet znak, jeżeli go się o nic nie pytają.

Ale Wiesław raz uprzedzony, wszystko widział w czarnych kolorach.

— Pensyjka moja niewielka, a praca dość znaczna, przyznaję; ale się nie skarżę.

Któż będzie pracował, jeżeli nie młodzi?

— Bardzo pięknie. Aż miło słuchać. Niejeden na pana miejscu wolałby więcej użyć i na drugich się spuścić, zwłaszcza mając takich rodziców co myślą o wszystkim, i wuja co jest prawdziwym wujaszkiem z Ameryki, a który podobno pana kocha jakby syna?

— Otóż i sprawa spadku na stół przychodzi — pomyślał Wiesław, i nic nie odpowiedział, wstał powtórnie.

— Gdzież się pan tak śpieszy?

— Jeżeli pani pozwoli, wstąpię do państwa Moszkowickich. Będę się starał rozweselić tam towarzystwo i pannie Cecylii ulżyć troszkę tych nudów, na które się tak bohatersko skazała.

Matka nie domyśliła się ironii zamkniętej w tych słowach, owszem z uśmiechem podając mu rękę — idź pan — rzekła — pozwalam i życzę dobrej zabawy.

A kiedy się odwrócił, szepnęła:

Jak mu śpieszno do niej! Chwała Bogu! Jeżeli jest taki, jakim się wydaje, to godzien Cesi. Szkoda tylko że w tym pośpiechu nie chciał nic mówić o Tytusie, na którego nakoniec naprowadziłam rozmowę. Chciałam wspomnieć o tym nieszczęsnym liście... nie dało się. Trzeba wszystko znowu przyszłości i Bogu zostawić.

Tymczasem Wiesław dobiegł już do bramy państwa Moszkowickich. Przyszło mu na myśl że jeśli Cecylia przyjechała, powóz powinien być w dziedzińcu, albo przed bramą. Stała istotnie jakaś karetka, ale o kilka domów dalej, jakby dla niepoznaki cofnięta. Zbliżył się i poznał konie jabłkowite.

Już więc niezawodnie tu była, ale po której stronie domu?

Państwa Moszkowickich zastał w stołowym pokoju, przy niskiej lampie. Pani Dorota szyła sobie kokardki do czepka z resztek białej wstążki pozostałej od wczorajszych bukietów, pan Aleksy, w szlafroku i okularach, powolnym głosem czytał żonie Kuryera.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wykrzyknął, przyjrawszy się wchodzącemu. — A to, mości dobrodzieju, gość jak z nieba! No tylko powiedz, Dosiu, czy nie poczciwy z kośćcami chłopiec? Inni przyszli na wesele, najedli się, napili, obtarli buzię i poszli precz, i nie wrócą aż drugi festyn wyprawimy. A ten zaraz nazajutrz pamięta o starych ludziskach.

7

— A jakże, łaskawy panie, przychodzę podziękować za miłe chwile wczoraj tu spędzone.

Przez niesłychane wysilenie wymówił te słowa spokojnie, ale oglądał się wzrokiem prawie obłąkanym.

Z kolei pani Dorota go witała:

— Oho! Znać zaraz że z pana kawaler wyższej edukacji. Dziś między młodymi rzadko znaleźć prawdziwy respekt i galanterię.

Wiesław zdobył się jeszcze na pytanie:

— Więc państwo tak sobie we dwójkę siedzicie? Panna Zapolska nie była tu dzisiaj?

— Panna Zapolska? Była wczoraj, ale dzisiaj nie. Ona nie taka jak pan grzeczna, dziś ani się pokazała. Dlaczego się pan pytasz?

Zagadnięty długą chwilę nie mógł odpowiedzieć. Był porażony. Spozrzegłszy oczekiwanie pani Doroty, wyjąknął:

— Tak... zdawało mi się... że miała ten zamiar... może źle zrozumiałem...  
Odtąd zamilkł, tylko mu w duszy tętniały wyrazy:  
— Kiedy niema jej tu, więc musi być tam!  
To wołanie rosło w huk zawrotny, pokój kręcił się wkoło niego, a za serce ścisnął go żal bezdeny, podobny do żalu aniołów, kiedy widzieli swoich towarzyszków jasności, spadających z nieba w otchłanie.  
Gospodarz starał się bawić gościa przedmiotem który sądził dla niego najmiłszym.

— Ta panna Zapolska śliczna! Niema co mówić, perfekcja. A przytem zuch dziewczyna. Daj ci Panie Boże dostać kiedyś podobną żonkę i doczekać takich jak my latek. Bo widzisz, po dwudziestu kilku latach, znów siedzimy sobie jak dwa gołąbki, a choć trochę tęskno za Helenką, pocieszamy się jak możemy, wystawiając sobie żeśmy nazajutrz po ślubie. He? Nieprawdaż, Dosiu?  
Dosia nie miała czasu odpowiedzieć. Wiesław chwycił się za skroń, jakby sobie nagle coś przypomniał, spojrzął na zegarek i zawołał:  
— Dziewiąta dochodzi! Ach, przepraszam państwa, zapomniałem że na mnie ktoś czeka z interesem, przepraszam i żegnam.  
— Więc to tak, mości dobrodzieju? Po modnemu? Witam i padam do nóg? A ja myślałem że kochany gość wypije z nami herbatkę. Potem pani moja by mi pozwoliła fajeczkę, panu może papierosika. Wszak pozwolisz, duszko?  
— A i owszem. Cóż kiedy pan Różyc się śpieszy. Widać że cała ta wizyta była to tylko une visite de digestion za naszą wczorajszą kolacją.  
Gość już nie słyszał admonicji pani Doroty, która miała sobie za obowiązek młodzież uczyć more-su.  
— Dobry, ładny chłopiec, ale mu czegoś brakuje....  
— Niczego mu nie brakuje, tylko poprostu zakochany po uszy. Ho, ho, zdradził się chłopak, nie

przyszedł dla naszych pięknych oczów, ale w nadziei że zastanie tu swoją pannę. A to się biedak złapał! Aż mi go żal było, boć to przecie i ja tak szalałem, dwadzieścia cztery lat temu, pamiętasz, Dosieńko? Dwadzieścia cztery lat! A za rokcek będzie znowu wesele, i to nasze własne, i to srebrne!  
Podczas kiedy siwa para spokojnie gruchała, Wiesław przechodził najgwałtowniejsze wstrząśnienie, jakie może dotknąć młodą, duszę.  
Ledwie drzwi za nim zamknięto, otworzyły się naprzeciwko drzwi od mieszkania Odonicza, a z nich wyszedł pan Tytus, prowadzący pod rękę owę czarno ubraną osobę.  
Młodzieniec w pierwszej chwili uląkł się pióru, nużącej prawdy, nie chciał na nią patrzeć, jak dzieci co zasłaniają, oczy, aby nie widzieć stracha, i zamiast zastąpić im drogę, puścił się wgórę, o pół piętra wyżej.  
Gdy jednak przebiegł kilka schodów, zdjęła go krwawa ciekawość ostatecznego przekonania, przechylił się przez poręcz, wzrok i słuch nateżył...  
O, już teraz nie można było wątpić! Poznał nietylko postać, ale głos...  
Kiedy przyszło jej schodzić, uniosła nieco welon, którego gęstość zasłaniała jej drogę, a wtedy wyraźnie zobaczył twarz Cecylii.  
I ona i pan Tytus szli, jak ludzie co się gorączkowo śpieszą. Głosy ich drgały od wzruszenia.

To też ani zauważyli struchlałej postaci, co się w głębi sieni przemknęła.  
Dosłyszał część rozmowy.  
— Ach Boże — powtarzał Odonicz — Boże mój! Czemuż wcześniej nie wiedziałem? Bylibyśmy już dawno szczęśliwi! Czemuż Bóg wcześniej nie natchnął pani ta. myślą?  
— Nie mogłam — ozwał się głos Cecylii — moja matka nie chciała. Stanowczo nie

chciała. Musiałam wiele z sobą walczyć, nim się na ten krok odważyłam.  
Mówiła jeszcze dalej, ale Wiesław już nie mógł jej dosłyszeć.  
Uczepiony konwulsyjnie do poręczy, nie wiedział ile przebył, kilka minut, czy kilka wieków? Aż turkot odjeżdżającej karety wyrwał go z osłupienia.  
— Dokąd oni pojechali? Czy to ucieczka? Trzeba biedz do pani Ireny, ostrzedz że jej córkę porywają... a jeśli jej nie uwiózł, ostrzedz przynajmniej że oszukują, zdradzają, i matkę i mnie!...  
Wybiegł z bramy. Pojazd już był daleko; huczał jeszcze w końcu Chmielnej ulicy, ale wkrótce skręcił i zniknął mu z oczu. Wiesław chciał przyspieszyć biegu: nogi się pod nim zwijały. Byłby dał pół majątku za dorożkę, i, jak zwykle się w takich razach zdarza, nie spotkał ani jednej próżnej.  
Wybiegłszy na Nowy-Świat roztrzącał ludzi i kilka razy pomylił się o bramę.

Nakoniec trafił do właściwej. W dziedzińcu z karety wyprzęgano konie. Więc tu przyjechali!  
Na pierwszym stopniu zatrzymał się z oddechem zapartym. Z tychże samych schodów przed godziną, jeszcze zbiegał z ostatkami nadziei; teraz wchodził, wahając się i przystając, jak człowiek co idzie się topić.  
Zbieg najprozaiczniejszych okoliczności otworzył mu wolną drogę. Lampa na schodach tego wieczora kopciła. Sebastyan to spostrzegł, ale w swojej kamerdynerowskiej arystokracji, nie mogąc się poniżyć do starań około schodów, zbiegł i stróża szukał po dziedzińcu, a w myśli że zaraz wróci, zwyczajem sług na wsi chowanych, drzwi za sobą zostawił niezamknięte.  
Wiesław zastał je nieco odchylone i wszedł. Nie było się komu opowiedzieć, szedł więc dalej do jadalnego pokoju, mdło oświeconego wiszącą lampą.  
Drzwi od salonu były otwarte, ale zapuszczone ponsową portyera, która pod mocnem światłem sali rysowała się w ognisty kwadrat. Ujął ręką zaponę, uniósł nieco jej fałdów, ale nie przestąpił progę... skamieniał na widok, co mu się odsłonił.  
Naprzeciw drzwi, w głębi salonu, pani Irena siedziała w fotelu pochylona, z oczami zakrytymi chustką; głowa jej wstrząsała się od przytłumionego płaczu.

Pan Tytus i Cecylia klęczeli przed nią, całując jej kolana i zaklinając ją najczulszemi błaganiami.  
— Przystań, marno! — wołała córka, i podniosła ręce złożone. — Nie odmawiaj, mamuniu! Nie psuj-że nam szczęścia, nieledwie cudem zdobytego.  
Pan Tytus mówił:  
— Jeśli moja prośba może jeszcze mieć jaką wartość, przystań, pani najdroższa! A jeśli moje słowo już nic nie znaczy, niechże głos córki cię wzruszy.  
Pani Irena, zwolna odejmując chustkę od oczów, odpowiedziała z westchnieniem:  
— Zobaczymy...  
Przy pierwszym jej ruchu, Wiesław zmieszany puścił z ręki zaponę, która się znowu zamknęła, jednak usłyszał panią Irenę mówiącą:  
— Zdaje mi się że tu ktoś wchodził. Klęczący musieli się obejrzeć, poczem uspakajali: panią Irenę.  
— Niema nikogo. Któżby tu mógł wchodzić?  
Po chwili pan Tytus wtrącił:  
— Chyba Wiesław?  
— O, tego się nie boję! — zawołała Cecylia. — Najprzód już późno. Powtóre, na wszelki wypadek ostrzegłam Sebastyana, aby mu powiedział że nas niema w domu. On dziś tu wcale niepotrzebny.

Znów się odezwał głos pana Tytusa:  
— Jednak... trzeba mu będzie to wszystko powiedzieć.  
— No tak... — odparła Cecylia — ale może tylko mniej więcej, i w każdym razie

niewcześniej, aż mama przystanie.

Wiesław już miał dosyć.

Obelga, jaką widział w tych wyrazach, padła zimną wodą na żar jego boleści.

Zawrócił się tem śpieszniej, że głos Cecylii brzmiał coraz bliżej progu.

Przestraszony, aby go nie zesłała w postawie podsłuchującego, coprędzej przeszedł napowrót przez jadalny pokój, gdzie dywan przytępił jego kroki. W przedpokoju znowu nikogo nie spotkał, bo cała ta scena trwała ledwie kilka minut.

Na schodach jeszcze się zastanowił, czy nie wrócić jawnie i nie wypowiedzieć słów prawdy?

Ale przywykły do surowego wazenia wszystkich swoich postępów i wyrażeń, teraz uląkł się własnego gniewu.

Czuł że w tej chwili nie potrafi zapanować nad sobą, struchlał czy nie pójdzie zadaleko, zwłaszcza względem wuja, do którego wrzał śmiertelnym żalem. —

Powiedział sobie: — Na później! — I wyszedł.

X.

Od dwóch dni Wiesław staczał się w przepaść. Łudzony z początku nadzieją, że potrafi wrócić

do brzegu, wisiał na niejednym urwisku, czepiał się najmniejszej gałązki, ale wszystko się pod nim załamywało i według odwiecznych praw ciężkości, które tak samo rządzą, w duszach, jak na planetach, spadanie stawało się z każdą chwilą gwałtowniejsze.

Pogodny stoicyzm jego zachwiał się w tych godzinach niepewności. Niepewność, to jakby konanie, boleśniejsze nieraz niż śmierć. I godził się wymagać od owego nieszczęśliwca, lecącego w otchłań, aby nie krzyczał i rak nie wyciągał?

Teraz runął na samo dno przepaści.

Uderzenie było straszne, jednak doznał rodzaju ulgi. Uczuł grunt pod sobą, a chociaż to był grunt rozpaczy, wiedział już przynajmniej czego się trzymać, rozpatrzył się w otaczających ciemnościach i przedsięwziął wyjść z nich, ale inną drogą. Postanowił nigdy nie powrócić do ścieżki która go zdradziła i nawet nie obejrzeć się na nią.

Już ze schodów zstępując, znalazł równowagę duszy. Charakter jego, wyrobiony latami wewnętrznej pracy, nietylko zakrzepł chwilową jędrnością, ale zahartował się nazawsze, jak zwykle dobra stał w dobrym ogniu.

Oburzenie przemogło w nim boleść, a poddanie się Opatrzności przemogło oburzenie.

To też kiedy wychodził, nogi się już pod nim nie chwiały, nie miał za złe ludziom że po cho-

dnikach tłoczą się i wesoło gwarzą, ani gwiazdom że bez chmurki świecą.

— Nie pierwszy ja, ani ostatni człowiek, — mówił sam w sobie — który cierpi i doznaje zawodu. Za cóż mam być od innych szczęśliwszy? Kiedyż tedy okazać odwagę, jeżeli nie w godzinie próby? Oto przyszła jedna z tych prób, do których religia nas przygotowuje, jedna z tych godzin czarnych, o których filozofowie i starcowie z postrachem nas ostrzegają. Trzeba ją przyjąć z godnością i raz na zawsze zrozumieć, że to życie nie jest celem, ale przejściem.

Jednak natura ma swoje prawa. Jeżeli nie sprowadza burzy, sprowadza omdlenie. Stanąwszy w domu, uczuł senność nieprzezwycięzoną; ledwie trafił do łóżka, gdzie go ogarnęło uczucie wiru i nicości. Wielkie zgryzoty, kiedy są przytłumione, porażają nieraz umysł takim pół-letargiem. Jest on męczący i niezdrowy, ale tę przynajmniej daje korzyść, że wymazuje z życia godziny, któreby inaczej wydały się wiekami.

Po owym prawdziwie feralnym poniedziałku, wtorkowy dzień zaświtał rozdaśnany,

dżdżysty. Na Wiesława ożywczo podziałało szare niebo i przykre powietrze; czuł się w swoim żywiole. Takie pośród lata dnie deszczowe, to jak ciężki smutek w młodości.

Cały ten dzień spędził w domu. Pierwszy raz bez widocznej przeszkody pozwolił sobie nie pójść do biura, Brał kolejną to Żywoty Plutarch a, to

Ewangelią: wszędzie trafiał na obrazy i zdania malujące fałsz świata, prześladowanie cnotliwych i tryumf przewrotności.

Przerzucając kartki, słuchał czy kto po schodach nie stąpa. Czekał ciągle, czy nie zjawi się albo list od Cecylii, albo sam pan Tytus.

Iść do nich pierwszy nie mógł. W jakiejż pokazać się postaci? Jak człowiek co o niczem nie wie? Tegoby nie potrafił. Jak obrażony i rozumiejący zdradę? Ale wtedyby się trzeba przyznać że ich podpatrzył, podsłuchał ze schodów i z za firanek? Jakże im wytłumaczyć że to wszystko stało się przypadkiem, prawie bez współdziałania jego woli? Czyżby się w dodatku nie doigrał pogardliwych przymówek, on, co powinien utrzymać grozę oskarżyciela i majestat pokrzywdzonego?

Trzeba było czekać, aż sami się zgłoszą i raczą mu opowiedzieć, co o jego losach bez niego postanowili.

— Ja im tam niepotrzebny. Cecylia sama wczoraj rzuciła ten wyraz okrutny i pomiatający. Pewnie też swemu Tytusowi zakazała rozmówić się ze mną. Na to zawsze dość czasu... i to jeszcze mniej więcej... własne jej słowa. Oni się tam z sobą nie mogą nacieszyć. Używają wszelkich tortur moralnych, aby z matki wymusić przyzwolenie. Jeśli nad nią nie mają litości, jakże mają się troszczyć o mnie? Ani myślą że ja tu cierpię. Prawdę mówiąc, nawet się nie mogą domyśleć, kiedy nie wiedzą że wiem.

7

Okolo piątej po południu ktoś nieśmiało zapukał. Była to żona stróża, pocziwa stara kobiecina, u której miał wielkie łaski miły i zawsze grzeczny lokator.

— Przepraszam pana że się dowiaduję, ale pan, jak uważałam, od rana z domu nie wyszedł. Coś mię tknęło czy pan nie chory? Możeby czem usłużyć?

Podziękował za wszystko. Nie dała się jednak tak łatwo odprawić. Z własnego domysłu przyniosła mu obiad, pokój uprzątnęła, nowinkami bawiła; nakoniec, widząc że śliczny panicz jest nie do rozruszania, wyszła sobie cichutko, wzdychając na schodach.

I znowu godziny całe nadstuchiwał. Nic! Ani odwiedzin, ani wieści.

Ta bierność zaczynała być nie do zniesienia.

Wiedział że go prędzej lub później czeka straszna scena wzajemnych tłumaczeń.

Byłby chciał już raz przebyć tę krwawą operacją serca, a tu nie można ani jej uprzedzić, ani przyśpieszyć, ani się doczekać!

O dziesiątej wieczorem, kiedy już zwątpił, aby ktokolwiek do niego się zgłosił, wstał, czując że sam z sobą dłużej nie wytrzyma. Zapragnął jakiejś ludzkiej twarzy, jakiegoś żyjącego głosu.

Wyszedł, i ostrzegłszy stróża na wszelki wypadek, aby dobrze uważał czy kto nie wstąpi lub nie zostawi listu, puścił się na miasto.

Do kogo iść? Czy do którego z kolegów? O nie!

Tam zawesoło i zagwarno. Mógłby spotkać u nich Alfreda, a ten niewart ażeby go szukać. Obojętny! Przecież to on pierwszy popchnął: go na drogę domysłów, rzucił go na pastwę podejrzeniom, a teraz ani zajrzy, ani się spyta! I lepiej, bo gdyby zapytał, cóż powiedzieć?

Pod wieczór czas wypogodził się prześlicznie. Różyc, wiedziony wspomnieniami dni lepszych, zaszedł na czwarte piętro profesora Bońki. Tam wiedział że go nie spotka ani fałsz, ani podstępna ciekawość.

Profesor, zgarbiony nad stolikiem pokrytym zdartą ceratą, przy jednej świeczce pisał nóty. Pokoik był ciasny i duszny; kurz od książek i dym tytoniu zasłuły go mrokiem gęstym; ale oblicze piszącego z po za tych obłoków jaśniało szczęściem i natchnieniem, dwoma promieniami które i najszeptniejszą twarz ludzką umieją przetworzyć na obraz i podobieństwo Boskie.

Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, profesor syknął, jakby zniecierpliwiony przeszkodą, ale wnet serdeczność wzięła górę.

Otworzył na rozcież objęcia.

— Kochany panie Wiesławie! Zastajesz mię w chwili wielkiej, jednej z największych mego życia. Piszę ostatni ustęp mego Aryona.

— Ach! jakże nie w porę przyszedłem! Przepraszam...

— Nic nie szkodzi. Przecież się wena tak zaraz nie urwie. Jesteś nadto ładny i czarowny, a-

byś miał muzy wystraszyć. Siadaj. Albo nie, pierwej pozwól, niech cię uściskam! Dobrze kiedy jest z kim podzielić się radością. Bo wystaw sobie co to za szczęście kończyć! Zaczynać, ba! to nie sztuka; wtedy zdaje się że wszystko łatwo pójdzie i składnie się złoży. Im dalej, tem ciężej. Jedno od lasa, drugie od Sasa, i nie chce się razem trzymać. Już w połowie dzieła ręce opadają, zdaje się znowu że wszystko nic nie warto. Ale to zła pokusa, trzeba ją odpędzić i brnąć dalej. A tu coraz nowe trudności łeb wychylają i wyją ze wszystkich kątów. Ale bo też to nie sonata, ani nawet symfonia, to ni mniej, ni więcej tylko opera. To cały świat, który trzeba z chaosu wyprowadzić. Już z samą instrumentacją robota jakby sto tysięcy wojska musztrować. A równowaga ról! A dopieroż motywa, ach, te motywa! Krzycz jak czajka, nie przyjdzie bajka. Czasem czekasz i rok i dwa, nim złapiesz osiem taktów szczęśliwego motywu, ale też kiedy go raz masz, to już pół aktu wyrośnie jak na drożdżach. A trzeba się także bronić od zbytniego bogactwa, od tych ładnych a niepotrzebnych epizodów, co się bestyjki proszą, żeby ich nie wypychać. Powiadam ci, skaranie Boskie. Już myślałem że nigdy nie skończę. To zupełnie jak z dawnymi drogami. — Daleko do wsi? — Będzie z mila. — Jedziesz godzinę. Idzie drugi chłop. — A dalekoż tam jeszcze do tej wsi? — Niedaleko, już tylko z milka. — Ach, żeby to można dla siły twórczej wynaleźć jakieś szosy i ko-

leje żelazne! Ale nie, widać Pan Bóg nie chce nam ująć zasługi. A ciężka, trzeba przyznać. Każda praca duchowa idzie, jak to mówią, wołami. Ale idzie. I ja oto jednak dożyłem dnia w którym kończę. Bo skończę, już mi tylko trzydzieści kilka taktów zostaje do obrobienia. To przez noc się wykuje, a teraz, na wytchnienie, zagram ci który z ostatnich kawałków. Naturalnie, fortepian nie może dać dokładnego wyobrażenia; jak wszystko pójdzie z orkiestrą, z chórami, to dopiero zobaczysz. Na tymczasem będę grał piąte przez dziesiąte, a — czuły słuchacz niech w duszy dośpiewa.

Pan Benedykt, rozgorączkowany pracą, byłby mógł i godzinę prawić, bez przerwy ze strony słuchacza. Ten siedział nieruchomy, zdumiony że można się tak namiętnie zająć przedmiotem oderwanym od życia.

Profesor, zapalając drugą świecę, spojrział uważniej na gościa.

— Jakże też zmizerniałeś, panie Wiesławie. Cóż u licha? Musisz być słaby..

— Jestem słaby i mocno. A co najgorzej, dusza niedomaga. Zwykle jak niema zdrowia, to niema i humoru, i vice versa. To też przyszedłem to orzeźwić się, zapomnieć...

— A! kiedy tak, kiedy ci smutno, to nie zagram aryi konania z piątego aktu.

Trzeba coś innego... na przykład wielki sekstet, co czwarty akt

zamyka. Tu już niema żadnej melancholii, tylko walka, ruch, życie, con brio!

Zagrzmiały tony sekstetu, porywające, potężne. Wiesław chciał się wsłuchać, ale nie mógł samego siebie poznać. Muzyka, która dotąd zawsze niosła mu balsamy, dziś go drażniła, nieledwie gniewała.

Sztuka umie ugłaskać przemijające troski, poetyczne smutki. Ale wobec wielkiej, rzeczywistej boleści, wygląda prawie na ironię, a w każdym razie targa nerwy rozstrojone.

Z wysileniem doczekawszy się końca sekstetu i pochwaliwszy go ze sztucznym zapalem, Wiesław spytał przy pożegnaniu:

— Dawno też profesor był u pani Pełkowej?

— O, strasznie dawno. Może z tydzień już nic wychodziłem. Raz rozmachany w pracy, nie chciałem jej przerywać, ale sobie obiecywałem tę wizytę za nagrodę, jak się dziecku obiecuje cukierek po skończeniu lekcji. To też jeżeli dzisiaj skończę, jutro zaraz pobiegnę pochwalić się i nacieszyć. Już odchodzisz? Nie zatrzymuję cię, kochany chłopcze, powinieneś wyspać się i wydobrzeć. Okropnie wyglądasz. A ja, raz, dwa, trzy, do roboty!

Znalazłszy się znowu między pustem! ścianami swojego mieszkanka, Wiesław uczył osamotnienie, jakiego nie znalazł jeszcze.

Ni pójść do kogo, ni do kogo wracać. Ni się przed kim poskarżyć, ni rady zkąd zasięgnąć.

Ogarnęła go czczość tak zabijająca, że zamierzał choć na kilka dni opuścić miejsca zohydzone i pojechać na wieś do rodziców.

Tam jeszcze znajdzie serca które go nigdy nie omylą, tam będzie mógł wypowiedzieć swoje cierpienia i pod błogosławiącą, ręką leczyć się powoli z ran odniesionych w boju życia.

Zadawał sobie nawet pytanie, czy nie lepiej zupełnie porzucić urząd i osiąść przy rodzicach na gospodarce. Bo o powrocie do Warszawy nie mógł myśleć bez wstrętu. Żyć w mieście, gdzie mieszkają ci, co go tak srodze zawiedli? Spotykać ich codzien w towarzystwach, po teatrach i przechadzkach? Patrzeć na ich tryumfujące szczęście? Ach, stokroć lepiej wyrzec się stolicy, rozrywek, świetnej przyszłości, zmienić wszystkie stosunki i życie skończyć głucho, byle wśród poczciwych ludzi. — Nie chciał jednak nic postanawiać, bez poradzenia się ojca.

Tymczasem nadzieja zmiany pokrzepiła go nieco. Zaczął się pakować, a chociaż mało potrzebował na pierwszą wycieczkę, chociaż mantelzaczek prędko się zappełnił, porządkował i resztę, w myśli że niezadługo wszystko przyjdzie zabierać.

Układał książki, odczytywał listy; gdyby miał czem rozporządzać, byłby pisał testament.

Zajęcia te przydały mu się na zabicie godzin, bo dobrodziejstwo kamiennej senności już tej nocy nie chciało wrócić. Owszem, był wytrzeźwiony

jak nigdy, myśli jego pracowały z logiką, nielitościwą.

Czasem jeszcze porywała go szalona chęć zwątpienia o swoim nieszczęściu.

— Czy ich nie zaprędko obwiniałem? Przeznaczenie umie czasem tworzyć pozory prawdopodobniejsze od prawdy i zawikłać je ze złośliwą sztucznością, która i najostroźniejszych omami.

— Może chodziło tylko o panią Irenę? Ale wtedy, czemuż sama intrygi nie prowadziła? Pocóżby miała córkę wystawiać na niebezpieczeństwa i obmowę? Ach, zawsze powtarzam, wszystko jeszcze dałoby się może wytłumaczyć, ale owa tajemnica przed matką! To jedno bezpowrotnie potępia Cecylią. Czemuż trzeba aby taki człowiek jak Alfred miał słusność? Oburzałem się na niego, a niesprawiedliwie. Miłość Cecylii dla mego wuja musi już liczyć długie lata.

Zamało, zakrótko spotykali się teraz, aby uczucie miało z taką przemocą od razu wybuchnąć. Już zapewne wówczas matka dostrzegła początki tej skłonności...

Niedziw że sama się wahała, że nawet z mężstwem ofiary odepchnęła ukochanego, aby



w córce nie stworzyć wroga i sobie, i jemu. A podczas owej nocy fatalnej musiała córka, śpiąca w drugim pokoju, dosłyszeć rozmowę, pod której urokiem szala się już przechylała. Matka, przelekniona jej rozpaczą, postanowiła raz na zawsze przeciąć oburzające to współzawodnictwo, zniszczyć nawet jego możebność, i z dnia na dzień pierwszemu

lepszemu bez miłości oddała rękę. Trudno nic przyznać że tym sposobem wszystkie wypadki stają się jasne, — aż zanadto jasne! Co zaszło potem? Trudniej zgadnąć. Musiała Cecylia trwać uporczywie w zakochaniu, kiedy jeszcze przed rokiem, jak sam wuj napomykał, była mowa o ich połączeniu. Oh, ten wuj! Jam się korzył przed jego wielkością, jak głupiec rozczulałem się nad jego cierpieniami, a on sobie drwił ze mnie! Czemuż nie było po. wiedzieć otwarcie: Mój Wiesławie, obaj kochamy jedną, niech ona sama rozsądzi. — Byłbym ustąpił przed wyrokiem Cecylii, ale po co komedia? Trzebaż abym raz pierwszy, raz jeden pokochał, i między tysiącami kobiet niewinnych, szczerych, trafił na takiego szatana! Wśród podobnie czarnych rozmyślań, wpadł Wiesławowi w rękę niedawno zaczęty dzienniczek. Rzucił okiem na pierwszą kartkę i z podziwieniem spostrzegł datę: środa, W-go czerwcu.

— Czy być może? Więc toby dopiero był tydzień?

Tak, — to dopiero był tydzień.

Wziął pióro, i przy dogorywającej lampie, której czerwone światło walczyło ze światem, dopisał: Środa, -go czerwca — o -ej z rana.

— Kiedy ten dziennik zaczynałem, zdawało mi się że grubość książki nie starczy na dzieje mojego serca. Dziesiątej stronki nie zacząłem, a już niema co pisać. Wszystko się skończyło. Na zbudowanie szczęścia trzeba nieraz lat. Na jego

zniszczenie dosyć kilku dni. O wy, na których sercu chciałem szczęście budować, niech wam Bóg przebaczy! Może i ja kiedyś przebaczę. Dziś nie chcę wam złorzeczyć, ale nie chcę was i oglądać. Odjeżdżam, aby nie wrócić. Niech ten wyjazd bez pożegnalnego słowa, ani znaku, padnie wam na duszę, jak ciężkie pytanie!"

## XI.

Po bezsennej nocy, zapragnął zmiany miejscu, powietrza i ruchu.

Wypadało pójść do biura, opowiedzieć się z nagłym wyjazdem, ale było jeszcze zawcześnie, puścił więc wodze bezcelowej wędrówce.

Wydawała się ona bez celu, jednak serce go prowadziło.

Zaszedł do Wierzbna. Tam pierwszy raz ja spotkał! Śliczne i wesołe to ustronie zrobiło na nim wrażenie cmentarza.

Zszedł do Łazienek. Przywykły widzieć je przy oświetleniu i ruchu wieczornym, ledwo mógł wśród nich się rozpoznać. Pustki poranne, uroczne na dzikim polu albo w lesie, tu raziły przy dworszczyźnie gracowanych ścieżek i wykwintnych mostków.

Pałac wyglądał jak zakłęty.

Wiesław siadł nad wodą, ale łabędzi nie było widać, a posągi, co o zmroku tak śmiało opowiadały mu swoje pogańskie miłości, o tej godzinie

zdawały się wstydić i zamrużać oczy przed oślepiającym wschodem słońca.

Samolubna swoboda przyrodzenia ubodła młodzieńca. Wobec ruchliwych, sobą, tylko zajętych żywiołów, nie chciał dłużej rozwodzić swojej człowieczej, niesłuchanej skargi. Wstał i drogę powrotną skierował na Botaniczny ogród, koło grobowca Metelli. Szedł tamtędy umyślnie: jak Mucyusz Scevola, chciał cierpieniu dowieść że go się nie lęka, chciał serce przyzwyczaić do wrażeń pałacowych jak czerwone

węgle.

Kiedy jednak przechodził koło pamiętnej ławki, zasłonił oczy i przyspieszył kroku.

Biuro zastał już w pełnym ruchu.

Szczęśliwym trafem, posiadał urlop dawniej sobie udzielony. Obawa niewidzenia Cecylii, choćby przez dni kilka, nie pozwoliła mi dotąd zeń korzystać, ale teraz mógł każdego dnia wyjechać; przyszedł tylko ostrzedz swojego zwierzchnika.

Był to człowiek prawy, o surowej twarzy i chłodnym obejściu. Dziś jednak, spojrzawszy na Wiesława, powiedział mu z niezwykłą dobrocią:

— Jedź pan. Kto tak sumiennie pracuje, może i powinien czasem wytchnąć. Ale te interesa, dla których nas porzucasz, musiały cię nabawić zmartwienia, boś fatalnie zmieniony. Wróć nam, panie Różyca, weselszy.

I podał mu rękę, czego jeszcze nigdy nie uczynił.

Wiesława, który czuł się od wszystkich opu-

7

szczonym, ten mały dowód współczucia od obcego człowieka wzruszył więcej, niżby go w szczęśliwej chwili wzruszyły największe czułości. To też wychodząc, obejrzał się z rodzajem żalu, myśląc sobie: — Ten poczciwy człowiek ani się spodziewa, że ja tu może już nie wrócę.

Z biura wstąpił do kilku sklepów. Nie chciał się na wsi pokazać bez gościńca.

Wybierając upominki dla matki, ojca i domowników, uśmiechnął się smutnie; porównał swoje dzisiejsze wrażenia ze wspomnieniami lat dziecińczych, kiedy to całą noc spać nie mógł, ile razy przygotowywał dla rodziców tak zwaną siurpryzę, jakie szumne deklamacje, albo klejone kostiumy. — Choć taki młody, miał już za sobą przeszłość. — Cóż to będzie — pomyślał — za drugie lat dwadzieścia? Może także uśmiechnę się nad wrażeniami, co dzisiaj sen mi odbierają...

Dobrze po południu wracał obładowany do domu i już zamierzał wkrótce wybrać się na kolej, kiedy żona stróża zabiegła mu drogę.

— Proszę pana, ten pan, co to taki brzydki, był tutaj i czekał na pana długo, długusieńko. A potem powiedział że musi już odejść, ale zostawił karteczkę i bilet.

Na kartce stało napisane ołówkiem:

"Kochany i zbyt szczęśliwy kapryśniku! Wracam w tej chwili od pani Ireny, gdzie się wszyscy o ciebie ogromnie turbują, więcej może niż zasługujesz. Już rozumiem twoją wczoro-

rajszą hipokondrya.. Musisz być na bakier z pewną śliczną panną. Ale nie bój się, o ile mogłem zmiarkować, już się musiała przeprosić, i będziesz pewnie najwdzięczniej przyjęty. W każdym razie jesteś oczekiwany, pani Irena prosiła mię, aby ci to wyraźnie powiedzieć, a co więcej, oddać własnoręcznie jej zaproszenie. Oddać nie mogę, więc wszystko zostawiani u szanownej pani Cerberowej, a ciebie polecani opiece św. Cecylii, jako jej Czciiciel a twój przyjaciel  
Benedykt Bońko."

Do kartki dołączony był bilet wizytowy pani Ireny Pełkowej z dopiskiem:

"Uprzejmie prosi pana Wiesława Różyca, aby zechciał przybyć do niej na obiad, dziś o godzinie piątej."

Wiesław siadł bez namysłu i pod pierwszym natchnieniem skreślił następną odpowiedź:

Szanowna pani!

"Bardzo żałuję, że nie mogę stawić się na jej wezwanie. — Nowy zwrot zaszedł w moich losach, myślach i uczuciach. — Pani mię zrozumiesz swoim wielkiem a zbolałem sercem i raczysz uwierzyć, że choć nazawsze oddalony, nie przestanę nieść jej czci najgłębszej, jako unizony sługa.

Wiesław Rózyc."

Pospiesznie zapieczętowawszy, wybiegł na ulicę i chciał oddać list posłańcowi miejskiemu.

Ale ponieważ jest dowiedzionem, że każdy spotka posłańca, tylko nie ten co go szuka, szedł a szedł, napróżno upatrując, aż znalazł się o kilka domów od mieszkania pani Ireny.

Już rozmyślał czy nie oddać listu miejscowemu stróżowi, kiedy spostrzegł pana Tytusa. Wychodził właśnie z tej bramy, szedł prosto ku Wiesławowi.

Poznawszy go, rozkrzyżował ręce i witał z uśmiechem wdzięcznym, choć nieco zakłopotanym. Nie zważając na grobowe milczenie siostrzeńca, chwycił go pod rękę, ciągnął ku mieszkaniu pani Ireny i szybko mówił:

— Nakoniec cię zdybuję, niedobry latawczu! Gdzież nam się podziewasz? Nie widziałem cię od niedzieli. Te panie także się skarżą. Teraz właśnie szedłem do ciebie, myśląc żeś chyba zachorował. A czy się to godzi? My tu wszyscy głowę tracimy od wzruszeń, chcielibyśmy z tobą się niemi podzielić, a ciebie ani na oczy.

— Wczoraj — sucho odparł Wiesław, — cały dzień byłem w domu. Czekałem czy mi kto nie da znaku życia.

— Ty czekałeś? Zkądże taka nowa moda? Czy to młodzi ludzie mają czekać, aż starsi i damy do nich się zgłoszą? To my na ciebie od dwóch dni czekamy i troszkę się gniewamy... No, przynajmniej teraz nie dajże się prosić.

7

W tej chwili weszli do bramy. Wiesław, stanąwszy przeddrzwiami sieni, rzekł stanowczo:

— Przepraszam, ale dalej nie pójde.

— Cóż to znowu? Czegóż ty się tak dziwnie na mnie patrzysz? Ach... już rozumiem! Tobie nie może pomieścić się w głowie, jakim sposobem ja chodzę do pani Ireny i jeszcze ciebie namawiam? Prawda! Ty nic nie wiesz! Wiesławie, wszystko się odkryło, wszystko się zmieniło. To wielkie szczęście, dla każdego z nas wielkie, — ale może największe dla mego Wiesławka... Już — dodał, kładąc mu rękę na ramieniu — jakbym cię widział z Cesią przed ołtarzem.

Wiesław, który dotąd trzymał oczy posepnie wryte w ziemię, podniósł je nagle na pana Tytusa, jakby na archaniola głoszącego mu zmartwychwstanie.

— Wuju! Cóż się stało? Cóż się odkryło?

— O! To długa i straszna historia. Me mogę przecież w bramie jej opowiadać. Pójdź prędko.

Wiesław biegł za wujem na górę. Serce mu biło młotem.

W przedpokoju Hubert gawędził po przyjacielsku z Sebastyanem, a spostrzegłszy wchodzącego Wiesława, mrugnął na kolegę, mówiąc: — Oto drugie wesele.

W salonie zastali panią Irenę, siedzącą na tym samym fotelu, na którym Wiesław ją widział po raz ostatni i pamiętny.

7

Dzisiaj Cecylia stała przy niej, układając kwiaty w wazonie.

Na widok Rózycy, obie ucieszyły się, bez najmniejszej oznaki zmieszania.

— Przyprawiam paniom zbiega.

— Nakoniec! — odezwała się matka. — Pan tak zapominasz o nas, że aż muszę posyłać wyraźne zaprosiny.

— Wystawcie sobie panie, ten ucieszny chłopiec czekał na nas i chciał abyśmy wszyscy hurmem poszli złożyć mu nasze uszanowanie.

Mimo tych śmiesznych oskarżeń, Wiesław milczał, wodził oczyma po obecnych, nie mogąc zmiarkować do jakiego usposobienia powinien się nastroić.

Nagle Cecylia klasnęła w ręce i zawołała ze śmiechem:

— Aha! Już rozumiem! To ja sama postawiłam pana Rózycy w trudnem położeniu. Ba!

się przychodzić, aby wielkiej tajemnicy na szwank nie narazić. Ale teraz uroczyście zwalniam pana z danego słowa. Możesz pan wszystko opowiadać, tylko ja nie chcę być temu obecna.. Biegnę dopilnować obiadu, ażeby panowie nie myśleli że jestem jakąś lafiryndą, co umie tylko po ogrodach marzyć.

I dygnawszy niziutko, frunęła za drzwi.

Wtedy wuj wziął siostrzeńca za rękę i przyprowadzając go przed panią Irenę, powiedział nawpół smutnie, nawpół żartobliwie:

7

— Oto widzisz osobę, od której dostałem trzeciego odkosza.

W Wiesławie serce, myśl, dusza, wszystkie władzo odezwał? się jednym chórem radości.

— Więc to o matkę chodziło! Jestem zbawiony!

Nie rozumiał jeszcze jakimi drogami przyszło to zbawienie, dość że przyszło.

Już otwierał usta, już chciał zawołać: — Więc się myliłem? Wybaczcie! —

Szczęściem dla siebie i dla drugich, spostrzegł w tejże chwili, jak mocnoby ubliżył zacnym i niewinnym osobom, dając im poznać, że mógł je nawet posadzić o fałsz i o zdradę.

Wstrzymał więc niebaczny wykrzyk, ale nie mógł powstrzymać zewnętrznych oznak zawrotnego uszczęśliwienia. Runął do kolan pani Ireny, całował ja po rękach, potem rzucił się w objęcia wuja, który patrząc na niego z podziwieniem, spytał:

— Cóż to, niedobry chłopaku, czy cię tak cieszy że mnie odmówiono?

— Ach gdzież tam, wuju! Ja się tak cieszę.... widokiem tej zgody, tej cudownej zgody, o której wątpiliśmy wszyscy. Drodzy państwo, kiedyście się raz pogodzili, wszystko już pójdzie dobrze!

— Pocziwe dziecko! — szepnęła pani Irena, wyciągając ku niemu rękę.

— O, że pocziwe, to ja wiem najlepiej — pod-

7

chwycił pan Tytus. — To też możesz mu pani zaufać jak własnemu dziecku. Opowiedz mu wszystko.

Zawahała się i zarumieniła, a rumieniec u kobiety, co ma jej wiek i powagę, to zjawisko rozrzewniające. Musi być straszna burza za widokręgiem duszy, kiedy mimo pozornego spokoju, zdradza się taką błyskawicą.

Spojrzała na pana Tytusa i rzekła z lekkim odcieniem wyrzutu w głosie:

— Po prawdzie mówiąc, kiedy siostrzeniec pański słyszał (jak sarn pan wyznałeś) ciężkie przeciw mnie oskarżenia, powinien znać i moje usprawiedliwienie. Ale dlaczegoż ja mam opowiadać? Czy nie lepiej, abyś pan sani dokończył?...

— O nie! Ja nie potrafię... za nic w świecie nie mógłbym... Od dwóch dni słyszę opowiadanie tych wypadków, a jeszcze ich sobie nie przyswoiłem dostatecznie... Pojęcia moje zostały zanadto zwichnięte, ażebym umiał tyloletni fałsz od razu prawdą zastąpić. Mów, pani najdroższa, niech przy tej sposobności i ja raz jeszcze usłyszę twoje żalosne, twoje rozdzierające dzieje... to będzie zdrowo dla mojej duszy.

I pan Tytus, siadłszy nieco w oddaleniu, głowę oparł na rękę i oczy zasłonił; zdawał się cierpieć więcej, niż kiedykolwiek.

— Podobno panu już wiadomo — zaczęła pani Irena, zwracając się ku Wiesławowi — że po stracie pierwszego męża długo się wahałam z odpowiedzią na żądanie pana Tytusa.

7

— Wiem i uwielbiałem szlachetność pobudek pani. Miłość macierzyńska, obawa aby córka nie ucierpiała na podziale uczuć i praw...

— O niech mi pan nie przypisuje więcej zasługi, niż jej miałam. Główną przyczyną wahania była obawa inna... samolubniejsza.... Wątpiłam czy jestem prawdziwie i wiernie kochaną. Nie przeczę że i tamte pobudki przemawiały we mnie silnym głosem, jednak nie dosyć silnym, kiedy mogły ucichnąć. Tak panie, przyszła

chwila w której pan Odonicz potrafił się zwycięzko usprawiedliwić z zarzutów ciężących na nim, wymownie trafić mi do serca, tak że wszystkie inne względy ustąpiły.

— Pani zapewne wspomina ów wieczór w podróży?

— Tak, ostatni wieczór spędzony razem, wieczór złotych marzeń i nadziei, po którym nastąpić miała noc, podobna do sądu ostatecznego, a po niej całe lata, podobna do życia potępieńców. — Jeżeli najmniejszą chwilę szczęścia trzeba tak ciężko odkupywać, to zaprawdę waga złego i dobrego dziwnie jest na tym świecie odmierzona. Tylko wiara w inne życie, gdzie się wszystkie szale zrównają, może pogodzić z tem, co zwiemy niesprawiedliwością losów. O! niech się jednak nikt nie kwapi z tym śmiałym wyrazem, że czczemy skargami! Bóg nieraz jeszcze i na tym świecie daje ryumf prawdzie. Oto i ja, przed śmiercią, doczekałam się chwili uniewinnienia i mam przedsmak

7

lepszego żywota, kiedy to aniołowie będą za nami świadczyli. I za mną świadczył mój anioł, moje niezrównane dziecko.

Wzruszenie głos jej przyciszyło. Po chwili, jakby wracając do ziemi, uśmiechnęła się po kobiecemu:

— Co to jest jednak szczęście! Choćby najkrótsze, zostawia ślad wieczny. Długie lata cierpienia dzielią mnie od tej rozmowy, a zdaje mi się że jeszcze ją słyszę, że patrzę na owo zwierciadło wązkie o mahoniowych stopniach, co między oknami nam świeciło, na owe sztychy angielskie po ścianach rozwieszone, któreśmy Cesi tłumaczyli...

— Tak.... — wtrącił pan Tytus — i na ową aksamitną kanapkę, gdzieśmy to siedli po herbacie. O! i ja wszystko widzę!... Ten salonik, zwyczajny, jak wszelkie salony hotelowe, mnie się przedstawia jak świątynia.

— Ach, dla mnie, panie Tytusie, ma on i inne wspomnienia.... czasem widzę go w ogniach piekielnych. Jeszcze teraz niekiedy śni mi się, że z niego uciekam, że ja i Cesia nie możemy się z niego wydostać, i taki sen swoją okropnością przechodzi prawie rzeczywistość. — Otóż, panie Wiesławie, owego dnia dałam się przekonać, co, prawdę mówiąc, nie było trudnem... serce żądało przekonania. Dałam się rozczulić, przyznając, ale muszę dodać, że nie przyszło z mojej strony do żadnych przysiąg, żadnych nawet

7

Wyraźnych obietnic; wszystko zostawiłam w zawieszeniu: chciałam się pierwiej pomodlić. Nieprawdą, panie Tytusie? — Wuj pański, jak widzę, oniemiał, ale kto milczy, przyświadcza, — a ja powinnam ten szczegół przypomnieć, aby pokazać że mojem późniejszym postępowaniem nie złamałam żadnej przysięgi. Jeśli zaś raniłam serce, to byłam przekonana, święcie przekonana, że ranie tylko moje własne.

— Ha! czy wiesz dlaczego ja milczę? — zawołał pan Tytus, odejmując rękę od oczów roziskrzonych. — Ja sobie wymawiam, ja sobie nie mogę darować, czemu wtedy usłuchałem twego przechwalonego rozsądku, czemu się dałem wypędzić? Gdybym cię był związał jakim ustępstwem, jakąś chociażby przysięgą, wszystko może byłoby się obróciło inaczej!

— Panie Tytusie, nie żałujmy żeśmy się trzymali prostej drogi. Żal taki byłby i grzesznym, i na nic nie przydatnym, bo dla przeszłości żadne gdyby nie istnieje. Nigdy owszem nie wydałeś mi się lepszym i piękniejszym, jak odchodząc z uległością, przywiązania prawdziwego, bo tchnącego szacunkiem. — Pierwszą moją myślą było pobiedz do Cesi; musiała nie nie słyszeć, nie być na nic przygotowaną, bo dopiero za mojem wejściem rozbudziła się ze snu głębokiego i wyciągnęła ręce do uścisku. Oddałam go jej gwałtownie, prawie z trwogą. Zawsze to ciężkie przejście dla matki, donosić córce że jej daje ojczyzna — tem

77

bardziej kiedy chodziło o pana Odonicza, do którego, o ile miarkowałam, Cesia

wówczas niewielkie miała, jak to mówią, nabożeństwo.

— Doprawdy? — podchwycił Wiesław ze źle utajoną radością.

— A tak, i nic dziwnego; dzieci nigdy nie mogą bardzo lubić tych, których matka nazbyt lubi; jest-to prosty instynkt serca, które zawsze pragnie wyłączności. W owej chwili, widząc ją tak spokojną, tak serdecznie ufą, nie miałam odwagi nocy jej zakłócać, uściślałam ją tylko z przytłumionymi łzami i odłożyłam wiadomość na jutro. Ach Boże, na jutro!... Wróciwszy do pierwszego pokoju, doznałam wielkiego zdziwienia; zdawało mi się że na korytarzu słyszę jeszcze głos pana Tytusa. Uchyliłam drzwi, ale arkada wystająca z muru nie pozwoliła mi głęboko zajrzeć; rozmowa też zaraz ustała, i usłyszałam tylko oddalające się kroki. Wróciłam, uśmiechając się ze złudzenia, co mi wszędzie dawało słyszeć głos drogiej osoby.

— To nie było złudzenie — szepnął pan Tytus. — Ach, może i szkoda żeśmy się wówczas nie zeszli..

— Obejrzałam wszystkie wyjścia i zakątki, co zwykły czynić kobiety przezorne, kiedy podróżują, zwłaszcza same. Drzwi od korytarza zamknęłam na dwa spusty, drugie od Cesi zostawiłam na rozcież otwarte, a trzecie, małe, które łączyły salonik z mieszkaniem nieznanym mi lokatorów,

7

obejrzałam pilnie. Klucza w zamku nie było, ale sadziłam że zwyczajem hotelowym znajduje się u gospodarza; drzwiczki pod parciem ręki ani drgnęły, wróciłam więc zupełnie spokojna i weszłam do alkowy, która tworzyła przy salonie osobny, kotarą, zasunięty pokój. Przed zaśnięciem, chciałam ostatecznie rozmyśleć moją przyszłość. Z godzinę klęcząc, prosiłam Boga o szczęśliwe natchnienie. Widok mego dziecka odciągnął mnie na chwilę od pokusy wszelkich innych uczuć; zresztą, całe życie byłam z zasady przeciwna małżeństwom powtórnym, zwłaszcza gdy z pierwszego jest potomstwo. Jednak, po niejakej walce, popęd serca wszystko zwyciężył. Wyrzuciłam sobie nowe zasady i wstałam przekonana, że niebo pobłogosławi mojej drugiej, a raczej mojej jedynej miłości. Nazajutrz miałam wybranemu dać słowo. Postanowienie moje musiało nie podobać się Bogu, a może też marzone szczęście było zanadto wielkiem, aby miał na nie w tym życiu pozwolić. Ale wtedy nie przeszło mi nawet przez myśl, aby temu szczęściu mogło przeszkodzić co innego, jak moja własna wola, i usnęłam w najzupełniejsze) błogości. Pamiętam, biła druga po północy, kiedy gasiłam światło.

— Ja wtedy jeszcze chodziłem pod oknami hotelu, trawiony złem przecuciem.... Trzeba słuchać przecuć....

Takie słowa półgłosem ciskał pan Tytus, który wyraźnie już nie mógł na miejscu dosiedzieć. Za-

7

chodzić po salonie, wdychając i głową potrząsając, jak lew któremu zaciasno w klatce.

— Spałam już może zgodzinę; śniłymi się moje lata dziecinne, pełne kwiatów i jakiejs muzyki prześlicznej, kiedy z najsmaczniejszego snu rozbudził mię dziwny łoskot. Otworzyłam oczy, nie mogąc w pierwszej chwili zrozumieć gdzie jestem, czy u rodziców, czy w moim domu w Warszawie. Zdziwił mię pas światła, który z głębi pokoju strzelił i zbliżał się do mnie. Kotara była nieco rozsunięta, przez otwór zobaczyłam postać kobiecą, nadchodzącą krokiem szybkim, a jednak przyciszonym. W jednej ręce niosła świecę, drugą przytrzymała szal czerwony który ją owijał. Chciałam głowę podnieść — nie mogłam się ruszyć — byłam pewna że to sen przykry, a w myśli robiłam niesłychane wysilenia, aby sobie przypomnieć gdzie już tę postać widziałam? Bo widziałam ją, to niezawodne. Dobiegłszy do stołu, postawiła lichtarz. Po tym ruchu poznałam ją zupełnie. To była Norma, owa Norma raz widziana, a niezapomniana. Te same czarne włosy, tylko rozpuszczone, te węglowe oczy, ta harda postawa, tylko dziś cichsza a razem i dziksza, jak u osoby co się czai. Mówiłam sobie: — "To nic innego. tylko zhora, przybierająca kształty niedobrego wspomnienia." Chciałam krzyknąć, zdawało mi

się nawet że krzyczę, ale głos uwiązł w piersiach. A tymczasem owa zmora, obejrzawszy się po całym pokoju, spuściła szal, podniosła rękę z czemś

błyszczącym i rzuciła się ku alkowiemu, zupełnie jak tamta chciała rzucić się ku mojej łóżce. Ale tą razą, nic mię od niej nie dzieliło. Uczułam jej rękę na moich piersiach; pod tem dotknięciem zupełnie się rozbudziłam, rozpaczliwym ruchem zdołałam się nieco podnieść i nawpół usiąść. Ten ruch mię zbawił. Uczułam tu, pod lewym ramieniem, najprzód dziwne wrażenie zimna, potem gorąca, potem ból ognisty. Ten ból wydarł mi z ust pierwszy krzyk prawdziwy. Ale też to był i jedyny. Uderzyła mię myśl, że krzyki moję przywołają Cesię, że dziecko może się wnieść do walki i także jaki cios ponieść. Postanowiłam bronić się sama i jak najciszej. W niebezpieczeństwie, myśli nabierają szybkości, jasności niepojętej. Wszystko co wam od kilku minut opowiadałam, trwało ledwie kilka sekund, a ja przez ten czas przeżyłam całą istotność, zrozumiałam że to jest Romana, że sprowadza ją zazdrość, więc że walka będzie na życie i śmierć, że chciała mnie trafić w serce, ale przez mój ruch gwałtowny sztylet został podbity i zranił mię wyżej. Te myśli leciały jak pioruny, bijące jeden po drugim; jednocześnie cała przeszłość stanęła przedemną rozsuniętym obrazem, jak mówią że staje zawsze przed umierającymi, — a nakoniec przyszłość. Ach, nie moja! Muszę wyznać że nie myślałam ani o panu Tytusie, ani nawet o wieczności, ale tylko o Cesi. W takiej chwili widzi się najlepiej, jaka jest moc uczuć wyrosłych z obowiązków, wskaza-

nych przez Boga samego. Myślałam: — jeśli zginę, ona zostanie sierotą, samiućką na świecie, narażona, może na dalszą zemstę! — I zebrałam całą odwagę, aby walczyć do upadłego. Pomimo wszelkich wysiłków, byłabym pewnie zginęła pod ciosem powtórnym, gdyby ta... kobieta miała jeszcze broń w ręku. Ale kiedy pierwszy cios wymierzyła, sztylet, odtrącony moim rzutem, wywinął się, zsunął po mojej piersi, w której wyrył bruzd, i wyslizgnął się z ręki, spadł na łóżko, a ztamtąd na posadzkę. Słyszałam brzęk. Schyliła się szybko i jedną ręką szukała go po ziemi, a drugą chwyciła mię za gardło, mówiąc przez zaciśnięte zęby: — A przekłeta? Zmusiłaś go aby się mnie zapał? Słyszałam wszystko! To nieprawda! On mnie kochał i jeszcze kochać będzie, a ty zginiesz jak pies! Oto ci sprawiam wesele! — I miotła klątwy tem straszniejsze, im gwałtowniej się niecierpliwiła że nie może odnaleźć sztyletu. Ja miałam obie ręce wolne, obie wyteżalałam, aby jej rękę oderwać od mojej szyi; ale jej siła była niepojęta, żelazne palce trzymały mię jak w kleszczach. Już mi w piersiach rżęziło, już tchu brakowało, już mi pokój kołował w głowie. Nagle usłyszałam wykrzyk rozpaczliwy. Głos Cesi! Wtedy wstąpiła we mnie moc doprawdy jakby nadludzka. Oderwałam rękę Romany i pchnęłam ją takim wstrząśnieniem, że upadła na kolana, a padając, zaplątała się w firanki łóżka. Skoczyłam na równe nogi; teraz ja byłam górą.

ja przyklęłam na jej piersiach, ją chwyciłam za gardło. Pasowałyśmy się bez miłosierdzia. Moja biedna Cesia swemi rączkami pomagała jak mogła, aleja się ciągle obracałam do niej, wołając: "Zadzwoń! Na korytarz! Wołaj kogo. " Nie miałam nadziei, ażeby się na czas doprosiła pomocy, ale chciałam ją usunąć z widowni morderstwa, bo pomimo wszystkiego, czułam że tamta jest mocniejsza odemnie i że lada chwila jak wąż mi się wyslizgnie. Cesia mówiła mi później, że pobiegła do dzwonka, ale nie mogąc go znaleźć, a widząc że krew się ze mnie leje, nie śmiała już tracić czasu... Wtedy jej przyszedł pomysł... niewiem jak go nazwać... genialny, czy fatalny? Porwała marmur od stolica stojącego przy mojem łóżku, podniosła go z zadziwiającą siłą i kilka razy uderzyła ni mowę kobietę. Jeszcze słyszę jak ten marmur bije o tę czaszkę... Razy były tak gwałtowne, że ja mimowolnie cofnęłam rękę. Tamta jękała i runęła na ziemię.

Jeszcze rękę nieco podniosła, jakby czegoś szukała, oczy jej w słup stanęły. Skoczyłam ku niej, pchnięta niepewnością — poruszyłam jej głowę: ta opadła dzwoniąc o podłogę. Nie chciałam uwierzyć, a musiałam. Nie żyła. Moja córka rzuciła się na mnie, wołając: Mamó! Ty żyjesz! Wszak ty żyjesz? Odpowiedziałam: Żyję. Ale wskazałam na tamte. Spojrzałyśmy po sobie z przerażeniem: nas nie zabito, ale myśmy zabiły.  
Głos pani Ireny drgał jak w febrze. Nastąpiło

krótkie milczenie. Wiesław chwycił się za skronie, wołając:

— Wielki Boże! Cóż to za przerażający wypadek! Ach biedne panie, co wyście też przeżyły!

— Tak, biedne bez zaprzeczenia. Wystaw sobie pan, co to jest znaleźć się w takim położeniu osobom uczciwym, przyzwyczajonym do łagodnego obejścia, istotom któreby kurczęcia nie śmiały zarznąć. Rodzaj wychowania i warunki życia stawiały mnie zawsze między ludźmi, u których zbytne podniesienie głosu już się rachowało za szczyt gwałtowności, i to bardzo nagannej. O zbrodniach, zabójstwach nie wiedziałam tylko z gazet, albo romansów Gaboriau; zdawało mi się że podobne rzeczy dzieją się w jakimś innym świecie. I trzeba aby takie nieszczęście spadło właśnie na mnie i na moje kochane, niewinne dziecko! Niewinne, bo mogę przysiąc przed Bogiem: ani ja, ani moja córka nie miałyśmy zamiaru odebrać życia tej kobiecie. Chciałyśmy ją tylko odeprzeć, ubezwładnia, zresztą alboż ja wiem czegośmy chciały? Broniłyśmy się poprostu. Ale w takiej chwili trudno mierzyć donośność uderzeń. Sam pan powiedz, jak tu było zrobić, kiedy nie zostawało ani chwili do namysłu? Ja przecież musiałam się bronić, a Cesia tembardziej broniła własnej matki.

— Ale pani kochana — zawołał Wiesław — nie potrzebujesz się usprawiedliwiać. Przecież każdy

z nas uczyniłby to samo. Jaktó? W nocy morderca mię napada, i nie miałbym się bronić na wszelkie sposoby? A jeszcze córka matkę! Przypuszczam że wśród bitwy syn widzi ojca w niebezpieczeństwie; czyż nie skoczy, nie zasłoni ojca własnym ciałem, nie będzie usiłował zgładzić nieprzyjaciela? I spełni to nietylko bez wyrzutu sumienia, ale jako najprostszy obowiązek. Tu trzeba tylko uwielbiać, że taka młoda panienka miała tyle odwagi i siły. To dowód, jak umie kochać. Pani Irena zerwała się ze łzami w oczach i po macierzyńsku uścisnęła głowę młodzieńca, mówiąc ze wzruszeniem:

— Ach, jak pan to wszystko rozumiesz! Gdyby wszyscy chcieli tak rozumieć!... Tu rzuciła nieśmiało i niespokojne spojrzenie ku panu Tytusowi. Ten stał w drugim końcu pokoju, obrócony do okna, tak że nie można było widzieć jego twarzy.

Wiesław niecierpliwił się milczeniem wuja.

— Moja dobra pani — odpowiedział — nie wiem jak można inaczej rozumieć. A przecież to sprawa jasna jak na dłoni. Wyście obie niewinne, a ta Włoszka, to wcielony szatan, to prosta zbrodniarka.

Mówiąc, oglądał się w stronę okna. Nie mógł pojąć, czemu się pan Tytus jak on nie oburza, czemu jak on nie uspokaja stroskanej pani Ireny.

Gdyby się był jednak postawił w jego położeniu...

Łatwo sobie sąd wyrobić, kiedy się nie jest między sądzonymi. Łatwo mu było bezwzględnie potępiać kobietę, której nigdy w życiu nie widział.

Ale gdyby Romana była jego kochała? Gdyby ja był sto razy przyciskał do serca, czuł bicie jej piersi na swojej? Gdyby doszła do zbrodni przez miłość dla niego, tylko przez miłość?

O! wtedy, nie wiem na czyich ustach nie omdlałby ostateczny wyrok!



Pan Tytus nagle zwrócił się ku mówiącym; był śmiertelnie blady.

— Według pierwszych opowiadań, sądziłem że to pani zadała cios śmiertelny. Według dzisiejszych szczegółów rzecz się zmienia: widocznie zadała go córka. Powiedziawszy to, pan Tytus dodał ciszej:

— O, tak wolę! Pani Irena nieco się zmieszała.

— Zapewne... Nie mogę zaprzeczyć że tylko córce winnam ocalenie. Jednak... nie chciałabym, aby na niej miała ciążyć cała odpowiedzialność. Może i które z moich uderzeń było nadto silne...

— Trudno to przypuścić — odparł pan Tytus. — Jabyłm raczej sądził że musiał róg marmuru w samą skroń ją trafić.

— O, to najprawdopodobniejsze — dodał Wiesław. — Bo też śmierć tak nagła, to wypadek rzadki.

— Cóż pan chcesz? Gdyby kto chciał umyślnie cios podobny zadać, pewnoby mu się nie udało. Ale niechcącemu fatalność pomaga. Cóżesmy nie wyrabiały, żeby ją ocucić! I ja nie mogłam uwierzyć w tę śmierć natychmiastową., tem bardziej że nie było na niej żadnej rany. Tylko twarz zesiniała, zrobiła się fioletowa.

Wystaw pan sobie, co się z nami działo! Ja próbowałam ratować tę nieszczęśliwą., Cesia ratowała mnie, bo moja rana, chociaż niegłęboka, była bardzo bojąca i na pozór groźna. Godzina upłynęła, nim zdołałyśmy krew zatamować i bandażę naprędcze zczepić. Cesia chciała wołać koniecznie doktora; nie przeczyłam jej w pierwszej chwili, łudząc się resztką nadziei, że jeszcze i w tamtej potrafi rozbudzić życie. Zwróciłam się do dzwonka, nie mogłam znaleźć sznura; myślałam że mi się ćmi w oczach, aż spojrzawszy w górę, ach panie Wiesławie, co za nowe, straszne odkrycie: Niepróżno już i Cesia pierwiej znaleźć go nie mogła. Sznur był zebrany w wielki węzeł i zsupłany prawie pod samym sufitem. Wprawdzie tuż pod nim stała komoda, na którą, wszedłszy, wysoka osoba mogła wykonać tę sztukę. Dowodziła ona wielkiego obmyślenia całej sprawy. Albo sama zabójczyni potrafiła pierwiej dostać się do mego pokoju (na przykład w ciągu dnia, kiedy byłam na mieście) i związała sznur, aby nam odjąć ostatnie hasło ratunku, albo, co jeszcze gorzej, była z innymi w zмовie. Bogata, mogła kupić współników: może kto ze słu-

7

żby hotelowej miał jej pomódz do sprzątnienia ciał naszych? Może jeszcze teraz czatował na korytarzu? Możesmy z jednych rąk uszły, aby wpaść winne, groźniejsze? O! już teraz, choćby było można, za nic w świecie nie byłabym chciała zadzwonić, ani drzwi odchylić. Złęklam się, czy przez pokój mojej strasznej sąsiadki nie wkradną się nowi mordercy. Drzwiczki tego pokoju były otwarte, zamek w nich znalazłam bez klucza i nadwerężony, a tuż za nimi stał duży i ciężki stolik, nieco na ukos odsunięty; widać że przez cały dzień drzwiczki były tylko na klamkę zamknięte, ale zasunięcie stołem dawało im pozorny opór. Weszłam ze drżeniem do tego pokoju, zastałam go pustym; drzwi od korytarza na zewnątrz dobrze były zamknięte, mogłyśmy z tej strony być spokojne. Przy szarem świetle, bo już dniało, spojrzałam z przestachem na sprzęty nieszczęśliwej, rozrzucone po stołach; między nimi, pamiętam, spostrzegłam fotografią pana Tytusa, w jakiejś przepysznej oprawie. Odwołała mię Cesia, która tymczasem znalazła ów sztylet pod łóżkiem.

— Ten sam sztylet — zawołał pan Tytus — który mnie dawała, ażebyłm ją, zabił. Czemużem nie...

Pani Irena nie dała mu skończyć: wzięła z blizkiego stolika piękny florencki sztylecik.

— Oto jest. Zachowałam go na straszną pamiątkę i dowód.

Pan Tytus chwycił rzeźbioną rekojść, a gdy

się przyjrzał, płomienie mu na twarz wystąpiły.

— Co to jest? Rdza? Krew?

— Tak, moja krew — odpowiedziała pani Irena ze smętnym uśmiechem — Cesia nigdy nie dała jej zatrzeć.

Położył broń z bolesnym syknięciem, jakby go sparzyła, i wykrzyknął, załamując ręce:

— Co najokropniejsze, to że mię ostrzegą, a ja lekceważyłem groźbę! Od tylu lat myślałem sobie: jednak nie miała serca tej groźby dotrzymać! Wolała zabić siebie, niżeli kogo z nas, i rozczulałem się nad jej mniemanem samobójstwem! I te pomniki! I te kwiaty!... Ach... szkaradna komedia losu!... Od czasu tej groźby, jam ciebie, pani, powinien już być nie odstępować ani na godzinę. A! Żebyś była przystała zaraz na połączenie!

— Cóżby to pomogło? Jako żona pańska, pewno nie uniknęłabym także jej przesładowania. Widziemy obecnie, ze wszystkich szczegółów zestawionych, że to był plan długi i mądrze snuty, jak cień chodziła za mną; z miasta do miasta, z mieszkania do mieszkania, byłaby mię póty ściagała, aż nie dziś to jutro, nie jutro to za rok, znalazłaby miejsce i porę stosowną, bo kto się tak zawęźmie, a przytem umie czekać, ten zawsze swego dopnie. Tem właśnie a nie czem innym jest włoska Vendetta. To jedno też ciąży na jej pamięci. Gdyby się rzuciła na mnie w chwili u-

niesienia, o, to co innego! Prawa Boskie, a nawet ludzkie uwzględniają, szaf gniewu. Ale zabójstwo rozmyślane, tak długo przemyślane... Z tem wszystkiem, nie mnie ją sądzić, została aż nadto ukarana, i to przez moje ręce... Taka śmierć gwałtowna starczy pewnie za najdłuższy czyściec, a podobno też miłość ze wszystkiego rozgrzesza. Kto wie nawet, czy to nie był obłąd chorobliwy, skutek cierpień serdecznych? Może niezupełnie wiedziała co czyni?

Pan Tytus zatrzymał się przed panią Ireną, ujął brzeg jej koronkowego rękawa i musnąwszy go ustami, szepnął:

— Zawsze szlachetna! Jeszcze ją uniewinnia!

Ten jego ruch, te wyrazy, wzruszyły panią Irenę więcej może niżeli chciała okazać. Spuściła oczy wilgotne, i wszyscy troje zapadli w milczenie, które Wiesław przerwał, mówiąc jakby sam do siebie:

— Trudno sobie doprawdy wyobrazić logiczny pochód myśli i rozwój wrażeń, co mogą człowieka doprowadzić do takiej zbrodni. Widocznie podsłuchiwała całą waszą rozmowę pod owymi drzwiczkami... Cóż się z nią, dziać musiało w owej chwili i przez całe następne godziny! Bo przecież kilka godzin upłynęło, zanim się odważyła te drzwiczki otworzyć? Aż strach pomyśleć... Cóż to za otchłań dusza ludzka!... I jakżeż się skończyła ta noc nieszczęśliwa?

Pani Irena, zagadnięta, zebrała napowrót myśli.

— Tak, i ta noc się skończyła, choć mnie się zdawało że chyba nigdy się nie skończy. W obawie czy to nie cały spisek, postanowiłam czekać aż zupełny dzień będzie, aż wszyscy w hotelu wstaną. Ubrałam się, namówiłam i Cesię żeby to samo zrobiła; biedaczka dotąd trzęsa się w koszulinie i boso. Opowiadała mi później, że mój krzyk ją rozbudził; niepewna, pytała się z drugiego pokoju co się stało, a nie słysząc odpowiedzi, tylko jakieś szamotania się i szepty, skoczyła i ujrzała.... co wiecie..

— Cóż się stało z tamtą... ze zwłokami? — zapytał Wiesław.

— Dotąd leżały ciągle, przy kotarze. Nie śmiałam ich z miejsca ruszyć. Próbowaliśmy jeszcze, czy może się życia dopukamy? Ale nie. Już zaczynały tężeć. Czuwałam ja nieraz przy chorych i konających, znam się niestety na pochodzie śmierci. Nie było już co robić. Siadłam na owej kanapce. Dogorywała świeca, ta sama którą, tamta zapaliła. Mój Boże! Dłużej trwała od niej! Nie śmiałam gasić płomienia, zdawało mi się że razem z nim zadmuchałabym ostatnią iskrę jej życia. Wpatrując się w to straszne, mrugające światło, rozmyślałam co dalej

czynić? Czy poradzić się pana Tytusa? Ten krok mię trwożył, bo jednak Komuna musiała go jeszcze obchodzić mocno, zwłaszcza zabita... i to przez kogo?... Wyznanie dzisiaj dużo

mię kosztuje, a cóż dopiero wtedy? Ale co robić? Wezwać gospodarza hotelu, wezwać władze miejscowe i opowiedzieć im się szczerze? Wtedy przyszła mi po raz pierwszy myśl okropna, okropniejsza niż wszystko: cały ten wypadek odbył się bez świadków. Jakże dowieść żeśmy były napadnięte, a nie napadły pierwsze? Martwe ciało przeciw nam świadczyło. Im więcej rozmyślałam, tera więcej czułam, że tyleż dowodów stoi przeciw nam, jak za nami, wyjąwszy chyba dowody moralne, głos opinii, na które trudno było rachować w mieście zupełnie nam obcem. Co najgorsze, nic a nic nie znałam się na prawach, zwłaszcza kryminalnych. Któż mógł przypuszczać, że ta znajomość będzie mi, kiedyś potrzebną? Nie miałam wyobrażenia, jak sądy się zapatrują na podobne sprawy. Mówiłam sobie: z czasem przecież nas uniewinnią; ale pierwej co? Będziemy podejrzywane, badane, może więzione. A toć zgubiona przyszłość panienki, co siedziała na ławie oskarżonych! Że ja wtedy nie zwaryowałam, to prawdziwa łaska Boga, który widać chciał mię zachować dla tego drogiego i nieszczęśliwego dziecka. Przerazona, wróciłam do pierwszej myśli: bądź co bądź, wyznać wszystko panu Tytusowi i nic nie przedsięwziąć bez jego porady. Czekać aż przyjdzie? Zadługo. Umówiliśmy się dopiero na południe, mieliśmy iść dalej oglądać miasto. Posłać po niego? Tak rano, to mogło zwrócić uwagę i później się wykryć... zresztą nikogo nie byłam

pewna w hotelu. Po namyśle, wydało mi się najprostszym wyjść pod pozorem rannego nabożeństwa, zająć do hotelu gdzie mieszkał i posłać mu słówko wzywające. Napisałam w kilku wyrazach prośbę, aby przyszedł wcześniej, jak może najwcześniej, i słysząc już ruch w całym domu, włożyłam kapelusz. Pamiętam że przed zwierciadłem zląkłam się własnej twarzy: byłam zielona. Welonik dodał mi śmiałości. Chciałam wziąć i Cesię, bo jakżeż ją zostawić z trupem? ale odważne dziecko uparło się żeby zostać. Niewłaściwie nazywam ją, dzieckiem; była niem aż do owego wypadku, i to bardzo naiwnem; jeszcze ją zajmowały lalki, a ja nie sprzeciwiałam się tym dziecinnym popędom, bo dopiero dwunasty rok liczyła. Ale od owej nocy dojrzała nagle duszą, sercem, umysłem, nie do uwierzenia, jakby jej w kilka godzin dziesięć lat przybyło. Już rano zenną, rozmawiała jak dorosła i rozumna osoba.

— I dlaczegoż nie chciała iść z panią? — spytał Wiesław.

— Słuszny dawała powód. W hotelach służba ma podwójne klucze. Jeśli, mówiła, wyjdziemy obiedwie i klucz zabierzemy, przyjdą, sprzątać pokoje, a wtedy wszystko się odkryje. Ale jak ja za mamą zamknę i klucze wewnątrz zostawię, nikt się już nie dostanie. Wysłałam więc. Na schodach uczułam całą drażliwość mojej rany, ale wiele czyni kto musi. W bramie, jak mogłam najspokojniej, zapytałam szwajcara, w których kościo-

łach są wczesne nabożeństwa, i śmiało puściłam się przez plac. Od czego to zależy nieraz cała przyszłość! Wśrodku placu spotykam Ryszarda Pełkę. Całe życie miał on zwyczaj wychodzić raniutko na ogromny spacer. Chciałam przejść niepostrzeżenie, ale mię poznał po chodzie, dogonił i zaczepił, dziwiąc się niezmiernie, dokąd idę sama o takiej godzinie. Trzeba koniecznie było dać jakiś powód. Kościół? Bałam się że będzie mi chciał towarzyszyć. Nagle myśli moje wzięły inny obrót: to spotkanie wydało mi się wskazówką Opatrzności. Przecież w jego ręku spoczywała najwyższa władza sądowa. Jego zdanie mogło najprędzej przeważać szalę. Ten człowiek zawsze okazywał mi życzliwość, a przytem był powszechnie szanowany. Sam pan Tytus nie szukałby dla nas ratunku u nikogo, tylko u niego. Powiedziałam że mię spotkało nieszczęście wielkie, niesłychane.

Poszukaliśmy ustronnego miejsca, gdzieby można się rozmówić, nie zwracając oczów. Na bliższej ulicy stał kościółek, poprzedzony małym dziedzińcem cmentarnym z krzyżkami. Tam stanęliśmy, jak ludzie co się u wejścia spotkali. Opowiedziałam szczerze, krótko, jasno, jak na spowiedzi. Zatrokał się i zatrwożył głęboko. Po namyśle, z zadziwiającą, przytomnością, nauczył mnie jak mam w pierwszej chwili postąpić, a potem dodał: "Jeżeli pani powiedziała mi rzeczywiście wszystko, mam nadzieję, prawie pewny jestem, że panią, ochronię od wszelkiej odpowiedzialności. Ale trze-

ba mnie słuchać ślepo, poddać się moim wszelkim rozkazom i wymaganiom, choćby niezrozumiałym na pozór, bo inaczej za nic nie ręczę. Jakże to szczęście, mówił jeszcze, żeś pani się nikomu pierwej nie zwierzyła, szczególnie panu Odoniczowi, który, jako główny choć mimowolny czynnik całej sprawy, mógł w pierwszej chwili jakim nieostrożnym wybuchem wszystko zgubić. Nie wymagam abys mu pani kiedyś nie powiedziała prawdy, ale to nie przedziej, aż ja uznam chwilę za stosowną." Raz wyznawszy, musiałam przyjąć skutki mego zaufania i obiecać że wszystko spełnię, co też czyniłam bez najmniejszej obawy, bo okazał tyle gorliwości, współczucia i współbolewania, że odrazu chwycił mnie za serce. — Doprawdy? — zauważył pan Tytus, odzyskując w głosie swoją krwawą, ironią. — A tak, czemuż nie mam być otwartą? Wtedy nie podejrzewałam w nim żadnego wyrachowania. Prawdę jednak mówiąc, przy samem odejściu, pamiętam... rzucił na mnie spojrzenie jakieś dziwne, które mnie zastanowiło. Ale w takim stanie umysłu, wrażenia uboczne szybko się zacierają. Wpadłam do kościoła, tylko na minutkę, bo śpieszyłam się do dziecka. W jakiejś ciemnej kaplicy wyciągnęłam ręce do Boga, błagając Go aby nas wyratował od fałszywego oskarżenia, i muszę przyznać że w tym względzie Bóg mnie zupełnie wysłuchał. Za powrotem do fatalnego pokoju, zastałam Cesię ciągle odważną, ciągle w ruchu.

Zmywała właśnie z posadzki ślady krwi, która była moją własną, ale mogła rzucić podejrzenie. Według danych mi wskazówek, weszłam na komodę i odwiązałam sznur od dzwonka, a potem, okropność wspomnieć... ja i Cesia podźwignęliśmy zwłoki, bardzo ciężkie, i zanosły je na łóżko tej nieszczęśliwej. Gwałtowne ruchy otworzyły mi znowu ranę, musiałam ją świeżo opatrywać wodą; potem wszystką, zakrwawioną, bieliznę schowałyśmy na dno kufrów, zamknęły ją szczelnie, uporządkowały kotary, pościel, wszystkie sprzęty, i siadły, nie mogąc nawet mówić. O dziewiątej, według umowy, zjawił się Ryszard, na pozór wesoły; przyniósł mi bukiet z kwiatów polnych. Całe miasto znało jego ranne przechadzki, nikt się więc nie zdziwił tą wczesną wizytą. Chcąc ją upozorować jeszcze lepiej, zszedł wkrótce do bramy i przy wielu osobach posłał po duży pojazd, mówiąc że przyszedł namówić znajome sobie podróżniczeki na całodzienną przejażdżkę po okolicach miasta. Wróciwszy na górę, wszedł do pokoju... nieboszczki. Nie wiem co tam robił. Zdaje się że tak wszystko urządził, aby wyglądała na ofiarę samobójstwa. Nie śmiałam zaglądać. W jakie pół godziny wrócił i drzwiczki starannie zamknąwszy, obejrzał nasze pokoje. Otworzył okno, ażeby wyciewy krwi rozpędzić, potem kazał sobie oddać sztylet, który schował do kieszeni, mówiąc: "Jeszcze nie wiem czy mi będzie potrzebny, czy nie; w każdym razie nie powinien się

u pań znajdować. "Nakoniec" na jego żądanie, zadzwoniłam o kawę. Siedliśmy, jakby nigdy nic, do śniadania, przy którym zaczął zrećnie podpytywać się Cesi. Struchlałam. W moim opowiadaniu przed kościołem nie wspominałam nic o jej udziale; ma się rozumieć, wszystko wzięłam na siebie. Cesia, pomimo rozpaczliwych moich znaków i mrugań, opowiedziała rzecz inaczej, dowodząc że ona jedna jest sprawczynią śmierci. Wtedy ujrzałam po raz pierwszy, co później

miałam widzieć tak często, Ryszarda w gniewie. Spojrzał na mnie po inkwizytorsku, mówiąc: "To taka pani szczerłość? Proszę aby mi się to nie powtórzyło. Jest zaufanie, albo niema. Wszystko, albo nic." Zadrzałyśmy. Ten człowiek stawał się dla nas panem życia i śmierci. Jednak ta pierwsza burza prędko przeminęła; znów nas pocieszał, uspokajał, a kiedy kelner przyszedł zabrać kawę, spytał go z wielką prostotą: "Dużo też macie gości?" Tamten odpowiedział: "Niebardzo dużo, panie. Na tem piętrze prawie nikt nie stoi, bo najdroższe." Spojrzeliśmy po sobie z radością, upewnieni że nikt w nocy nie musiał słyszeć mego krzyku. Potem pytał o lokatorów sąsiednich, a gdy mu powiedziano że to jakaś cudzoziemka, dodał: "Nie pytam się przez ciekawość, ale przez uczciwość, bo właśnie przy kawie te panie mi mówiły, że w nocy słyszały tam jakieś jęki. Dobrzeby się dowiedzieć, czy nie zachorowała." Kelner wyszedł, mrużąc: "Ba! co jej się tam stać miało?" Jednak

7

przywołał służącą, aby zastukała. Kiedy zostaliśmy sami, spytałam z przestachem: "Jako? Pan sam ostrzegasz, i to w naszym imieniu?" A on odpowiedział: "Tak właśnie. Będziecie ostatnie posadzone, kiedy najpierwsze ostrzegacie." Tymczasem już od korytarza stukano. Póki życia, nie zapomnę tego łoskotu. Wiedziałyśmy dobrze iż nikt nie może otworzyć, a trzeba było udawać niepewność i oczekiwanie. Powstał alarm w hotelu, zbiegła się służba i gospodarz zafrasowany. Ryszard poradził aby posłać po ślusarza, a gdy go nie było widać, zawołał z naszego pokoju: "Przecież tu są drugie drzwi. Tylko niema klucza, gdzie klucz?" Gospodarz skoczył i przyniósł. Ryszard sam otworzył drzwiczki z wielkim naciskiem i trzaskiem, a próbując raz jeszcze klucza, rzekł do gospodarza: "Przepraszam, zdaje się że z tego pośpiechu trochę zepsułem zamek, najchętniej zapłacę." Potem weszli do pokoju: powstały wielkie wykrzyki i ubolewania. Zaczęli się zbiegać podróżni z innych piętr, tłok zalał korytarz, nawet nasz salonik. Ryszard wszystkim kierował, posłał po urzędników, rozkazy wydawał; co żyło go słuchało. W chwili największego rozruchu, wziął mię nabok i powiedział z prawdziwym przestachem: "Na miłość Boską, czegożecie takie pomieszane? Nie możecie tu zostać.... wasze twarze was zdradzają." A gdy wszystko sprawdził, odezwał się głośno: "Ja tu nie mam co robić, doniesiecie, mi panowie co się dalej pokaże." Poczem

dodał, zwracając się z wielkim uszanowaniem ku mnie: "Już dziś podobno nic nie będzie z naszej zamierzonej przejażdżki, ale zawsze służę pojazdem, bo sądzę że trudno pani zostać w tem smutnem mieszkaniu, tem bardziej że tu się zaczyna różne przykre formalności, może nawet pokój ten będzie potrzebny moim urzędnikom, do rozłożenia się z papierami. Czyby nie było najskładniej, żebyś pani, zamiast jeżdżenia po hotelach, zechciała zajechać do mnie? Będę najszczęśliwszy, przyjmując damę tak zacną, której powinniśmy podziękować za miłosierne zajęcie się tą żalną sprawą." Czułam że jego mowa czyniła nas jak śnieg białemi w oczach ciekawych słuchaczy. Mieszkanie, wczoraj tak lekko odrzucone, dziś przyjęłam, jakby dobrodziejstwo. Kiedy mię ten poważny dygnitarz sprowadzał ze schodów, tłum z uszanowaniem rozstępował się przed nami w sieniach i na placu, bo już i plac był pełen ludu. W swoim domu, Ryszard oddał nam trzy pokoje prześliczne, ale wszystkie od dziedzica, i prosił nas abyśmy do innych nie wchodziły, gdyż tam pełno osób z interesami do niego uczęszcza. Dziś widzę że to były środki ostrożności, aby nie dopuścić między nami porozumienia się, ale wówczas brałam wszystko za dobrą monetę. Owszem, ja i Cesia nie wiedziałyśmy jak mu dziękować za jego opiekę, czujność i troskliwość. Rozgościwszy nas, uczęstowawszy, ukoiwszy, wybrał się do biura. Kiedy wychodził, zapytałam go nieśmiało co

mam panu Tytusowi powiedzieć, jak przyjdzie? Po namyśle, pozwolił mi powiedzieć wszystko, pod warunkiem tylko zupełnej tajemnicy. Ach, mógł śmiało pozwalać, wiedział że do tej rozmowy nie przyjdzie. Przez pięć śmiertelnych godzin czekałam, siedząc jak na węglach. Żebym była mogła przynajmniej patrzeć na miasto, wyglądać czy pan Tytus nadchodzi, dać mu jaki znak z góry. Ale nie miałam żadnego okna od ulicy, a nie wypadało wtargnąć do wyłącznych pokoi gospodarza. Nakoniec jednak wzięła mię tak silna pokusa, że i tego spróbowałam... Próżna próba! Drzwi były na klucz zamknięte.

— A ja tymczasem — zawołał pan Tytus — chodziłem i chodziłem. Zawsze mówiono, że pani mię nie chce przyjąć.

— Mnie znowu mówiono, że nikt nie przychodził, że nikt się ani spytał. Służba, jak widać, była dobrze wyuczona. Kiedy Ryszard powrócił na obiad, zakleła m go aby mi pozwolił napisać do pana; zgodził się z największą uprzejmością i sam zaniósł nadół list odemnie, króciuchny, w którym błagałam abys pan choć na chwilę przyszedł. Po obiedzie Ryszard zniknął na dosyć długo i nagle wbiegł niby z radością, przynosząc mi odpowiedź, którą, jak mówił, na dole oddano. Otworzyłam, i znalazłam, co? Mój własny list, ten który przed godziną wysłałam, a jednakże koperta była wyraźnie podpisana ręką pana Tytusa.

Pani Irena zamilkła. Odonicz, wstawszy, położył ręce na ramionach Wiesława i patrząc mu w oczy, zapytał:

— Czy ty kiedy słyszałeś o czem podobnym?

— Nigdy! Ale przez Boga żywego, jak się to stało?

— Rzecz teraz jasna. Ten niegodziwiec miał już widać w ręku mój pierwszy list do pani Ireny, poprzemieniał na listach koperty i odesłał je nam wzajemnie.

— Dobrze, rozumiem, ale pieczętki?

— O! to najmniejszy kłopot. W naruszaniu pieczęci jest właściwie jedna tylko trudność: opór sumienia. Dla poczciwych ludzi stanowi on przeszkodę niezwalczoną, ale temu co raz wszedł w układy z sumieniem, reszta już łatwo pójdzie, przy odrobinie zręczności i wprawy. Porównywając teraz nasze listy, widzimy że w pierwszych pieczętki są bardzo niewyraźne, w niektórych znać wyraźnie drugą warstwę laku; zato późniejsze się wydoskonalały; może kazał zrobić stemple. O dwie cyfry nietrudno. I tak z nas każde cierpiało osobno, nie wiedząc o cierpieniach drugiego, ach gorzej! złorzecząc sobie wzajemnie. Co za machiawelizm! Ach ten człowiek! Jeżeli jest piekło, to chyba dla niego.

— Panie Tytusie, panie Tytusie, dajmy pokój umarłym. Prawda, Ryszard i Romana oboje zatruli nasze życie, ale nam ustąpili pola, dzisiaj są już na Boskim sądzie, a my oto możemy się pogo-

dzić i zaznać jeszcze dni spokojnych. A gdyby też które z nas było pierwiej zeszło ze świata? Straszno pomyśleć! Nie módz uniewinnić ani siebie, ani najukochańszej osoby. Bo pomimo wszystkiego, pan Tytus był mi zawsze najukochańszym. To też co cierpiałam po owym zwrocie listu, och, tego ludzkie słowo nie wypowie. Błagałam Ryszarda, aby mi pomagał w wyjaśnieniu tej niepojętej sprawy, poradził co robić? Wtedy siadł przy mnie, bardzo czuie, chociaż jeszcze poważnie, i powiedział: "Niema co robić. Nie chciałem cię pani przedwcześnie zasmucać, ale teraz muszę powiedzieć. Ten twój pan Tytus był dziś w biurze u mnie, aby się dopytać... nie o kogo, tylko o tamte. Jest zdesperowany śmiercią tej Włoszki więcej niż przystało, i ze wszystkiego co mówił widzę, że już pani pewno nigdy go nie zobaczysz." A gdy zdumiona i struchlała pytałam: Dlaczego? Odpowiedział z widocznym zakłopotaniem: "Albo uwierzył w samobójstwo tej Włoszki i tak jej żałuje, tak sobie jej śmierć wyrzuca, że chce z nią zerwać, albo... doprawdy nie wiem jak to pani powiedzieć... albo się domyśla inaczej... i ma panią za prostą zabójczynię, bo trzeba pani wiedzieć, że już po mieście krążą, różne pogłoski." Na ostatnie wyrazy uśmiechnęłam się tylko pogardliwie. Nadto szacowałam pana Tytusa, aby go posądzać o podobne myśli. Ale

za to pierwsze przypuszczenie wydało mi się prawdopodobniejsze i przejęło mnie najwyższą boleścią. Powtarza-

łam sobie że istotnie pan Tytus musiał chyba kochać, i bardzo kochać Romanę, kiedy jej tak rozpaczliwie żałuje, kiedy chce zemną zerwać. I znowu tego zerwania nie mogłam pogodzić z naszą wczorajszą, rozmową, z tyloma dowodami jego czułości dla mnie. A jednak było widocznem że zrywa, kiedy cały dzień się nie pokazał u mnie, kiedy list mój odesłał, nie racząc nawet nic objaśnić, ani wysłuchać mego usprawiedliwienia. To wszystko upokarzało mię śmiertelnie w moich własnych oczach i oczach Ryszarda, przed którym nie wiedziałam jak wytłumaczyć postępowania pana Tytusa. Ale to poniżenie, choć straszne, było jeszcze niczem w porównaniu z rozdarciem zawiedzionego serca. Myśli moje płątały się w chaos, w którym czułam że co chwila mogę stracić zmysły. Wieczorem dostałam gwałtownej gorączki, powiększonej zapewne i tą, która wszelkim poranieniom zawsze towarzyszy. Moja rana, źle dotąd opatrzona, przy takich jeszcze wzruszeniach, jątrzyła się w zastraszający sposób. Cesia wpadła w rozpacz, Ryszard okazał zgrzyotę, która mię zdziwiła. Bezwzględnie było trzeba doktora, a jakże tu go wzywać, jakże wytłumaczyć ową ranę dziwną, widocznie ostrem narzędziem zadaną? Ryszard, który chodził jak błędny, uderzył się nagle w czoło i zawołał: "Cudowna myśl! Pojedź pani do mnie na wieś, choćby na kilka dni; mam starego famulusa, co służył w wojsku przy ambulansach i umie leczyć rany lepiej niż wszyscy dokto-

rzy. Dla całej mojej wiejskiej ludności jest felczerm, i mnie już nieraz wrócił zdrowie, a przytem taki przywiązany, że w ogieńby za mną skoczył. Przed nim nie potrzebujemy się tłumaczyć." Przystąpiłam podobno, chociaż tego nie pamiętam, bo gorączka rosła. Ani wiem kiedy mię wywieziono i dostawiono do Złotopola, do tych dóbr tak pięknie nazwanych, ale gdzie życie wcale mi nie było złotem. Kilkanaście dni leżałam. Jednak wróżba gospodarza prędko się spełniła; domorosły felczer uspokoił ranę, zaczęła się goić. Wstawszy, nie wiedziałam co mam z sobą począć. Dokąd jechać? Ryszard zaklinał, abym jeszcze została i dała przebrzmieć wszystkim wieściom złośliwym. "Póki — mówił — jesteś pani w moim domu, powaga mego stanowiska osłania cię, jak najlepsza tarcza. " Otoczył mnie i Cesię nadszatkowaniem, zbytkiem, staraniami, które mię z początku wzruszały, ale wkrótce spostrzegłam z przestraszeniem, że mu się... bardzo... zanadto podobam. Stawał się codzień czulszym, powiedziałabym nawet śmiesznym jak na swoje lata, gdyby nieklamane uczucie mogło kiedykolwiek być śmiesznym. — I pani to nazywasz uczuciem? To prosta namiętność — zawołał pan Tytus. — Może być jednak że mię kochał, po swojemu. I pańska Romana zdaje mi się nie kochała inaczej. Ona kochała aż do zbrodni, on do przestępstwa. Oboje mieliśmy nieszczęście być nadto kochanymi. Przeżywszy z nim całe lata, zrozumia-

łam do pewnego stopnia ten dziwny charakter. Był on istotnie pełen gwałtownych namiętności, ale przytem i ogromnej woli, która w nim wyrobiła wstrzemięźliwość posuniętą, aż do przesady. Chcąc opanować dziki swój temperament, poddał się higienie godnej anachoretów. Ze słońcem wstawał, sypiał prawie na desce, chodził bez miary, pił tylko wodę, kart nie wziął w rękę; nieraz mawiał że "trzyma sam siebie na żelaznym łańcuchu." Ale gdy raz się łańcuch zerwał, gdy puścił wodze jakiegokolwiek namiętności, szął wybuchał z całą siłą, z jaką był przytłumiany. Tak się stało i wówczas. Nicby jednak nie były pomogły wszystkie wybuchy i groźby, gdyby nie przekonanie, że byłam opuszczona przez pana Tytusa. Ciągłe czekałam czy się nie nawróci, czy nie napisze? Wychodziłam przed dziedziniec, wypatrując w szalonym złudzeniu, czy nie nadjeżdża gościńcem. Nie mogłam i nie mogłam uwierzyć w moje nieszczęście; kilka razy jeszcze pisałam do pana. Czyniłam to potajemnie, ze wstydu przed Ryszardem, który udawał że nic nie wie,

ale pewno wiedział najlepiej, kiedy wszystkie listy nieomylnie wracały do mnie. Poczta była daleko od Złotopola, a ludzie których używałam i przepłacałam, wszyscy widać przeciw mnie spiknięci, musieli te przesyłki najpierw doręczać swojemu panu. Mijały tygodnie, od pana Tytusa ani znaku życia; Ryszard był zawsze uprzejmy, ale coraz posepniejszy, i nie spuszczał mie z oka. Pewnego

dnia wyjechał na cały dzień do miasta. Za powrotem, późno już wieczorem wszedł do mego pokoju; była to śmiałość której sobie jeszcze nigdy nie pozwolił. Uczułam po całym jego obejściu, że nadchodzi stanowcza chwila. Rzeczywiście, zaczął od słów, na które zarumieniłam się, jak dziecko. "Obiecałaś pani — mówił — nic nie czynić bez mojej rady. Zbawienie twoje i córki zawisło od tego warunku. Tymczasem dowiedziałem się, że pisujesz do pana Odonicza. Co piszesz, nie wiem, ale pewnie się usprawiedliwiasz. Sama pani rozważ: ja z całych sił pracuję aby tę sprawę w tajemnicy utrzymać, a ty jej szczegóły wypisujesz czarno na białym i pocztę powierzasz. Jest-to i nieostrożnie, i niewdzięcznie. Narzucasz się człowiekowi który ci okazuje pogardę, a pomiatasz człowiekiem któryby życie za ciebie oddał. Światowi przyjaciele odwrócili się od ciebie w złej godzinie, ja jeden zostałem ci wiernym i zostanę do śmierci, jeżeli mię nie odepchniesz. Ale trzeba też i moją cierpliwość oszczędzać. Nie bądź pani tak bardzo pewna wygranej. Byłem dziś w mieście. Sprawa nasza niedobrze stoi. Przy badaniu świadków, jeden z kelnerów przypomniał sobie szczegół straszny. Widział owej nocy, widział na własne oczy, jak Odonicz, wyszedłszy od pani, wchodził do tej Włoszki. Szwajcar także zaświadcza, że Odonicz dobrze po północy wracał drugi raz do hotelu, a co najgorsze że nikt go nie widział wychodzącym. Te zeznania rzucają nowe i nie-

spodziane światło na sprawę. Czy wiesz pani co mówią, nietylko między gminem, ale w sądach? Mówią że był potajemnie ożeniony z Romana, a gdy, sprzykrzywszy ją, sobie, panią upodobał, zmówiliście się we dwoje, aby sprzątnąć tę zawadzającą żonę. Co mówię, we dwoje? użyliście i dziecka do pomocy, i to najwięcej oburza opinią. Pani powiesz mi, że cała ta historia nieprawdziwa, ale czegoż to dowodzi, jeżeli prawdopodobna i wszyscy w nią uwierzą?" Ja wtedy krzyknęłam: Ale przecież pan nie wierzysz? A on się uśmiechnął jadownicie i powiedział: "To zależy. Sędziowie napatrzą się tylu rzeczy niesłychanych, że wszystko mogą przypuścić. Widywano takie czyny między osobami najlepiej urodzonymi i wychowanymi. a przyznam się... upór pani w tej dziwnej wierności daje wiele do myślenia.... Tylko współnictwo zbrodni zawiązuje takie nieodgadnione stosunki." Słuchałam spiorunowana. Nie wiem czy te wieści krążyły rzeczywiście między publicznością...

— Gdzież tam! Nie krążyły nigdy, przecież byłyby i do mnie doszły — przerwał z oburzeniem pan Tytus.

— Tak, ale ja z mojego zamknięcia nic nie mogłam sprawdzić, a jak Ryszard zaczął mi przytaczać artykuły kodeksu, wystawiać złośliwość pozorów, Boże mój! włosy mi na głowie stanęły. Już widziałam Cesię, pana Tytusa i siebie, włóczonych po trybunałach. Kiedy uznał mię dosta-

7

tecznie nastraszoną, Ryszard zmienił głos i powiedział: "Jest jednak środek ratunku, jedyny i nieomylny. Zostań pani moją żoną, a dowiedziesz swojej niewinności, najprzód w moich oczach, bo przestanę cię podejrzewać o tajemne zobowiązania, potem w oczach świata, bo świat przecież nie przypuści, abym się mógł żenić z osobą której nie szanuję. Zostawiam pani trzy dni do namysłu. Jeżeli po trzech dniach przystaniesz, obiecuję całą, sprawę zatrzeć zupełnie, nazawsze. Jeżeli odmówisz, będę wiedział co myśleć... umyję ręce od wszelkiej obrony, a wtedy radźcie sobie ze sprawiedliwością, jak możecie." Panie Tytusie,



miałam tyle odwagi, że prosiłam aby mi pozwolił jeszcze raz, ostatni raz, napisać do pana. Pozwolił wspaniałomyślnie. List mu chciałam przeczytać, odmówił, czem ostatecznie mię wzruszył. Nie wiedziałam że za drzwiami będzie go czytał i śmiał się ze mnie. Nie pamiętam w życiu dni dłuższych, jak te które przemęczyłam, czekając na odpowiedź od pana. Trzeciego dnia, jakby umyślnie na termin, przyszedł list... ale to znowu był mój własny, w kopercie z pańskim podpisem. Odebrałam go przy obiedzie, a wieczorem byłam zaręczona z Ryszardem. Ja i Cesia odprawiłyśmy cichuteńko pokutę kościelną, za mimowolne odjęcie życia bliźniemu: potem odbył się równie cicho ślub, podobny do pogrzebu, przynajmniej takim się mnie wydawał. Po milczeniu dość długim, Wiesław zapytał:

— I pani była bardzo nieszczęśliwa?

— Nie wiem, doprawdy, jak panu odpowiedzieć. Idąc za mąż w takich warunkach, nie spodziewałam się szczęścia, nie doznałam więc zawodu. Przyjęłam los ten, jako ciężkie dopuszczenie Boże. Zrazu odchodząc od ołtarza, mąż mój powiedział: "Spodziewam się że pani zapomnisz swoich gustów światowych. Ja nie jestem podobny do pana Zapolskiego; moja żona musi lubić dom, być wierną, i kochającą. " Wierną, ma się rozumieć; postanowiłam nią być i byłam do końca, w tym względzie sumienie moje nie przedstawia mi ani cienia wyrzutu. Ale aby stać się kochającą, niedość chcieć; pomimo wszelkich moich usiłowań, zawsze mi wymawiano oziębłość. Polubić dom także łatwym nie było. Złotopol pięknie położony, ale smutny. Ogród pełen świerków, zielonawych wód, a przytem i tajemniczych wspomnień. Kiedyś, pamiętam, chodząc z mężem nad wodą, zapytałam czy to prawda że pierwsza jego żona się utopiła? Uśmiechnął się zagadkowo i odpowiedział: "A jakże, prawda. Nic dziwnego, to była waryatka." I zaczął mówić o czem innym, ja też nie pytałam więcej, przekonana że się zawsze albo zamało, albo zawiele dowiem. Mieszkanie mieliśmy niewygodne; pałacysko z pretensją, a nieskończone. Ojciec Ryszarda zaczął go budować i w połowie dzieła umarł. Mój mąż większą część życia przemieszczał w mieście, a kiedy osiadł w Złotopolu i chciał budowę kończyć, oka-

zało się że początek już groził ruiną. Pokoje były ogromne, ale bez obić, schody o drewnianych, tymczasowych poręczach. Wszędzie jakiś chłód i pustka. Ludność na wsi krnąbrna, służba ponura i wystrachana. Byłam niby panią domu, wszyscy mię niby z pokłonem słuchali, a nie wypełniali żadnego rozkazu, póki nie poszli opowiedzieć się panu. I tak, razu jednego, nie w rok ani we dwa, ale w sześć lat po ślubie, Scholastyka, poczciwa służąca, jedyna co przy wiązała się do mnie. i do Cesi (ją też jedną przywiozłam tu z sobą), przyniosła mi list od jakiejś dawnej mojej znajomej; list był zupełnie obojętny, ale go oddała, nie pokazawszy pierwej panu. Oj! miała też krzyż pański do zniesienia za to! Jak łatwo zgadnąć, taka nieufność głęboko mnie obrażała. Dzisiaj rozumiem, że to nie była nieufność, ale obawa ażebym nie zrobiła jakiego odkrycia. Pierwsze jednak lata zeszły dosyć znośnie. Wprawdzie rozrywek nie miałam, ale ochota do nich dawno mię odeszła, a przytem, w zamian za wszystko, miałam wielkie, rozkoszne zajęcie, wychowanie Cesi. W niej odnalazłam całe szczęście, które Bóg mi gdzieindziej odjął. Cesia dorastała, ufność wzajemna także rosła. Zwierzałyśmy sobie wszystkie nasze wielkie cierpienia i drobne radości. Powoli, znalazłam w niej nietylko najlepszą córkę, ale najgorliwszą przyjaciółkę. I ta jednak pociecha sprowadzała niezgodę. Mąż mój, nie mając o kogo być zazdrosnym, gniewał się o tę wielką

miłość, która, jak twierdził, czyniła mu ujmę w mojem sercu. Cesia, mimo pozornej uległości, szczerze go niecierpiała. Nie dziwię się. Mój Boże! Wahalam

się czy dać jej pana Tytusa za ojczyzna, a musiałam jej dać takiego Ryszarda. Zaklinałam Cesię, aby cierpliwszą była, przypominałam jak wiele mu zawdzięczamy, bo jednak dotrzymał obietnicy, sprawę Romany uciszył, nikt z nas nie był zaczepiony, a nawet posądzony. Cesia przynawała mi słusność, była jakiś czas powolniejszy, ale że ma charakter stanowczy i kocha mnie biedaczka nad miarę, jak tylko mąż mi zaczynał dokuczać zrywała się na moją obronę. Ztąd burze codzienne. Życie stawało się z każdym krokiem cięższe. Mój mąż, w kilka miesięcy po ślubie, wziął dymisję, aby lepiej, jak mówił "używać szczęścia domowego." Z początku istotnie był dosyć wesoły i chciał widać być przyjemnym. Ale przyzwyczajony do rozkazywania na wysokim stanowisku, z wolna przeniósł całą sprężystość władzy na nas. Trawiony bezczynnością, wglądał w drobnostki domowe. Przytem opuścił się w higienie, na czem zdrowie i humor ucierpiał. "W ostatnich latach miewał napady gniewu, których doprawdy nie można niczem innym wytłumaczyć, jak tylko chorobliwym stanem. Z tem wszystkim lata szły i dla Cesi; serce mi się krajało, widząc ją więdnącą w takim czyścu. Ja przynajmniej w przeszłości użyłam chwil świetnych i radosnych, ale ona nic nie znalazła

prócz głuchych tragedij, nikogo nie widywała prócz kilku starych nudziarzy, bo takich jedynie Ryszard przypuszczał do domu.

— Proszę pani — odezwał się pan Tytus — czy to prawda, że przed rokiem pani chciałaś córkę wyswatać za mnie?

— Za pana? Któż mógł panu taką bajkę przynieść?

— Któs co mógł uchodzić za dobrze świadomego — pan Alfred.

— Aha! Alfred. On gotów na wszystko. A zresztą... Jest może i w tej bajce źródło prawdy. Przypominam sobie jak raz przy Alfredzie utyskiwałam nad przyszłością córki, nad trudnością znalezienia dla niej właściwego losu. Mój mąż, pół żartem szukając dla niej męża, przytaczał różnych naszych sąsiadów, same partyę niestosowne i śmieszne, nakoniec zawołał: "Kogóż tedy chcesz? królewicza? cesarzewicza?" Wtedy odezwałam się, może niebacznie, że jeden jest człowiek na świecie, któremu podobnego życzyłabym dla Cesi. Ryszard pierwszy podsunął pańskie nazwisko i zaraz dodał z ironią: "Wątpię wszakże aby chciał bywać w naszym domu, a choćby chciał, to jeszcze niewiadomo czy jaby go wpuścił?" Jaknajprędzej inny obrót nadałam rozmowie, i nigdy już nic wróciliśmy do niej, ale Alfred nie omieszkał panu jej powtórzyć, i to przeinaczając, bo nie wątpię że szuka wszelkich sposobów, aby szkodzić Cesi.

— O, że szuka — wtrącił Wiesław — to ja wiem najlepiej. Ale dlaczego?

— Dlaczego? Dla najzwyczajniejszej zemsty. Właśnie w tejże samej epoce, przed rokiem, niespokojność moja o córkę stała się nie do zniesienia. Wyrzucałam sobie że nie mam dość energii na obronę dziecka, i oświadczyłam Ryszardowi że musimy koniecznie wyjechać ze Złotopola, a jeżeli on nie może, bo zawsze składał się na brak zdrowia, to ja wyjadę z córką do Warszawy, albo za granicę. On, który nigdy nie dał sobie wspomnieć bez gniewu o podobnych zamiarach, tą razą uśmiechnął się wesoło i powiedział żebym się nie troszczyła, że już sam pomyślał o przyszłości Cesi. I wymyślił coś przepysznego! W kilkanaście dni później pojawia się Alfred. Dotąd, pamiętna niektórych szczegółów przeszłości (pan Tytus mię zrozumie), trzymałam zawsze mego pasierba w wielkiem oddaleniu i surowej oziębłości. Ale tą razą przyjechał z wielkim trzaskiem, ukłonami i upominkami. Nazajutrz mój mąż oświadczył go o rękę mojej córki. Już tylko nam tego brakowało. Ma się rozumieć, odmówiłam z oburzeniem. Przecież ja się dawniej gniewałam, kiedy ten osławiony człowiek śmiał na mnie oczy podnieść a miałabym mu dać mego anioła? Dość było jednego Pełki w rodzinie, dość było jednej z nas na ofiarę. Ale mój mąż nie mógł zrozumieć powodów tej odmowy. Kochał syna gwałtownie, gryzł się jego szaleństwami, to tuż gorąco pra-

gnął dobrze go ożenić, w nadziei że się ustatkuje. "Czegóż więcej żądacie, pytał ze szczerem zdziwieniem. Przecież Alfred jest piękny, jak mało kto w Polsce? Zostawię mu ogromny majątek, przytem rozkoszny, dowcipny, damy za nim przepadają." Ale byłam niepokonaną, Ryszard się zasmucił, i pierwszy raz w życiu mi ustąpił. Minęło kilka tygodni, myślałam żeśmy już oswobodzone od tej napaści, kiedy dnia jednego (pamiętny to dzień) Alfred niespodzianie przyjechał. Siedziałyśmy z robotą w salonie; mój mąż, mocno słaby, drzemał w sąsiednim pokoju. Alfred wszedł pomieszany, wyznał że pomimo pierwszej odmowy, żyć nie może w oddaleniu od Cecylii, padł mi do nóg, błagał abym się za nim wstawiła, potem zwrócił do niej mowę patetyczną, tak pełną ognia, że zaczęłam w nim przypuszczać prawdziwe przywiązanie. Cesia odcięła mu się ostro; wstał urażony i poszedł do ojca. Przez drzwi niedomknięte cała rozmowa nas dochodziła. Wtedy zrozumialiśmy natarczywość jego konkurów; miał ogromne długi i nie widział innego sposobu splacenia ich, jak posagiem Cesi. Gdy i ta nadzieja speliła, żądał aby ojciec zapłacił. Ojciec, nieustannie przez niego obdzierany, odmówił. Wtedy niepoczciwy syn wystąpił ze sceną niegodną... wcale nie synowską. Wymawiał ojcu że już raz mu bogatą żonę zdmuchnął i dla siebie zabrał, a teraz nie umie czy nie chce drugiej mu naraić. Że już mu trzydzieści lat minęło,

uchodzi za bogatego, a z łaski ojca nigdy nie ma grosza przy duszy. Tamten słuchał, słuchał, aż nagle zaczął piorunować z całej wysokości obrazonego ojcostwa. Obaj krzyczeli, że ażeśmy się trzęsły ze strachu. Wkońcu ojciec kazał mu wyjść za drzwi i nigdy się na oczy nie pokazać. Alfred wyszedł blady, jak trup. Pobiegłam do męża, chcąc go ukoić i ubłagać; nigdy nie lubiłam Alfreda, ale teraz bałam się, aby nie sądzono że różnię ojca z synem. Nie dał mi trzech słów powiedzieć. Zaczął i na mnie krzyczeć: "Ja wiem że wy wszyscy przeciw mnie trzymacie. Chcielibyście widzieć mię już pod ziemią." Zamilkłam, rozżalona niesłusznoscia, wyrzutu, bo nigdy może dla tego człowieka nie miałam więcej współczucia, jak widząc go zranionym w najczulszej stronie serca. Już się oddalałam, kiedy odwołał mię łagodnie: "Irenciu, nie odchodź, jakoś mi niedobrze." Nim do niego doszłam, upadł, rażony apopleksją. Twarz prawie zczerniała. Felczer domowy zaraz mu krew puścił, co uratowało życie, ale tylko na kilka tygodni, ach, i jakie życie! Przez pół ciała został paraliż, mowa odjęta. Po kilku dniach jednak zaczął znowu mówić i dużo, ale niewyraźnie. Rzadko już kogo poznawał. Ja jedna mogłam nieco rozumieć ten jego nieustanny monolog, nie wiedzieć nad czem utyskujący, nie wiedzieć czego żądający. Wprawiłam się w pochwytywanie wyrazów; z początku sądziłam że to czysto chorobliwe majaczenie;

zwolna jednak zaczęłam w tym chaosie dostrzegać powtarzające się ciągle zwroty i obrazy, które mię wprowadziły na drogę niespodziewanych podejrzeń. Często podrywał się, wołając: "Za co mię sądzicie? Za co mię skarżycie? Przecież nie zfałszowałam ani jednej litery?" Jednego wieczora zupełnie był nieprzytomny, ale gorączkowo ożywiony; mimo ciepłej pory, kazał wielki ogień rozpalić na kominku i wołał aby mu przynosić listy. Przynosiliśmy wszystkie jakie się znaleźć dały. On wszystkie odrzucał, niecierpliwie się rozpaczliwie. Zrozumiałam nakoniec z jego mowy, że chodzi o te moje listy, które pan Tytus mi odsyłał. Pobiegłam i wzięłam niektóre, ale nie wszystkie; tknięta jakimś przecuciem, zostawiłam kilka. Przyniesione, Ryszard pochwycił skwapliwie i nie rachując, wrzucił w ogień. Potem zaczął wołać: "A tamte?" Wszyscyśmy się pytali: Które tamte? A on powtarzał: "Tamte, co są u tamtego!" Nic nie mówiłam, ale dziwne myśli mię opanowały... Po dziewięciu latach poddania się nieszczęściu, zaczynałam pytać czy to nieszczęście nie było sztucznie zbudowane? W domu naszym panował popłoch nie do opisania. Alfred tulał się jak widmo po bocznych pokojach, czekał u progu, ale próżno. Prosiłyśmy za nim wielokrotnie... ojciec do końca nie

przebaczył. Nastął dzień w którym uczuł się zupełnie przytomnym i tak wyraźnie zdrowym, że cały dom zaczął drzeć na nowo. Ryszard posłał coprędzej po prawni-

ka, zamknął się z nim na godzinę i spisali testament. Wieczorem, kiedy weszłam do niego, zdaje mi się że mnie nie poznał. Chcąc korzystać jednak z ostatnich błysków jego przytomności, zapytałam czyby dla pociechy nie chciał widzieć księdza proboszcza, który czekał w drugim pokoju? Słowa moje przeraziły chorego. Zawołał: "Nie chcę! Nie chcę księdza! Jeszczeby kazał wyznać, naprawić, pokutować. Ja to wszystko zrobię kiedyś, ale nie teraz. Ja jeszcze wyzdrowieję. Jutro mi będzie lepiej." — Kiedy przyszło jutro, już nie żył.

Znów nastąpiło milczenie. Wiesław spoglądał ze wzruszeniem to na panią Irenę, to na wujka. Uczuł się mały wobec tej wypróbowanej pary. Czemże była jego kilkodniową rozpacz, wobec ich dziesięcioletniej męki? A jednak i on cierpiał. Rana drobna, ale świeżo otwarta, więcej nieraz dolega, niżeli największa, dawno zagojona.

— Mąż pani — odezwał się pan Tytus — musiał zostawić niebardzo żalodne wspomnienie?

— Ach, niech Bóg broni, aby które z nas miało zostawić podobne. Służba, ludność wiejska, rozpromieniły się jakby, odrodzono. A Cesia? Ta pierwszy raz od dzieciństwa zakwitła i spojrzała na świat Boży jasno. Ja sama uczułam się jak osoba żywcem zamurowana, którą na czas odkopują, w chwili kiedy już, już sił i tchu jej brakuje. Musiałyśmy unikać ludzi, ażeby nie dostrzegli naszych nieprzyzwoitych wrażeń. Im mniej

7

czułam smutku, tem sumienniej postanowiłam dochować żaloby i wszystkich zewnętrznych oznak żalu. W testamencie z niemałym podziwieniem znalazłam znaczne zapisy dla siebie i córki. Nieboszczyk nam dawał, a synowi ujmował, ile tylko mógł bez nadwężenia prawa. Postarałam się do pewnego stopnia nagrodzić Alfredowi ten uszczerbek; wiedząc że głównie potrzebuje gotówki, pokupowałam od niego na wagę złota konie i niektóre sprzęty. Jak tylko się skończyły obrzędy i konieczne formalności, uciekłyśmy ze Złotopola. Ach, w Warszawie odetchnęłam. Tu same słodkie i wesołe wspomnienia. Długo nie mogłyśmy uwierzyć.. że już nie cięży nad nami żadna ręka tyrańska; tygodnie upłynęły, zanim ośmieliłyśmy się głośno rozmawiać. Pierwszą myślą moją, było odnaleźć pana Tytusa i sprawdzić szczegóły naszego rozłączenia, bo teraz niczemu już nie dowierzałam. Przez długie lata wyrobiło się we mnie straszne, ale już uspokojone przekonanie, że mię przestano kochać, a może i nigdy nie kochano. Wszystko mię utwierdzało w tej pewności, nietylko zwrot moich listów, ale mnóstwo dalszych pozorów. Niezadługo po ślubie, mój mąż przeczytał mi tryumfalnie list, jaki pan do niego pisał, list okropny, pełen rozpacz po Romanie, błagający o jej zwłoki, a dla mnie napiętnowany największą, obelgą, bo takim zapomnieniem, jakby mię na świecie nie było. Później Alfred za każdym przyjazdem bawił nas opowia-

daniami, w których, przypadkiem czy umyślnie, zawsze odnajdywały się wszelkie wiadomości, jakie tylko mogły być najboleśniej dla mnie; wiedziałam że pan Tytus się wybornie bawi, że interesami gorączkowo zajęty, że w najlepsze głowy zawraca, a o dawnych znajomych ani wspomni... I mnie nic nie pozostawało, jak zamknąć się w najwyższej godności milczenia. Aż oto kilka słów zdradzonych przez maligę kładzie na tem wszystkim nowy znak zapytania. Jaka to łaska Pana Boga że mię ostrzegł, i to przez własne usta Ryszarda! Bez tej przestrogi nie byłabym już nigdy szukała z panem spotkania; pan także, śmiertelnie obrażony, byłbyś do śmierci odemnie stronił. Tu więc przyjechawszy, zaczęłam się na wszystkie strony podpytywać. Długo spotykały mnie same zawody. Nietylko że pana nie znalazłam w Warszawie, ale nikt nie umiał mi powiedzieć napewno, gdzie pan się znajdujesz.

— Byłem poprostu na wsi.

— A teraz możecie sobie panowie wystawić, jakie było nasze wrażenie, kiedyśmy się dowiedziały że nowy nasz znajomy, pan Różyc, jest rodzonym pana siostrzeńcem.

— Zauważyłem to niesłychane wrażenie. Teraz się już nad niem nie dziwię.

— Odtąd nie wątpiliśmy, że samo niebo przysłała nam pana Wiesława. Wszystko też zdawało się na dobre składać. Nazajutrz pan Tytus przyjeżdża, spotykamy się w Alejach. Ach to spotka-

nie! Ja na nie liczyłam, jak na hasło zbawienia. Krążyłam umyślnie przy Dolinie szwajcarskiej, w nadziei że i panowie tam wysiądziecie. Istotnie, zjawia się mój pan Tytus... pierwszy raz go widzę od tamtej rozmowy... mimo wszelkich uraz mało mi się serce nie rozplynie — i cóż? Rozchodzimy się jeszcze nieprzyjaźniejsi, niż dawniej.

— Cóżecie sobie państwo takiego powiedzieli?

— Mój Wiesławie, jakże ja mogłem zrozumieć? Pani Irena powiada: — "Panie Odoniczu, serce kobiety wiele może przebaczyć; wyjaśnijmy raz naszą przeszłość, wytłumaczmy sobie owo odsyłanie listów." Ja myślałem że mówi o moich listach, o tych co mnie były odsyłane, i oburzony że ona jeszcze może obiecywać przebaczenie, kiedy powinna sama o nie prosić, postawiłem się dosyć twardo.

— Ach, i jak! Pan powiedziałeś mi z gorzkim lekceważeniem: "O pani, to rzeczy dawno zapomniane; niewarto ich nawet tłumaczyć." I odszedłeś, zostawiając mię wpół martwą. Jeden tylko wyraz jeszcze mię pocieszał: obiecałeś nas odwiedzić. Czułam po twoim głosie, że to czcza obiecanka, jednak jej się czepiłam z uporczywością nadziei. Cały piątek zszedł na oczekiwaniu. Ten dzień był dla mnie jakby rok. W sobotę odważyłam się na ostatnią próbę: posłałam list... aż się rumieniłam samej siebie... raz jeszcze list! Odesłałeś go pan w drugiej kopercie. Ten postępek, zestawiony z dawniejszemi, wyrzucił cały

gmach moich domysłów i marzeń. Upokorzona do żywego, utwierdzona w pierwszym przekonaniu, postanowiłam nigdy już do pana kroku nie uczynić, a kiedy Cesia błagała mię abym jej pozwoliła na swoją rękę działać, zabroniłam surowo. Ale dziecko się uparło... i dobrze zrobiło.

— Panna Cecylia — rzekł Wiesław — dowiodła rzeczywiście niezmiernej... nie wiem jak powiedzieć? śmiałości, czy odwagi, bo działała nie tylko przeciw pani woli, ale bez pani wiedzy.

— Zkąd-że pan przypuszcza że bez mojej wiedzy? zapytała matka z żywością.

— O pani, ja wiem wiele... a jednak może niedość wiele, aby mieć sąd jasny. Panna Cecylia sądziła się otoczona zupełną tajemnicą, tymczasem przypadek uczynił mnie kilka razy świadkiem rzeczy dziwnych... i to szczęście że mnie a nie innego... kto inny byłby sobie może źle wytłumaczył niektóre pozory.

— I cóż widziałeś tak strasznego? — zapytał, śmiejąc się, pan Tytus.

— No... na przykład panna Cecylia była samiuteńka w odwiedzinach u wuja.

Pani Irena zmieszała się i zatroskała.

— Istotnie — rzekła — Cesia troszkę nieprzezornie prowadziła to przedsięwzięcie.

Słyszając później szczegóły przez nią same opowiadane, zadrżałam wielokrotnie...

ale cóż pan chcesz? Nie mnie ją strofować, kiedy wszystko czyniła z popędu najczystszej miłości dziecięcej. Wiele też

trzeba położyć na karb nieznamośności świata. Zkąd-że go ma znać, przesiadziawszy całą młodość na zaklętej pustyni? Ta to nieświadomość właśnie dała jej ślepa odwagę i pozwoliła cel osiągnąć.

— Kiedy jednak — wtrącił pan Tytus — Wiesław mówi że już wie dużo, a jeszcze niedosyć aby mieć sąd jasny, będzie może najlepiej, gdy się dowie wszystkiego.

Niech panna Cecylia sama opowie nam swoją Odysseję.

— Słuszna rada — odrzekła matka. — Naiwność jej opowiadania będzie najlepszym świadectwem niewinności jej serca.

I wstając, dodała: — Pocziwe dziecko, przez delikatność usunęło się od naszej rozmowy. Czuję że matce byłoby trudno w obecności córki tykać niektórych ustępów swego życia. Ale teraz już na nią kolej.

Uchyliwszy drzwi, zawołała: — Cesi! Cesi! Gdzież tak długo bawisz?

Cesia wbiegła zarumieniona, z błyszczącymi oczami. Wiesław chciał jej ustąpić krzesła obok pani Ireny, ale nim zdążył, uwinęła się i siadła u stóp matki, na haftowanym podnóżku. (Dostrzegł wtedy że podnóżek już jest ukończony).

— Chciałbym wiedzieć — zapytał — jakich pani cudownych środków użyłaś, aby nawrócić mego wuja? Bo przecież matka pani próbowała napróżno. Ja rozwinąłem usiłowania ludzkie i nad-

ludzkie... gdzie tam! Słowa moje padały jak na skałę. Pani się tylko pokazałaś i cud dokonany.

— O, przepraszam pana, wcale niedość było się pokazać. Wuj pański jest najupartszym, najbardziej nieużyтым człowiekiem na kuli ziemskiej. Wszystkich zwyciężał, jak Rossya Napoleona, cofając się. Kiedy ten list odesłał, kiedy manię widziałam tak chorą i zgryzioną, wziął mię do niego żal śmiertelny. Idę do mamy i powiadam: Ja go muszę przekonać, ja mu oczy otworzę. Mama nie chce wierzyć, ani pozwolić. Błagam, zaklinam, nie i nie! Wtedy, w rozpacz, postanawiam sama wszystko zrobić. Może to źle? Widać jednak że nie, kiedy Pan Bóg pobłogosławił. Przepraszam najdroższą mamunię — wołała, całując kolana matki — powiem jak małe dzieci: "Już nigdy nie będę..." ale na ten raz musiałam... cel uświęca środki.

— O! moje dziecko, z tą jezuicką maksymą daleko można zajechać.

— Prawda, mamó, ale na ten jeden raz! Przecież nie trafia się codzień szczęście drogich osób do ratowania. Otóż, dowiedziawszy się przez pana Różyca, że jego wuj zostaje na ślub panny Moszkowickiej, powiedziałam sobie: I ja tam pojadę. Było to niełatwo, a nawet przykro, wybierać się na zabawę, kiedy matka niezdrowa i smutna. Musiała się mamunia bardzo dziwić, z kąd mi tak nagła ochota przyszła.

— Wszystko przypuszczałam, prócz myśli że

idziesz tam szukać pana Tytusa, bo mi nie powiedziałaś, filutko, że został na wesele.

— Jeszcze też miałam mówić! To byłoby zepsuć siurpryzę. Więc tedy stroję się, jadę, widzę nakoniec tego pana Tytusa, którego ledwie jak przez mgłę pamiętałam. Powtarzam sobie: Teraz mu wszystko powiem. Ale jakże to zrobić? Przy stole, w natłoku, ani sposób. Po obiedzie ucieka mi do drugiego pokoju. Ja za nim. Zaczepiam go prosto z mostu: Chciałabym panu powierzyć wielką tajemnicę.... Ale jeszcze tych słów nie dokończyłam, kiedy pan Tytus dobywa zegarek, bierze za kapelusz i mówi: "Przepraszam panią, po milion razy przepraszam, ale w tej chwili nie mogę pozwolić sobie przyjemności dłuższej rozmowy... Inną razą., jak tylko pani każe. będę jej służył, tylko dziś niepodobna... O tej godzinie właśnie ktoś na mnie czeka z ważnym interesem." Muszę przyznać, panie Odoniczu, że kiedy chcesz być zimnym, jesteś co się nazywa strasznym. Stałam jakby kto górę lodu na mnie zwałił. Gdzie i kiedy odnaleźć drugą sposobność spotkania się z panem? Pomieszana, wpadłam na pomysł, który mi się wydał genialnym, a był, jak widzę, troszkę śmiesznym. Sądziłam że naznaczając panu rendez-vous tajemnicze, ogromnie pana zaciekawię i jak ptaszka złapię w sidło. Naznaczyłam więc panu owę schadzke w ogrodzie, a chcąc uspokoić pańskie domysły i zwrócić je tylko na moje osobę, dodałam że mama nic o tem wszyst-

kiem nic wie. Pan Odonicz odpowiedział ukłonem. Jego milczenie zdziwiło mnie, ukłon jednak mógł także znaczyć: Stawię się. Już też i nie było czasu się cofać, zniknąłeś pan jakby kamfora a ja zostałam, wzburzona i niezadowolona z samej siebie. Czułam że się zapędzam na drogę ślizką" nie w oczach sumienia, ale w oczach roządku. Wróciwszy do domu, sto razy już chciałam rzucić się mamie do nogi wszystko powiedzieć; ale zawsze mię wstrzymywała uwaga, że tak daleko zabrnawszy, trzeba przynajmniej dopiąć celu. Mówiłam w duszy: Niech sobie pan Tytus co chce do jutra o mnie myśli, niech tylko tam przyjdzie, a wszystkiego się dowie. Całą noc jednak nie spałam, całe rano przemęczyłam się, jakbym rzeczywiście była winna. Po południu jadę z poczciwą Scholasią, którą musiałam troszkę przypuścić do sekretu. Ach, jakaż mie w tym ogrodzie miała spotkać konfuzya! Mój oczekiwany nie przyszedł, a przyszli wcale nie czekani. Panie Różycu, czy pan się tam znalazłeś przypadkiem?

— Proszę pani, długoby o tem mówić... Kiedyś może opowiem ten zbieg okoliczności... Dziś chciałbym tylko panią słuchać. Więc wuj wcale nie przyszedł?

— Ma się rozumieć że się ani pokazałem. Przecież nie byłem dosyć dobrodusznym, aby uwierzyć w rendez-vous dla moich pięknych oczów. Zmiarkowałem odrazu że to podstęp, i to bardzo przezroczystry, a jeśli panna Cecylia sądziła mię

tak chciwym na tajemne schadzki, to tylko dowód jak mało zna ludzi, co długo w świecie żyli i wszystkim są przesyceni.

— O, już to pewne — zawołała Cecylia, śmiejąc się wesoło — że jestem na zawsze wyleczona ze schadzek. Wróciłam do domu złamana, nietyłe mojem upokorzeniem, co nieudaniem się zamiaru. Cóż było robić? Wiedziałam że pan Odonicz nazajutrz wyjeżdża. W rozpacy odważyłam się na ostatnie kłamstwo i krok najszałejszy: pojechałam do państwa Moszkowickich, a poszłam na drugą, stronę schodów. Służący pański nie miał ochoty wpuścić nieznanomej; ale przygotowałam talizman: słowa, że przynoszę ważną wiadomość dotyczącą się Włoszki Romany, otworzyły mi wrota. A! już kiedy pan Odonicz zastał mię u siebie, nie mógł się obronić prawdzie, musiał wszystkiego wysłuchać i dać się porwać. Wystaw sobie, panie Różycu, osłupienie, rozczulenie mamy, kiedy najniespodzianiej stawiam przed nią pana Tytusa, przekonanego i skruszonego. Już co ja, to myślałam że oszaleję ze szczęścia. Padamy do nóg mamie, błagamy aby nakoniec oddała swoją rękę panu Tytusowi, aż oto... cóż pan powiesz? Mama zaczyna się namyślać, ostatnie słowo odkładać, i do tej godziny, jeszcze nie dała się namówić. Niechże nam pan pomaga w prośbach, bo już nie wiemy co robić.

— Najłaskawsza pani — zaczął Różyc — i ja najpokorniej łączę głos

Ale pani Irena przerwała:

— Moi drodzy, jakże możecie mi się dziwić? Wahałam się przed dziesięciu laty, choć byłam jeszcze w sile wieku, pełna wiary w szczęście... a nie mam się wahać dzisiaj, kiedy tyle cierpień i wątplień odjęło mi odwagę? Bo trzeba odwagi, aby wstępować w związki nowe, i to po raz trzeci, rozpoczynać niejako życie w chwili, kiedy się już powinno myśleć o innem życiu, bo jeszcze kilka lat, a przyjdzie starość, z nią inny pogląd na wszystko. Zresztą, po co przesądzać przyszłość? Dzisiaj dajcie mi się nacieszyć chwilą pojednania, tym prawdziwym ślubem dusz naszych.

Mówiąc, spojrzała smętnie na pana Tytusa. Ten milczał, i ująwszy ze stołu sztylet, oglądał go w głębokiem zamyśleniu.

— Jakimże sposobem wrócił do pani? — zapytał.

— Znalazłam go w biurku męża.

— A ja — dodała Cecylia — chowam go jako straszną, ale i drogą relikwią, boć to przecież na nim jest krew mojej świętej.

Tu wstała i piśczętliwym ruchem nieco uchyliła koronkową mantylę matki; pod białem ramieniem ukazał się początek blizny, widoczny jak sina niteczka, na

której córka złożyła gorący pocałunek.  
Panu Tytusowi na widok tej rany, dla niego

7

poniesionej, oczy zamglily się rozrzewnieniem i łza kroplista zwisała mu na rzęsie.

W tej chwili wszedł Sebastyan ze swoją, staroświecką miną i staroświeckim ogłoszeniem: Waza na stole.

Panie i panowie ruszyli dwiema parami, i obsiedli stół czworograniasty, jaśniejący od kwiatów i starych rodzinnych sreber. Obiad okazał się prawdziwym arcydziełem sztuki kucharskiej; Cecylia dzisiaj nie oszczędziła specjałów.

Obie panie były rozpromienione; zato pan Tytus jakiś dziwny. Nie sarkastyczny, ani ponury, broń Boże! ale łagodny i cichy, jak nigdy. Czasem zdobywał się na wesołość, która wnet gasła, jak sztuczny ogień.

Wiesław także niewiele mówił. Pod ogromem nowych odkryć i nowego szczęścia, nie mógł trafić do ładu z własnymi myślami. Jadł, nie wiedząc sam co spożywa, rozmowy słuchał z roztargnieniem, a duszą co chwila zapadał to w przeszłość, to w przyszłość. Od czasu do czasu uśmiechał się mimowoli. Jeszcze nietylko dwadzieścia lat, ale dwadzieścia godzin nie minęło, a już się uśmiechał nad swoją Werterowską przechadzką, o świcie, nad niedoszłą dymisją, wyjazdem nazawsze, a nade wszystko nad listem pani Ireny, który jeszcze nosił w kieszeni. Po obiedzie powstał zamiar przejażdżki do Wierzbna.

W obawie czy niebo się nie chmurzy, Ce-

cylią wybiegła na ganek. Wiesław poszedł za nią. Dzisiaj nie było przed nimi księżyc, ale był wspaniały, pałący się uroczyście, jak pochodnia hymenu, zachód słońca, który rzucał płomieniste połyski na warkoczową koronę Cecylii.

— Jak ja panią dotąd mało znałem — szepnął Wiesław. — Zdawało mi się że oblicze i dusza pani tchną dziecięcą swobodą, że pani jeszcze nigdy nie kosztowałaś gorzkich owoców z drzewa świadomości. Teraz... patrzę innymi oczami: umiem dojrzeć nietylko w słowach, ale nawet w uśmiechu pani, ślad długich rozmyślań i boleści.

— Nie dziwi mnie złudzenie pana. Przez dziesięć lat w Złotopolu nauczyłam się tać wszystkie myśli, zacierać wszelki wyraz na twarzy, na której też w końcu wyrobił się rodzaj nieruchomej maski. Dziś jeszcze nie mogę od niej odwyknąć, ale w chwilach głębokich wzruszeń sama spada...

I spojrzała na Wiesława z wyrazem, który dowodził że to właśnie była chwila głębokiego wzruszenia.

Młodzieniec ujął jej rękę.

— Pani... — rzekł — Cecylio... Przed tygodniem, dziś właśnie tydzień... mówiłaś mi tu słowa, których zrozumieć nie mogłem, o dopełnieniu ważniejszych obowiązków, o zapewnieniu cudzego szczęścia. Ależ teraz już te obowiązki dopełnione. Czyż więc teraz nie mógłbym usłyszeć ostatniego słowa?

Cecylia zamyśliła się, a nawet nieco zachmurzyła.

— Panie Wiesławie, na ostateczne słowo czy jeszcze nie zawcześnie? Gdybym powiedziała że nikt mi się tyle co pan nie podobał, nie byłby to wielki komplement, bo prawdę mówiąc nikogo nie znam, z nikim się częściej nie widywałam, chyba z panem Alfredem, którego nie rachuję między ludzi wartych poznania. Zostaw mi pan nieco czasu na wypracowanie mojej duszy, na rozpatrzenie się po świecie i życiu. Pan zapewne już nie potrzebujesz wyrabiać swoich pojęć, ani ludzi badać, ale użyjesz tego czasu, aby sobie zdobyć poważne stanowisko ' społeczne, a potem — czy pan słyszałeś kiedy panią Ristori?

— Nigdy pani.

— Ale pan wiesz jaki wyraz najpiękniej, sławnie wymawiała?



— Jakież to wyraz?  
— Vedremo.

## XII.

— I cóż dalej? Obie pary pobrały się szczęśliwie?  
— Ach, mili czytelnicy, czy uwierzycie? Dotąd jeszcze nie.  
— To bardzo źle. Cóż warta powieść, której główne osoby ani się żenią, ani umierają?

— Przyznaję, niewiele warta Ale jeśli ma zaletę jaką, to chyba swoją prawdziwość. Przez tyle rozdziałów, z kwakerskim uporem, trzymałam się rzeczywistych wypadków, odrzucałam kuszące podszepty wyobraźni, mamże na samym końcu rozminąć się z prawdą?

Nie godzi się, tem bardziej że takie zakończenie, oprócz fałszowania treści, przedstawiałoby fałsz duchowy.

Tylko w baśniach i na teatrze bohaterowie zapominają, odrazu strasznych swoich przygód i długich nienawiści; jeszcze z krwi nie otrą mieczów, jakimi się ranili, a już wzajemnie rzucają się w objęcia, stary król błogosławi i wszyscy wielkim orszakiem weselnym, wielkiem tutti z kotłami i puzonami żegnają publiczność, która też o ich losy już dalej niewiele się troszczy.

Ale w życiu inaczej. Długo zajątrzone rany długo się potrzebują goić.

Wieloletnie urazy tylko się z latami zacierają.

Odonicz nie mógł zaprzeczyć że był uszczęśliwiony, odkrywając niewinność i niezachwiane przywiązanie Ireny. Rozumował nad swoim szczęściem. Wmawiał w siebie, nakazywał sobie radość, nie była to jednak ta radość wielka i upajająca, której byłby doznał przed laty.

Nadto długo przyzwyczaił się uważać Romanę za swoją ofiarę, a Irenę za swego kata, aby odrazu odwrócić te pojęcia. Teraz wstydził się wyrzutów sumienia wycierpianych dla pierwszej,

wyrzutów serca rzuconych na drugą. Wprawdzie nie był im winien, przeznaczenie i złość ludzka w błąd go wprowadziły. Jednak dla duszy tak dumnej zaprzeczyć z dnia na dzień wszystkim swoim zdaniom, o! to próba twarda, zdolna wszelkie szczęście zachmurzyć.

Wiele go także kosztowało przyznanie się do tej zmiany przed Wiesławem. Nie mógł sobie teraz darować, czemu się przed nim wywnętrzył. Czemu dziesięć lat w milczeniu wytrzymał, nie wytrzymał jeszcze dwa dni dłużej? Ale któż mógł przewidzieć? Czy to nie prawdziwa feralność? Tajemnica zdawała się tylko czekać na jego zwierzenie, aby dopiero wtedy rozedrzyć przed nim zasłony.

A może też, na szali cierpień, trzeba było tego ostatniego upokorzenia, aby zawzięty los przebłągać?

Ta zabobonna uwaga nieraz mu na myśl przychodzi i pierwsze wstrząśnienie zwołna się uspokaja. Nieraz, kiedy rozmowa go ożywi, kiedy głos Ireny go oczaruje, Odonicz zapomina o latach przerwy; zdaje mu się że siedzi przy wdowie nie Pełkowej, ale Zapolskiej, że Cesia jest jeszcze mała, że mają w jakąś podróż jechać.

Ale niech w takiej chwili spojrzy na rękę Ireny, odwraca nagle oczy, ze zmieszaniem, prawie ze wstrętem... Ta ręka smukła, pieściwa, o którą tyle razy prosił, ta sama ręka... strach pomyśleć... zadawała śmiertelne ciosy... wprawdzie

była w swoim prawie, w najświętszym prawie obrony; trzeba dziękować niebu że

znalazła dość siły, aby odeprzeć napaść, a jednak...

— Niema żadnego a jednak — powtarza sobie niecierpliwie. Powinienem czcić Irenę więcej, niż kiedykolwiek. I uśmiecha się znów i rozmawia, ale czar już zerwany i nieraz całe dnie miną, nim znów pochwyci złudzenie przeszłości. A nawet choć je pochwytuje, to nigdy zupełnie. Ach, oboje tacy zmienieni!

Gdyby te lat dziesięć przeżyli blisko siebie, aniby spostrzegli różnicy. I nie mówię o zmianie zewnętrznej — ta obojgu raczej na korzyść wypadła. Co utracili z puszgowych, z motyli powabów pierwszej młodości, to druga młodość sownie nagrodziła orlą potęgą, spojrzenia, wyrazem rysów rozumniejszym i może namiętniejszym niż dawniej. Z postaci mogliby się podobać jak nigdy, ale pojęcia! Ale pogład na życie, a nadewszystko na miłość!

Gdzież jest owa, wróżka, na której skinienie serca się zapalały, wyobraźnie budowały czarowne zamki marzeń? Monarchini wdzięków, której postać obsypana klejnotami rozjaśniała gmachy, a rozmowa iskrząca dowcipem rozżarzała umysły? Gdzie nadewszystko owa niewinna zalotność, co potrafiła razem i wabić, i odsuwać?

Wróżka zmieniała się w posąg, piękny zawsze i godzien uwielbienia, ale nieruchomy, ze stopami przywalonemi od gruzów przeszłości. Zadłu-

go na jej piersiach ciężył kamień przymusu i milczenia. Oduczyła się żądz panowania, tryumfu, radości, wszystkiego, nawet skargi. Teraz, gdy się uśmiecha, to tylko aby drugim nie psuć wesołości, a gdyby nawet jeszcze odważyła się kochać, to już więcej dla cudzego, jak dla własnego szczęścia.

A Tytus? Irena nie może poznać swego łagodnego Endymiona w tym piorunującym Jowiszu. Młodzieniec lat dawnych, pełen wiary w uczucia, zapалу dla zacnych myśli, rozmarzony o szczęściu domowem, ani podobny do potentata wiedzy, do rozsiadłego na złocie dyktatora hulaszczycich biesiad, co na świat cały, a szczególnie na kobiety patrzy przez czarne szkło swoich zawodów.

Zawody te wprawdzie już się wyjaśniły, przyczyna co na duszy jego wycisnęła piętno goryczy, już dziś nie istnieje, ale wycisk na duszy został, i może się nigdy w zupełności nie zetrze.

Gdyby mu teraz przyszło stanąć z panią Ireną przed ołtarzem, nie wiem czyby szedł krokiem chętnym i wesołym. Czyby na własnem weselu mógł śmiało spojrzeć w oczy swoim adeptom, którym jako arcykapłan życia dla użycia tak świetnie wykladał anty-obowiązkowe zasady.

To też ostatnią odmowę Ireny przyjął z filozofią i rodzajem skrytej wdzięczności.

Pani Irena odgadła to wszystko. I nie potrzebowała namysłów, ani badań. Od pierwszej chwi-

li, wzrokiem dawnej miłości, ogarnęła przepaść co ich dzieli.

Zaraz po pierwszym spotkaniu, kiedy koło północy Odonicz odszedł, Cecylia, uklękłszy raz jeszcze u kolan matki, pytała ze łzami w oczach:

— Mamo kochana! Ja nie mogę mamy zrozumieć. Wszystko przewidziałam, oprócz tej odmowy. Przeszkody, jakie mama przytaczała, nie są, dość ważnemi, aby odpychać szczęście tak długo czekane. Musi być jakaś inna przyczyna, jakaś jeszcze przeszkoda, a ja nieszczęśliwa nie umiałam ani jej odgadnąć, ani usunąć.

Matka długą, chwilę się zawahała.

— Tak, Cesium, jest przeszkoda, ale tej nikt na świecie nie mógł przeczuć, ani zaskoczyć. Nadto się prawdziwie kochamy, abyśmy miały przed sobą, ukrywać jakakolwiek myśl albo wrażenie. Otóż powiedz sama, czy pan Tytus przyjął tę wiadomość tak, jak się spodziewałaś? Nic nie mówisz? Twoje milczenie już dość mówi. Czekalam na pierwszy poryw uniesienia; od niego miała zależeć moja odpowiedź. Poryw nie przyszedł.

— Może to i prawda — odrzekła córka posepnie. — Ten człowiek niewart mamy.

— Nie, Cesium, nie potępiamy go tak prędko. Uniesienie od woli nie zależy.

Lepiej że nie udawał. Zapomnieliśmy że lata musiały go odmienić. Może i mnie znalazł inną, niżeliby żądał. Może nie byłby już wspomniął o małżeństwie,

gdybyś sama tej myśli mu nie podsunęła. Przypomnij sobie: wszak po skończonych wytłumaczeniach, ty pierwsza zawołałaś: No, teraz już przecie mama nie odmówi ręki panu Tytusowi. Nie chcę ci, kochanie moje, wymawiać słów tych; wiem że wybuchnęły prosto z serca, w najlepszym zamiarze. Ale słysząc je, stanęłam w płomieniach. Złękłam się, żeby nie sądził że jesteśmy w znowie. Ma się rozumieć, po tak wyraźnym wyzwaniu, nie mógł odkładać oświadczyn, ale już wiedziałam co o nich myśleć, i odmawiając, ucieszyłam się na widok jego spokojności. Tak, moja złota Cesi, ucieszyłam się szczerze.

— Dlaczego, proszę mamy?

— Dlaczego? I to ty się pytasz? A przecie mam. Ciebie, czegoż mi więcej trzeba? Każdy nowy obowiązek odrywałby mnie od ciebie, i zamiast dodawać, ujmowałby mi szczęścia. Wie Pan Bóg co czyni. Zesłał na mnie ciężkie próby, ale bez tych prób nigdybym nie wiedziała do jakiego stopnia mię kochasz. Teraz prócz ciebie już nic nie istnieje dla mnie. Chciałam odzyskać szacunek Tytusa i odzyskałam, dzięki twemu rozumnemu serduszk. Ale miłości już nie chcę, ach nie chce żadnej, oprócz miłości mego dziecka.

Cecylia została mocno zdziwiona i troszkę rozczarowana niespodzianem zakończeniem dramatu, w którym się podjęła trudnej roli Opatrzności. Przez długie lata, w sercu i wyobraźni, snuła ro-

mans dla matki, jak inne snują go dla siebie. Tęskniła, cierpiała za drugich, i w tem przeniesieniu osobistości zdobyła wielki zysk duchowy, nauczyła się zaparcia, zapomnienia o sobie. To też niebiosy pomagały, wszystko się udawało... cóż kiedy epilog chybił... Tyle razy, na tle tęczowej przeszłości, widziała już matkę idącą, pod ślubnymi szatami, do świątyni o rozbujanych dzwonach, opartą na ramieniu legendowego, niedoścignętego oblubieńca, że nie mogła się łatwo rozstać z tym wypieszczonym obrazem.

Trzeba też dodać, że widziała zawsze w nim i siebie, także opartą na ramieniu narzeczonego, ale oboje stali w cieniu, na ostatnim tle, jako postacie czysto dodatkowe. Kto miał być owym narzeczoną? To ją najmniej obchodziło. Czuli tylko, że w domu nowożeńców panna, i to jeszcze dorosła, stałaby się wielką zawadą. Postanowiła więc, na ukoronowanie szego dzieła, usunąć się z domu, aby matce zostawić wolne pole do nowych uczuć i powinności. Jedynym na to środkiem było, z chwilą zamężcia matki, pójść także za męża, a już za kogo? To rzecz losu. To też kiedy los w same porę podsunął jej Wiesława, ucieszyła się że niebo tak dobrze za nią wybrało i miała szczerzy zamiar oddać mu rękę bez odwłoki. Ale nieprzewidziane postawienie się pani Ireny, odmieniło nagle zamiary Cecylii. Po pierwszej chwili zdumienia, uczuła radość

7

niesłychaną. Więc już nie miała potrzeby usuwać się z domu! Więc mogła nie rozłączać się z matką!

Wprawdzie matka wstawiała się za Różycem.

— Pomyśl, moja Cesi — mówiła częstokroć — zdrowie moje bardzo już zachwiane, może mnie zabraknąć na świecie. Byłoby samolubstwem z mojej strony nie troszczyć się o twoją przyszłość. A z kimże znajdziesz pewniejszą, jak z tym człowiekiem wzorowym, co stworzony się zdaje na dobrego męża?

Cesia nie zaprzecza wysokich zalet Wiesława. Przyznaje nawet że jest bardzo, ale to bardzo miły. — Tylko, dodaje, najdroższa mamuniu, po co naglić? Tyle naszego co przeżyjemy we dwie, a gdy chodzi o zmianę losu, zawsze czas na ostatnie słowo. Już ja wiem że on będzie wiernie czekał.

W tym względzie Cecylia się nie myliła. Zaszła w ciągu ubiegłego tygodnia

wypadki przekonały Wiesława, jak mało jeszcze miejsca zajmuje w sercu swego ideału. Wiedział z przestachem że była zdolna poświęcić jego miłość, a nawet szacunek, gdyby chodziło o usunięcie jednego kamyczka z pod stóp macierzyńskich. Zwyczajny młodzieniec uczyłby się pewnie zraniony i urażony. Różyc przeciwnie. Jako człowiek stawiający rodzinę nad jednostką, obowiązki nad uczuciami, uznał postępowanie Cecylii za takie właśnie, jakiego chciał od przyszłej żony,

przedsięwziął cierpliwie zasłużyć na miłość, która się nie dała zdobyć wstępnym bojem. Trzeba także dodać, że kilka słów rzuconych przez nią w rozmowie na ganku, o "poważnym stanowisku społecznym," drasnęło jego miłość własną; to draśnięcie może być korzystnym dla jego przyszłości. Przyobiecał sobie nie prosić o rękę Cecylii, aż będzie mógł odpowiedzieć wszelkim jej życzeniom. W tym celu, na przekór zwykłej swojej skromności, stara się o wyższe stanowisko, nie szczędzi pracy, ani nawet zabiegów.

U pani Ireny bywa często, ale z pewną miarą. Nic nie przypomina, nie namawia, tylko usiłuje gdzie można usłużyć, a nadewszystko dać się dobrze poznać. Zdaje się że bliższa znajomość będzie mu najlepszym adwokatem.

Bo też Cecylia, prawdę mówiąc, niedosyć dotąd ceniła jego wartość. Jej się wydaje że takich Wiesławów jest wielu po świecie. Lepsze poznanie ludzi bez wątpienia w jej oczach go podniesie.

Ale w czyich oczach, a nadewszystko sercu, podniósł się do nieznanych wysokości, to w sercu swojego wuja. Bo niech tam co chce mówi duma, jeśli się komu raz duszę otworzyło, będzie się ją, otwierać i nadal. Kto zakosztował raz jeden nieopisanych słodyczy zaufania, ten już od nich nigdy nie odwyknie.

Po kilku tygodniach namysłu i walki, pan Tytus pewnego dnia przemówił do Wiesława tymże

samym, wzruszonym i wzruszającym głosem, jakim po raz pierwszy opowiadał mu swoje przeszłość.

Od tej chwili nie umie już mówić z nim inaczej.

Zawiązała się między nimi owa przyjaźń o której Wiesław marzył, potężna, głęboka, niepodobna do rozerwania.

I tak, matka z córką i przyjacielem, przedstawiają dwa wzory znacznych uczuć., których urok jeszcze się podwaja przez wzajemne z sobą zbliżenie, bo kiedy ich widzujemy, to najczęściej razem.

We czworo jeżdżą po Łazienkach, we czworo ukazują się w łoży Wielkiego, albo Letniego teatru. Warszawa, wśród codziennych swoich przepowiedni, wielokrotnie już ich żeniła. Gdy wróżby okazywały się mylnymi, nie brakło wydziwiał, a nawet złośliwych plotek. Obmowy i podejrzenia krążyły po zaułkach towarzyskich, rozsiewane wszystkie jedną, ręką, którą każdy łatwo odgadnie.

Alfred, odrzucony niegdys przez Cecylią, poprzysiął jej śmiertelną zemstę. I nietylko córce, ale i matce. Obie znienawidził za odgadnięcie swojej czarnej duszy, za okazaną sobie pogardę, za klątwy rzucone przez konającego ojca.

Byłby chciał widzieć Cecylią na ostatnim szczeblu nieszczęścia i poniżenia.

Kiedy zamiast klęsk i upadku, zobaczył ją o-

swobodzoną od przemocy ojczyzna, w nieznanym blasku i pogodzie, kiedy jeszcze dostrzegł na domiar że zwróciła oczy Wiesława, tego Wiesława którego uważał za cudowny wyjątek w ludzkim rodzie, ogarnęła go demoniczna zawziętość.

Postanowił zburzyć przyszłość dwóch istot, których szczęście zdawało mu się urągać, i już Różycą wciągnął w misternie ułożoną kabałę, już, już sądził się blizki celu...

Co później się stało? Nigdy nie mógł zrozumieć.

Próżno badał Wiesława. Zgrabne odpowiedzi zamykały mu usta.

Widok powróconej zgody nie dał mu po nocach sypiać. Chciał przynajmniej ująć szczęśliwcom ludzkiego szacunku, roznosił zjadliwe wieści, ale i ta pociecha niedługo mu służyła. Potwarz się zawsze, jak to mówią, rozbije o Bożą mękę, a prawda, jak oliwa, prędzej czy później na wierzch wyjdzie.

Zupełnie innemi natchniony pobudkami, jest jednak w Warszawie i ktoś drugi, coby niechętnie patrzył na weselne gody w domu pani Ireny; to profesor Bońko. Od czasu jak skończył swojego Aryona, stał się daleko więcej towarzyskim. Zmordowała go dzika cisza twórczości. Sam szuka serc przyjaznych i umysłów ciekawych, którymby mógł opowiadać trudy jakie przeżył, tłumaczyć myśli jakie przeprowadził.

W kółku nam znajomem znajduje to wszystko; znajduje słuchaczy nietylko życzliwych, ale zapalonych do jego utworu.

Pan Tytus porusza niebo i ziemię, używa swojej znajomości zakulisowych wpływów, ażeby Aryona wprowadzić na scenę. Ale dyrekcja teatru stawia się jakoś twardo. Znamcy a zwłaszcza inni kompozytorowie, kręcą głową na dwie strony. Zwolennicy nowej szkoły mówią, że Aryon nie jest prawdziwie klasycznym, że wygląda na kopia błądą i zfałszowaną.

"Jeszcze się ten nie urodził, któryby wszystkim dogodził."

Przyjaciele profesora gniewają się ogniście na te sądy, według nich niesprawiedliwe i zazdrością tchnące. On sam je przyjmuje z niezrównaną pogodą. Czemże są takie chwilowe zawady, od losów albo ludzi pochodzące, w obec tytanicznych przeszkód, jakie zwalczył we własnej myśli? Największe zwycięstwo dokonane, opera już istnieje. A teraz, czy trochę prędzej czy później światu się ukáže, to już najmniejszy kłopot pana Benedykta! Wie on dobrze iż kiedyś będzie oceniony, a dzisiejszym brakiem uznania pocichu się nawet chlubi, pomnąc na podobne koleje prawie wszystkich mistrzów. O! już co ten, to naprawdę tworzy nie dla jednego pokolenia, ale dla wieków; nie dla poklasku ani zysku, ale aby z bogacić sztukę i dać ujście natchnieniu, co mu pierś rozpiera.

Szczerze nawet mówiąc, lęka się usłyszeć swo-

je dzieło na scenie. Tyle razy je słyszał i widział, wykonane przez chóry geniuszów nadpowietrznych, mieszkających w świecie jego marzeń, że ludzkie głosy, rzeczywiste narzędzia, nigdy nie dorosną, na ziemi do tej próby, odegranej w niebie.

Czasem wprawdzie, kiedy mu zawiść zbytecznie dokuczy, profesor grozi że pojedzie za granicę, tam przedstawi Aryona i raz jeszcze stwierdzi ewangeliczny przycinek: "Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju!"

Między wtajemniczonymi często się toczą rozprawy nad tą sławną podróżą; Europa ma się zatrząść od niej. Dotąd jednak zostaje ona zawsze tylko groźbą. Samo przepisywanie partycyi zaniosło się na całe lata, bo profesor nie chciał go nikomu powierzyć i sam się niem pieści, a co popracuje, to przychodzi, w złotym humorze, pokazać nowy arkusz swoim kochanym paniom.

Ten humor jednak niezawsze był złoty.

Powtórne zjawienie się wuja, coraz częstsze bywanie siostrzeńca, przejęły go postrachem i wprowadziły prawie w czarną melancholię. Mało brakowało, żeby oba znienawidził. Truchlał, czy ci natrętni goście nie staną się panami domu, który troszkę uważał za własny, i nic odsuną go od istot, stanowiących serdeczną, stronę jego życia.

Wiesław, który coraz mocniej do niego się przywiązuje, zaniepokojony chmurnemi w nim zmianami, nie spuszcza go z oka, ale dotarł nie

mógł odgadnąć, czy maestro jest zakochany w matce, czy też w córce. Może w obydwóch razem?

Wszak pan Benedykt czci Mozarta i czci Beethovena, a gdyby go się spytać, którego więcej, byłby także zakłopotany. Platoniczne, eteryczne, święte jego uczucie dla dwóch pań najmilszych, nie nosi żadnych cech ziemskości; jedną z nich jednak zachowało, i to gwałtowna, tem gwałtowniejszą, że odartą z wszelkiej nadziei: zazdrość. Sam żadnych praw nie rości, ale nie ustąpiłby ich drugiemu bez niepocieszonej, wewnętrznej rozpacz. To też długo chodził jak struty. Aż po kilku miesiącach, kiedy zobaczył że w domu pani Ireny nic się nie odmienia, że jest przyjmowany z większą niż kiedykolwiek przyjaźnią, kiedy zmiarkował po niektórych zwrotach rozmowy że jedna już zamaż iść nie chce, a druga jeszcze nie myśli, uspokoił się i ze wszystkimi pogodził, a nawet, w dobroduszość! uczonym właściwej, uwierzył że taki stan rzeczy może trwać bez końca. Niech jednak pan Benedykt bardzo się nie cieszy. Według przysłowia: — "Co nie jest, być może." Według poety: — "Serce i potok ostrzegać daremnie." Wiesław i Cecylia tyle śpiewają duetów, tyle rozmawiają, przy gwiazdach na ganku, że już pani Irena, nic nie mówiąc, skupuje po troszku atlasy i koronki wyprawne.

A i z nią samą co się stanie? Czas, który wiele niszczy, wiele i naprawia. Pan Tytus, pod wpływem kojących wrażeń i serdecznego otoczenia, zmienia się powoli, ale codziennie. Zarzucił babilońskie ucztę, coraz mniej bywa w świecie, coraz więcej przesiaduje u pani Ireny. Już kilka razy, całując jej rękę, nie widział przed oczami krwawej plamy, a niekiedy, zwłaszcza gdy są sami, wpatruje się w nią, z rozręsknieniem, które jej wiele, zawiele przypomina. Niepróżno lud, na rozstajnych drogach, stawia krzyże, jako znak obrony. Mniema on że w tych miejscach zły duch lubi przesiadywać, czekając na przechodniów, bo tam kusić łatwiej niż gdziekolwiek. Nieraz istotnie wędrowiec, przyszedłszy na skrzyżowanie kilku gościńców, zastanawia się i waha. Jeżeli zwłaszcza niema drogowskazów, lub jeśli czas je wyrzucił, widok dróg zupełnie sobie podobnych stawia go w ciężkiej niepewności. Każda zaprasza, każda kusi. A jednak one tylko z początku są podobne, tylko z początku idą blisko siebie — im dalej, tem się bardziej rozbiegają, aż promienie ich pójdą w odwrotne strony świata. Wracać się? to nadłożyć drugie tyle drogi. To też trzeba wybierać roztropnie, bez pośpiechu, wiedzieć dokładnie która droga idzie przez puszcze pełne zbójców, a która przez pola pełne wiosek. Jaka doprowadza do podejrzanej gospody, a jaka do stolicy o złotych wieżach. — Jeśli podróżny nie jest pewnym, woli czekać na

nowych przechodniów i spytać. Czasem zejdzie się ich kilku. Siadłszy pod krzyżem dla wypoczynku i wspólnej narady, opowiadają sobie drogi przeszłe, udzielają przestróg co do przyszłych.

W królestwie ducha, takie rozstajne drogi jeszcze większem grożą, niebezpieczeństwem.

Więszem, bo tam nie można się wracać, i najczęściej kierunek, raz przez duszę obrany, stanowi o jej całej przyszłości. Tam jeszcze łatwiej się omylić, jeszcze mniej drogowskazów, a więcej pokus. Na dziesięciu ludzi, dziesięciu żałuje drogi jaką obrało.

W królestwie ducha przestrzenie większe, niżeli w drobnych państwach ziemi. Tam gościńce rzadko się krzyżują. Ledwie raz albo dwa przez ciąg życia przyszłość przedstawia nam kilka ścieżek, do wolnego, prawdziwie wolnego wyboru. To też kiedy taka godzina stanowcza wybije, dusza trwoży się, namyśla, szuka zewsząd rady i wyczekuje ile może.

Dusze, za którymi wędrowaliśmy dotąd, znalazły się w takiej godzinie swego przeznaczenia.

Każda idzie z innej przeszłości, przynosi inny zasób pamiątek, popędów i rojeń. Siadłszy gromadką, opowiadają sobie trudy minione. Nie śpieszą się do nowych. Niedziw, dobrze im razem.

Takie jednak wytchnienie długo trwać nie może. Tylko patrzeć jak wstaną i puszczą się w dal-

szą podróż Czy dwiema parami? Czy każde z osobna? To przyszłość tylko pokaże. Może kiedyś odnajdziemy ich w innej powieści? Może zbadamy nowe zwroty ich losu i serca?

Tymczasem, odpoczywających pod godłem wiary, uśmiechniętych miłością i nadzieją, zostawiamy ich na rozdrożu.

**KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO**